



KATE
SIMANTS

**W
ZAMKNIĘCIU**

COKOLWIEK ROBISZ,
NIE OTWIERAJ
DRZWI

KATE
SIMANTS

**W
ZAMKNIĘCIU**

PRZEŁOŻYŁ
JERZY WOŁK-ŁANIEWSKI



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: ***Lock Me In***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Katarzyna Szajowska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczańska*

Fotografia wykorzystana na okładce

© Dima Pechurin/Unsplash

Copyright © Kate Simants 2019

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2021

© for the Polish translation by Jerzy Wołk-Łaniewski

ISBN 978-83-287-1434-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2021

*Tomowi, który ani razu nie zasugerował, bym dała sobie z tym
spokój i poszukała prawdziwej roboty. Lepszego kompana nie
mogłam sobie wymarzyć.*

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ 1 Ellie

ROZDZIAŁ 2 Mae

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4 Ellie

ROZDZIAŁ 5 Mae

ROZDZIAŁ 6 Ellie

ROZDZIAŁ 7 Mae

ROZDZIAŁ 8 Ellie

ROZDZIAŁ 9 Mae

ROZDZIAŁ 10 Ellie

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12 Mae

ROZDZIAŁ 13 Ellie

ROZDZIAŁ 14 Mae

ROZDZIAŁ 15 Mae

ROZDZIAŁ 16 Ellie

ROZDZIAŁ 17 Mae

ROZDZIAŁ 18 Ellie

ROZDZIAŁ 19 Mae

ROZDZIAŁ 20 Ellie

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22 Mae

ROZDZIAŁ 23 Ellie

ROZDZIAŁ 24 Mae
ROZDZIAŁ 25 Ellie
ROZDZIAŁ 26 Mae
ROZDZIAŁ 27 Ellie
ROZDZIAŁ 28 Mae
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30 Ellie
ROZDZIAŁ 31 Mae
ROZDZIAŁ 32 Ellie
ROZDZIAŁ 33 Mae
ROZDZIAŁ 34 Ellie
ROZDZIAŁ 35 Mae
ROZDZIAŁ 36 Ellie
ROZDZIAŁ 37 Mae
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39 Ellie
ROZDZIAŁ 40 Mae
ROZDZIAŁ 41 Ellie
ROZDZIAŁ 42 Mae
ROZDZIAŁ 43 Ellie
ROZDZIAŁ 44 Mae
ROZDZIAŁ 45 Ellie
ROZDZIAŁ 46 Mae
ROZDZIAŁ 47 Ellie
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49 Mae
ROZDZIAŁ 50 Ellie
ROZDZIAŁ 51 Mae
ROZDZIAŁ 52 Ellie
ROZDZIAŁ 53 Mae

ROZDZIAŁ 54 Ellie
ROZDZIAŁ 55 Mae
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57 Mae
ROZDZIAŁ 58 Ellie
ROZDZIAŁ 59 Mae
ROZDZIAŁ 60 Mae
ROZDZIAŁ 61 Ellie
ROZDZIAŁ 62 Mae
ROZDZIAŁ 63 Ellie
ROZDZIAŁ 64 Mae
ROZDZIAŁ 65 Ellie
ROZDZIAŁ 66
ROZDZIAŁ 67 Mae
ROZDZIAŁ 68 Ellie
ROZDZIAŁ 69 Mae
ROZDZIAŁ 70 Ellie
ROZDZIAŁ 71 Christine
ROZDZIAŁ 72 Mae
ROZDZIAŁ 73 Ellie
ROZDZIAŁ 74 Ellie
ROZDZIAŁ 75 Mae
ROZDZIAŁ 76 Ellie
EPILOG
PODZIĘKOWANIA

PROLOG

Chcesz wiedzieć, co to strach?

Wyobraź sobie, że każdego dnia, gdy się budzisz, ktoś tam jest. Wyobraź sobie, że nawet nie otwierając oczu, wiesz, że ktoś cię obserwuje.

Nie spiesz się. Pozwól, by umysł oswoił się ze świadomością.

Dziewczyna. O, tam. Nie w korytarzu, nie w drzwiach ani nie przy oknie. Nawet nie po drugiej stronie łóżka.

Blżej.

Patrzy, a jej oczy bez mrugnięcia wnikają w twoje oczy, choć powieki masz zamknięte. Ruszasz się, a ona na moment umyka. Ale nie znika. Już to wiesz.

W myślach prosisz – *tylko nie to*. Zaciskasz zęby tak mocno, że wydają zgrzyt. Nie chcesz się bać, ale odczuwasz autentyczny lęk, tu i teraz, bo ciała nie obchodzi, czy tego sobie życzysz, czy nie. Serce nie pompuje ci teraz krwi, a strzela kulkami łóżyskowymi. *Otwórz oczy* – mówisz sobie.

Wymawiasz jej imię, a ona zastyga. Czujesz, jak to robi, jak czujna sztywnieje ci w żołądku. Jest w tobie. Zawsze jest w tobie i nasłuchuje pod skórą.

Kiedy byłaś mała, lekarze powiedzieli, że to znane schorzenie, że będą mogli ci pomóc. Że ta druga ty, twój sobowtór, ta, która zawsze tam jest niczym nieproszona wyobrażona przyjaciółka, da się wydobyć na powierzchnię. Że ta inna dziewczyna, którą czasami się stajesz, jest tam, ponieważ w pewnym momencie życia musiałaś wyłączyć się z rzeczywistości. Jak mówili, musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że doznałaś silnej traumy, związanej z jakimś impulsem, jakąś ekscytacją. Nigdy nie doszłaś, co to mogło być. W końcu lekarze się poddali i powiedzieli, że nie powinnaś jej się bać, że można nad nią zapanować, można sobie z nią poradzić, można ją poskromić.

Mylili się.

Czujesz, jak wzbiera. I nie ma znaczenia, że dobrze wiesz, że to nie schorzenie fizyczne, i że to wszystko dzieje się w twojej głowie: kiedy zaczyna z tobą walczyć, boli. A jeśli chcesz, by twoje ciało należało do ciebie, nie do niej, to musisz jej stawić opór.

Teraz nadchodzi napięcie, gęstnienie, puchnięcie szpiku w kościach. Zaciskasz pięści na pościeli, wciskasz pięty w materac. Jest sztywna, wyje w twoich żyłach, wyje w komórkach twojej krwi. Próbujesz krzyknąć, ale głos więźnie ci w gardle, brakuje ci tchu. Jej dłonie tkwią w mokrych głębinach twojego gardła i zaciskają sztywną chrząstkę twojej tchawicy.

I nagle rozpływa się w dymie. Cichnie. Zostajesz sama z chropowatym odgłosem własnego oddechu, a w uszach dudni ci bicie serca. Nawet gdy tętno się uspokaja, wiesz, że ona nie zniknęła. Ona nie znika. Nigdy.

Nauczyłaś się przenigdy nie ufać ciszy, przenigdy nie odpuszczać czujności. Nawet kiedy śpisz.

Zwłaszcza kiedy śpisz.

Chcesz poznać strach?

Strach ma imię.

Nazywa się Siggy.

ROZDZIAŁ 1

Ellie

Londyn, rok 2011

Obudziłam się zdyszana, ze ściągniętym prześcieradłem ciasno owiniętym wokół nóg.

Uwolniłam je, kopiąc w cienką ściankę dzielącą mój pokój od kuchni. Zza ściany usłyszałam brzmienie wyłączanego radia.

– Ellie? – odezwał się stłumiony przez płytę gipsową głos mamy.

Siggy ucichła, stając się zimną, cienką warstwą u podstawy mojego mózgu. Przez parę chwil milczała, po czym zniknęła niczym płomień w próżni, pozostawiając jedynie rwany odgłos mojego oddechu.

– Ellie, skarbie? Nie śpisz?

Otworzyłam oczy, rozruszałam szczękę i wymamrotałam ochryple „nie”.

Było później, niż myślałam. Chłodna płachta wczesnozimowego światła przecinała mój malutki pokój na pół. Drobiniki kurzu tańczyły na jej ostrej krawędzi. Rozczapierzyłam dłoń na pustej ścianie. Wszystkie nasze ściany były puste, we wszystkich mieszkaniach i domach, w których mieszkaliśmy od czasu, gdy byłam dzieckiem. Nigdy nie zostawałyśmy na długo, a gdy się wynosiłyśmy, to zawsze w pośpiechu.

– Poszła sobie? – zawołała mama. Zawsze potrafiła nadać swojemu głosowi radosny ton.

– Aha. – Wyplątałam się z prześcieradła i spróbowałam zwiesić nogi znad łóżka, ale nie dałam rady. Były zbyt ciężkie. Tego ranka było trudniej, gorzej niż zwykle. Ból mięśni rozlewał się po prawym barku i promieniował do ramienia. Z trudem chwytalam oddech.

– Właśnie robię kawę – oznajmiła, a jej głos już się oddalał. Z powrotem włączyła radio. Utwór się skończył, ustępując miejsca łagodnemu, śpiewnemu

głosowi prezentera. Usłyszałam, jak mama otwiera szafkę z naczyniami, wyciąga kubki, zamyka ją i stawia kubki na stole.

Przez minutę leżałam zwinięta w literę S, starając się ocalić ze snu tyle, ile mogłam. Było w nim błękitne niebo, no i ten budynek. Zawsze ten sam, ten, który w dzieciństwie rysowałam raz za razem: długi i niski, niezmienny i dokładny niczym fotografia, za każdym razem. Noc w noc.

Powoli przesunęłam się pod kołdrą. Lecz gdy próbowałam podźwignąć się do pionu, ostry, rażący ból buchnął mi w ręce, doprowadzając do łez.

Dłoń przecinała mi poszarpana szrama, przerywana, lecz sięgająca aż po podstawę kciuka. Głębokie nakłucia, czerwone i obrzękłe. Dotknęłam jej i się wzdrygnęłam: była zupełnie świeża, krew jeszcze nie zaschła.

Ostrożnie odsunęłam przykrycie i przyjrzałam się sobie. Z prawej strony podbrzusza widniał paskudny, niebieskoczarny siniak. Czubkiem palca nacisnęłam środek jego najciemniejszej części. Naciskowi odpowiedział ból promieniujący aż do kości.

Skąd się to wzięło?

Poczułam ostre draśnięcia drżemiącego we mnie strachu. Usiadłam prosto, postawiłam stopy na podłodze. Zebrałam się na odwagę i spojrzałam na drzwi.

Powinny być zamknięte. Musiały być zamknięte. Czyżbym nie słyszała, jak mama je zamyka? W pamięci przewinęłam sobie ostatnie chwile poprzedniego dnia. Matt podrzucił mnie do domu po krótkim wypadzie do pubu nieopodal łodzi mieszkalnej, którą wynajmował. Mama przygotowała kolację – coś z makaronem, co razem zjadłyśmy w kuchni. Wcześniej poszłam do łóżka, aby chwilę poczytać. Mama zamknęła mnie, nim wyszła na nocną zmianę. Musiała.

Obróciłam głowę, a krew huczała mi w skroniach. Otworzyłam oczy.

Szczelina miała szerokość zaledwie palca, ale drzwi były otwarte. Na białej błyszczącej framudze ujrzałam coś, co sprawiło, że wyskoczyłam z łóżka jak oparzona. Trzema krokami pokonałam pokój i sięgnęłam do ciemnych śladów na framudze.

Czerwonobrunatne smugi, chropowate na brzegach. A na wierzchach moich dłoni – teraz to dostrzegłam – to samo, dokładnie tego samego koloru.

Błoto.

Siggy wyprowadziła mnie na zewnątrz.

W korytarzu pojawiła się mama z kubkami w dłoniach. Stała jak wryta, po czym stopą otworzyła drzwi na oścież.

– Co? – spytała.

Odszukałam jej spojrzenie.

– Zamknęłaś je.

Na sekundę zacisnęła powieki, jak gdyby odblokowując obraz.

– Zamknęłaś je – powtórzyłam głośniej. – Zamknęłaś. Sama słyszałam.

Odstawiła kubki z kawą i nachyliła się, by dotknąć drzwi. Po nocnej zmianie w szpitalu, w którym pracował Matt, wciąż miała na sobie strój sprzątaczkii – poplamiony wybielaczem fiołkowy fartuch na niebieskim komplecie medycznym.

– Jasny gwint – wyszeptała, a krew odpłynęła jej z twarzy. Wyszła, by przyjrzeć się wszystkiemu z zewnątrz. – Co się tu, u diabła, stało?

Podążyłam za nią. W korytarzu rygiel, który powinien znajdować się po zewnętrznej stronie moich drzwi powyżej zamka, leżał na podłodze, a jego dwie osobne części wciąż łączyła kłódka. W miejscu, z którego je wyrwano, zwiślały strzępki farby oraz drzazgi. Kilkanaście centymetrów wyżej na zerwanym łańcuszku, bujając się, zwiślała zasuwka. Jakiej trzeba było siły, by go wyłamać, by pchnąć drzwi do środka na tyle mocno, że rozwały się zamki po zewnętrznej stronie...

Drobne paluszki Siggy trącały włókna moich bicepsów. Gdybym jej tak dobrze nie знаła, to zastanawiałabym się, czy w tym momencie się uśmiecha.

– Niczego nie pamiętasz? – spytała mama.

– Nie, ale... popatrz. – Podniosłam rękę, a ona zrobiła wielkie oczy.

Pozwoliłam, by chwyciła ją i obróciła.

– Jezu – wymamrotała bezgłośnie, po czym zdecydowanym tonem rzuciła: – Umyj to. No już.

Trzymając mnie za nadgarstek, tak aby nie dotknąć rany, poprowadziła mnie do łazienki i pociągnęła za sznurek włączający światło. Opuściła deskę sedesową i posadziła mnie na niej niczym dziecko, po czym podwinęła rękawy, odsłaniając żylaste, umięśnione przedramiona, zahartowane latami pompek, które robiła, by mieć pewność, że będzie silniejsza od Siggy.

– To cię, skarbie, zapieczę. – Kran zaskrzypiał przy odkręcaniu, po czym szeroki warkocz zimnej wody runął do umywalki koloru awokado. – Daj ją

tutaj.

Zrobiłam, jak mi kazała.

Marszcząc brwi, wskazała na moją dłoń.

– Podejrzewam, że to drut kolczasty. Popatrz na odstępy. – Miała rację: nakłucia były równo rozmieszczone, każde o centymetr od poprzedniego.

Odwróciła się i z wściekłością ściągnęła ręcznik z grzejnika elektrycznego, który przez osiem miesięcy, czyli odkąd tu mieszkaliśmy, nie zadziałał ani razu. Wytarła ręce i kopniakiem posłała ręcznik na stertę obok kosza na pranie.

– Pierdolona Siggy! – rzuciła, zdecydowanym ruchem przeciągając palcami po głowie. – Co tym razem ci zrobiła?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Nazywałyśmy te sytuacje fugami i nigdy nie pamiętałam, do czego w ich trakcie Siggy mnie zmuszała ani dokąd mnie zabierała. I dlaczego. Mogłam jedynie, na podstawie bałaganu, jaki zostawiała po sobie, składać do kupy szczątkowe informacje, by dojść do przyczyny poprzez ocenę skutków i spróbować znaleźć w tym jakiś sens. Kiedy byłam młodsza, fakt, że takie fugi zdarzały się zawsze nocą, zaskakiwał kolejnych psychologów, neurologów i specjalistów od snu, aż tak bardzo wkurzyli mamę, że w ogóle przestałyśmy do nich chodzić. Tego okresu w moim życiu prawie nie pamiętam, ale mama zachowała dzienniki: wszystkie leki, wszyscy spece, wszystkie sesje, techniki i zadania domowe. Nic się nie sprawdziło. Leki, które miały mi pomóc radzić sobie z dysocjacją, niczego nie zmieniły. Fugi trwały dalej; koszmary powracały. Choć przez długi czas nie pogarszało mi się – prześladowały mnie napady paniki, ale nie zaczęłam się „przełączać” w ciągu dnia, czego od zawsze panicznie się bałam – to wcale mi się też nie polepszyło. W końcu specjalistom wyczerpały się wszelkie sposoby. Nie uzyskaliśmy ani remedium, ani odpowiedzi – odprawiono nas jako przypadek anomalii.

Tyle że tak było wtedy, gdy Siggy była skora do zabawy i dopuszczała się drobnych figli bez znaczenia. Na przykład kiedy spałyśmy, ona nalała nam mleka do butów albo pościagała z półek wszystkie książki i poukładała je w stosy według koloru. Takie drobnostki, z których niemalże mogłyśmy się śmiać.

To było, zanim pojawiła się konieczność zakładania zamków.

To było przed sprawą z Jodie.

Od zimna traciłam czucie w palcach, lecz rozdarcie na dłoni paliło mnie i ręka zaczynała puchnąć. Pod wpływem wody zasuszone błoto zmieniało konsystencję i odpadało, aż została tylko czysta, różowa i podrażniona skóra. Zabrałam się za zmywanie go z drugiej ręki, tu było go więcej, bo aż po łokieć.

Gdzie ja byłam zeszłej nocy?

Co robiłam?

W końcu zimno stało się nie do wytrzymania, wyciągnęłam rękę z umywalki i odrzuciłam włosy do tyłu. Mamine spojrzenie powędrowało w stronę mojego gardła.

– Co, u licha, stało ci się z szyją?

Wstałam i wyminęłam ją, aby dostać się do lustra. Uniosłam podbródek.

– Tylko się nie przeraż. – Mama stanęła za mną i położyła mi rękę na ramieniu. – Zapanuj nad tym. I się nie przeraż.

Ciemne ślady wielkości winogron z niebiesko-białymi półksiężycami wygniecionymi na ich zewnętrznych brzegach. Sińce: cztery w jednej linii po jednej stronie tchawicy, jeden po drugiej. Tuż ponad starą, nierówną blizną sprzed lat.

Cztery i jeden. Cztery palce i kciuk.

– Dalej, skarbie, postaraj się – powiedziała nieco rozgniewana. – Postaraj się sobie przypomnieć.

Przyjrzałam się siniakom, dotknęłam ich palcami, przykładając je w odpowiednie miejsca, po czym spojrzałam w oczy odbiciu w lustrze: jedno zielone, jedno niebieskie. Jedno moje, jedno Siggy.

Myśl.

Błoto.

Drut kolczasty na dłoni.

I odcisk palców na mojej szyi.

Kiedy w głowie zakwitło wytłumaczenie, rozwijając się swoim torem, oddech zamarł mi w piersi.

– Mamo, a jeżeli to ktoś próbował powstrzymać...?

Zamilkłam. Matt. Zajrzałam do pokoju.

Mój telefon nie leżał obok łóżka, nie było go też w jeansach, które miałam na sobie minionej nocy. Poszłam sprawdzić w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego, który – byłam pewna – powiesiłam na drzwiach, ale ani telefonu, ani płaszcza tam nie było. Wbiegłam do salonu. Dostrzegłam, że moja komórka ładuje się w kącie, wyszarpnęłam kabel, wybrałam numer i przyłożyłam telefon do ucha, powtarzając w myślach: *Odbierz, na miłość boską, odbierz.*

– Dobra, stop – powiedziała stojąca za mną mama. – Przez chwilę się nad tym zastanów. Ellie. Stop!

Odwróciłam się w jej stronę.

– Co?

– Musimy myśleć rozsądnie – oznajmiła, sięgając po telefon.

Zanim przetworzyłam to, co do mnie powiedziała, zrobiłam unik. Sądziłam, że musiało dojść do walki, że stało się coś, co mogłam naprawić. Ale matka pomyślała o Jodie. O tym, co Siggy już kiedyś zrobiła.

Pomyślała, że zrobiła to raz jeszcze.

Mgła spowijająca mój umysł nagle się rozwiała i usłyszałam łagodny szkocki akcent Matta: *Tu Matt Corsham. Prawdopodobnie jestem w moim lochu* – chodziło o pracownię diagnostyki obrazowej w podziemiach szpitala – *zostaw wiadomość.* Rozłączyłam się przed sygnałem i wybrałam numer jeszcze raz. Spojrzałam na zegar: siódma czterdzieści trzy. Miał ranną zmianę, zaczynał o ósmej, powinien właśnie jechać do szpitala drogą numer 267. Telefon powinien mieć w dłoni! Opadłam na kanapę. Powinien do mnie pisać!

Mama usiadła obok i ujęła moją twarz w dłonie.

– Co robimy? – spytała cicho. – Co robimy, gdy robi się ciężko?

– Radzimy sobie – odpowiedziałam szeptem.

– Właśnie tak. Ty i ja. – Westchnęła, wzięła mnie za zdrową dłoń i kolejno odkleiła palce od telefonu, aż go upuściłam. Odłożyła go na stół, poza moim zasięgiem, a następnie przysunęła się, przyciągając mnie blisko siebie. Podałam się i oparłam głowę na jej piersi.

– Proszę cię, mamó, nie pozwól, by to się znowu stało.

– Ćśś. Nic mu nie jest. Pewnie pracował do późna albo zaczął wcześniej czy coś takiego. – Lekko mnie trąciła. – Nie martw się. To tylko trochę błota. Tylko parę zadrapań.

Nawet wtedy żadna z nas nie dawała temu wiary.

ROZDZIAŁ 2

Mae

Sierżant Ben Kwon Mae zatrzymał się na światłach. Uniósł brwi, spoglądając w lusterko wsteczne, a kopanie w tył jego fotela ustało. Miś, jego ośmioletnia córka, podejrzenie pochłonięta obserwacją własnej dłoni, powoli podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

– No co? – Szeroko otworzyła oczy z miną urażonej niewinności. – To nie ja!

Zaśmiał się. Zajęcia teatralne, za które była żona kazała mu bulić, kosztowały trzydzieści funtów każde, a oto wyniki.

– Koszmarna z ciebie aktorka, Miś. Naprawdę koszmarna – bąknął, ponownie skupiając uwagę na drodze zakorkowanej przez opiekunów odwożących dzieci do szkoły. Należało iść piechotą. Kopanie wróciło, aż odkręcił się gwałtownie. – Ej! Przestań!

Roześmiała się, ale dostrzegł okruchy czipsów na jej dopiero co wypranym szkolnym sweterku. Przyłapana na gorącym uczynku, zaczęła strzepywać je na dywanik pod fotelem.

Wydał policzki. Nic nie powiedział. Nie musiał.

– Jestem głodna.

– No ale czipsy, dziewczyno?

Wolał zostawić ten temat, bo według zegara na desce rozdzielczej miał jeszcze osiem minut, aby na czas dowieźć Miś do szkoły, a poświęcenie minuty na narzekanie na temat jej nawyków żywieniowych wszystko by zaprzepaściło. Od dzwonka o 8:45 będzie miał przed sobą półtora tygodnia wolnego, aż znowu przejmie nad nią opiekę. Tyle że Nadia wiele razy już mu wyrzucała, że sama musi sobie radzić z, jak to nazywała, „kwestią BMI”. Nie byłoby więc z jego strony fair, gdyby po prostu sprawę zignorował.

– Podałem ci przyzwoite śniadanie. Wydawało mi się, że lubisz jajecznicę.

– Przestałam ją lubić, gdy miałam jakieś trzy lata. Nie cierpię jajecznicy.

Widział teraz tylko czubek jej głowy, ale był przekonany, że ledwo powstrzymuje łzy.

– W tym swoim głupim mieszkaniu nigdy nie masz niczego dobrego do jedzenia. Kiedy muszę u ciebie nocować, to potem zawsze w szkole jestem głodna.

– Okej, następnym razem odpowiednio się zaopatrzę. – Światła się zmieniły, ponownie patrzył na drogę. – Chodzi mi o to, że trzeba wybierać to, co jest zdrowe.

– Ty tylko mówisz, że jestem gruba i nikt mnie nie lubi. – Wyjrzała gniewnie przez okno, obgryzając podrażnioną skórę wokół paznokcia na kciuku.

– To wcale nie tak. – *Fantastycznie, Supertato*. Zgadnijmy, co zapamięta z tych odwiedzin. W lusterku dostrzegł, jak Miś opiera głowę o szybę, podróż dokończyli w milczeniu. A może mogliby się na godzinkę urwać? Zabrałby ją do parku, załagodził sprawę, aby rozeszli się w zgodzie. Nie. Jasne, że nie. Zaczynając od tego, że Nadia by się dowiedziała, a jego notowania i tak szorowały brzuchem po ziemi. W dodatku ostatnimi czasy ich relacje jeszcze bardziej się popsuły, nie mógł więc do listy przewinień dorzucać jeszcze wagarów.

Z zaledwie trzyminutowym spóźnieniem zatrzymał się na jakimś cudem wolnym miejscu blisko wejścia szkoły. Wysiadł i obszedł wóz, aby otworzyć zabezpieczone blokadą drzwi od strony Miś.

– Boli mnie brzuszek – zajęczała.

– No dobrze. To się odrobinę przewietrzymy i za minutkę może poczujesz się lepiej.

– Ale boli mnie głowa. – Ściszyła głos. Podążył za jej spojrzeniem na plac zabaw i zauważył dwóch starszych od córki chłopców, którzy stali na wprost nich. Odwrócili się, gdy tylko nawiązał z nimi kontakt wzrokowy. Miś westchnęła i spuściła oczy.

Sięgnął, by odpiąć jej pasy.

– Jacyś koledzy?

– Nie! Odczep się, Ben – odparowała, wywijając się.

Postarał się, by nagłego ukłucia w piersi nie dało się odczytać na jego twarzy.

– Mówi się tato – przypomniał, wyciągając z tylnego siedzenia jej torbę oraz teczkę z czytankami. Ta maniera z Benem pojawiła się właśnie podczas tej wizyty. Nadii nigdy w życiu nie nazwałaby po imieniu. Nie słyszał nawet, by kiedykolwiek zeszła poniżej formy „mamusia”. Nie zamierzał do tego dopuścić. – Masz mówić do mnie tato.

– Jak tam sobie chcesz. – Przecisnęła się koło niego i ciężkim krokiem ruszyła ku bramie szkoły. Dogonił ją i sięgnął do jej ramienia, ale opuścił rękę, zanim go dotknął. Lepiej nie przeginać.

– Coś ci powiem. Jeżeli mnie nie przytulisz, przyłożę ci w łeb gaśnicą. – Zabrzmiało to nieco zbyt humorystycznie, ale pozwoliła mu się dogonić. Odkasznął i zniżył trochę głos. – Wyłupię ci oczy łyżką stołową. Zrobię to. Już to kiedyś zrobiłem. W prowincji Helmand.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Nie byłeś w prowincji Helmand.

– A właśnie, że byłem.

– I już mi to mówiłeś.

– Racja, racja. Niezdara ze mnie. – Włożył ręce do kieszeni. – W takim razie po prostu będę musiał zetrzeć ci nos.

– Tak? A niby jak?

– Tarką do sera. Tak jak to zrobiłem podczas operacji Pustynne Gacie.

Parsknęła śmiechem i spojrzała na niego. Jej oczy miały kształt niemalże europejski, ledwie dawało się w niej zauważyć jakiekolwiek cechy koreańskich przodków. Jak gdyby nawet jego geny były rozwadniane, wypłukiwane z jej życia.

Ale ten skrzywiony uśmiech odziedziczyła po nim. Wzięła głęboki wdech. – Ugotuję cię żywcem, obedrę ze skóry i sprzedam ją do szewca, żeby mogli zrobić z ciebie buty.

Gdy zdał sobie sprawę, że wcześniej już to zaplanowała, że to przećwiczyła, poczuł, jak gdyby w brzuchu rozżarzyła mu się bryłka węgla.

– Nieźle. – Spojrzał na nią poważnie i powoli skinął głową. – To jaki wynik? Siedemnaście do dwunastu?

– Chciałbyś – powiedziała, już udobruchana. – Dziewiętnaście do dwunastu. – Radośnie machnęła w jego stronę torbą, nieświadomie prawie trafiając go w jaja.

Miś ruszyła w podskokach, ale stanęła, gdy dotarła do bramy. Rozglądała się po podwórku w poszukiwaniu tamtych chłopców.

Mae przykucnął.

– Słuchaj, jeżeli jest coś, co mógłbym dla ciebie załatwić...

Posłała mu poważne spojrzenie.

– Nie. Nic takiego nie ma. Nic.

– Bo jeśli...

– Tato, proszę.

Wzruszył ramionami i wyprostował się, zapisując sobie tych dwóch w pamięci: ich torby, fryzury, uśmieшки. Ostatnia spóźnialska wyminęła ich w biegu, zaganiana przez pomocnika nauczyciela (pan Walls, lat dwadzieścia dziewięć, świeżo przyjęty w zeszłym roku, kawaler, wcześniej ogrodnik, w wieku trzynastu lat upomniany za kradzież w sklepie). Mae schylił się, by poprawić córce nierówno zapięty płaszczyk, na co ona łaskawie mu pozwoliła.

– Dzięki, Miś, że spędziłaś ze mną czas. – Ucisnął jej ramiona. – Widzimy się w przyszłym tygodniu.

Wymknęła mu się i pognęła ścieżką, starając się wtopić w grupkę dziewczynek, które ledwie rozpoznawał. Na moment uniosła dłoń w geście pożegnania. Parę razy zacisnął palce w kieszeniach, po czym wrócił do auta.

Nie czuł się dotknięty. To, że się pożegnali i nawet go nie przytuliła – nic wielkiego. Dzień za dniem skutecznie załatwiał sprawy rozbojów, samobójstw i wypadków drogowych. Zabójstwa, wykorzystywanie nieletnich, przemoc domowa, pełen repertuar. Cały, kurwa, czas. No i co, jego mała córeczka zapomniała go przytulić przed dziewięciodniową rozłąką, mimo że dopiero co miała trzy latka i zasypiała mu w ramionach, gdy po raz osiemnasty czytał jej bajkę o Gruffalo? Jezu! Kto jak kto, ale on się z takiego powodu nie rozpłacz.

Z siedzenia kierowcy patrzył, jak Miś znika wewnątrz budynku.

Muzyka. Sięgnął, by wyciągnąć jakieś CD z kieszeni za fotelem, i zacisnął palce na płycie w kwadratowej kopercie z plastiku. Najwyraźniej zostawiła ją tam przez pomyłkę. Wyciągnął ją: podpis markerem: *Lady Gaga dla Miś!*,

a poniżej: żart, tak naprawdę to mixtape z najlepszym PRYZWOITYM hip hopem od tatusia.

Bo był przyzwoity; dwa razy sprawdził każdy kawałek, żeby nie było tam ani jednego przekleństwa. Trochę się przy tym namęczył.

Wcisnął płytę do schowka w desce, zanurkował raz jeszcze i pod grubą warstwą okruszków z czipsów ziemniaczanych znalazł *Doggystyle* Snoopa Dogga. Płyta była porysowana jak cholera, ale ostatnio dała się odtworzyć bez problemów aż do *Who Am I (What's My Name)?*, a tyle wystarczało, by dojechał do komendy. Głośniki były niemal tak samo zjechane jak hamulce, ale wydawały głośne dźwięki, a to znaczyło, że uda mu się oczyścić umysł.

Zapłon, ramię za zagłówek, wsteczny. I jazda.

Robota i nic więcej.

ROZDZIAŁ 3

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>14 sierpnia 2006</i>

CC: W porządku, wydaje mi się, że już się nagrywa... Tak. Nim zaczniemy, czy możemy tylko potwierdzić jedną sprawę, bo jest to sytuacja odrobinę nietypowa. Poprosiłaś, by twoja przyjaciółka Jodie – a właściwie, powinienem nadmienić, nasza wspólna przyjaciółka – była obecna podczas pierwszej sesji?

EP: Tak. Poproszę, o ile to możliwe.

CC: Jasne, jeśli dzięki temu poczujesz się swobodnie. W porządku, to na początek chciałbym, żebyśmy porozmawiali o tej dysocjacji i o zakresie tego, czego doświadczasz codziennie.

EP: Dobrze.

CC: I potem możemy się wspólnie zastanowić, dokąd chciałabyś z nami dojść. Czy może tak być?

EP: Tak. Będzie okej.

CC: A więc. Typowy dzień. Jak to się zaczyna?

EP: To zależy od tego, czy miałam fugę, czy nie.

CC: Opowiedz mi o tym.

EP: No więc, czasami Siggy...

CC: Siggy to twoje alter ego.

EP: Tak, przepraszam, moje alter ego, to ona czasami tak jakby przejmuję ster. Budzę się w nocy, ale tak jakbym nie budziła się naprawdę, to nie ja, to ona. Czasami zwraca się do mojej mamy, a jak nie, to po prostu usiłuje wydostać się na zewnątrz, tego typu sytuacje. Na ogół o tym, że Siggy się zbudziła, wiemy tylko dlatego, że coś zmieniło położenie albo że zapaliło się światło. Ale ja i tak zawsze wiem, bo ja ją tam czuję.

CC: Fizycznie?

EP: Nie do końca, to znaczy zawsze już potem jest mi niedobrze, jestem jakby obolała.

CC: W porządku, powiedzmy, że się obudziłaś. Co potem?

EP: No, ona zawsze tam jest. Po prostu... Tak jakby ją wyczuwam, niezależnie od tego, co się dzieje. Tak jakbym słyszała to, co myśli...

CC: Czy coś mówi? Czy ma głos?

EP: No... nie. Nie za bardzo. Ale jest tak, że jak ona się czegoś wystraszy albo się zezłości, albo coś w tym rodzaju, to ja wiem, że to nie są moje uczucia. Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

CC: Tak, ma. Wygląda na to, że to, czego doświadczasz, to jest, jak to określam, dysocjacja współświadoma, która zachodzi wtedy, kiedy ktoś czuje, że ma naraz więcej niż jedną tożsamość.

EP: Zgadza się, tak to właśnie jest. Ale kiedy mnie podnosi i robi coś ze mną w nocy i... No to zupełnie tego nie pamiętam.

CC: Dobrze. Z tego, co teraz mówisz, wnioskuję, że to dla ciebie ogromny stres.

EP: Ja... Ja sama nie wiem.

[pauza: 32 sek.]

CC: Czy dałabyś radę nieco bardziej szczegółowo opisać te epizody, które zdarzają ci się nocą?

[pauza: 12 sek.]

EP: No ja... Ja nie wiem.

CC: W porządku. Eleanor...

EP: Ellie.

CC: Ellie. Wielu osobom, z którymi tu się spotykam, na początku jest bardzo ciężko. Czują, jakby... nie wiedzą, czy mogą mi zaufać. Albo możliwe też, że nie wierzą, by mówienie mogło im pomóc.

[pauza: 27 sek.]

EP: Nie. To nie tak. Po prostu wiem, co się stanie. Przejdziemy przez to wszystko, a potem pan się podda.

CC: Aha, dobra. To powiedz mi o tym coś jeszcze.

EP: Ja... Ja po prostu... Wie pan, próbowałam. Rozmawiam z Siggy, rozmawiałam z innymi ludźmi, brałam leki i tak dalej. Wszystkiego próbowałam. Nie chcę znów przez to wszystko przechodzić. Opowiadać panu o tym wszystkim, by w końcu usłyszeć, że tak naprawdę nie może mi pan pomóc. Albo że mi pan nie wierzy.

CC: A kto ci wierzy, Ellie?

EP: Moja mama.

CC: Zawsze ci wierzyła?

EP: Tak. Widziała... Widziała, co się wtedy dzieje. Te fugi, no i... no i to wszystko.

CC: Jeszcze ktoś ci bliski? Ktoś z rodziny?

EP: Jestem jedynaczką. Tata nie żyje.

CC: Rozumiem.

[pauza: 11 sek.]

CC: Rozumiem. Dawno go straciłaś?

EP: Tak. Jeszcze zanim się urodziłam.

CC: Rozumiem. To mogło być bardzo trudne dorastać bez...

EP: Nie. Nie było.

CC: Nie chcesz zatem rozmawiać o ojcu.

EP: Nie.

[pauza: 31 sek.]

CC: Dobrze, Ellie, teraz chciałbym ci powiedzieć o paru rzeczach. Terapeuci mają różne metody pracy. Mogą czekać, aż sama do czegoś dojdiesz, nawet jeśli mają już precyzyjne wyobrażenie, co się z tobą dzieje i co musi się zmienić, by sytuacja się poprawiła. Ale to wymaga czasu. Opierając się na własnych doświadczeniach, uważam, że najlepszą metodą jest bycie bezpośrednim i powiedzenie od razu, co się moim zdaniem dzieje i co zrobić, aby sytuację wyprostować. To mi się wydaje uczciwsze. Czy możemy tak zrobić?

EP: Tak. Ja tylko chcę, by zniknęła. Chcę, żeby mi było lepiej.

CC: Rozumiem. Zaczniemy więc od tego, że celem pracy psychoterapeutycznej, którą będę z tobą wykonywać, jest zrozumienie tego, co się stało. Chciałbym zredukować konflikt między poszczególnymi elementami twojej tożsamości, ułatwić im współpracę.

EP: Dobra. To znaczy, ja nie wierzę, że to się uda, ale okej. Spróbować można.

CC: Dobrze. Poza tym musisz wiedzieć, że ten rodzaj problemów, które masz z Siggy, to coś, co niemal zawsze wynika z naprawdę szczególnej traumy, często z czegoś, co miało miejsce we wczesnym dzieciństwie.

[pauza: 34 sek.]

EP: Okej.

CC: Tak więc na pewnym etapie naszych sesji będziemy musieli o tym porozmawiać. Co twoim zdaniem kryje się u podstaw tej sprawy, jak się to wszystko zaczęło?

[pauza: 19 sek.]

CC: Wolisz, żebyśmy do tego wrócili kiedy indziej?

EP: Nie.

CC: W porządku, rozumiem. Ja dlatego...

EP: Po prostu... Wie pan, nic się właściwie nie stało, jasne? Nie ma tu jakiegoś wielkiego, mrocznego sekretu. Ona tam po prostu jest. Nie wiem dlaczego. To nie będzie tak, że nagle przypomnę sobie jakiś potężny, zagrzebany... Tak się nie stanie. Ona jest tam od zawsze. Ja tylko chcę, żeby zniknęła. Jasne? Żeby dała mi spokój.

[pauza: 22 sek.]

EP: Żeby po prostu dała mi spokój.

ROZDZIAŁ 4

Ellie

Tak jakby zniknęła na zawsze. Raz za razem dzwoniłam do Matta, ale nie odbierał.

Spojrzałam na zegar na ścianie – upłynęły trzy godziny – i wtem dostrzegłam ślad różowego zakreślacza na kalendarzu. Tego popołudnia powinnam przejąć zmianę jako wolontariuszka na oddziale dziecięcym szpitala, w którym mama sprzątała, a Matt był zatrudniony w pracowni diagnostyki obrazowej. Gdy pewnego dnia wspomniałam, że chciałabym zajmować się dziećmi, sam mi wszystko załatwił, zajął się pozwoleniami. Ale po tym, jak on się wystarał, ja dwukrotnie w ostatnich paru tygodniach przegapiłam swoją zmianę. Zjawiała się już nawet w tej sprawie kadrowa, lecz nie byłam w stanie wytłumaczyć jej, co się tak naprawdę stało – że kiedy po fudze zasypiam, to nie sposób mnie obudzić.

Matt powiedział, że powinnam to po prostu wyznać, wyjaśnić, że cierpię na chorobę psychiczną. Jak trafnie zauważył, to przecież szpital – chyba muszą zrozumieć? Mnie to było obojętne, ale wtedy zrozumiałam, że dobrze zrobiłam, obdarzając go zaufaniem.

Początkowo dbałam o to, by przestrzegać zasad, by się powstrzymywać. Mama wiedziała, jak poważnie go traktuję, i przynajmniej w jego obecności darzyła go sympatią. Pewnego razu wróciłam do domu, a oni zaśmiewali się nad partyjką kart; jak zauważyła, jest szczery, grzeczny, solidny i w niczym nie przypomina mojego ojca. Kazała mi obiecać, że bez względu na to, jak bardzo będę zmęczona, nie zasnę przy nim, ale i tak się tym wszystkim martwiła. Nie ma takiego człowieka, który byłby na tyle cierpliwy, na tyle wyrozumiały, by być z kimś, kto zawsze śpi sam. *Nawet dobry gość może ci złamać serce* – mówiła.

Początkowo w ogóle nie wspominałam o Siggy, ale nie mogłam zbyt długo utrzymać tego w tajemnicy. Nie ma bowiem granicy, gdzie ja się kończę, a ona zaczyna, a po paru miesiącach zdałam sobie sprawę, że nie mówiąc mu tego, nie mogłabym być sobą.

Matt wysłuchał mnie od początku do końca. Z butelką wina siedzieliśmy przy piecyku na drewno na pokładzie jego łodzi. Oparłam się o niego i opowiedziałam mu wszystko. Od pierwszego razu, kiedy Siggy zerwała mnie w nocy i wyprowadziła na zewnątrz, a mama, tracąc zmysły, o czwartej nad ranem znalazła mnie leżącą pod samochodem. Opowiedziałam mu o wyczerpaniu, które czuję rankiem po fudze, o potwornych bólach głowy, o tym, że każda kończyzna waży wtedy dziesięć ton. Powiedziałam wszystko.

Nie. Nie wszystko. Nie powiedziałam mu o Jodie.

Po moim bardzo długim monologu zapadła bardzo długa cisza. Potem podniósł moją głowę ze swojego ramienia i spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie będę kłamał – oznajmił. – Jeszcze tego nie rozumiem, ale zrozumieć. Jakoś cię pozbieramy.

Potem zreferowałam mamie tę rozmowę, a ona przez dłuższą chwilę milczała. W końcu mnie uściskała.

– To twoje życie – powiedziała. – Ale pamiętaj, by uważać na siebie. To dobry chłopak, ale przed nią go nie ochronię.

Już następnego ranka miała posiniaczone całe ramiona. Nie pamiętałam, co zrobiła Siggy – co ja zrobiłam. Jak grzmotnęłam własną matką o ścianę i odrzuciłam ją z drogi.

– Jakbym była pustym płaszczem – powiedziała. – Ale to nie twoja wina.

Usłyszałam gwałtowny ruch i zamarłam, nasłuchując, ale to nie mama. Na dole przesuwano jakieś pudła, zgadywałam, że w magazynie. Mieszkałyśmy nad sklepem monopolowym, a po tym, jak się rozchodziły dźwięki, można było podejrzewać, że sufit pana Szymańskiego, a naszą podłogę, zrobiono prawdopodobnie z kartonu.

Podskoczyłam ze strachu. Cienkie podłogi.

Skoro ja słyszę jego...

Włożyłam buty i zanim przestrogi mamy zdążyły wybrzmieć mi w głowie, stałam już przed drzwiami. *Nie rozmawiaj z sąsiadami. Wystarczy jeden niewłaściwy ruch, a wzbudzimy podejrzenia.*

I co właściwie chciałam mu powiedzieć? Czy słyszał pan, jak w środku nocy wychodziłam z mieszkania? Bo mam całą masę tajemniczych obrażeń i nie pamiętam, skąd się wzięły i co się stało? Sterczałam tak przez chwilę, opierając czoło o zimną powierzchnię drzwi. Następnie zdjęłam buty i smętnie odsunęłam je od siebie kopnięciem.

W kuchni obok zlewu mama postawiła kubek i karton soku pomarańczowego. Zapomniałam o skaleczeniu i nieopatrznie spróbowałam odkręcić zakrętkę. Podskoczyłam, zrzucając karton na podłogę, a jego zawartość rozlała się po linoleum.

Poirytowana otworzyłam szafkę pod zlewem i wyjęłam płyn czyszczący domowej roboty oraz lateksowe rękawiczki. Nie możemy już więcej ryzykować: wszystko, czym można wyrzucić krzywdę, musiało być w zamknięciu. Nie można mnie nawet zostawić samej z butelką wybielacza. Z przyzwyczajenia sprawdziłam drzwi. Pozamykane. Noże, zapalki, środki żrące, wszystko poza moim zasięgiem. Wciągnęłam rękawiczki, ścisnęłam i rozciągnęłam ręce, aż poczułam, jak drobne strupki na rankach pękają. Chciałam się upewnić, że całkowicie nad nią panuję.

To mój ból, Siggy. Nie twój.

Wylałam sok i sprzątałam dalej, miękkimi zmywakami czyściłam resztę podłogi, wgnieciony metalowy zlew, imitujący drewno laminat na blatach. Szorowałam, aż od zaciskania zębów rozboleła mnie żuchwa. Zwinięta w kącie Siggy mierzyła mnie wzrokiem.

Zadzwonił telefon, więc ściągnęłam rękawiczki, a bicie serca przyspieszyło, gdy rozpoznałam pierwsze parę cyfr numeru na wyświetlaczu. To ze szpitala.

– Matt?

– O, cześć – powiedział niepewnym głosem jakiś mężczyzna. Nie Matt. – Ellie, prawda?

Przymknęłam oczy. Skoro ktoś od niego z pracy do mnie dzwoni, to znaczy...

– Słuchaj, wiesz może, gdzie jest Matt? No bo spodziewaliśmy się, że będzie, a się nie pojawił.

Powiedziałam mu – przełknąwszy ołowianą kulę w gardle – że nie wiem.

– Kto mówi?

– Leon. Ze szpitala. Z diagnostyki obrazowej.

– Okej. Leon. – Matt wspominał o nim: pracowali razem już od paru miesięcy i raz czy dwa poszli po pracy na browar, jednak nie odniosłam wrażenia, aby jakoś szczególnie się przyjaźnili.

– Widziałaś się z nim wczoraj? – spytał Leon z niepokojem w głosie. – Konkretnie wieczorem? Nie odbiera komórki, a gość w jego miejscu zamieszkania mówi, że go tam nie ma, no a że wczoraj było nieco... no wiesz.

– Nieco jak?

Odgłos otwierania i zamykania ust uświadomił mi, że starannie dobiera słowa.

– Nie, to... nic takiego. Ale wiesz, jeśli się do ciebie odezwie...

– Było nieco jak, Leon?

– Nijak. Po prostu, no... dynamicznie.

Matt nie wspominał o niczym niezwykłym. A czy w ogóle zapytałam? Powiedziałam Leonowi, że zadzwonię, jeśli się czegoś dowiem, i się rozłączyłam.

Podeszłam do okna i odsunęłam firankę. Gęsta mgła wczesnego poranka zdążyła już zniknąć, odsłaniając zimnoblękitne niebo, obficie poznaczone skrawkami bieli.

Gdziekolwiek jest Matt, nie jest z nim dobrze. W żadnym razie nie jest z nim dobrze.

Dostrzegłam ruch. Rozpoznałam Piotra, syna pana Szymańskiego. Był może trochę ode mnie starszy, miał dwadzieścia parę lat i już zauważalny brzusek. Wyglądał nieciekawie, gdy tak człapał wzdłuż drogi. Patrzyłam, jak się nachyla, by podrapać za uszami mijanego kota i pozwolić, by ten parę razy przewinął mu się wokół kostek. Wyprostował się i wtedy mnie zobaczył. Stanął jak wryty i wpatrywał się we mnie przez pięć sekund. Dziesięć. Dłużej. Wtem, jak gdyby odzyskał zmysły, odwrócił wzrok, wyciągnął klucze i wszedł do środka.

Puściłam firankę i zastygłam w bezruchu, mrugałam oczami i myślałam tylko o tym spojrzeniu. Czyżby coś wiedział? Raz jeszcze pomyślałam, czyby nie zejść do nich i nie porozmawiać. Ale zanim zdążyłam podjąć decyzję, usłyszałam ruch na zewnętrznych schodach i brzęk kluczy na betonie.

ROZDZIAŁ 5

Mae

Płyta Snoopa Dogga była bardziej uszkodzona, niż myślał, więc sięgnął do bocznej kieszeni w poszukiwaniu jakiejś innej, a gdy znalazł, wsunął ją do czytnika. Okazało się, że to płytka demo od kolegi, któremu jak dobrze pamiętał, chciał dać w zęby. Biały gość, zgrywający gangstera, do wszystkich zwracał się „ziomek”. Mae wysłuchał do końca pierwszego refrenu, wyjął płytę, rozejrzał się, czy nie ma świadków, po czym wywalił ją przez okno.

Nadrobił nieco drogi, bo podjechał po kawę do nowej kubańskiej miejscówki na rogu przy stacji kolejowej w Acton. Zamówił małą czarną, uznawszy, że tak będzie szybciej, a w oczekiwaniu, aż barista ją przyrządzi, podrygiwał na palcach, chciał poczuć przypływ energii. Na ekranie telewizora nad barem wyciszony reporter serwisu informacyjnego wyciskał ostatnie krople z przedtygodniowej i niemalże zapomnianej historii strzelaniny w amerykańskiej szkole.

Zapłacił i szybko wyszedł, ale zanim odjechał, wlał w siebie połowę wrzącej kofeiny. Potrzebował kopa, potrzebował pobudzenia, bo tego ranka nie miał czasu na przebieżkę.

Pokornie znosił uszczypliwości, którymi, w związku z zamiłowaniem do intensywnych ćwiczeń fizycznych, raczyli go koledzy. Jeśli czują się lepiej, gdy mówią, że jest próżny, i przezywają go pozerem – ich sprawa. Ale Ben Mae ćwiczenia sportowe zawsze traktował jak coś oczywistego. Bez porannej przebieżki, bez godzinki wieczornego treningu obwodowego, podnoszenia ciężarów zgiełk w jego głowie stawał się nie do wytrzymania, a on doskonale wiedział, jak to się zawsze kończy. Znał siebie na tyle dobrze, by szybko rozpoznać nieuchronne narastanie tego czegoś, cokolwiek to jest, i wyciskać to z siebie na siłowni. Mimo że od śmierci taty minęły lata, to ten czas, kiedy

kręcił się bez celu, bez powodu wpadał w gniew, szukał okazji, żeby się z kimś pobić lub popieprzyć, ani na chwilę nie dawał o sobie zapomnieć.

W zasadzie, pomyślał, zwalniając przed szlabanem i migając pilotem w stronę czytnika, wątpliwe, by kawa mogła pomóc. Obiektywnie rzecz biorąc, powinien jakoś uporać się z gniewem, postarać się go zrozumieć. Cofnąć w czasie do tych mrocznych sześciu miesięcy, kiedy ze zwyczajnego nastolatka przemienił się w chuligana, do okresu, kiedy jego życie mogło się potoczyć w dowolnym kierunku. Wyrwać draństwo z korzeniami.

Ale kim byłby teraz?

Odchyliwszy się w fotelu za biurkiem, Mae przełożył słuchawkę do drugiego ucha, po czym potarł dłonią szczecinę na głowie. Wokół niego biuro pracowało już na pełnych obrotach po zakończonej odprawie.

– Ale jego wciąż nie ma – powtarzała kobieta, a jej głos podnosił się, aż w końcu się załamał. – Wciąż go nie ma. Nie radzimy sobie, nic nie wiedząc. Moje biedne dzieci...

Miała na imię Charlotte i była żoną Damiena Hayesa. A właściwie prawie z pewnością wdową po Damienie Hayesie. Matka czworga dzieci. Przed sześcioma miesiącami jej mąż wyszedł po swojej ostatniej zmianie w fabryce samochodów na obrzeżach Uxbridge, przejechał pół drogi do domu, porzucił auto, po czym zniknął. Nie zostawił żadnego listu, ale z czasem sprawa stała się jasna. Biedak miał niemal czterdzieści koła w plecy, zawalił ostatnie sześć rat kredytu hipotecznego i właśnie wtedy, żeby jeszcze dokopać leżącemu, zwolnili go z roboty. Dopiero parę tygodni po jego zniknięciu pani Hayes odkryła, że nie zostawił żadnych oszczędności, żadnej renty ani polisy ubezpieczeniowej.

– Pani Hayes, zapewniam, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy...

– Zrobiliśmy? Zrobiliśmy?

Mae się wzdrygnął.

– Robimy. Robimy wszystko...

– Czyżby? Na przykład co? Coście zrobili od czasu tego telefonu sprzed miesiąca? Od naszego ostatniego upalenia – dodała, wymawiając to określenie z goryczą.

Podniósł pierwszą kartkę z piętrzącej się przed nim sterty i zdusił westchnienie. W planach na dziś miał jeszcze cztery telefony, dokładnie takie

jak ten, niestety nie było żadnych wieści, żadnych konkretnych informacji w którejkolwiek ze spraw. A akurat w tej branży brak nowin oznaczał złą nowinę, nawet – a wręcz tym bardziej – jeśli nie była to zła nowina związana z jakimś zdarzeniem, jasną i oczywistą traumą, którą przynajmniej dałoby się jakoś zaleczyć. W większości spraw, które na nieszczęście obecnie prowadził, zaginiony był, po czym nagle go nie było. Żadnych etapów żałoby do przepracowania, żadnego rytuału związanego z kresem życia. Rodzina wokół takiej osoby pozostawała w upiornej stagnacji, aż w końcu, skrycie i z poczuciem wstydu, zaczynała wyczekiwać wiadomości o odnalezieniu ciała.

– Obawiam się, że wobec braku nowych wieści naprawdę niewiele więcej...

– Znaczy, że się poddaliście? – I jak na zawołanie szloch. – Pan chyba nie ma pojęcia, przez co my przechodzimy.

Mae zacisnął mocno powieki. Zawsze to mówią. Za każdym razem, i to nie tylko w przypadku zaginięcia, ale podczas każdej sprawy, którą prowadzi. Przy morderstwach, gwałtach i rozbojach, pobiciach, wszystkim. I prawie zawsze mają rację. Nie, nigdy nie padł ofiarą napaści seksualnej. Nie doświadczył brutalnej śmierci kogoś, kogo kochał. Ale odkąd stoi na czele Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób, trudniej znosi zarzut, że nie wie, co to znaczy. Lecz nigdy w takiej sytuacji nie zaprzeczył, nigdy nie próbował wyprowadzić tych osób z błędu, nawet McCulloch, gdy dała mu tę fuchę. Zwłaszcza wtedy.

Uznał, że jednak przyda mu się przebieżka.

– Pani Hayes – odezwał się spokojnie. – Charlotte. Obdzwonię raz jeszcze organizacje charytatywne, dobrze? Może mają coś nowego. Niekiedy zdarzają się opóźnienia w przekazywaniu danych do naszej bazy. Sprawdzę też szpitale. Niczego nie obiecuję – dodał, słysząc, jak ta nabiera powietrza, a w jej głosie pojawia się nadzieja.

– Tak. Poproszę. – Przerwała, by delikatnie wydmuchać nos. – Co tylko pan da radę.

Na telefonie stacjonarnym zaczęła mrugać czerwona lampka. Mae wyprostował się, możliwie delikatnie pożegnał panią Hayes, po czym odebrał.

– Czy mam podesłać pisemne zaproszenie? – spytała nadkomisarz Colleen McCulloch z miłym dla ucha akcentem mieszkańców Hebrydów.

Mae zerknął na zegarek. Cholera.

– Przepraszam. Już idę.

Pognał tylnymi schodami i w jakieś pół minuty dotarł na piętro McCulloch. Przechodząc przed jej przeszklonym gabinetem, zwolnił do spacerowego kroku, by zachować pozory opanowania, po czym wszedł.

– Przepraszam, pani nadkomisarz – wymamrotał – miałem trudną rozmowę z...

– Daruj sobie – przerwała mu, wskazując głową drzwi, które czym prędzej zamknął. Po przeciwnej stronie pomieszczenia stała niczym posąg mundurowa o kamiennej twarzy z rękoma założonymi z tyłu. Pozdrowił ją skinieniem głowy; widział ją kiedyś, jak miotła ciężarkami w siłowni. Miała krótko przycięte tlenione blond włosy, musiała ważyć dobre dziewięćdziesiąt kilo i mierzyła z metr osiemdziesiąt. Kobieta z tych, co zajmują każdy centymetr samej siebie. Zauważył, że ma sporo tatuaży – nie żeby były akurat teraz widoczne.

McCulloch odchrząknęła.

– Ben, co tam w ostatnich tygodniach dzieje się u was na dole? Nie widziałam cię, odkąd wróciłam z Egiptu. A właśnie, skoro o tym mowa – napomknęła, odwracając się, by wygrzebać coś z szuflady – kupiłam ci coś. Pod piramidami.

Zdażył chwycić papierową torebkę w ostatniej chwili, inaczej dostałby nią w głowę – nadkomisarz miała świetny cel – i otworzył. W środku był niewielki wypchany wielbłąd, zrobiony z czegoś podobnego do filcu. Zamknął torebkę.

– Ee, czuję się zaszczycony.

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma potrzeby, jest przeklęty. Co prawda przepłaciłam, ale pomyślałam, że czemu nie.

Mundurowa wyszczerzyła się w uśmiechu.

McCulloch dołączyła do ekipy sześć miesięcy po Mae. Oboje zaczynali w hrabstwie Sussex, aczkolwiek ze zgoła różnych szczebli hierarchii. Całemu wydziałowi niełatwo było się do niej przekonać – z cywila od razu na stopień komisarza, przeskoczyła nie tylko całe pokolenie sierżantów z kryminalnego, którzy w gotowości czekali na awans, czasem dosłownie już od lat, ale też

ominęła dwa długie lata służby mundurowej. Powiedziano im, że stanowi element nowej filozofii rekrutacji, która *dostrzega zewnętrzne umiejętności i zwalcza biurokratyczne utrudnienia*. Znaczący: figurantka. Czytaj: karierowiczka. Cały zespół liczył, że spierdoli pierwsze poważniejsze zadanie. Tymczasem ona spokojnie i ze swobodą otrząskanego dowódcy poprowadziła śledztwo do szczęśliwego rozwiązania. Ci, których nie przekonała do siebie, czekali na jakiekolwiek potknięcie, które potwierdziłoby ich uprzedzenia. Nie doczekali się. Sęk w tym, że może i miała powiązania z podejrzanym środowiskiem, ale zarazem była nie do ruszenia. Umysł miała jasny jak supernowa, ustawę o uprawnieniach policji znała na wrywki, podręcznik postępowania przy zabójstwach miała w jednym palcu, a wytyczne Koronnej Służby Prokuratorskiej potrafiła wyrecytować śpiewająco. Kasała tylko wtedy, gdy ktoś szukał zwady, a każdą decyzję podejmowała z oszałamiającą szybkością, bezbłędnie oceniając sytuację. Negatywny osąd utrudniał jeszcze fakt, że była bez dwóch zdań najbardziej sympatycznym szefem, jakiego kiedykolwiek miał.

No a po Brighton, kiedy jego bezpośredni przełożony wyleciał z pracy, a Mae dostał miesięczne zawieszenie, ona przeniosła się do Metropolitan Police, aby przejąć stery w Brentford i od tamtej pory tu dowodziła. To właśnie McCulloch zachęciła go, by zmienić otoczenie, przeniósł się i pracował razem z nią w stolicy, a że na wybrzeżu nie miał czego szukać, w końcu się zgodził.

McCulloch przesunęła bezprzewodową klawiaturę, by móc wygodnie oprzeć na blacie ręce w koszuli od krawca i pociągnęła łyk z nieodłącznego kubka parującej mięty.

– Detektywie. Ben. – Posłała mu szeroki uśmiech, który sprawił, że na jej pulchnych policzkach powstały piegowe fałdki, i odsłonił szparę między górnymi jędynkami.

– Pani komisarz.

– Mam dla ciebie robotę.

– To bardzo miło, ale już mam siedemnaście otwartych...

– To uznaj ją za powiększenie tego i tak już imponującego brzemienia – odparła, gestem ręki zbywając jego opory. – Powiedz mi, jak długo jesteś w policji.

Znała odpowiedź. Wiedziała o nim wszystko. Gdzie chodził do szkoły, ile najwięcej wycisnął na ławeczce, jak się nazywało jego pierwsze zwierzątko. Nie pierwszy raz przyszło mu do głowy, że pewnie wie nawet o jego mrocznych latach po zniknięciu mamy, mimo że zawsze udawało mu się nie dopuścić do konfrontacji z wymiarem sprawiedliwości. – Osiem lat, pani komisarz.

Sięgnęła po klawiaturę.

– Mam tu wiele podań. Niektórzy twoi koledzy zgłosili swoje kandydatury na stopień komisarza. – Patrzyła na monitor, przeglądając listę, aby dać mu chwilę. – Ale ciebie nie widzę.

– Dobrze mi tu, gdzie jestem. – Zerknął na mundurową, zastanawiając się, dokąd ta rozmowa prowadzi.

Nie zwracając na niego uwagi, McCulloch założyła ręce do tyłu, odchyliła się w fotelu i spojrzała w sufit.

– Wiesz, Ben, zanim kogoś awansujemy, to musimy sprawdzić, jak dana osoba radzi sobie w roli dowódcy. Musi dowieść, że potrafi zarządzać ludźmi.

– Ja się nie zbieram do awansu. Pasuje mi bycie sierżantem.

– Rozumiem. Tak czy inaczej. Detektywie sierżancie Mae, oto – powiedziała, wskazując na tajemniczą mundurową – posterunkowa Catherine Ziegler.

– Tak jest.

– Będzie – ciągnęła z błyskiem w oku McCulloch – twoją nową stażystką

Mae uściśnął wyciągniętą dłoń, odpowiedział na spojrzenie i przelotnie odwzajemnił nieudaną wersję szerokiego, szczerego uśmiechu, którym go obdarzyła. Myślał, *cholera*, stażystka śledcza oznacza ogon. Stałe towarzystwo.

– Przykro mi to mówić, pani komisarz – zaczął, ale uciszył go podniesiony palec.

– To nie mów. – McCulloch złożyła ręce na piersi, mierząc oboje wzrokiem niczym matka dzieci umówione na zabawę. – Jak rozumiem, Catherine...

– Kit – wtrąciła młodsza z kobiet.

– Wiem, że Kit zaliczyła egzamin państwowy dla śledczych i osiągnęła nadzwyczajne wyniki – kontynuowała McCulloch. – Kiedy więc kadry poprosiły mnie o przydzielenie jej mentora, rozejrzałam się po piętrze

i pomyślałam: Colleen, kto tu ma odpowiednie umiejętności i cechy, by pokierować takim talentem? Kto gotów jest poświęcić własny czas, aby stworzyć możliwość wykazania się nowemu pokoleniu detektywów?

Tere-fere, pomyślał Mae. A może raczej: kto tu wegetuje od pięciu lat, nie ruszając się o metr w żadnym kierunku? Kogo mam na zbyciu? Nie żeby miał jej to za złe. Gdyby to zrobił ktokolwiek inny, uznałby, że chce go w ten sposób ukarać. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że McCulloch rozumie prawidłowo. Jasne, pozdawał egzaminy i przyjął awans na sierżanta, kiedy wrócił po dłuższej nieobecności. Był przekonany, że trochę mu w tym pomogła. Ale nigdy się nie wychylał. Jechał, gdzie mu kazano, robił, co trzeba, wypełniał polecenia. Ale i bez wczytywania się w treść teczek u kadrowej było widać, że drepcze w miejscu od... jeszcze zanim... jeszcze zanim wszystko się posypało. Na zmianę zaciskał i rozluźniał zwieszone pięści, zaciskał i rozluźniał, odpędzając tę myśl.

– Pomyślałam, że w Wydziale Poszukiwań i Identyfikacji Osób Kit mogłaby spokojnie zacząć – wyznała McCulloch. – No i możesz ją przyzwyczaić do tej całej żonglerki. – Odwracając się, dodała: – Kit, nie zwracaj uwagi na tę ponurą powierzchowność. Oni wszyscy są tacy sami, lubią odgrywać rolę zgorzkniałych samotnych wilków, ale wystarczy kupić im bułkę z bekonem i już są twoi.

Posterunkowa Catherine Ziegler zerknęła na niego, by zobaczyć, jak zareaguje, a on w grymasie niechęci uniósł kąciaki ust. Widział, że nic tu nie wskóra, toteż równie dobrze mógł się zdobyć na uprzejmość.

– Dziabniesz jeszcze sosem i będzie o czym rozmawiać.

– No to postanowione – zawyrokowała szefowa. – I nie zapomnij o wielbłądzie. – McCulloch przyciągnęła klawiaturę, gotowa zająć się następną sprawą. Zaczęła pisać, po czym podniosła wzrok. – Na co czekacie, cukiereczki? Jazda mi stąd.

Ale z wymownego wyrazu twarzy wywalającej ich za drzwi szefowej wyczytał, że nie było w tym żadnej złośliwości. Wiedział, że nie chodzi o pogardę, tylko o litość. Ta decyzja ma mu pomóc w rozwoju osobistym. Sądzi, że właśnie to mu jest potrzebne.

I wychodząc z gabinetu z postępującą za nim niczym walkiria stażystką o barach rugbisty, Mae nienawidził McCulloch za to, że jak zawsze ma rację.

ROZDZIAŁ 6

Ellie

Obraz sylwetki mamy pochylającej się, by podnieść klucze, zniekształcało karbowane szkło szyby. Zakłęła, i to przez słabość w jej głosie nabrałam pewności, że coś jest nie tak.

Weszła i zaczęła rozpinać płaszcz, a strąki włosów lepiły jej się do twarzy.

Odebrałam go od niej i spytałam:

– Znalazłaś go?

– Przykro mi, kochanie – odparła. – Nic z tego.

– No to gdzie byłeś?

– Zeszłam do łodzi, ale tam go nie było. Pomyślałam, że w drodze powrotnej mogę się przebiec. – Szybkimi ruchami zaczęła się rozbierać, na podłogę rzuciła T-shirt, następnie legginsy, skarpetki i opaskę z bandaża, którą nosiła na słabszym kolanie. Odsłonięte wilgotne ramiona i piersi były blade z zimna i pokryte gęsią skórą, a mięśnie napięte.

Znalazła plastikową torbę i wrzuciła do niej ciuchy.

– Nie zamartwiaj się tak, kotku. Pewnie poszedł... Sama nie wiem. Na spacer? Albo może porobić zdjęcia?

– Powinien być w pracy, mamó. Dzwonili. Nie ma go tam.

Nagle spoważniała.

– Co im powiedziałaś?

– Nic – odparła, wzruszając ramionami.

– Ale nie powiedziałaś... – zaczęła, przesuwając wzrok wzdłuż korytarza do drzwi mojej sypialni.

– Że w środku nocy wyrwałam się z pokoju i tego nie pamiętam, a potem obudziłam się pokryta siniakami? Nie, to zachowałam dla siebie.

– W porządku. Przepraszam, głupie pytanie.

Poszłam za nią do jej pokoju. Otworzyła zabezpieczone pudło obok łóżka, w którym trzymała narzędzia, zapalki, to, czego nie mogła zostawić na wierzchu. Wyjęła małe nożyczki i zaczęła obcinać sobie paznokcie.

– To gdzie on jest?

Westchnęła.

– Nie wiem, Ellie. – Kończąc swój manicure, gestem wskazała, bym podała jej dłoń, co też zrobiłam. – Nic nie wskazuje na to, żebyś miała z tym cokolwiek wspólnego – zauważyła, przycinając białe czubki moich paznokci.

Usiłowałam się wyrwać.

– Mamo, jeśli coś znalazłaś...

– Nie znalazłam. To nic takiego.

– Ale naprawdę? – dopytywałam. – A co, jeśli Siggy... co, jeśli znowu to się stało?

– Nie. Proszę. Po prostu o tym nie myśl. – Mama wzięła głęboki wdech i zatrzymała powietrze, jak gdyby się na coś szykowała. – A nawet jeżeli coś się stało, to powinniśmy siedzieć cicho – zakończyła.

Wyrwałam się, wstałam i poszłam do swojego pokoju.

– Co robisz? – zawołała.

– Wzywam policję.

Dogoniła mnie w pół sekundy.

– Nie. – Wyrwała mi telefon z dłoni. – Nie. To nie jest właściwe zagranie. Absolutnie nie.

Wbiłam w nią spojrzenie.

– Zagranie? Możliwe, że on... – Nie miałam siły, żeby skończyć.

– Ale nic mu nie jest. Okej? Będzie dobrze. To da się wyjaśnić na mnóstwo sposobów. Może po prostu wybrał się na wycieczkę.

Skrzyżowałam ręce.

– Na wycieczkę. Jasne.

– Może chciał odpocząć.

Zajął mi chwilę, nim to przetworzyłam.

– Ode mnie?

Wzruszyła przepaszając ramionami.

– Chcesz powiedzieć, że w ten sposób ze mną zrywa?

– Faceci. Wyżrą ci miód i nakłamią jak z nut – rzuciła. To był taki nasz żart, zdanie, którym kończyłyśmy każdą rozmowę o moim ojcu. Ale nie byłam w nastroju do żartów, co też zauważyła. – Kochanie, muszę iść do pracy.

– Ja też. Mam zmianę z dzieciarnią. No co? – spytałam, gdy zrobiła tę swoją minę.

– A może zadzwoń, że się kiepsko czujesz?

– Co? Dlaczego?

Rozłożyła ręce, ale nie odpowiedziała na pytanie. Nie musiała. Nie chciała, żebym poszła, wołała, bym nie rzucała się w oczy.

Sądziła, że go zabiłam.

A zabiłam go?

Kiedy wyszła, stałam w przedpokoju, starając się ogarnąć myślami nasze nędzne mieszkanie. Nic nie wskazywało, że to właśnie my tutaj mieszkamy. Czyszczenie zawsze płacony gotówką – wszystko zawsze gotówką – aby w jednej chwili móc się wynieść, gdyby ktoś zaczął rozpytywać o mnie, o Jodie. Mama używała różnych nazwisk, teraz nazywa się Christine Scott. Od oficjalnych umów wołała zlecenia z agencji pracy, bo wtedy wypłaty dostaje w gotówce, a zawsze znajdzie się też takie miejsce, w którym nie podchodzi się rygorystycznie do prześwietlania pracownika.

Całe nasze życie, zlecenia mamy, wszystko, co robiłyśmy, kręciło się wokół Siggy. Wszystko w życiu mamy skupiało się na mnie: odprawiała chłopaków, gdy zaczynali zadawać zbyt wiele pytań, porzucała pracę, kiedy pojawiały się wymagania, które uniemożliwiłyby wykonywanie obowiązków, jakie miała przy mnie. Nawet jeszcze przed sprawą z Jodie nie zapuszczaliśmy korzeni, a teraz? Sama już nie wiem, ile razy się przeprowadzałyśmy. Zawsze w pośpiechu, kiedy ktoś ją rozpoznał. Wtedy przeklinała los, który sprawił, że kiedyś odniosła sukces i pojawiała się w telewizji – gdyby nie to, byłoby o wiele łatwiej.

Wróciłam do miejsca, gdzie na ścianie wisiał kalendarz: moje zmiany zaznaczyłam różowym zakreślaczem.

Nie była to praca z prawdziwego zdarzenia.

Zbliżałam się do dwudziestki. Miałam tę samą osobowość co w wieku czternastu lat. Bałam się wszystkich i wszystkiego, co noc zamknięta w sypialni z obawy przed tym, co mogłabym zrobić, gdybym pozostała na wolności. Bez względu na to, co mama mówiła o mojej wartości dla świata, nie zarabiałam i byłam od niej całkowicie zależna.

Ale miałam Matta. Kochającego, wyrozumiałego Matta. Cierpliwego. Nieświadomego ryzyka.

W tamtym momencie poprzysięgam sobie, że jeśli Siggy go skrzywdzi, to skończę z tym wszystkim. I zabiorę ją ze sobą. Miałam dość.

Nikt nie wygra, Siggy. Słyszysz mnie? To koniec.

Siggy słyszała. Jej czarne oczy błysnęły szeroko, lecz natychmiast się zmniejszyły i zniknęły w cieniu. Nie drgnęła, to nie był dobry czas, by rzucać mi wyzwanie. Dostatecznie długo była przy mnie, by wiedzieć, kiedy mówię poważnie.

ROZDZIAŁ 7

Mae

Mae otworzył tyłkiem drzwi i ruszył w górę po stalowych schodkach, na tyle stromych, że przy każdym kroku zahaczał czubkiem butów rozmiar dwanaście o spód kolejnego stopnia. Gdy znalazł się na zewnątrz, zmrużył oczy. Było bardzo jasno. Wyrzucił ramiona na boki, rozciągnął tors, zrobił kółko po płaskim dachu, po czym wychylił się przez barierkę i spojrzał w dół na ulicę.

Wgryzł się w bułkę z bekonem. Posterunkową Catherine Ziegler zgubił wkrótce po tym, jak wręczyła mu ją w bufecie. Może nie zgubił, a raczej odwrócił się i odszedł, nie upewniwszy się, czy podąża za nim.

Rzadko kiedy jadł w bufecie. Jedzenie było okej, ale roilo się tam od gliniarzy. Jemu bardziej pasowało tu, na dachu. Przeżuwał niespiesznie, czuł na skórze chłód, przeciągnął się. Nagle jego uwagę zwrócił jakiś ruch: z drzwi od przypominającego szopę pudła, które zajmowało schody, wyłoniła się jego nowa stażystka. Ruszyła przez pokryty papą dach niczym wypuszczone z klatki zwierzę.

– Sierżancie – zawołała – ma pan chwilę? – Niosła jakieś dokumenty, a drugą ręką osłaniała oczy przed ostrym listopadowym słońcem.

Mae powitał ją uniesieniem podbródka, po czym językiem zgarnął z kącika ust kroplę brązowego sosu.

– Też mi się tu bardzo podoba – odezwała się, odchylając głowę, by spojrzeć w otwarte niebo i napełnić płuca. Dało się słyszeć kakofonię klaksonów, toteż zerknęła za barierkę.

– Zabawne skurczysyny. – Ciepło się zaśmiała.

– Kto?

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. My wszyscy.

Mae podążył za jej spojrzeniem ku pełzającemu ruchowi ulicznemu przy skrzyżowaniu Boston Manor Road. Tyci, odlegli ludzie krzatali się tam i z powrotem, pakowali do sklepów, aut i biur i wracali na ulicę, ich płynne masy wylewały się z autobusów na chodniki, gdzie swobodnie się rozpraszali, nieszkodliwi niczym sypiące się z worka ziarnka grochu. Gdy ponownie spojrzał na dziewczynę, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Chciałaś czegoś, Ziegler? – spytał i pakując do ust ostatni kęs buły, zgniótł torebkę.

– Sierżancie, proszę nie mówić mi po nazwisku. Czuję się, jakbym była w szkole. – Ruszyła za nim do schodów i podała mu wydruk. – Mam coś nowego. Zaginiony.

Mae zerknął na kartki w jej wyciągniętej dłoni, przeleciał wzrokiem po kilku pierwszych wersach. Zwykły wpis od dyspozytora. Oddał wydruk i zmarszczył brwi.

– Daj to mundurowym. Skoro sprawę oznaczono jako niewielkiego ryzyka, to zajmą się wstępnym opracowaniem. I przekażą, jak będzie gotowe.

– Zwykle tak robimy, ale pomyślałam, że może zaciekawia pana nazwisko – zauważyła.

Westchnął i wziął kartki z powrotem. Po metalowych schodkach wrócili do codzienności wśród niebieskich ścian komendy.

– To jak się nazywa?

– Matthew Corsham – powiedziała, wyciągając pierwszą stronę. – Biały mężczyzna, lat dwadzieścia sześć, jakiś technik w szpitalu Hanwell. Żadnych ucieczek na koncie, żaden tam ćpun czy pijaczek.

Mae prawie się zakrztusił.

– Jak rozumiem, to miało znaczyć nienotowany za nadużywanie narkotyków ani alkoholu.

Wzruszyła ramionami i kontynuowała.

– Kolega z pracy, który zgłosił zaginięcie, powiedział, że się niepokoił, bo gość był wczoraj na swojej ostatniej zmianie. Został niespodziewanie zwolniony i bardzo go to trzepnęło. Obiecał oddać służbowy komputer, ale się nie pojawił, co jest dziwne, bo mówił, że przyjdzie, a jest bardzo rzetelny. No więc kolega do niego dzwonił, ale włączała się poczta głosowa, więc do niego

poszedł – gość mieszka na łodzi, kawałek w stronę Isleworth – i okazało się, że nikogo tam nie zastał.

Mae przejrzał tekst w poszukiwaniu dat.

– O jakim zakresie czasowym mówimy?

– To dopiero pół doby. Leon, ten kolega, mówi, że rozmawiał z Matthew wczoraj i że facet był bardzo poruszony utratą pracy.

– Pół doby? Jezu, dajcie mu może szansę, co? Czy ten kolega nigdy nie słyszał o dłuższej pijatyce?

– Jak rozumiem, to miało znaczyć „z przedłużającym się okresem spożywania alkoholu”.

Mae spojrzał na nią wymownie.

– A zresztą ja nie znam żadnego Matthew Corshama. Powinienem?

– Jego nie. Ale jego dziewczynę.

Mae raz jeszcze spojrzał na wydruk. I serce mu stanęło. Eleanor Power.

Kit oparła się o framugę.

– Brzmi znajomo, co?

Oboje znali odpowiedź na to pytanie. Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Czyli odrobiłaś pracę domową?

Przeczytał całość w drodze do biurka, poruszał się jak na autopilocie. Nie odrywał oczu od wydruku, póki nie usiadł w fotelu i nie włączył monitora. W piersi poczuł tępy skurcz, z tych, co tkwią tam przez lata, aż stają się tak znajome, że prawie nie zwraca się na nie uwagi.

Tak. Brzmiało znajomo.

Mae przyciągnął klawiaturę i przepuścił nazwisko przez system. Czternaście Eleanor Power w kraju, z czego trzy w Londynie.

Czy to naprawdę może być ona?

– Już ją sprawdzałam – powiedziała Kit, przypominając mu, że wciąż stoi za oparciem jego krzesła. – Nic o niej nie ma, ani w danych ministerstwa pracy i emerytur, ani w rejestrze wyborców, pustka. Od pięciu lat nie miała kontaktu z lekarzem rodzinnym.

To by się zgadzało. Pięć lat, znaczy od 2006 roku. Roku, kiedy wszystko się posypało. Eleanor, Ellie, która widziała, jak Jodie Arden wsiada do samochodu tej nocy, kiedy zaginęła. Ellie Power, którą matka trzymała za rękę

i za którą kończyła zdania, gdyż ona była zbyt poruszona. Którą ogarniało irracjonalne przekonanie, że zniknięcie jej przyjaciółki – jej śmierć, jak wierzyła Ellie – była jej winą. Aż do tego stopnia, że pewnego popołudnia, po kolejnym przesłuchaniu, które potem odtwarzano i rozkładano na czynniki pierwsze podczas obrad komisji, przez które sierżant Heath stracił robotę, a Mae o mały włos również nie wyleciał, Ellie uznała, że jej wyimaginowane poczucie winy jest nie do zniesienia. Za tym przekonaniem podążyła z tak bezwzględną determinacją, że Mae nie był w stanie zapanować nad sobą następnego ani następnego dnia w pracy, ani dzień potem. I nigdy już nie wrócił ani do swojej pracy, ani nie objął żadnej z posad, które zaproponowali mu w drogówce czy dozorce. Do niczego w dystrykcie Brighton and Hove. W ogóle do niczego w policji hrabstwa Sussex.

Był jednak pewien drobny szczegół. Jeden mały dopisek, z którym nie spotkał się wcześniej ani później i z którym najchętniej nie spotkałby się nigdy, choćby dlatego, że właśnie to on zdyskredytował ją w oczach prokuratury i rozwalil cały akt oskarżenia przeciwko Coxowi: Ellie Power cierpiała na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. Przypominając sobie, o co w tym konkretnie chodziło, czuł, jak jeżą mu się włoski na rękach. Według jej relacji, czasami coś robi, coś mówi, gdzieś idzie, a potem tego nie pamięta. Przestaje być Ellie Power i staje się... kimś innym.

Siggy. Imię to zabrzmiało mu w głowie niczym szept, zakradło się jak insekt pełzający po skórze.

Przeciągnął dłonią po pokrywającej czaszkę szczecinie i zmusił serce, by zwolniło.

Nieświadoma niczego Kit sięgnęła do myszy i przeklikała kolejne strony.

– Co za zbieg okoliczności, że też wypłynęła tutaj, u pana. Nic o niej nie było słyhać od czasu tej pańskiej zaginionej prostytutki i nagle...

– Kurwa, Jodie Arden to było dziecko!

Spuściła wzrok.

– Tak, to prawda.

Mae westchnął. Nachylił się, zaczął kartkować jakieś notatki i zawiadomienia przypięte do niebieskiej jutowej tablicy nad biurkiem. Pod ich grubą warstwą znajdowało się zdjęcie. Wyciągnął rdzewiejącą pinezkę.

Kit podeszła bliżej.

– To ona?

Była to fotografia przedstawiająca dziewczynę z włosami ciemny blond, w zapinanej pod szyją sukience: Jodie Arden na bat micwie kuzynki. Właśnie tego zdjęcia użyto w policyjnych materiałach dla prasy, ale media się nim nie posłużyły, tylko sięgnęły po bardziej pikantną fotkę zrobioną przez koleżankę podczas imprezy na mieście, ukazującą dziewczynę w zupełnie innym świetle. Gazety potraktowały ją jak osobę dorosłą i pisano o niej, co chciano. Na szczęście nie doszło do eksplozji w mediach społecznościowych, ale pismaki i tak dorwały się do wszystkiego. I że pije, i że sięga po dragi. I że sypia ze znacznie starszym od siebie mężczyzną, psychoterapeutą, niejakim Charlesem Coxem, który prowadzi terapię jej najlepszej przyjaciółki Ellie. Jakby tego było mało, Cox spotykał się z mamą Jodie. To właśnie do niego należał samochód, do którego Jodie wsiadła na oczach Ellie Power, by następnie zniknąć. Jej zaginięcie było newsem przez całe dwa dni, po czym gdzieś w innej części kraju zaginęła kolejna dziewczyna. Bardziej sympatyczna, aryjska, nic nie brała, dziewczyna, która miała za sobą wolontariat w Ugandzie, dostała się do Cambridge i grała na oboju czy czymś podobnym. Z braku nowych wieści Jodie Arden stała się po prostu kolejną liczbą w statystykach, jedną z tysięcy prawie dorosłych uciekinierek, które przelatują przez sito systemu.

– W chwili zaginięcia brakowało jej tygodnia do osiemnastych urodzin – powiedział, ważąc słowa. – Nie wiem, jaka byłaś w jej wieku, ale ja na pewno nie chciałbym, by ktoś wtedy wyrabiał sobie o mnie opinię na całe życie.

Kit uniosła ręce. Próbowwała się zaśmiać.

– Zawsze pan wali z tak grubej rury w poniedziałek rano?

– Poczekaj do końca tygodnia – odparł, odwieszając zdjęcie. – Już w czwartek przy obiedzie robi się ze mnie niepowstrzymany automat do żartów.

– Jasne. To przepraszam. – Zgarnęła wydruk, który przyniosła, rzucając mu z ukosa spojrzenie, którego nie potrafił zinterpretować. – Po prostu zobaczyłam to nazwisko i pomyślałam, że pana zaciekaw. Zważywszy na duże zaangażowanie w sprawę.

– Szczerze mówiąc, to stare dzieje. – Podniósł się i wygładził koszulę. – Chodźmy.

– Czyli jednak się tym zajmiemy?

– Jesteś stażystką, no to cię uczę. Od czegoś trzeba zacząć. – W hierarchii służbowej była niżej, więc nie musiał się jej tłumaczyć. Zgarnął z oparcia fotela marynarkę i wygrzebał z szuflady krawat, nagle o czymś sobie przypomniał. – Masz inne ciuchy?

Kit zmarszczyła czoło i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Poza tymi na siłownię? Nie. A co?

– Lepiej zdejmij mundur. Obok zbrojowni jest magazyn z cywilną odzieżą, klucz weźmiesz od gościa w Dowodach Rzeczowych. Znajdź coś sobie, dobra? I za pięć minut przy recepcji. – Podniósł kołnierzyk koszuli i gestem nakazał, by poszła przodem.

ROZDZIAŁ 8

Ellie

Cofnęłam się i przechyliłam głowę, aby przyrzeć się efektom. Przynajmniej pod względem estetycznym framuga drzwi wyglądała w porządku. Dzięki szpachlówce do drewna i znalezionym skrawkom papieru ściernego udało mi się doprowadzić potrzaskany fragment do takiego stanu jak reszta. Po ostatniej naprawie w puszcze zostało trochę lakieru. Miałam poczucie, że nieźle się spisałam. Byłam z siebie dumna. Czułam, że mama będzie zadowolona.

Na myśl, że dumny byłby także Matt, opadły mi ramiona. O tym, że zrecznie idą mi wszelkie naprawy, przekonałam go podczas pierwszego pobytu na jego łodzi. To było jakiś miesiąc po tym, jak po raz pierwszy zagadałam do niego w szpitalu, czekając, aż mama skończy zmianę. Przez wiele tygodni niby to przypadkowo wpadaliśmy na siebie, aż w końcu zachował się, jak należy, i zaproponował spotkanie. Nasza pierwsza randka z prawdziwego zdarzenia miała miejsce w sobotnie popołudnie – poszliśmy na lunch do pubu nad rzeką. Potem Matt zaproponował, żebym zobaczyła łódź, ale dopiero gdy wchodziliśmy, przypomniał sobie, że jest w połowie układania nowego parkietu.

– O Boże, jak to wygląda – rzucił, spychając poduchy porozwalane na sofie na jedną stronę, by zrobić mi miejsce. – Przepraszam, kiepski początek. – Zaczął przenosić deski oparte o piecyk i pobieżnie je układał, aby można było się poruszać.

Usiadłam, gdzie wskazał, uniosłam brew i ośmielona wypitym wcześniej winem spytałam:

– Początek czego, że tak powiem?

Zawstydzony zerknął w moją stronę.

– Ee, to znaczy...

Szturchnęłam go palcem stopy i wyratowałam z opresji.

– Taki żarcik – powiedziałam. A on się zaśmiał i zrobiło mi się przyjemnie. Nagle, owładnięta potrzebą zaszpanowania, zerwałam się z kanapy, zakasałam rękawy i ze sterty narzędzi w kącie wyjęłam młotek. – No to bierzmy się do roboty. – Wskazałam na klepki. – Pomogę ci ułożyć tę podłogę.

Przygryzł wargi w uśmieszku.

– Nie sprawiasz wrażenia kogoś oblatanego w stolarce.

– Jestem lepsza, niż wyglądam.

– Ach tak? – Wyszczrzył zęby i otaksował mnie spojrzeniem. Pozwoliłam mu na to, opierając dłonie na biodrach. Potem udowodnienie tego było dla mnie kwestią dumy.

Nagle wspomnienia tamtej sceny rozwiały się, bo usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Zerknęłam na zegar: mama powinna być dopiero za pół godziny.

Wpadła do mojej sypialni.

– Dzwonił?

– Nie. Powiedziałabym ci...

– Okej. W porządku – odparła z nutą zawodu w głosie.

– Co się stało? Czemu wróciłaś tak wcześnie?

– Zamieniłam się na sektory do sprzątnięcia z Angie, żeby móc wcześniej wyjść – wyjaśniła, po czym opowiedziała, że poszła do pracowni diagnostyki obrazowej, w której pracował Matt, aby zobaczyć, czy się tam zjawiał. – Przed drzwiami rozmawiało dwóch facetów, jeden wspomniał coś o Matcie, więc podsłuchiłam. Okazało się, że go szukał, a że bezskutecznie, to wezwał policję.

Pomyślałam, że to zapewne Leon, ten kolega, który zadzwonił do mnie wcześniej.

– Ale policji tam nie było.

– Nie, jednak... – Podenerwowana machnęła ręką. – Słuchaj, po prostu... Czy nic nam nie grozi? W sensie, pilnowałaś się nawet przy Matcie, prawda? Nikt nie zna naszego adresu?

Starałam się wytrzymać jej spojrzenie, ale nie dałam rady.

– No nie, Ellie. Coś ty narobiła?

– Miałam ci powiedzieć – zaczęłam niepewnie. – To wtedy, kiedy ubiegaliśmy się o wolontariat.

– Podałaś im nasz adres?

– Nie, on podał. Nie wiedział, że nie powinien. I chyba nie bardzo mogłam go prosić, by tego nie robił, co? Jak miałabym mu to wyjaśnić?

– Kurwa! – Machnęła z furią rękami. – Wspaniale! Fenomenalnie, dobra robota!

Chciałam powiedzieć, że jest mi przykro, ale nie znosiła, jak ją przepraszałam.

– Mówiłam, że tak będzie. Mówiłam już za pierwszym razem, gdy go tu sprowadziłaś. To było za duże ryzyko. Nie mówiłam? – Poszła do swojej sypialni i zaczęła się krzątać, ściągnęła fartuch i wcisnęła go do kosza. Nagle, jakby właśnie coś sobie przypomniała, wybiegła do kuchni i za chwilę wróciła z torbą zawierającą mokre pranie z tego ranka.

– Mamo, co się dzieje? – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko mogłam.

– Po prostu chcę być gotowa. – Wrzuciła na siebie koszulę, podeszła do toaletki, przykucnęła i wyciągnęła swój zestaw do makijażu. – Przyjdą tu, co nie? Ci z policji. I będą zadawać pytania.

– To im odpowiemy.

– Tak? – Obróciła się z kapką podkładu na palcu. – A co takiego?

– Może prawdę?

– Nie wiemy, co się stało! Nie mamy zielonego pojęcia, jaka jest prawda. Mamy?

Przygryzłam wewnątrz policzka, aż poczułam smak krwi. Ani myślałam się rozpłakać.

Mama rozsmarowała krem, westchnęła i wstała. Podeszła do łóżka i poklepała miejsce obok siebie.

Usiadłam, a ona objęła mnie ramieniem.

– Przyjdą tu, więc ustalmy, co im powiemy. Gdzie byliście ostatniej nocy?

– W pubie, ale...

– W którym?

– Mamo, dlaczego my w ogóle...?

– W którym pubie?

– The Windmill. On pił piwo, a ja lemoniadę.

– Ktoś was tam widział?

– Tak. Nie. Nikt znajomy.

– Kłóciliście się?

– Nie! Dlaczego mielibyśmy się kłócić?

Westchnęła ciężko i wróciła przed lustro, gdzie otworzyła puderniczkę.

– Będą cię o to pytać, Ellie. Musisz to sobie uporządkować. Jeśli zwęszą, że coś ukrywasz, będziemy miały kłopoty. I tak cię skojarzą z tym... co się stało kiedyś. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Niczego nie ukrywam!

Uniosła brwi, po czym przesunęła wzrok na moją szyję. Dłonią wskazała na moje ramię, na biodro. Siggy wzdrygnęła się w obolałych miejscach, jakby były jej częścią, jakby należały tylko do niej.

– Po prostu powiem im, co się stało.

– O siniakach? – dopytywała z niedowierzaniem.

– Mamo, może on właśnie potrzebuje pomocy!

– Nie możesz z nimi rozmawiać. Nie teraz. Dopóki nie poznamy faktów.

– Przecież oni właśnie od tego są! Po to jest policja, by ustalać, co się stało!

Nic mi na to nie odpowiedziała, lecz jej uniesione brwi mówiły: nie zawsze. Odwróciłam wzrok. Jeśli było coś, o czym nie chciałam w tym momencie rozmawiać, to Jodie Arden.

Moje spojrzenie padło na torbę z mokrymi ciuchami.

– A co zamierzasz z nimi zrobić? – spytałam, wskazując je głową.

Wbiła wzrok w lustro.

– Zamierzam – oznajmiła, pociągając rzęsy tuszem – je spalić.

Czekałam, aż odwróci się w moją stronę i wyszczerzy w uśmiechu. Ale ona nie żartowała.

– Co tam znalazłaś, mamo? Co znalazłaś rano?

Cisza trwająca nieskończoność.

– Ellie...

I wtedy usłyszałyśmy dobiegający z zewnątrz kobiecy głos.

– To ten. Właśnie tutaj.

Zerwałyśmy się na nogi. Mama ruszyła w stronę drzwi, lecz natychmiast wróciła do mnie, objęła mnie ramionami i mocno przytuliła do siebie.

– Posłuchaj – zaczęła, zniżając głos do szeptu. – Pozwól mi z nimi porozmawiać. Możemy dopilnować, żeby poszukali Matta, jak należy, i może wszystko będzie dobrze. Ale z Jodie nie było, prawda? Więc jeśli coś mu się stało, a ty – albo Siggy – miałyście z tym cokolwiek wspólnego, to musimy rozegrać to najlepiej, jak umiemy.

Trzykrotne pukanie do drzwi.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Ellie. Obydwie jesteście dobrymi ludźmi. Robimy, kurde, co możemy. Nie pozwolę, by ta suka zrujnowała ci życie. Ani mnie. – Przyłożyła usta wprost do mojego ucha i jadowitym szeptem oznajmiła: – Słyszysz mnie? Siggy? Nie dostaniesz jej. Nie zabierzesz mi mojej córki.

Z korytarza dobiegał tym razem męski głos.

Matka dotknęła mojej twarzy.

– Ani. Słowa. – Po czym wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 9

Mae

Mae zapukał raz jeszcze.

W porannym powietrzu czuć było ziąb, a szare niebo nad Abson Street wisiało nisko nad ziemią. Kit, która wyraźnie niezręcznie czuła się w wypożyczonym stroju ze spódnicą w prążki, zrobiła krok w tył, aby otaksować wzrokiem budynek. Przed jej twarzą formowały się obłoczki pary z wydychanego powietrza. Rozciągnęła się, po czym dotknęła pięściami miejsce w krzyżu i lekko się skrzywiła.

Przechylił głowę.

– Biłaś się?

Westchnęła i się wyprostowała.

– Roller derby.

– Żartujesz.

Uśmiechnęła się.

– Nie. Masz przed sobą czwartą najlepszą blokującą w zachodnim Londynie.

Już wcześniej, na siłowni, zauważył u niej siniaki na nogach i zastanawiał się, jaki sport uprawia. Zgadywał, że hokej albo może rugby. Ale roller derby to co innego. I wyjaśniało obecność tatuaży. Ze wszystkich sił starał się nie myśleć o tym, jak też wygląda w barwach wojennych i kabaretkach. Jego starania spełzły na niczym.

– Grywasz gdzieś tutaj? – spytał, nachylając się, by zawołać przez szparę na listy. – Pani Power? Ellie?

– Jasne. To kolejny powód, by nienawidzić pana po wieczne czasy za zmuszenie mnie do włożenia tego... – wskazała gestem na spódnicę –

sskaradzeństwa. Wyglądam, jakbym sprzedawała ubezpieczenia. Ja muszę dbać o reputację. To przecież moja dzielnia.

Zrobiła przy tym gest, który najwyraźniej miał być ziomalski.

– „Reprezentuję Axę” – rzucił, ale tylko zmarszczyła brwi, za młoda, by załapać żart. – Nieważne.

Dało się słyszeć chrobot kolejnych zamków, po czym drzwi się otworzyły, ukazała się szczupła poważna kobieta po pięćdziesiątce. Posłała im przelotny serdeczny uśmiech, który nie współgrał z jej rozbieganym spojrzeniem, a Mae natychmiast ją sobie przypomniał: to wrażenie, że bez przerwy nosi maskę, że non stop usiłuje wziąć się w garść, coś w sobie stłumić.

Christine Power.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała. Nagle go rozpoznała. – A... Posterunkowy Mae. – W jej głosie dało się słyszeć lodowatą nutę.

– Tak się składa, że już sierżant. Jak się masz, Christine?

Nie odezwała się. To był moment, kiedy powinien powiedzieć, że dobrze wygląda, że nic się nie zmieniła. Ale rzeczywistość była taka, że w każdej bruzdzie na jej twarzy, w niemal całkowicie posiwiałych włosach widział piętno każdej minuty minionych pięciu lat, które minęły od czasu, kiedy przecięły się ich ścieżki.

Kit odchrząknęła.

– Oto posterunkowa Ziegler – przedstawił. – Jest stażystką śledczą.

Christine przeniosła wzrok na Kit, przywołując uśmiech sprawiający, że znów wyglądała jak słynna reporterka, którą była w czasach, gdy niewiele kobiet zajmowało się tematyką międzynarodową.

– Chcemy porozmawiać z Ellie. Jest w domu? – spytał, próbując zerknąć do przedpokoju za jej plecami. – Musimy ustalić miejsce pobytu niejakiego... Matthew Corshama?

Christine zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie ma jej teraz. Czy mogę jakoś pomóc?

– Jeżeli ma pani chwilę – powiedziała Kit i zrobiła krok naprzód.

Drzwi otworzyły się odrobinę szerzej, a Christine odstaąpiła na bok, po czym Mae w ślad za Kit wszedł do kwadratowego salonu w odcieniu magnolii. Gospodyni zaproponowała im coś do picia. Mae z uśmiechem odmówił, lecz Kit westchnęła z ulgą.

– Koniecznie, bo padnę trupem – rzuciła porozumiewawczo. – Jeżeli to nie kłopot, chętnie napiłabym się kawy.

Christine skinęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Mae powoli odwrócił się w stronę Kit.

– Zazwyczaj unikamy takich określeń jak „trup”.

Przewróciła oczami.

– To się tak mówi, człowieku. Pan się rozchmurzy. – Wsunęła ręce w kieszenie i rozejrzała się wokoło.

Mieszkanie było nieskazitelnie czyste, ale wszystko w nim wyglądało nędznie. Wykładzina dywanowa miejscami powycierana aż do piankowego spodu, na użytkowanych przez kilkadziesiąt lat zasłonach widoczne były wyblakłe aż do białości pionowe smugi. Poza tym łuszcząca się farba, nagie żarówki, żadnych fotografii czy ozdób. No i było zimno. Dotknął grzejnika. Nie był dzisiaj włączany, a warstwa kurzu na zaworze wskazywała, że od dawna. Może od ubiegłego roku. Wyglądało to na coś więcej niż zwykłą oszczędność.

– Dopiero się wprowadziły? – szepnęła Kit, rozglądając się po pomieszczeniu. – Widywałam dworce autobusowe, które były bardziej przytulne. Co za ludzie nie mają na ścianie choćby jednej fotografii?

Zwróciła się ku pojedynczemu rzędowi książek w miękkiej oprawie, które stały na głębokim parapecie jednoszybowego okna, i przechyliła głowę, by przeczytać tytuły na grzbietach. To samo zrobił Mae: *Dysocjacja i ja; Dziecko z wielu elementów; Stan fugi dysocjacyjnej: przewodnik opiekuna*.

Zdezorientowana ponownie na niego spojrzała. Wiedział, co teraz będzie.

– Właśnie. Ellie... ma problemy. Mentalne – powiedział od niechcenia, jakby informował, że dziewczyna lubi konie.

– No dobra. Jakie?

Podniósł i zaraz opuścił rękę. Nie było czasu, by szerzej rzecz tłumaczyć.

– Złożone.

– Daj mi szansę.

Mae wyjrzał przez próg, po czym odparł szybko:

– Ma DID, czyli zaburzenie dysocjacyjne tożsamości.

– Teraz rozumiem, dlaczego wciąż mieszka z mamą. Biedaczka – dodała, wzruszając ramionami w sposób, dzięki któremu uświadomił sobie, jak diametralnie inaczej wygląda ich relacja w porównaniu z tą, jaka łączyła go z jego mentorem, gdy był stażystą. Wówczas byle wzmianka o chorobie psychicznej wystarczyła, by sprowokować gorączkową tyradę – niekiedy poza zasięgiem słuchu omawianej osoby, niekiedy nie – traktującą o „śnieżynkach” i „wydelikaconych millenialsach”. Łatwiej by mu było znosić teraz to wszystko, gdyby Mae potrafił przekonać samego siebie, że swego czasu wstawiał się za ofiarami kazań sierżanta Heatha. Ale tak nie było.

I czy to nie właśnie z tego powodu jest teraz w tym mieszkaniu?

Odwrócił się do książek, przebiegł palcem wzdłuż tytułów, aż doszedł do cienkiej pozycji w miękkim wydaniu, noszącej znamiona intensywnego użytkowania. Grzbiet książki odchodził, odsłaniając klej, lecz Mae rozpoznał ją natychmiast. Podał ją Kit.

– *Rozszczepiona dusza: antologia tekstów o fudze dysocjacyjnej i powrocie do zdrowia* – przeczytała szeptem.

– Rozdział siódmy jest o Ellie.

– Serio? A co...? – zaczęła, ale przerwał jej odgłos kroków Christine. Kit odstawiła książkę i przywołała uśmiech na twarz.

Christine podała kawę, po czym przysiadła na oparciu narożnej kanapy. Założyła ręce na piersi, skrzyżowała nogi. Mae przypomniał sobie figurkę transformera, którą miał w dzieciństwie. Zegnij, złóż, klik i trzask, nagle coś innego masz.

Odchrząknął.

– Czy wie pani, gdzie jest teraz Ellie?

– Nie czuje się dobrze. Poszła się przewietrzyć. – Następnie zwróciła się do Kit: – Ma stany lękowe. – I do Mae: – Jak z pewnością pan pamięta.

Kit skinęła głową ze współczuciem.

– To kiepsko. – Zerknęła na Mae, który lekko przechylił głowę, jakby mówił: dalej, to twoja rozmowa. – Pani Power, my...

– Panno – wtrącił Mae.

– To jest panno Power, proszę wybaczyć. Otrzymaliśmy telefon od kolegi z pracy pana Corshama, który obawia się, że on zaginął, więc chcieliśmy porozmawiać o nim z Ellie.

– Rozumiem. – Przejechała dłońmi po twarzy, przez chwilę naciągała skórę pod oczami. Wyglądała na zmęczoną, nie było to jednak zmęczenie, któremu zaradzi porządnie przespana noc. – Może poproszę ją, by do was zadzwoniła? Nie mam pojęcia, jak często się ostatnio spotykali. Jest młoda. Ma prawo wybierać.

– A czy pani zna Matthew? – Kit się uśmiechnęła.

– Odrobinę. Pracujemy w tym samym szpitalu.

Mae wyciągnął notatki i zmarszczył czoło.

– Naprawdę? Bo ja...

– Tak. Hanwell. Ja tam sprzątam. On jest z pracowni diagnostyki obrazowej.

– I tam go właśnie poznała Ellie? – spytała radośnie Kit.

– Pewnego dnia czekała na mnie w stołówce. Nawiązali rozmowę.

– To urocze.

Kit zapisała coś, pociągnęła długi łyk z kubka, po czym wstała.

– Musimy jak najprędzej porozmawiać z Ellie. Może jej pani przekazać tę wizytówkę i poprosić, by zadzwoniła?

– Oczywiście.

Kit podziękowała Christine i otworzyła drzwi, gotowa do wyjścia. Idąc korytarzem, podtrzymywała pogawędkę. Dopiero gdy wiązała sznurowadła, zapadła niezręczna cisza.

– Christine – odezwał się Mae. – To, co się wtedy stało...

Podniosła dłoń.

– To bez znaczenia. Chcę jedynie, żebyście obchodzili się z nią ostrożnie. Dobrze?

Skinął głową i podał jej wizytówkę. Nie było nic więcej do dodania.

– Dopilnujesz, by Ellie oddzwoniła, gdy tylko będzie mogła?

Christine Power spojrzała Mae prosto w oczy.

– Bądźcie delikatni. Rozumie pan? Moja córka nie jest taka jak inni. Jeśli z tamtego... – przerwała, szukając odpowiedniego słowa – bałaganu wyszło cokolwiek dobrego, to mam nadzieję, że to pana czegoś nauczyło.

ROZDZIAŁ 10

Ellie

Czekałam w pokoju mamy. Ze strachu, że narobię hałasu, bałam się poruszyć.

Ten głos poznałabym wszędzie. Ben Mae. Słyszałam go wyraźnie, gdy przechodzili korytarzem, lecz od chwili, gdy zamknęli drzwi do salonu, dochodziły do mnie jedynie ciche, stłumione i sporadyczne odgłosy, z których nie mogłam wyłowić ani słowa.

Nieruchoma Siggy oddychała w mojej głowie, przyglądając mi się. Dokładnie wiedziała, co się stało minionej nocy, ale za nic by mi tego nie powiedziała. Ja mogłam to sobie tylko wyobrażać, i to właśnie było najgorsze: niezdolność odróżnienia tego, co moje, od tego, co jej. Odróżnienia rzeczywistej pamięci od wytworu mojej przerażonej wyobraźni, która ze wszystkich sił starała się uzupełnić luki.

Kiedy straciłam Jodie, przy każdej okazji mówiłam policjantom to samo; to, co wiele razy powtarzałyśmy z mamą. Jodie wsiadła do samochodu Coxa. Czerwone auto. Kłócili się. Potem jej już nie widziałam. Przecwiczylam to tyle razy, że niemal sama uwierzyłam, że tak było.

Kiedy zostali parą, doktor Charles Cox był po czterdziestce. Jodie miała siedemnaście lat. Nie łamali prawa, o czym Jodie przypominała mi niemal za każdym razem, kiedy rozmawiałyśmy o doktorze, choć to nie ja uskarżałam się na różnicę wieku. Mnie przeszkadzał fakt, że umawiał się też z jej matką. Lecz nawet na to, zważywszy na okoliczności, byłam w stanie przymknąć oko. Najważniejsze, że jeśli nie liczyć mojej mamy, to Jodie była jedyną przyjaciółką, jaką miałam.

Nasza przyjaźń przetrwała cztery miesiące. Od dnia, kiedy ją poznałam, do jej śmierci: sto dwadzieścia jeden dni. Po raz pierwszy spotkałyśmy się we wtorek. Widywałam ją już wcześniej, ale chodziła do ogólniaka po drugiej

stronie Hove, a ja raczej nie kręciłam się po mieście. Ale tego ranka, w kwietniowy wtorek, chłodniejszy, niż na to wskazywał jej strój, a w dodatku przenikliwie mżysty, siedziała na klatce schodowej przed naszym mieszkaniem, jakby na mnie czekała. Wyciągnęła nogi wzdłuż stopnia i paliła. Spróbowałam ją wyminąć, ale kiedy nie drgnęła, obróciłam się, by wrócić, skąd przyszłam, i uniknąć konfrontacji z nieznajomą, jak to ja. A wtedy wyciągnęła rękę z papierosem. Ręcznie zwiniętym, ze śladem szminki na filtrze.

– Ty jesteś ta na edukacji domowej.

Skinęłam głowę.

– Nie podchodzisz do egzaminów?

Egzaminy, jeżeli w ogóle miałam do nich podchodzić, czekały mnie dopiero za dwa lata, ale nie wyprowadziłam jej z błędu. Patrząc na nią, wiedziałam, że musi mieć przynajmniej szesnaście, siedemnaście lat. Gdybym wyjawiała jej mój wiek, od razu by sobie poszła. Więc założyłam ręce na biodra z udawaną nonszalancją i odparłam:

– Mam to gdzieś.

Uśmiechnęła się, kącikiem ust wypuściła cienką smużkę dymu.

– Mieszkasz tu z mamą?

– No.

– Tata, tak jak mój, okazał się łajdakiem?

Wzruszyłam tylko ramionami, choć odpowiedź bez wątpienia brzmiałaby „tak”. Kiedy mama zorientowała się, że jest w ciąży, byli ze sobą zaledwie od paru miesięcy, a kiedy podzieliła się z nim radosną nowiną, czym prędzej się zmył. Wieść o tym, że zmarł z przedawkowania, dotarła do niej na tydzień przed moim przyjściem na świat. Kiedyś ją o niego wypytywałam, chciałam wiedzieć, jaki był, ostatecznie jednak nauczyłam się akceptować jej małomówność w tym temacie. Sądząc po mroku, jaki ogarniał jej oblicze za każdym razem, gdy o nim wspominałam, określenie „łajdak” było niemal komplementem. Nigdy jednak nie straciłam nadziei, że mama się myli, że ktoś, kto przekazał jej tę wiadomość, był w błędzie. Wciąż łapałam się na tym, że spoglądałam w oczy każdemu mężczyźnie, który z racji wieku mógłby być moim tatą, by sprawdzić, czy nie ma różnokolorowych źrenic, które według mamy odziedziczyłam po nim.

Jodie raz jeszcze wyciągnęła dłoń, częstując mnie papierosem.

– Nie, dzięki – odparłam ledwo słyszalnym głosem.

Spojrzała na papierosa i wzruszyła ramionami, po czym cisnęła go w dziurę pośrodku klatki schodowej. Jęknęłam, wychyliłam się przez poręcz, by zobaczyć, czy nikt tam nie stoi, a ona się zaśmiała.

– Jebać ich – rzuciła, podnosząc się. – Idę się przejść. Na nabrzeże. Idziesz ze mną?

Zawiesili ją w szkole – „jeden, kurwa, joint i już im się wydaje, że jesteś Amy Winehouse” – więc jej relacje z mamą się popsuły. Jodie piła, paliła, od czasu do czasu coś brała. Po jej zniknięciu pojawiły się głosy, że uprawiała seks za pieniądze, choć od niej tego nie usłyszałam. Wszystko to sprawiało, że ukrywałam naszą przyjaźń przed mamą. Wiedziałam co prawda, że ciągle niedopowiedzenia to niewyobrażalna zdrada zaufania, ale świadomość, że mam tajemnicę, przyniosła mi poczucie wyzwolenia. Widywałyśmy się niemal każdego dnia, zawsze u niej i zawsze wtedy, gdy jej mamy nie było w domu.

Z Jodie wszystko było proste. Byłam szczęśliwa. Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki, kogoś, z kim rzeczywiście mogłabym być sobą. Tak więc pomimo obietnic, jakie składałam mamie, pomimo jej ostrzeżeń, w końcu wypaplałam Jodie historię o Siggy.

Powiedziałam jej wszystko. Wszyściuteńko. Nie tylko o fugach, ale też o snach, które non stop się powtarzały, tak że pamiętałam wiele szczegółów – niski długi budynek, ledwie przebłyśki; poczucie uwięzienia, pożar; leżący na ziemi krwawiący chłopiec; mężczyzna w ciemnym mundurze. Te sny – te koszmary – były na tyle żywe, a ich szczegóły tak niezmiennie, że gdy o nich myślałam na jawie, miałam wrażenie, że to nie sny, lecz wspomnienia.

Opowiedziałam jej o atakach paniki: przerażeniu, które pojawiało się już w pełni uformowane, a którego przyczyny były równie trudne do uchwycenia jak źródło obłoków dymu. Dzięki wieloletniej pracy mamy zrozumiałam, że tkwiące w mojej głowie lęki nie są moje, tylko Siggy, i to rozróżnienie pomogło mi jakoś się z nimi uporać. I choć Jodie nie mogła tego wszystkiego do końca zrozumieć, słuchała uważnie.

Nazajutrz zabrała mnie do chłopaka swojej mamy. Do doktora Coxa. Do Charlesa.

Oczywiście nie chciałam tam iść. Protestowałam, gdy szłyśmy deptakiem do jego gabinetu we wschodnim Brighton.

– To nic nie zmieni – upierałam się.

– Taa? A niby skąd wiesz? Czy na dodatek jesteś jasnowidzką?

– Nie – odburknęłam. – Ale byłam już kiedyś na terapii.

– Kiedy? – Wydmuchiwała dym, starając się dopracować umiejętność puszczania kólek.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Mała byłam. Jeszcze jako dziecko.

– To nie poszło jakoś świetnie, skoro nie pamiętasz.

– No nie – odparłam, starając się, by mój głos brzmiał swobodnie. – To się rozumie, że nie było świetnie, skoro nic nie dało, nie?

Przewracając oczami, pociągnęła mnie za rękaw.

– On jest naprawdę dooobry – nalegała. – Polubisz go. Dalej. Na pewno warto znów spróbować.

Zaczęłam regularnie chodzić na sesje, a ona zawsze mi towarzyszyła. Trzymałam się kurczowo kłamstwa dotyczącego mojego wieku, bo dzięki temu nie musiałam mieć zgody rodziców. Doktor Cox zrezygnował z honorarium, stwierdził, że ciekawy ze mnie przypadek, choć było jasne, że robi to, bo jestem przyjaciółką Jodie. Początkowo przysłuchiwała się bardzo uważnie, nie odzywając się ani słowem. Nikt, ani mama, ani Cox, ani nawet Matt, nigdy nie słuchał mnie tak jak Jodie. Miałam wrażenie, że porządkuje, kataloguje, dopasowuje do siebie fragmenty mojej pokiereszowanej przeszłości. Wierzyłam, że zdoła to wszystko rozwikłać.

I być może by jej się udało.

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi salonu, po czym głosy stały się wyraźne. Tuż przed sypialnią, w której się ukryłam skulona jak pies. Oddychałam przez usta, aby zachować absolutną ciszę, usłyszałam nawet głęboki wdech Bena Mae, zanim powiedział:

– To, co się wtedy stało...

„To, co się wtedy stało”. Przycisnęłam dłonie do skroni, a Siggy uśmiechnęła się szeroko.

Nie myśl o tym, powiedziałam do siebie.

Jedyne wyraźniejsze obrazy z nocy śmierci przyjaciółki, jakie mam w pamięci, dosłownie jakieś pojedyncze kadry, powstały dzięki opisom mamy.

Sęk w tym, że te przyswojone detale wizualne – bezkresnego lata przedtem i czarnej dziury horroru w miesiącach potem – spoczywają tak blisko moich własnych wspomnień, że niekiedy mam poczucie, że to ja tam byłam, a nie Siggy. Ale to by znaczyło, że przestrzeń między nami zaczęła się zacierać, a jeżeli tak rzeczywiście jest, to...

Po prostu o tym nie myśl. Uspokój się. Oddychaj.

Mama znalazła ją nad rzeką, gdzie chodzimy w Dzień Wisienki, aby uczcić szczególny dla Siggy dzień. Nigdy wcześniej nie zaprowadziłam tam Jodie, to niedostępne, zarośnięte i zalesione miejsce. Lecz tej nocy ja – i Siggy – ją tam zabrałyśmy. Minęło wiele dni, zanim mama wyznała, co tam potem znalazła.

Brakujący pasek...

Nie mogę oddychać.

Brakujący pasek z mojego...

Kurwa, nie mogę oddychać!

Policjanci wciąż byli w korytarzu, oddzielało nas zaledwie parę centymetrów płyty gipsowej. Starłam się zmusić do myślenia o czymś innym, bo to nie może się wydarzyć, nie przy nich – nie przy policji! – tuż za drzwiami sypialni, gdy moja matka kłamała!

Oddychaj. Oddychaj. Proszę, po prostu oddychaj.

Wszystko wirowało. Wokół mnie kręciło się mroczne tornado, a w mojej piersi tężała i zaciskała się próżnia. Pole widzenia robiło się coraz mniejsze, cała skóra niemiłosiernie piekła, a płuca zwijały się od gorąca i było po mnie, ale w ostatnim momencie ten okropny ucisk ustąpił, złapałam oddech, tyle że...

Spokojnie. Uspokój się.

Za szybko. Nie mogłam przestać.

Głębokie oddechy. Powoli. Masz atak paniki. Zwolnij – oddychaj powoli – ale nie mogłam przestać. Wdech i wydech, wdech i wydech, za płytko, za mało, za mało powietrza. A cały czas jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to wszystko to, co w końcu powiedziała mi mama...

Brakujący pasek od mojego płaszcza, nasączony wodą, oblepiony ziemią i owinięty dwukrotnie wokół szyi Jodie, i ona z połamanymi paznokciami i zakrwawionymi włosami, w których były strzępy liści, i...

Za mało powietrza!

...skóra na jej szyi pobieliała od nacisku i jej opadnięte kąciki ust, i szerokie i zaszkłone oczy, i deszcz padający na nią, nabrzmiałą, spanikowaną, niemrugającą.

Przeze mnie.

Ruch w korytarzu. Poczułam, że robi mi się lekko, że tracę przytomność. Czy oni... czy oni wychodzą? Wychodzili.

Wiedzą, co zrobiłaś.

Ostatnie, co usłyszałam, to otwieranie drzwi frontowych, po czym wszystko zrobiło się czarne.

ROZDZIAŁ 11

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>21 sierpnia 2006</i>

CC: To zaczniemy od przywitania. Jak się dzisiaj czujesz?

EP: W porządku.

[pauza: 32 sek.]

CC: Wyczuwam pewną nerwowość.

EP: Nie. Wszystko gra.

[pauza: 22 sek.]

EP: Dlaczego robi pan takie długie przerwy?

CC: Cieszę się, że spytałaś. Na ogół ten czas pozwala na zastanowienie się, odkrycie czegoś, co może pomóc w dalszej podróży w głąb siebie.

[pauza: 23 sek.]

EP: Nie mam nic do powiedzenia.

CC: W porządku.

[pauza: 35 sek.]

EP: Dobra, niech będzie. Przyszła. Tej nocy.

CC: Siggy przyszła?

EP: No.

[pauza: 19 sek.]

CC: Chciałabyś mi opowiedzieć o tym zdarzeniu?

EP: Sama nie wiem, no? W tym, kurwa, przepraszam...

CC: Nic nie szkodzi.

EP: W tym problem. Nic z tego nie rozumiem. To tak, jakbym co noc to ja kładła się spać i wtedy ta druga osoba, której nie lubię i tam nie chcę, no ta druga wchodzi do środka mnie. Przesuwa moje ciało, mówi tak, jakby była mną, a ja jakbym... jakbym... jakbym była taką, no, marionetką. Nie wydaje mi się, żeby pan miał pojęcie, jakie to okropne uczucie. To koszmar. Jestem przerażona i kiedy choćby o tym pomyślę, to – o, pan popatrz – zaczynam dygotać. Widzi pan, jak mi ręce latają?

CC: Widzę.

EP: To jest tak, wiem, że nie powinnam tak nawet myśleć i że to nie jest to samo, ale kiedy masz kogoś obcego w swoim ciele, kogoś, kogo nienawidzisz, kto jest tam bez twojej zgody, to jakby się obudzić i odkryć, że ktoś cię... Nie mogę tego powiedzieć.

CC: Czujesz się... powiedzmy, że czujesz się zgwałcona?

EP: Tak. Tak. Nawet wtedy, gdy tylko mnie podniesie i zmusi do chodzenia po mieszkaniu. Nic z tego nie pamiętam. [płacz] Absolutnie nic. I po prostu, gdy mama mi to opisuje, to po prostu, po prostu... [płacz] To chcę po prostu...

[pauza: 1 min 6 sek.]

EP: Przepraszam. Przepraszam.

CC: W porządku. Ellie, możesz na mnie spojrzeć? Wiem, że to trudne, ale choć przez chwilę popatrz na mnie. Dziękuję. Nikt cię nie ocenia. Absolutnie. Cokolwiek powiesz, wysłucham cię i ci uwierzę.

[pauza: 56 sek.]

CC: W porządku. Chcesz się napić wody, zanim będziemy kontynuować?

EP: Nic mi nie jest.

CC: Niesamowicie trudno ci o tym mówić; widzę, że te zdarzenia bardzo mocno cię dotykają.

EP: Tak. Tak jest. Boję się. Nigdy nie wiem, kiedy to się zdarzy. Na przykład wczoraj wieczorem pokłóciłam się z mamą, bo chciałam spróbować chodzić do szkoły na zajęcia. W sensie żeby przygotować się do egzaminów. Nie miałam fugi już od, bo ja wiem, paru tygodni? A mama cały czas powtarzała, że nie jestem dość silna i że ostatnio, gdy próbowałyśmy, moje ataki paniki się nasiliły i w ogóle, i mocno się pożarliśmy, bo ja po prostu chcę żyć normalnie. Wyjść z domu, cieszyć się życiem, rozumie pan?

CC: Rozumiem.

EP: A potem poszłam do łóżka, a kiedy się obudziłam, okazało się, że to znów się stało. Powiedziała mi – znaczy mama – że Siggy była tej nocy naprawdę wściekła. Aż strach pomyśleć, mama nie mogła się do niej zbliżyć, nie narażając się na atak. A potem wyszła...

CC: Siggy wyszła z domu?

EP: Tak, wyszła, a mama musiała iść za mną... iść za nią przez całą dzielnię, aż zgodziła się wrócić do domu. O, proszę spojrzeć, w pewnym momencie się przewróciła. Widzi pan, na moim łokciu...

CC: Spore zadrapanie.

EP: No. Tak, to... to naprawdę boli.

[pauza: 20 sek.]

CC: Z tego, co słyszę, to między tobą a Siggy toczy się zażarty konflikt.
Prawdziwa walka.

EP: No. Tak właśnie jest.

[pauza: 22 sek.]

EP: Po fudze przez cały dzień czuję, jakby Siggy... wciąż tam była.
Wie pan, tak jakby za wszelką cenę chciała mnie utwierdzić
w przekonaniu, że to ona wygrała. Jak zeszłej nocy, kiedy mi
mówiła...

[pauza: 27 sek.]

CC: Czujesz, że coś do ciebie mówi. Czy możesz nieco...

EP: Ona chce, żebym się dalej bała. Jakby chciała mi dać do
zrozumienia, że to było ostrzeżenie.

ROZDZIAŁ 12

Mae

Nie odzywali się do siebie, dopóki nie wyszli na ulicę. Siąpił deszcz, więc Mae postawił kołnierz płaszcza. Kit ruszyła do samochodu w kierunku drzwi kierowcy.

– To było dziwne – zauważyła, kiedy Mae usiadł obok niej.

– W jakim sensie?

Kit zmarszczyła brwi, spoglądając wprost przed siebie.

– Rozmawiałam z tym gościem w szpitalu, tym Leonem, no tym, który zgłosił zaginięcie. – Obróciła się ku Mae. – I on wymienił Christine jako kogoś, kto zna Matta, i powiedział, że według niego pracuje w szpitalu. Więc zadzwoniłam do kadr, podałam jej nazwisko i poprosiłam o jej adres. Pracownik szukał w systemie, nawet przeliterował na głos, i powiedział: „Mam, jeden wpis, Eleanor”. Nic więcej. Co znaczy, że Christine nie ma w systemie, mimo że tam pracuje.

– Może jest z agencji pracy?

– Też tak pomyślałam, ale w szpitalu każdy musi mieć przepustkę, prawda? Tam są dzieci, osoby szczególnej troski, konieczne jest zaświadczenie o niekaralności i tak dalej.

Mae zmarszczył czoło i już miał wyciągnąć telefon, ale zobaczył, że Kit wpatruje się w lusterko wsteczne.

– Co? – spytał, obracając się na fotelu, aby też spojrzeć.

Do samochodu zaglądał młody człowiek – biały, o czarnych kręconych włosach, w wyblakłym T-shircie z nazwą zespołu muzycznego pod flanelową koszulką w kratę. Miał może dwadzieścia lat, lecz i tak sprawiał wrażenie nieco za starego jak na posępną aurę emo, którą roztaczał wokół siebie.

Kit wysiadła z wozu i obeszła maskę, jeszcze zanim Mae rozpiął pasy.

– Pomóc w czymś? – spytała wesoło.

Mae dołączył do nich na chodniku.

– Jesteście na zwiadzie? – spytał facet. Miał zachrypnięty głos, co Mae z miejsca skojarzył z wystającą mu z kieszeni koszuli plastikową torebką tytoniu.

Kit zdążyła już wyciągnąć notes.

– W jakim sensie?

– Tamci w furgonetce! – Jego rozedrgane spojrzenie skakało to na nich, to na auto. – Nie jestem głupi.

Co mogło, ale nie musiało być prawdą. Mae z dużą dozą pewności wiedział, że facet jest świrem. Z kolei Kit być może brakuje nieco doświadczenia w terenie.

– Jesteśmy z policji, wydział dochodzeniowy – oznajmiła i zgodnie z regułami podała ich nazwiska. – Prowadzimy sprawę kogoś, kto zaginął. Pan mieszka w tej okolicy?

Wskazał głową na tylne wejście do sklepu po drugiej stronie ulicy, poniżej mieszkania Power. Polski sklep, Mae zauważył go, gdy tylko przyjechali.

– Ja dużo widzę. – Młody człowiek enigmatycznie wskazał na swoje oczy ułożonymi w literę V palcami – środkowym i wskazującym, po czym tym samym gestem zatoczył koło po ulicy. – Ale chodzi mi o to, co robicie w tej furgonetce? Podsluchujecie, co mówię we własnym domu?

Kit rozejrzała się wokoło.

– A teraz ją pan widzi?

– Ja jej sobie nie wymyśliłem! Po prostu akurat odjechała!

Kit dyplomatycznie skinęła głową i schowała notes. Mae był pod wrażeniem jej profesjonalizmu: podała facetowi numer do kontaktu w sprawach nienaglących, zakończyła rozmowę, przez cały czas zachowywała się uprzejmie i z szacunkiem. Gość wciąż nadawał, kiedy Mae zatrzasnął drzwi ze swojej strony.

– ...mikrofony paraboliczne, poważny sprzęt, a jeśli to nie wy, to pewnie MI 6 albo SO 15 albo jeszcze ktoś inny, i ja to wiem. Wiem to, czaisz, człowieku?

Kit poczekała, aż wyjadą za róg, i dopiero oderwała wzrok od chłopaka.

– Jezu. Często się tacy trafiają?

Mae zaśmiał się i wyciągnął telefon.

Zanim dojechali do Boston Manor Road, znalazł to, czego szukał. Christine nie tylko nie figurowała w dokumentach swojego pracodawcy – a przynajmniej nie pod własnym nazwiskiem – ale w zasadzie nigdzie nie było o niej wzmianki: ani w miejscu zamieszkania, ani w bazie danych lokalnych władz, ani w systemie opieki zdrowotnej, w bankach, agencjach kredytowych, nigdzie.

To nie może być przypadek.

Czyli co? Ukrywają się? Dlaczego?

Kit włączyła radio, jednak na dźwięk muzyki zespołu Heart czym prędzej przełączyła na inny program. Ale nie znalazła nic ciekawego, więc wyłączyła odbiornik.

– Christine Power to się chyba ucieszyła na twój widok, nie? – zagaiła, przygryzając wargi w cierpkim uśmiechu. – Megafanka sierżanta Mae. Nie-sa-mo-wi-te feromony, aż od niej buchało.

– Kit. Proszę cię.

Podniosła dłonie znad kierownicy w geście kapitulacji.

– Ja tylko mówię. Ale o co jej chodziło, gdy wspomniała o...

– Możemy zostawić ten temat?

Wydeła policzki.

– To teraz co? Przeszukanie i klasyfikacja? Nie zdołałam złapać tego gościa na przystani, ale mogę tam teraz podjechać, na pewno znajdę kogoś, kto mnie wpuści. Zajmie to chwilę.

Przeszukanie stanowiło zazwyczaj punkt wyjścia i polegało na kontroli w domu osoby zaginionej, by wykluczyć, że tam jest, ale bardzo źle się czuje albo się zaklinowała czy też doznała urazu. Sprawa powinna pójść raz-dwa.

– Po lunchu – odparł Mae, bo nagle poczuł ssanie w żołądku. – Ja na przystań, ty do telefonu. Pogadaj z jego szefem i ustal, za co wyleciał.

W tym momencie zabrzęczała jego komórka, zerknął na wyświetlacz: dzwoniła Nadia. Obrócił się w fotelu, by zapewnić sobie namiastkę prywatności, jaką można uzyskać w obrębie samochodu, po czym przycisnął zielony guzik.

– Dasz radę odebrać Dominicę po lekcji skrzypiec? – spytała była żona. – Właśnie mnie poproszono o udział w zebraniu.

Żadnego cześć, żadnego jak tam. I teraz to jest Dominica, a nie Miś, jak gdyby nie mogli nawet zgodzić się co do tego, jak nazywają własne dziecko.

– Jasne.

– I przywieziesz ją wpół do dziewiątej?

– Dobra.

– Wiesz, będzie Mike, więc... Tak tylko, żebyś wiedział.

Mike. Dziesięć lat młodszy od Mae, dwanaście od Nadii, choć ktoś, kto go nie zna, dałby mu nawet sześćdziesiąt parę, bo gość był zupełnie siwy. Nie żeby Mae nie próbował dopatrzeć się w nim czegoś pozytywnego, czegoś, co mógłby polubić. Amerykanin ze Środkowego Zachodu, jeździł citroënem, trzy razy w tygodniu grał w badminton, kartotekę miał tak czystą, jakby spreparował ją w warunkach laboratoryjnych. Góra dzień się spóźnił z opłatą abonamentu za telewizję. Istniała, rzecz jasna, więcej niż znikoma ewentualność, że całkowitą winę za zainteresowanie Nadii Mikiem ponosił Mae. Że dziesięć lat spędzonych z nim zmieniło jego żonę, dowcipną, błyskotliwą, otwartą na wszystko, w osobę uzależnioną od poczucia stabilności. A może po prostu Mike ma przyrodzenie jak u centaury.

– Mike. Jasne.

Nadia westchnęła.

– Postaraj się porobić z nią coś fajnego, dobrze? Zawsze wraca od ciebie taka... Sama nie wiem. Wypruta.

Odsunął komórkę od ucha i wcisnął kciukiem czerwone kółko, aż poczuł, jak osłona prawie się zgina.

– Wiesz, na czym polega ekran dotykowy? Wystarczy tylko dotknąć – zauważyła Kit.

– Aha. A bezpieczna jazda na tym, że skupiasz się na drodze.

ROZDZIAŁ 13

Ellie

Musiał upłynąć kwadrans, zanim poczułam się odrobinę lepiej. Kiedy policjanci wyszli, atak paniki minął, mama przyniosła mi słodką herbatę i posiedziała ze mną, ryzykując spóźnienie do pracy. Wreszcie zdołałam ją przekonać, że nic mi nie będzie. Przyniosła z sypialni kołdrę i otuliła mnie na sofie, po czym spojrzała na zegarek i cicho zaklęła pod nosem.

– Muszę iść i odrobić tamtą zmianę. – Nachyliła się, by dać mi buziaka na do widzenia. – Uważaj na siebie. Nikogo nie wpuszczaj.

– Dobrze, mamo.

Zamyślona postukała palcami o brzeg kubka z herbatą.

– Wydaje mi się, że teraz pójdą na jego łódź – powiedziała raczej do siebie.
– Może tam coś znajdą.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. Coś. – Zdobyła się na przelotny uśmiech i wzruszyła ramionami.

Kiedy w końcu wyszła, natychmiast wstałam, poszłam do jej pokoju i odsunęłam rąbek zasłony, aby popatrzeć na nią przez okno. Przystanęła przy samochodzie, zerknęła w moją stronę i przyłożyła palce do ust. Potem wsiadła i odjechała.

Może tam coś znajdą.

Miała na myśli liścik.

Czy był jakiś liścik?

Nie traciłam czasu. Wciągnęłam buty i rozejrzałam się za płaszczem, ale przypomniałam sobie, że już wcześniej nie mogłam go znaleźć. Pogrzebałam w szufladzie i wyciągnęłam z niej polarową bluzę na suwak, którą pożyczyłam

kiedyś od Matta i której nie chciałam potem oddać. Wyszłam z mieszkania,
a Siggy, wciąż malutka, dygotała w moich piersiach.

ROZDZIAŁ 14

Mae

Mae wgryzł się w bajgla. Na obitej materiałem tablicy przy jego stanowisku pracy wisiała przypięta pinezkami kartka papieru ze wskazówkami Stowarzyszenia Komendantów Głównych Policji, którą wydrukował i wywiesił ktoś, kto poprzednio zajmował to biurko. W RAZIE WĄTPLIWOŚCI PODEJRZEWAJ ZABÓJSTWO – brzmiała rada. Kartka wisiała od tak dawna, że pinezki zdążyły już zardzewieć i gdy Mae je wyciągał, poharatały tkaninę. Zgniół wydruk w kulkę i czystym fartem wrzucił do kosza w momencie, kiedy Kit wchodziła do pokoju.

– Lubimy, gdy jest czyściutko, co? – zagaiła z pendrive'em w dłoni i w regulaminowej pozycji „spocznij”. – To wskazuje na silną potrzebę zaprowadzania porządku.

Mae sięgnął po pendrive.

– Daruj mi to amatorskie czytanie w myślach. Co tam masz?

– Poza dyplomem z wyróżnieniem z psychologii?

Roześmiał się, po czym przerwał.

– Serio?

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Sięgam wzrokiem w najczarniejszą część pańskiej duszy – powiedziała, po czym wyszczerzyła się w uśmiechu. – Nie, ale tak na serio, ludzie dbający o porządek zazwyczaj pragną spolegliwości i poczucia panowania nad sytuacją, a zazwyczaj pragnie się tego, czego nie miało się w dzieciństwie. Tak tylko mówię.

Otworzył usta, ale natychmiast je zamknął, nie miał żadnego pomysłu na odpowiedź.

– Ale pamiętasz, że to ja jestem twoim szefem, tak?

Wzruszyła ramionami.

– Płynna rzecz, taka hierarchia, co nie? Tak czy siak – zauważyła, nachylając się nad nim, by wpiąć pendrive do portu i przejąć władzę nad klawiaturą. – Krótko i węzłowato. Nie udało mi się namierzyć osoby, która zajmowała się umową Corshama, ale w kadrach powiedziano mi, że wszystko wskazuje na to, że miał umowy czasowe i po prostu nie zaproponowano mu kolejnej. Będę próbowała dobić się do jego bezpośredniego przełożonego, sprawdzę, czy mogło chodzić o coś więcej.

Mae skinął głową, taksując wzrokiem otwarty przez nią dokument.

– Jeszcze jacyś koledzy z pracy?

– Gość, z którym dzielił pracownię, mówił, że wspominał ostatnio o kupnie starego sprzętu do łomografii.

– Łomografii?

– Taka kultowa zajawka fotograficzna. Analogowa, na starym sprzęcie. Podobno Corsham sporo czytał o takich, co to robisz zdjęcie, a one wypływają takie coś i tylko musisz... – Wykonała gest, jakby powiewała mokrą fotografią. – Pamiętasz?

Przejrzał resztę notatek, odhaczając wątki dotyczące dochodzenia. Matthew Corsham był jedynakiem, od wczesnego dzieciństwa bez kontaktu z ojcem; matka parę lat temu zmarła na raka.

– W wydziale komunikacji figuruje jako właściciel golfa cabrio z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku – dorzuciła, wskazując na dół strony. – Za moment go poszukam. Zdarzało mu się pójść po pracy na jednego, ale tak naprawdę nie ma kumpli, sprawiał wrażenie raczej nieśmiałego, i też nie był w tej robocie długo. – Uniosła ręce i opuściła je na znak rozczarowania. – Nie ma właściwie co opowiadać. Zapisał się na parę eventów z miejscowym kółkiem fotograficznym. Napisałam do faceta, który je prowadzi, a może się tam z kimś zaprzyjaźnił.

W miarę jak Mae czytał, układał mu się obraz spokojnego, niewyróżniającego się człowieka. Przed paroma laty przeniósł się z Glasgow do Edynburga, potem, ledwie kilka miesięcy temu, do Londynu. Z tego, co Kit zdołała przez kilka godzin ustalić, mieli do czynienia z przeciętnym dwudziestoparolatkiem, który nie prowadził bogatego życia towarzyskiego i miał zwykłe potrzeby, zaspokajane dzięki starym aparatom, siłowni i popieprzonej partnerce.

Kit nerwowo przestępowała z nogi na nogę, aż w końcu się odezwała:

– Znalazłam w necie tę książkę, *Rozszczepiona dusza*. Ten rozdział o Ellie.

– Okej. I? – Mae podniósł wzrok znad dokumentów.

Posłała mu wymowne spojrzenie.

– Wie pan, mógł mi pan powiedzieć.

– Powiedzieć o czym?

– O jej fobii. Wy tłumaczyć, dlaczego tak panu zależało, żebym się przebrała w cywilne ciuchy.

– No cóż – odparł, unosząc ręce – nie wszyscy są tak elokwentni w kwestii zdrowia psychicznego. – Gdybym w dwa tysiące szóstym zasugerował sierżantowi Heathowi, żeby się przebrać, bo wiadomo, że świadek szczególnej troski może źle zareagować na widok policyjnego munduru, zrugałby mnie doszczętnie.

Lecz umysł Kit wyraźnie zaprzętało coś jeszcze.

– Ale szaleństwo, nie? To znaczy wiem, że to nie moja sprawa, co się stało, kiedy była dzieckiem, ale w książce nie wspomniano o traumie.

– Traumie?

– No tak. O przyczynie jej zaburzeń.

– Może po prostu nie potrafiono jej ustalić?

Wzruszyła ramionami, ale była to udawana nonszalancja, za którą coś się kryło. – To takie... frustrujące. No bo to jednak jest hardcore. Zaburzenie dysocjacyjne osobowości. To się diagnozuje raz na... ja wiem, pewnie nigdy, ale kiedy już się zdarzy... mówią, że umysł potrafi zdziałać praktycznie wszystko, ale żeby coś takiego zrobić, musi mieć bardzo poważny powód.

Mae zmrużył oczy.

– Ty naprawdę masz ten dyplom, co?

Machnęła tylko ręką.

– Chodzi mi o to, że bez traumy nie stałoby się coś tak ekstremalnego, musiała zatem być z jednej strony przewlekła, a z drugiej kurewsko ogromna. A autor nawet nie próbuje jej odnaleźć. Czy wiadomo chociaż, czy ona zna swojego ojca?

– Ja wiem tyle, że Christine od dawna jest sama.

– No i widzi pan, to jest moocno podejrzane, nie? Na pewno jej ojciec odgrywa jakąś rolę w tej sprawie. Zły kontakt we wczesnym dzieciństwie albo coś podobnego. I ja rozumiem, że Cox musiał zanonimizować dane – zastrzegła, unosząc dłoń, aby uprzedzić ewentualną uwagę Mae – ale wydaje mi się, że to taki wielki kawałek układanki, którego brakuje. No bo jest mowa o bliznach, ale autor pisze, że powstały w wyniku wypadku, tak? Ja nie twierdę, że jestem specjalistką, ale nie sądzę, by jednostkowy wypadek mógł wywołać coś tak poważnego jak zaburzenie dysocjacyjne tożsamości.

Mae też zwrócił na to uwagę, i to dawno temu. Pozostałe zawarte w książce opisy przypadków obfitowały w szczegóły, autor dokładnie przedstawił na przykład problem znęcania się, które było źródłem zaburzenia. Zgodnie z tytułem są to opowieści o udanej terapii. Książkę sfinansowała organizacja charytatywna, toteż przekaz był całkiem spójny: fundusze + świetna opieka = pozytywne rezultaty. Wyjątkiem jest rozdział dotyczący Ellie, będący tylko wrywką jej przypadku, obejmującym zaledwie parę miesięcy, kiedy Cox się z nią spotykał. Nie ma rozbudowanego kontekstu, nie ma też szczęśliwego zakończenia.

– Może chciał się skupić na problemie leczenia takiego przypadku? Jeśli mam być szczery, to nie na tym koncentrowało się nasze śledztwo.

Kit przez pół sekundy wyglądała na urażoną, lecz zaraz klepnęła go mocno w ramię.

– Po prostu mnie to interesuje. – Po czym dodała: – Może powinnam go spytać.

– Zakładam, że żartujesz – odpowiedział, po czym coś sobie przypomniał.
– A zresztą i tak byłaby to strata czasu.

– Bo?

– Wiemy to od Lucy Arden, matki Jodie – wyjaśnił. – Ponoć na kilka tygodni przed zaginięciem Jodie poprosiła go o kopię materiałów dotyczących Ellie. Miał transkrypcje nagrań dźwiękowych z sesji, mnóstwo danych, ale je stracił.

– Stracił? Jak on to zrobił? – Uniosła brwi z niedowierzaniem.

– Najwyraźniej wciąż korzystał z dyskietek. Bezużyteczny szmelc.

Kit cofnęła podbródek.

– Z dyskietek? Ki czort?

Mae przewrócił oczami. Dzieciaki! Wrócił do ekranu.

Kit wpatrywała się gdzieś w dal, przeszywając ją niewidzącym wzrokiem.

– No co? – spytał Mae.

Otrząsnęła się i spojrzała na niego.

– Po prostu... Sama nie wiem. Coś mi tu nie gra. Spędza z nią masę czasu, nagrywa i tak dalej, a potem to wszystko znika? Coś tu śmierdzi.

– Tak czy inaczej, to jej sprawa, nie nasza działka.

Kit opuściła ręce, odrobinę się czerwieniąc.

– Wiem. Po prostu mnie to frapuje. – Odchrząknęła. – Zamierzasz odebrać?
– spytała, wskazując palcem na dzwoniący na biurku telefon.

Mae zaśmiał się i pokręcił głową, po czym podniósł słuchawkę – dzwoniło z centrali.

– Sierżancie Mae, pan Jupp na linii. Mówi, że oddzwania w sprawie wizyty na przystani.

ROZDZIAŁ 15

Mae

Przystań Juppa znajdowała się w odległości zaledwie paru kilometrów, toteż Mae pożyczył jeden ze służbowych rowerów. Było późne popołudnie, przez ciężki sufit chmur przesączało się skąpe światło. Kiedy dostrzegł wejście na przystań, przerzucił nogę i dojechał rozpędem, stojąc na jednym pedale, po czym zeskoczył i jednym wprawnym ruchem przypiął rower do latarni.

Mae był tu ostatnio na początku lata, kiedy namówił Miś do przechadzki ścieżką wzdłuż brzegu. Pokazał jej miejsce, gdzie uporał się z włamaniem do jednego z magazynów wychodzących wprost na rzekę, widzieli też łodzie na kanale ciągnącym się od przystani. Wtedy jeszcze było na tyle ciepło, że ich mieszkańcy przesiadywali na pokładzie przy zachodzącym słońcu, popijając i grillując. Teraz, w ciemnej dupie listopada, to zupełnie inna historia. Wyczuwał dym z używanych tu niewielkich piecyków na drewno, czuł spaliny diesla. Słyszał było burczenie agregatów, akcentowane gęganiem pary bernikli kanadyjskich. Urywki śmiechu z pobliskiego pubu unosiły się i milkły w powietrzu.

Po schodkach wbudowanych w pochyły mur zszedł do byle jakiego biura w opartym na ceglach małym bloku z prefabrykatów. Zapukał i wszedł do środka. Tanie funkcjonalne meble zavalone były papierami, zapiskami gryzmołonymi na kopertach i stertą styropianowych kubków. Za biurkiem siedział gruby facet w koszuli uszytej z myślą o kimś szczuplejszym.

– Detektyw sierżant Mae. Rozmawialiśmy przez telefon. – Mae wyciągnął dłoń.

– Jupp – odparł tamten. Sprawiał wrażenie napuchniętego artretyka, kogoś, kto gładko się goli, a tymczasem powinien rozważyć zapuszczenie brody. Machnął swobodnie ręką w tył i rzucił: – Moja przystań. – Silny akcent

bristolski. Nie podniósł się, a wysuniętą dłoń uściśnął z niechęcią dopiero wtedy, gdy stało się jasne, że inaczej sierżant nie cofnie swojej.

Jupp wysłuchał Mae, który przedstawił mu ogólny zarys sprawy, po czym pogrzebał w szufladzie i wyciągnął klucz.

– To może zaprowadzę pana do jego łodzi?

Kiedy się podniósł, okazało się, że jest tak niski, że Mae widział błyszczący czubek jego głowy, rozświetlony odbiciem pojedynczej mrugającej świetlówki. Ale przy Mae wszyscy wydawali się niedużi.

Na zewnątrz zaczęło mżyć, a ostry wiatr zacinał prosto w twarz. Z trzech przepełnionych pojemników na kółkach dobywał się fetor piwskiego i zużytych pieluch. Przystanęli przed furtką, gdzie Jupp wpisał kod, zasłaniając przy tym klawiaturę szerokimi barami, aby uniemożliwić Mae poznanie numeru. Mae jednak i tak go zobaczył: 2580, po środkowej linii z góry na dół. Super, pomyślał, nie do złamania. Furtka zabrzęczała i się otworzyła.

Po ruszającym się pomoście zeszli nad wodę, a Jupp po drodze potwierdził, że nie widział Matta od poranka poprzedniego dnia.

– Mówił, że wybiera się do wypompowni.

– Gdzie to jest?

– Jakieś półtora kilometra stąd. – Wskazał ramieniem w dół rzeki, na wschód.

– Widział pan, jak tam płynął?

Jupp wzruszył ramionami.

– Nie. No ale przecież wrócił, prawda? Pewnie wczorajszej nocy wraz z przyływem. Jak robiłem obchód, łódź była na miejscu.

– Ale dziś go pan nie widział?

– Tu nie więzienie. – Schodzili z pomostu, Jupp z niechęcią otaksował Mae wzrokiem. – Wypływają i wracają, kiedy im się podoba. Prawdę mówiąc, to my, mieszkańcy łodzi, po prostu chcemy, by dano nam spokój, i niezbyt lubimy, gdy ludzie przychodzą, wtykają nos...

– W lewo czy w prawo? – spytał z uśmiechem Mae, świadom, że życie jest krótkie, a czas ucieka.

Jupp pociągnął nosem i skręcił w lewo, prowadząc Mae po metalowej kracie.

– To na jakich zasadach się tu cumuje? – spytał sierżant. – Ludzie płacą panu z góry?

– Wezwanie do zapłaty dwudziestego, płatność do pierwszego kolejnego miesiąca. Odstąpienie z którejkolwiek strony z miesięcznym wypowiedzeniem.

Do pierwszego brakowało paru dni.

– Ludzie te łodzie wynajmują czy mają na własność?

– I tak, i tak. Matt odnajmuje od mojego brata.

Mae poszedł pomostem pontonowym za Juppem trzydzieści, może czterdzieści metrów wzdłuż rzeki. W miarę jak szli, pomost się ugiął i podskakiwał, a ich kroki sprawiały, że poszczególne jego części stukały o siebie.

– Patrz pod nogi, chłopcze – rzucił Jupp, zerkając na Mae. – To niebezpieczne, gdy się przywykło do wygodnych podjazdów.

– O mnie się proszę nie martwić. Za dzieciaka ciągle chodziłem na ryby.

Jupp zmarszczył czoło.

– Nie wiedziałem, że tacy wędkują.

– Policjanci?

– Chińczycy.

– Koreańczycy. – Mae zamrugął.

Wzruszył ramionami.

– Jeden pies. Myślałem, że wolicie bilard. Gry hazardowe.

– No jasne. I wszyscy jesteśmy ninja.

Jupp zmarszczył brwi, ale Mae uniósł pojednawczo dłoń. Nie zamierzał dać się sprowokować.

Pomost podskakiwał im pod nogami, gdy mijali kolejne łodzie: wąskie mieszkalne, kruche z wyglądu motorówki z włókna szklanego, szerokie jednostki z kanciastym dołem, sterówką i wymalowanymi na dziobie holenderskimi nazwami: „Twee Gebroeders”, „Derkje”, „Ziet Op U Zelve”.

– Pan Corsham jest tu od dawna? Nie zalegał z opłatami? Były jakieś problemy?

– Przed paroma miesiącami sprowadził się ze Szkocji. Płaci na czas.

– Żadnych dzikich imprez, nic nietypowego?

Jupp spojrział gdzieś ponad jego ramieniem.

– Wyzywają nas od cyganów, wie pan? Od włóczęgów, rzecznych szumowin.

Mae słuchał, niepewny, do czego tamten zmierza.

– Chcę powiedzieć, że dostajemy po dupie. Ci, co mieszkają w cegle, mówią wprost, co o nas myślą. Więc trzymamy się razem, nie? Nie będziemy wyciągać sobie nawzajem jakichś brudów.

– Mnie nie chodzi o brudy. Chcę ustalić, czy nic mu nie jest.

– No to ten. – Jupp stanął i przerzucił mały pęk kluczy. – Tutaj.

Łódź Matthew Corshama należała do tych wąskich, była czerwono-zielona i stała ostatnia, za tablicą z przyłączami. Z zewnątrz wyglądała całkiem nieźle. Przez okno wewnątrz sprawiało wrażenie schludnego, na pierwszy rzut oka żadnych śladów włamania. Kiedy przesuwiał się, by zajrzeć w kolejne okno, łódź nagle się przechyliła, a pod pomostem zachlupotała woda. Jupp złapał się cienkiej poręczy i z kluczami w dłoni wciągał się na pokład. Po dłuższej szamotaninie z kłódką poddał się, burknął, sapnął i niezdarnie zszedł z burty.

– Pozmieniał, kurde, zamki. Powinien dopilnować, by zarządca terenu zawsze miał zapasowe klucze. Możesz pan popatrzeć sobie przez szyby, ale bez przyzwolenia brata ani myślę wyłamywać drzwi.

Jupp obrócił się, by wrócić, skąd przyszli.

– Macie tu kamery monitoringu? – zawołał za nim Mae.

– Nie. Za to mamy co robić. – Przystanął, żeby zapalić papierosa, po czym poczłapał w kierunku biura.

Mae wszedł na pokład. Gładki metal ślizgał mu się pod stopami, gdy zapierał się, by wepchnąć właz do środka. Ten nie ustępował, przykucnął więc do poziomu podwójnych drzwiczek, które sięgały mu najwyżej do uda. Złożył dłonie w daszek między czołem a szybą i zajrzał do środka.

Miś dałaby się pokroić za to, by tu zamieszkać. Z drugiej strony nie ma takiej sumy pieniędzy, za którą on zgodziłby się znosić brak kilkunastu centymetrów potrzebnych, by mógł się wyprostować, ale atrakcyjność miłego prostego życia w takim miejscu pobudzała wyobraźnię. Na płytkich półkach pod oknami, zabezpieczonych przed chybotaniem kawałkami napiętej żyłki, stały książki i kilka gier komputerowych. Na oparciu sofy leżała równo

złożona narzuta zrobiona na szydełku, a na ścianie między pojedynczymi oknami w niedopasowanych ramach do obrazów wisiały fotografie.

Już miał odejść, kiedy jego uwagę zwrócił jeden szczegół. Na stoliku naprzeciw piecyka leżała pojedyncza kartka papieru, a obok niej długopis. Mae podszedł do okna w pobliżu stolika, aby dokładniej się przyjrzeć. Ostrożnie kucając na wąskiej półce pod oknem, otarł z oczu krople deszczu i wyteżył wzrok.

Lista. Pasta do zębów, szczoteczka, maszynka do golenia. Niebieska torba, telefon, ładowarka, portfel, bilety. Aparat, film, baterie. Wszystkie przedmioty poodhaczane.

Doczytał do końca. Na odgłos zbliżających się kroków wolną ręką machnął na Juppa i wyprostował się.

– W porządku, już idę.

Kiedy się obrócił, zobaczył na tylnym pokładzie Ellie Power trzymającą w ręku klucze.

ROZDZIAŁ 16

Ellie

Promienie popołudniowego słońca drgały w kałużach pod moimi stopami, gdy zbliżałam się do przystani. Biuro było zamknięte, ale gdy schodziłam w kierunku łodzi, zobaczyłam pana Juppa. Na mój widok cisnął papierosa na ziemię i ciężkim krokiem szedł pomostem w moim kierunku.

– Policja nam się tu, cholera, zjechała, wypytują o Matthew – rzucił, mijając mnie. – Masz klucze, to go, kurde, wpuść.

Kurde! W piersi wzbierał mi pęczniejący strach. Zmusiłam się jednak, by zejść na dół. Zanim zdążyłam przemyśleć, co mogę powiedzieć, a co powinnam przemilczeć, miałam przed sobą Bena Mae, który zwisał z burty łodzi Matta.

– W porządku, już idę – rzucił i nie patrząc na mnie, machnął ręką.

Odchrząknęłam, a wtedy się odwrócił.

– Ellie.

– Posterunkowy Mae.

Uśmiechnął się.

– Długo się nie widzieliśmy. Teraz jestem sierżantem. Kieruję Wydziałem Poszukiwań i Identyfikacji Osób, więc dlatego... – przerwał, gestem wskazując na łódź, na przystań, na mnie.

– Gratulacje – powiedziałam.

Staliśmy tak przez chwilę, zanim przypomniałam sobie, co tam robię. Wdrapałam się, otworzyłam zamki drzwiczek i wsunęłam włącznik.

– Wchodzi pan? – spytałam.

– Zapraszasz mnie do środka?

– To się chyba tyczy wampirów, nie?

– Puszczę cię więc przodem. – Zaśmiał się i wskazał na wejście.

W miarę jak schodziłam, coraz wyraźniej czułam znajomy zapach drewna z delikatną nutą wilgoci. Miałam cichą nadzieję, że zastanę tam Matta, jednak kabina była pusta. Mae ruszył za mną, ale zatrzymał się na schodkach. Wskazał na cztery haczyki na ubrania obok drzwi.

– Czy coś na nich powinno wisieć?

– To zależy. – Zmarszczyłam czoło, przypominając sobie ostatni raz, kiedy tu byłam i kiedy ledwo znalazłam miejsce, by powiesić swój płaszcz. Matt uwielbiał chodzić piechotą, a że nadciągała zima, a on był chudy, musiał się ciepło ubierać. Ostatnio na tych hakach wisało wiele warstw jego ciuchów.

Weszłam i opadłam na kanapę. Miałam wrażenie, że odbyły się tu jakieś egzorcyzmy. Panował niemiłosierny chłód. Niewielki prostokąt paleniska uprzątnięto, a cienka warstwa niedawno odkurzonej tkaniny obiciowej nierówno odstawała. Zazwyczaj na oknach zbierała się para, lecz teraz były przejrzyste. Rozpięłam suwak przemoczonej deszczem kurtki i powiesiłam ją nad piecykiem. Mae wszedł i rąbnął głową w sufit.

– Kur...tka na wacie – rzucił, rozcierając bolące miejsce. O mało nie wybuchnęłam śmiechem: Matt ciągle miał siniaki na czole, bo niezmiennie uderzał się w głowę, kiedy tu wchodził. Odzyskawszy ostrość widzenia, Mae zauważył: – To mało rozsądne jak na kogoś jego wzrostu.

Bawiłam się kluczami, turlając w dłoni korkową kulkę breloczka. Mae wskazał na nie ruchem głowy.

– Pan Jupp nie dał rady otworzyć swoimi. Mówi, że zamki zostały wymienione.

Skinęłam głową.

– Po raz pierwszy z nich korzystam. Stare zamki po prostu zardzewiały. – Matt od dawna zapowiadał, że je wymieni. Ten komplet dał mi niespełna tydzień temu, miałam wrażenie, że po głębokim namyśle. Kiedy już pożegnaliśmy się pod moim domem, opuścił szybę w samochodzie i gdy już się oddalałam, zawołał mnie z powrotem. *Zatrzymaj je, powiedział. Nigdy nie wiadomo, może ktoś zechce się włamać i buchnąć mi brudne gacie.*

– A wiesz dlaczego? Względy bezpieczeństwa?

Zastanowiłam się przez moment, po czym pokręciłam głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Przecież by mi powiedział.

– Na pewno? Kolega z pracy mówił, że w szpitalu czekali na zwrot laptopa, więc...

– Zgubił go.

– Okej – odparł, wyciągając notes i sięgając po długopis. – Jakies szczegóły?

– Nic więcej o tym nie wiem. Poprosił tylko, żebym się rozejrzała po mieszkaniu.

– Ale go nie znalazłaś?

– Nie – odparowałam lekko zirytowana. Po namyśle doszłam do wniosku, że Matt go nie znalazł, a ja nie dopytywałam. Miałam poczucie winy, przywołałam w pamięci tamtą rozmowę: sprawiał wrażenie naprawdę zmartwionego, tymczasem ja nie zaproponowałam, że mu pomogę. – Czy to ma jakieś znaczenie?

Mae zrobił minę, która mówiła: skąd mam wiedzieć.

– Nikt go... nie ukraść? Jesteś pewna?

– Ja naprawdę... – urwałam. I przetworzyłam to, co przed chwilą powiedział. – Dlaczego w szpitalu chcieli, by go zwrócić?

Mae wziął głęboki wdech. W jego wyrazie twarzy było coś, czego nie potrafiłam zidentyfikować.

– Trust Opieki Zdrowotnej Zachodniego Londynu zatrudniał go na odnawianych umowach z freelancerami – powiedział, obserwując moją reakcję.

– Tak.

– Aż do końca ubiegłego tygodnia.

Zamrugalam, myśląc: nie. Przecież by mi powiedział.

– Ellie, nie wspomniał nawet, że stracił pracę?

Milczałam.

– Muszę spytać, czy twoim zdaniem w waszym związku są jakieś problemy?

– Nie.

– Bo to by wyglądało na raczej spore przemilczenie, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

– Jest okej. – Odpowiedź zabrzmiała głośno i ostro, aż zamrugał oczami. Poczułam, jak u podstawy czaszki budzi się Siggy, zadowolona i gotowa do prowokacji.

Czy było okej?

Mae pokiwał głową, przyglądając mi się przez moment, po czym podszedł do stolika.

– No i mamy to. – Podał mi kartkę.

Wzięłam. Wydrukowana lista rzeczy, które się zabiera w dalszą podróż. Trzymałam ją oburącz, a w kącikach oczu paliły mnie łzy.

Nagle jednak poczułam przypływ nadziei. A może po prostu wybrał się na wycieczkę? Ale jeśli tak...

Szczoteczka do zębów, pasta, maszynka do golenia...

To znaczy, że odszedł. Że mnie zostawił.

Przy każdym przedmiocie widniał ptaszek zrobiony niebieskim długopisem. Przejrzałam listę raz jeszcze, a w głowie zaczynało wirować mi tornado.

– To mógł napisać ktokolwiek – powiedziałam w końcu. – A gdzie długopis? Co? Szukamy długopisu, odcisków palców?

– Ellie... – Mae rozłożył ręce.

– Nie. On by tak po prostu nie zniknął. – Nie bez słowa. Kocha mnie. On mnie kocha! Odgarnęłam włosy z twarzy i zdecydowanym ruchem oddałam listę. – To nic nie znaczy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo jest nam razem dobrze, dlatego.

Bo i było nam dobrze. Nie ma mowy, by Matt planował odejście. Przed kilkoma tygodniami rozmawialiśmy o tym, by wybrać się na wycieczkę podczas długiego weekendu. Mama bardzo się martwiła, nie mówiła przy nim dlaczego. Chociaż wiedziała, że wszystko mu opowiedziałam, to w kółko nadawała na temat zamków w hotelowych drzwiach. Matt ani drgnął. Kiedy dała się ponieść emocjom i zażądała, by powiedział, jak zamierza poradzić sobie z Siggy i czy naprawdę rozumie, w co się pakuje, objął mnie ramieniem. *Christine, ja kocham twoją córkę. I nic tego nie zmienia.*

– A co, jeśli to nie napisał Matt? – Przeszłam do kuchni i odkręciłam kran, żeby napełnić czajnik. – No bo to niczego nie dowodzi, tak?

Przez moment żadne z nas się nie odzywało, a ja zdałam sobie sprawę, że pompa warczy, ale nic nie leci. Kran prychał kroplami i powietrzem. Zbiornik na wodę był pusty.

Odwrociłam się, by zajrzeć do lodówki: może jest tam cola. Otworzyłam drzwiczki i zerknęłam do środka. Było ciemno.

Obok mnie stał Mae.

– Ktoś ją wyłączył.

A przy tym starannie opróżnił i wyczyścił. Mae przystanął, po czym delikatnie zamknął drzwiczki, a mnie ręce opadły wzdłuż ciała.

– Czasami zimą wyjeżdżam – zaczął niespiesznym i cichym głosem. –

Zabieram małą na snowboard. Wtedy zamykam zawór wody i odkręcam wszystkie krany, aż spuszczę z nich całą wodę, żeby nie dopuścić do jej zamarznięcia, bo wtedy rury pękają.

Otworzyłam pojemnik na chleb.

– On nigdzie się nie wybierał. – Pojemnik był pusty.

– I zużywam wszystko, co mam w lodówce – ciągnął dalej, jak gdybym się nie odezwała. – I czyszczę ją, jak trzeba.

Przepchnęłam się obok niego, przeklinając ciasnotę, przeklinając fakt, że na durnej małej łajbie nie ma dokąd pójść, nie ma dokąd uciec.

– Powiedziałam, że się nigdzie nie wybierał. – Padłam na kanapę i nakryłam twarz dłońmi. Chciałam być obok mamy.

– Ellie.

Kiedy otworzyłam oczy, przyglądał się mojej szyi. Prędko opuściłam głowę, ale było już za późno.

Powoli zadał pytanie:

– A tu co ci się stało?

Nie pytał o bliznę. Chodziło mu o sińce.

– To nic takiego.

– Nieprawda.

– Nie chcę o tym mówić.

– Nie? – Podeszedł i usiadł obok mnie na kanapie. – Nie wygląda jak nic takiego.

– Ale to naprawdę nic takiego.

Nachylił się i spytał:

– Czy to Matt? Ellie, czy on cię skrzywdził?

– Nie! Boże, nie! Nigdy w życiu! On nie jest taki. Nie.

Mae odwrócił wzrok i oparł ręce na kolanach.

– Kiedy dostajemy zawiadomienie o zaginięciu, musimy przyjrzeć się wszystkiemu, co wydaje się podejrzanе. A prawdę mówiąc – ruchem głowy wskazał moją szyję – tajemnicze sińce są bardzo podejrzanе.

Spuściłam wzrok.

– To nie są tajemnicze sińce.

– Okej. – Czekał.

– Ja... lunatykowałam. Mama próbowała zawrócić mnie do łóżka. Byłam pobudzona. Musiała... użyć siły.

– I to było kiedy? Ubiegłej nocy?

Skinęłam głowę, a serce mi łomotało. Mae nachylił głowę, by przyjrzeć się raz jeszcze.

– Wygląda na to, że użyła dużej siły.

– Coś mi się po prostu pomieszało – wybąkałam.

– Pomieszało. W porządku. – Nastąpiła dłuższa pauza. – Widzisz, Ellie, mnie się ciągle coś miesza. Czasami nie pamiętam, czy nie zostawiłem włączonego piekarnika. Albo zapominam, gdzie mam auto, albo, no wiesz, wkurzam kogoś, i potem nie wiem, co takiego powiedziałem, że ten ktoś się zdenerwował. Ale jakoś nie pamiętam, by mi się aż tak pomieszało, żeby ktoś mnie chwycił za gardło.

– Mówię panu, to nie on.

Mae przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Potem poderwał się na nogi, złapał równowagę na falującej pod nim łodzi i zwrócił się w moją stronę.

– Więc na tę chwilę zakwalifikujemy to jako sprawę niskiego ryzyka...

– Niskiego ryzyka. Co to w ogóle znaczy?

– To znaczy, że poczekamy i zobaczymy, co będzie dalej. Upłynęło niewiele czasu. Jeśli mam być szczery, to zająłem się tą sprawą osobiście tylko dlatego, że w papierach zobaczyłem twoje nazwisko, inaczej dzwoniłby po ludziach pewnie jakiś mundurowy. Musisz wiedzieć, że obecnie wszystko

wskazuje na to, że Matt po prostu dokądś wyjechał. – Zapakował wszystkie rzeczy do torby. – Ale sprawa jest dynamiczna. Jeśli cokolwiek się zmieni...

– Czyli co będziecie dalej robić? – przerwałam. – Bo coś przecież musicie.

Na chwilę przygryzł wargi, by dobrać słowa.

– Słuchaj. Faceci to mięczaki. Czasami postępują jak ostatnie dupki. Jestem pewien, że był dla ciebie doskonały, a rozstania to koszmarna sprawa, ale...

– Nie. To nie jest rozstanie. Matt to najuczciwsza, najbardziej odpowiedzialna osoba, jaką można spotkać. To dobry człowiek i ktoś, na kim mogę polegać. Wiem, że mogę. Popelniacie błąd.

Przez chwilę bacznie mi się przyglądał, jakby starał się znaleźć coś w mojej twarzy.

– Przepraszam. Mam na głowie setkę innych spraw, a to... – wskazał ręką łódź, mnie – to po prostu nie jest sprawa dla policji – dopowiedział w końcu. – I tak już zrobiłem więcej, niż powinienem.

– Świetnie. To niech pan idzie. – Odwróciłam się. Nie chciałam, by zobaczył, jak płaczę.

Na pokładzie przykucnął i odwrócił się w moją stronę.

– Wiesz, tu nie chodzi o ciebie. Faceci to dupki. On sobie na ciebie nie zasłużył.

Patrzyłam, jak skacze na pomost, i myślałam, jak wiele dał mi Matt. Jak bezbrzeżną okazywał mi cierpliwość, jak bardzo starał się mi pomóc, abym uwierzyła w siebie.

Mae ma rację. Matt na mnie nie zasługuje. Absolutnie nie.

ROZDZIAŁ 17

Mae

Mae właśnie przerzucał nogę przez ramę roweru, kiedy usłyszał krótki sygnał syreny. W radiowozie siedziała Kit, a na jej obliczu malowała się wściekłość.

– Czy zamierza pan w najbliższym czasie odebrać telefon? – Opuściła szybę w oknie i wysoko podwinęła rękaw koszuli. Tuż nad łokciem widniały spiczaste palce stóp dziewczyny w stylu pin-up, którą miała wytatuowaną na bicepsie.

Wygrzebał telefon, nie zdołał go jednak wybudzić, pokazał na ekran.

– Sorry. Padła trupem.

– To z pana jest już trup.

Odpiął pasek pod brodą i zdjął kask, oparł łokieć na dachu samochodu.

– Co masz na myśli?

Kit zwróciła głowę ku wpiętej w klapę radiostacji.

– Mam go – zameldowała, po czym dodała: – Zajmę się tym, proszę pani. – A w jego kierunku rzuciła: – Do wozu.

– Chyba do wozu, panie sierżancie – poprawił ją, po czym wskazał na rower i już otworzył usta, by powiedzieć, że nie może, ale mu nie pozwoliła.

– Do wozu, panie sierżancie, ale już! Zapomniał pan odebrać córkę i teraz jej szukamy.

ROZDZIAŁ 18

Ellie

Długo siedziałam na kanapie Matta, wsłuchując się w odgłosy obijającej się o pomost łodzi. Myślałam o tej liście. Zaczęłam po kolei szukać wszystkich wymienionych na niej rzeczy. Nie było ani jednej.

Zabrzęczała moja komórka – dzwonili ze szpitala.

Odebrałam i nie czekając, że ten ktoś się przedstawi, rzuciłam:

– Znaleźliście go?

Zapadła cisza.

– Wybacz, Ellie, ale kogo? – spytała dzwoniąca i wtedy już wiedziałam, z kim rozmawiam. To Helen, która koordynuje grafik wolontariuszy na oddziale pediatrycznym, gdzie pracuję. – Dzwonię w sprawie sesji, którą miałas mieć dziś rano z dziećmi.

– O Jezu, przepraszam, bardzo...

– Słuchaj, niestety nie możemy cię dłużej trzymać na naszym wolontariacie.

– Co takiego? Czemu?

– Potrzebujemy kogoś niezawodnego. Nie możemy fundować dzieciom rozczarowań.

– Mówiłaś, że brakuje wolontariuszy! To dlatego Matt przepchnął moje papiery, żebym mogła...

– Nikt niczego nie przepchnął – sprostowała. – Słuchaj, bardzo bym chciała cię zatrzymać, ale na pierwszym miejscu musimy stawiać dobro dzieci, a skoro nie możesz dotrzymać danej im obietnicy...

– Przepraszam, po prostu...

– Nie – urwała zdecydowanie. – Też mi przykro z tego powodu, ale tak to właśnie wygląda. – Chłodno się pożegnała i rozłączyła.

Stałam w kuchni, mrugałam i nie byłam w stanie w to wszystko uwierzyć. Matt będzie na pewno rozczarowany. To on zaproponował mi ten wolontariat, załatwił zaproszenie na rozmowę, pomógł w napisaniu podania. Zresztą bardzo mi się tam podobało. Miałam nawet nadzieję, że a nuż dzięki temu pewnego dnia dostanę etat. A teraz wszystko przepadło. Osunęłam się na oparcie kanapy.

W tym momencie mój wzrok padł na duży metalowy zacisk do papieru zawieszony na haku obok zlewu z plikiem niewielkich papierów. Wzięłam go. W większości były to rachunki, ale też kilka pocztówek. Ale na samym końcu, pod kartonową zakładką, mającą zapobiec odcisnięciu się spinacza, było coś jeszcze. Wyblakła kwadratowa fotografia, w rodzaju tych, co to wychodzą wprost z aparatu i wystarczy pomachać nimi, podmuchać, a z wolna przed oczami pojawia się obraz. Barwy zdjęcia były nieostre, mało nasycone, jak gdyby miały przybrać kolor sennej sepii.

Mała dziewczynka. Chyba niespełna roczna, a już z gęstymi czarnymi włosami. Pomimo wyblakłego koloru wyraźnie było widać, że jej oczy mają różną barwę: jedno jest błękitne, a drugie zielone z wąskim skrawkiem brązu na tęczówce. Jej zaokrąglone policzki tryskają zdrowiem i zadowoleniem.

Ja.

Jako dziecko. Jedyne istniejące zdjęcie. Co ono tu robi?

Potarłam kciukiem po jego górnym brzegu i dwóch zaplamionych rdzą otworkach, zapewne śladach po zszywce. Kiedy miałam dwa i pół roku, było włamanie do naszego mieszkania z jednym łóżkiem, z którego za kilka dni miałyśmy się wyprowadzić. Cały nasz dobytek znajdował się już w pudłach stojących pod drzwiami. *Równie dobrze mogłyśmy to zapakować na prezent*, powtarzała później mama. Wszystkie moje zabawki, mnóstwo starych gratów mamy, ale, co najgorsze, wszystkie moje dotychczasowe fotografie.

Może dlatego, że nie miałam żadnych krewnych, brak tych zdjęć stanowił dla mnie w okresie dorastania potężną wyrwę. Robiłam albumy foto na niby, rysowałam portrety zmarłych dziadków, zmarłego taty. Na moich obrazkach był barczysty, ciemny jak ja i oboje mieliśmy jedno oko zielone, drugie niebieskie, a między nami stała drobna blondwłosa mama. Wieszłam te rysunki wszędzie, ale wciąż marzyłam o prawdziwej fotografii. Niestety, wszystkie zostały ukradzione.

Wszystkie poza jedną.

Znalazłam ją w książce. Miałam wtedy dziesięć lat i właśnie znów się przeprowadziłyśmy. Pamiętam, jak bardzo byłam podekscytowana, gdy wypadła na podłogę i gdy zdałam sobie sprawę, co to jest. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Pobiegłam do pokoju mamy, pękałam z dumy, że odnalazłam tak upragniony skarb. Spodziewałam się łez radości.

Łez radości jednak nie było. A jedynie prośba, żebym przestała grzebać w jej rzeczach, po czym resztę popołudnia spędziłyśmy w milczeniu. Wieczorem przeprosiłam mamę, a ona mnie objęła i również przeprosiła.

– To był ciężki okres, jeśli chodzi o twojego tatę – powiedziała, jakby próbowała się tłumaczyć. – Czas, kiedy byłaś dzidziusiem, zachowałam we wspomnieniach i tyle mi wystarczy.

Nazajutrz znalazłam zdjęcie złożone na cztery w kubie w łazience. Więc wyjęłam je i schowałam. Tym razem jednak nic mamie nie powiedziałam.

Na fotografii się uśmiecham. Spojrzałam w oczy malutkiej siebie i spróbowałam znaleźć tam Siggy. Czy gdy byłam mała, już siedziała w mojej głowie? Czy czekała się, czekała, aż przymknę oczy, aż z różowiutkiej buzi wypadnie smoczek, aby móc mi wtedy pokazywać wszystkie swoje okropieństwa?

Ale co najważniejsze, dlaczego to zdjęcie jest u Matta? Odszukałam je i pokazałam mu jakiś miesiąc temu, po tym jak przejrzeliśmy jego stary album. Ale mu go nie dałam. Włożyłam je z powrotem do książki. Wiedział, jak wiele dla mnie znaczy. To dlaczego mi je zabrał?

Wepchnęłam zdjęcie do kieszeni i rozejrzałam się dokoła. Przyszłam poszukać wskazówek, a jedyne, co znalazłam, to zdjęcie i wydrukowaną listę. Na zewnątrz zaczynał zapadać gęsty mrok. Dostrzegłam światło u pana Juppa i zdałam sobie sprawę, że niebawem będzie zamykać.

Kiedy otworzyłam drzwi do biura, parsknął i w pośpiechu ściągnął nogi z biurka. Z kącika ust sączyła mu się strużka śliny, którą zauważył dopiero wtedy, gdy opadła mu na nadgarstek.

– A, to ty? – rzucił oskarżycielsko. – Policja już sobie poszła?

– Na razie tak – odparłam, zmuszając się do uśmiechu. Jego wzrok powędrował wprost na mój biust i zawrócił, niczym dzieciak, który sięga po zakazane słodczy. – Ale szczerze mówiąc, wciąż się trochę martwię.

Przysunęłam sobie jedyne wolne siedzisko – tłoczone z plastiku krzesło w odcieniu wyblakłej zieleni – po czym przycupnęłam na brzegu i nachyliłam się w stronę zarządcy z możliwie dużą życzliwością.

– Wiem, że lubił sobie z panem pogawędzić – skłamałam. – Po prostu miałam nadzieję, że być może wspomniał o jakiejś wycieczce. Mówił coś, że nie będzie go przez pewien czas na łodzi?

Wydął policzki.

– Słuchaj, kotku. My, faceci, czasami musimy sobie upuścić trochę pary.

– Z nikim się tu nie poprzytykał? – spytałam, wiedząc, że gdyby tak było, Matt by mi to powiedział. – Ani nie zalegał z czynszem czy coś takiego?

Odchylił się i zrobił ważną minę.

– To poufne.

– Proszę pana, panie Jupp... – Głos mi się załamał od autentycznej desperacji. – Nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić.

– Słuchaj, kotuś, zostaw mi swój numer. – Podał mi pustą kopertę. – Jak mi coś przyjdzie do głowy albo jak zawali płatność, na pewno dam ci znać. A teraz wybaczone, ale żonka na mnie czeka, więc zbieram się do domu na herbatkę.

Napisałam na kopercie swoje imię i numer, pod spodem dodałam: JAKBY COŚ PAN WIEDZIAŁ, BARDZO PROSZĘ ZADZWONIĆ.

– Cokolwiek – powiedziałam, oddając mu kopertę, i wstałam.

– A jak już tu jesteś, może to zabierzesz, co? – Wskazał na stojący wzdłuż ściany regał z otwartymi przegródkami, niby skrzynki pocztowe. – Dostał ostatnio paczkę, ale się nie zmieściła, za duża.

Wyciągnęłam z przegródki Matta stertę korespondencji i szybko ją przejrzałam. Zawiadomienia, rachunki, wszystkie opłacone z góry.

– A mogę tę paczkę?

– Chuj wie, gdzie ona leży – odparł. – Jak znajdę, to podrzucę.

Podziękowałam, wsunęłam listy do jednej z przepastnych kieszeni płaszcza Matta i wróciłam na łódź. Zrzuciłam bluzę i skorzystałam z toalety przenośnej. Po wewnętrznej stronie drzwi łazienki było pełnowymiarowe lustro. Stałam przed nim i zaczęłam wspominać.

Kilka miesięcy temu, kiedy mama była na nocnej zmianie i mogłam być poza domem niemal do świtu, Matt i ja spędziliśmy przed tym lustrem wiele godzin. Rozbierał mnie powoli, jakby obierał jakiś egzotyczny owoc. Teraz stałam właśnie w tym miejscu, a moje odbicie muskało jedynie światło księżyca. Matt kazał mi patrzeć w lustro. Drobne włoski na rękach zjeżyły mi się na wspomnienie dotyku jego palców, gdy głaskał moje nagie ciało i całował każdą pomarszczoną bliznę na moich ramionach i plecach – pamiątkę po wypadku z dzieciństwa.

Zamknęłam oczy, przypominałam sobie, jak Matt delikatnie sunął grzbietami paznokci w górę wzdłuż moich boków, po czym sięgnął do piersi, wsuwając pod nie ciepłe dłonie. Jak dotknął kciukami moich sutków, nie pozwalając mi ani na moment spuścić wzroku. Światło było dokładnie takie jak teraz, identyczna niebieskawa poświata. Ułożył moje dłonie wysoko na tafli lustra, byłam więc pochylona do przodu i wtedy wszedł we mnie. Powoli. Mówił, żebym patrzyła sobie w oczy, powtarzał to raz za razem, bo ja tego nie chciałam. Aż w końcu uległam, a on się nie śmiał, mówił serio. Naprawdę serio. Kiedy wreszcie spojrzałam, oplótł mnie rękami i mocno przytulił, aż wydałam jęk.

– Popatrz, jaka jesteś – szeptał, gdy dochodziłam, rozdygotana, prawie nieprzytomna. Na karku czułam jego oddech, gorący, cichy i wilgotny. – Jesteś piękna.

Zamrugałam, by odpędzić wspomnienia, nie spojrzałam na swoje odbicie. Poszłam do części sypialnej. Zdjęłam narzutę i położyłam się do łóżka, zarzuciłam kołdrę na głowę. Leżałam w tym łóżku dziesiątki razy, ale nigdy nie zamierzałam w nim spać. Zamknęłam oczy i głęboko wciągnęłam powietrze.

Pachniało wilgocią, palonym drewnem i seksem.

Wsunęłam nieskaleczoną rękę w jeansy. Miałam silne poczucie jego obecności, wyraźnie czułam zapach jego skóry i włosów. Zaczęłam rytmicznie się poruszać, zataczać palcami maleńkie kółka, szukać ustami jego ust. Jego dłonie na moich piersiach. Dotykałam jego klatki, czułam swoje palce, które przesuwały się po jego ramionach w stronę karku, by wreszcie prześlizgnąć się ku gardłu. Jakieś przebliski obrazów jego twarzy, strzępki wspomnień, coraz szybsze.

Lecz wtem

lśniąca skóra jego szyi marszczy się i skręca, różowa, a nagle biała pod naciskiem moich palców,

i

jego twarz ogarnięta paniką, jego dłonie na moich, próbujące mnie chwycić,

i

szeroko otwarte oczy spoglądające na mnie, nierozumiejące,

i

charczący głos wydobywający się z jego ust, które nie wciągają ani nie wypuszczają powietrza,

i

jego dłoń sięgająca do mojej twarzy, jego oczy wciąż wpatrzone w moje. Kamyczki na ziemi wrzynające mi się w kolana, gdy nad nim kucam. Patyczki i liście, tak jak wtedy, gdy mama znalazła Jodie, i coś ostrego, drażniącego moją skórę. Zapach mokrych liści i ryk schodzącego do lądowania odrzutowca, i dzikie przerażenie w jego oczach świadomych już, że nie przestanę.

Wyskoczyłam z łóżka i z otwartymi oczami stanęłam zdyszana pośrodku maleńkiego pomieszczenia, ściskając głowę rękami. Cienka, zimna strużka potu spływała mi po plecach.

Czy to wszystko prawda?

Przycisnęłam pięści do oczu, aby odegnać upiorne obrazy, aby je wydrapać, ale one wciąż tam były. Pragnęłam wyrwać własne oczy z oczodołów i pozbyć się tych omamów. Wiedziałam jednak od Siggy, że kiedy coś wejdzie ci do głowy, w żaden sposób nie dasz rady tego stamtąd wyrzucić. Dygotały mi kolana, dygotałam cała.

Jedyne, o czym byłam w stanie pomyśleć, to pragnienie, żebym nie była ostatnim obrazem, który widział Matt.

ROZDZIAŁ 19

Mae

Ani śladu Miś. Kit prowadziła, więc Mae mógł się zająć telefonami – wykonał ich dziesiątki. Na basen, do kina, raz jeszcze do szkoły i do wszystkich jej znajomych, których Nadia jeszcze nie obdzwoniła. Z komórką przy uchu obserwował chodniki. Byli na drodze wyjazdowej w stronę Acton i jechali na tyle wolno, by Mae mógł zlustrować mijane boczne uliczki.

– Dzięki – rzucił do szkolnej sekretarki, która zgodziła się zostać po godzinach na wypadek, gdyby Miś tam wróciła. – Jakby co, proszę dzwonić.

Kit otrzymała od McCulloch polecenie, by zostać przy Mae, póki Miś się nie znajdzie. Nachyliła się nad kierownicą, taksując wzrokiem ulice.

– W ciemnym płaszczu, jest pan pewien? – spytała.

– Tak.

– Ale jakim ciemnym? Granatowym? Ciemnoszarym?

– Nie wiem, bardzo ciemnym!

– Jest pan pewien, że nie czarnym?

– Tak, jestem!

– Jak ją pan rano odwoził, miała w torbie jakieś ubrania, coś, w co mogłaby się przebrać?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Mae westchnął.

– Strój gimnastyczny? Miała dzisiaj wuef?

– Nie wiem.

– Kółko teatralne?

Walnął dłonią w deskę rozdzielczą.

– Powiedziałem, że nie wiem, jasne?

– Ja tylko staram się pomóc – zauważyła sarkastycznie Kit i swobodnym trąceniem dźwigienki zasygnalizowała skręt w lewo. Komórka Mae, podłączona do ładowania, podświetliła się i ponownie zabrzęczała.

Nadia.

Gdzie jesteś? Pytałam Molly Zacha Jess Anishę Freyę B Freyę M i Janade’a, nic.

W odpowiedzi napisał, że sprawdził w szkole, w dwóch najbliższych parkach, a teraz przeszuka sklepy. Wysłał wiadomość, podniósł wzrok i dostrzegł salonik z prasą, do którego wiedział, że Miś czasami zagląda, bo można tam poprzeglądać czasopisma.

– Zatrzymaj się – rzucił. – O tu.

Kit zjechała natychmiast na buspas, ściągając na siebie gromy kierowcy piętusa i sprawiając, że Mae o mało nie złamał nosa o deskę rozdzielczą.

Błyskawicznie rozpiął pasy i wyskoczył z wozu. Padał drobny deszcz, a temperatura spadła na tyle, że od razu zjeżyły mu się włoski na rękach. Miś musi być zimno. Nie znosi chłodu.

Kiedy Mae wszedł do środka, drzwi saloniku wydały z siebie elektroniczny pisk, a facet za kontuarem w głębi zerknął na niego znad gazety. Mae wyciągnął telefon i pokazał zdjęcie Miś.

– Szukam córki. – Wskazał ręką tuż poniżej klatki piersiowej i dodał: – Mniej więcej tego wzrostu. W ciemnym płaszczu.

Sprzedawca zmierzył go wzrokiem.

– Jakim ciemnym? Ciemny to nie kolor.

– Po prostu... ciemnym. Jasne. Widział ją pan?

Sprzedawca wbił wzrok w podsunięte mu zdjęcie. Szeroko uśmiechnięta Miś z lodami w ręku, parę miesięcy temu. Mae wysłał je wtedy Nadii, dopisując coś w stylu, że dobrze się bawią, na co kilka sekund później odpisała: *Jprdl, a dieta? To zawiera przynajmniej 300 kalorii!*

Tyle dobrego, że tamta drobna wtopa nie jest już na szczycie podium.

– A tak, kojarzę ją. Wiśniowa cola i... – sprzedawca skinął głową i spojrzał w sufit, jakby przeglądał coś w pamięci – duży twix. Była sama, jak zwykle. Może pół godziny temu?

Kiedy Mae wrócił do focusa, za samochodem wciąż stał autobus i ryczał klakson.

– I co? – spytała Kit, włączając się do ruchu, nim zdążył zapiąć pasy.

– Spróbuj w parku przy stacji Acton. O tam, obok...

– Tak, wiem gdzie. – Zawróciła i ruszyła prosto do celu. Zrobiło się niemal ciemno. Wycieraczki przyspieszyły. Kit już otwierała usta, lecz wciął się, zanim zdążyła się odezwać.

– Nie, uprzedzam pytanie. Nie miała ze sobą parasola. – Przynajmniej co do tego miał pewność.

Jechali w milczeniu.

Kit stuknęła palcami w kierownicę.

– To ma pan tylko jedno dziecko?

– Tak.

Znowu milczenie.

– A ty?

– Nie mam. I nie mogę, problem genetyczny – po czym pośpiesznie i bez śladu skrępowania dodała: – ale to żaden problem. To nie dla mnie.

Na wysokości The Vale ruch uliczny zgęstniał, przegoniła więc syreną furgonetkę blokującą przejazd, po czym dotarli na wschodni brzeg parku. Nagie krzewy przesłaniały huśtawki i zjeżdżalnie, więc oboje musieli mocno się wychylić, by móc cokolwiek zobaczyć.

– Jeśli gdzieś tu jest, to tam, na placu zabaw.

Kit zwolniła, żeby zaparkować. Objęła jednym ramieniem zagłówek, a drugą ręką obracała kierownicę, aż radiowóz ustawił się idealnie równolegle do krawężnika.

Mae rzucił się biegiem, po drodze przeszukiwał cały park, zaglądając we wszystkie krzaki i żywopłoty. Jego córeczka lubi kryjówki, wciąż buduje domki dla swoich pluszaków, bo ma zaledwie osiem lat.

Plac zabaw odgradzał niski czerwony parkan z metalowych barierek. Trudno dostrzec, gdzie jest furka, ale przeskoczyć górą dało się bez trudu. Nikogo na huśtawkach. Nikogo na piramidzie linowej, z której spadła, gdy miała cztery latka i złamała rękę. Została jej wąska, pomarszczona blizna w pobliżu łokcia, która będzie tam już na zawsze. Nikogo na zjeżdżalni, ale pod nią...

Pod nią siedziała skulona Miś.

Mae krzyknął i był przy niej w mgnieniu oka, poderwał córkę z ziemi, przytrzymał, przycisnął mocno do piersi. *Dziękuję*, powiedział w myślach, jak gdyby wierzył w kogoś, komu mógłby dziękować. *Dziękuję, dziękuję, dziękuję*.

– To boli – wybąkała i wtedy na nią spojrzał. Pachniała deszczem i gumą do żucia. Jej ramionka zwisały bezwładnie, co sprawiło, że miał uczucie, że za chwilę pęknie mu serce.

– Dopiero będzie bolało, jak dojedziemy do domu.

– Co? – Na jej buzi pojawiła się panika.

– I dorwę siekiere, którą specjalnie dopiero co naostrzyłem – zapowiedział, zmuszając się do uśmiechu, ale żart nie zadziałał.

Mocno przycisnęła dłonie do oczu, aby powstrzymać łzy.

– Zapomniałeś o mnie! Zostałam zupełnie sama.

Posadził ją na pieńku i przyklęknął przed nią na wbijającym się w kolana żwirze. Ujął jej twarz w dłonie.

I po raz pierwszy, odkąd przyszła na świat, zobaczył w niej siebie. Miał wtedy siedem lat, siedział pod mieszkaniem w Leeds i czekał, aż mama wróci i wpuści go do środka. Miał dziewięć lat, przenieśli się właśnie do dziadków, Nopy i Jobu, w piątkowy wieczór wyglądał przez okno w salonie z nadzieją, że tym razem mama naprawdę się pojawi i zabierze go na weekend. Kiedy miał dziesięć lat, choć nadal siadał przy tym samym oknie, to odwracał się do niego plecami, jak gdyby na nic nie czekał, jakby nic go nie obchodziło.

Spojrzał córce w oczy.

– Miś, obiecuję ci, że z nami będzie lepiej. W porządku? Zaslugujesz na coś więcej – wykrztusił, czując rosnącą w gardle gulę. – Już nigdy cię nie zawiodę.

Miś patrzyła w ziemię.

– Wysuszmy ją szybko – odezwała się Kit, która stała parę metrów dalej. Miś podniosła wzrok na tatę, a ten skinął głową, potrzymał ją jeszcze przez moment, a potem wypuścił z objęć. Kit zdjęła kurtkę, ukucnęła i nałożyła ją Miś na ramiona, po czym pobiegła przodem, aby nagrzać w aucie.

ROZDZIAŁ 20

Ellie

Było już ciemno. Przeszukałam wszystkie szafki na łodzi, zajrzałam na każdą półkę w poszukiwaniu wiadomości, listu, czegokolwiek, nic jednak nie znalazłam. Sfrustrowana, głodna i zziębnięta, zamknęłam łódź i opuściłam przystań drogą na skróty, idąc ukrytą, błotnistą skarpią po przeciwnej stronie pomostu. Pewnego razu Matt zapomniał klucza i wtedy pokazał mi, jak można przejść na drugą stronę. Pokonałam przeszkodę z drutu kolczastego, a kiedy już miałam wyjść na chodnik, przystanęłam, pomna tego, co mama mówiła o skaleczeniach na mojej dłoni.

Ostrożnie podwinęłam rękaw, odkleiłam opatrunek i włączyłam latarkę w telefonie. Skóra naokoło zranień była wilgotna i prawie biała od braku dostępu powietrza. Wyciągnęłam rękę w stronę drutu, żeby porównać z nim kształt i rozmieszczenie ciemniejących, potwornie bolesnych wyrw na dłoni.

Oczywiście pasowały do siebie.

Skończyłam owijać dłoń, kiedy zadzwonił telefon. Mama.

– Jestem w drodze – rzuciłam, chcąc jak najszybciej się rozłączyć, by zachować resztkę baterii.

– Poczekaj – powiedziała. – Dopiero wróciłam, przed domem od frontu coś się dzieje. Mnóstwo policji. Wejdz od tyłu, dobra?

Obiecałam, że tak zrobię, i ruszyłam szybkim krokiem. Parę przecznic przed domem skręciłam w prawo, zamiast jak zwykle w lewo, i poszłam pętlą przez Axmouth. Nie była to trasa, która sprawiałaby mi przyjemność. W zasadzie co najmniej raz w tygodniu pełno tu było zagradzających drogę radiowozów i policyjnych taśm, a następnie w miejscowej prasie aż kipiało z oburzenia na brak kamer monitoringu. Spuściłam głowę i klucz od domu ułożyłam w dłoni tak, jak mi pokazała mama.

W Axmouth na każdym kroku widać było nędzę i lata zaniedbań. Z drewnianych balustrad odpadały płaty białej farby, a pozbawione zasłon frontowe okna ziały pustką. Dziury w jezdni, graffiti na ścianach, potłuczone latarnie – nawet rynsztoki były zdewastowane, a zapychających je gnijących liści nikt nigdy nie usuwał.

Szerokim łukiem obeszłam grupkę młodych ludzi przycupniętych na murku z twarzami oblanymi poświatą telefonów, po czym przebiegłam przez kilka słabo oświetlonych ścieżek, aż z poczuciem ulgi dotarłam do ulicy na zachodnim krańcu osiedla. Dom był za następnym zakrętem. Zanim poszłam dalej, rozejrzałam się uważnie.

I stanęłam jak wryta.

Tuż obok bramy do garażu ujrzałam zaparkowanego białego volkswagena golfa z czarnym dachem, od dawna wymagającego paru napraw, na które do tej pory brakowało czasu. Miał naklejkę Greenpeace’u postrzępioną na brzegach. Na kratkach wentylacji pod szybą zalegały stare mandaty za parkowanie.

Był to samochód Matta.

Z dudniącym sercem podeszłam i powoli go okrążyłam. Kiedy zeszłej nocy Matt podrzucił mnie do domu, wysadził mnie w tym miejscu i pojechał do siebie. Dlaczego więc wóz stoi tutaj?

Kiedy zbliżyłam się do drzwi od strony kierowcy, dostrzegłam, że są otwarte. Pociągnęłam za klamkę. Zerknęłam jeszcze szybko za siebie, po czym wsiadłam i zatrasnęłam drzwi. Poczułam zapach wybielacza, który tłumił woń znajomej wilgoci.

W aucie były rzeczy Matta. Podniosłam porozrzucaną gazetę, pół paczki gumy do żucia, plastikowy widelec. Wsłuchiwałam się w panującą w środku ciszę. Złapałam kierownicę, zamknęłam oczy. Oparłam stopy na pedałach, tak jak Matt mnie tego nauczył podczas dziesięciu czy piętnastu lekcji, których mi udzielił. Pedały zaskrzypiały i stawiały lekki opór.

Zrozumienie, co to wszystko znaczy, zajęło mi trochę czasu. Otworzyłam oczy, popatrzyłam w lusterko wsteczne. Ujrzałam w nim dokładnie i wyraźnie obramowanie tylnej szyby.

Mierzący metr dziewięćdziesiąt Matt był ode mnie wyższy o niemal dwadzieścia pięć centymetrów. Za każdym razem, gdy uczyłam się prowadzić, musiałam najpierw poprzestawiać wiele rzeczy, zanim przekręciłam kluczyk.

Tymczasem lusterka były ustawione na poziomie moich oczu, a ręce spoczywały na właściwej wysokości na kierownicy. Stopami dotykałam pedałów.

Samochód stał zaparkowany o minutę drogi od mojego domu. Z dopasowanym do mnie przednim siedzeniem.

Wbiłam wzrok w kierownicę. Wtem, niczym odpowiedź na pytanie, które bałam się sobie zadać, coś przykuło moją uwagę. Uniosłam ręce, niezdolna uwierzyć w to, co widzę. Oto na kierownicy, na wysokości godziny drugiej i dziesiątej, widniały dwie brązowe smugi błota.

Wy tłumaczenie mogło być tylko jedno. Siggy potrafi prowadzić.

Bez tchu dobiegłam do mieszkania. Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze stanęłam na najwyższym stopniu, a ze środka wyszedł jakiś mężczyzna, który podziękował mamie i zbiegł po schodach na dół.

– To ślusarz – wyjaśniła, zagarniając mnie do środka i zamykając drzwi za nami. Zobaczyłam nowy mosiężny skobel, a powyżej jeszcze jedno stalowe wzmocnienie. – Zainstalował zamek, którego bez klucza od środka nie otworzysz – poinformowała. A kiedy zobaczyła mój wyraz twarzy, zrobiła krok w tył. – Cholera, Ellie, co jest?

– Wóz Matta. Właśnie go minęłam.

– I? – dopytywała, nie pojmując, jakie to ma znaczenie.

– Powiedział, że wraca wprost do siebie.

Natychmiast przeszła do swojej sypialni, odsunęła zasłonę i wyjrzała na ulicę.

– Gdzie?

– Stąd go nie widzisz. Ale tam... – Wskazałam. – Z tamtej strony.

Opuściła zasłonę. Spojrzała mi prosto w twarz, starając się wyczytać coś z moich oczu.

– Czy zazwyczaj tam parkuje?

Pokręciłam przecząco głową.

– No dobra. Chyba powinniśmy o tym powiedzieć policji. To przecież dobra wiadomość. – Przyciągnęła mnie i przytuliła. Ale kiedy mnie puściła, minęła już inną. – Co jest, kotuś?

Opowiedziałam jej o pedałach, o ustawieniu fotela.

– To przeze mnie, mamó! To Siggy.

– Kotku, Siggy nie prowadzi. Przesadzasz. Nawet ty nie umiesz prowadzić.
Odwróciłam wzrok.

– Ellie – szepnęła, nachylając się nieco, by uchwycić moje spojrzenie. –
O mój Boże. Ty prowadzisz?

Głosem, który sama ledwo dosłyszałam, odpowiedziałam:

– Dał mi parę lekcji.

– Ellie, powiedz, że żartujesz! Nie mogę uwierzyć, że mnie okłamywałaś!

– Ja nie kłamałam...

– Przemilczałaś, jeden pies – odparowała, a jej twarz napięła się ze złości.

– Przepraszam, mamó, nie gniewaj się.

Westchnęła i wzięła mnie za dłonie.

– To się musi skończyć, rozumiesz? Nie możemy sobie tego nawzajem
robić, musimy sobie ufać, jasne? Musimy.

– On tylko uznał, że powinnam być bardziej niezależna. Że lepiej będzie,
jeśli – zniżyłam głos do szeptu – jeśli to zostanie między nami.

Zamknęła na chwilę oczy, jak gdyby próbowała nad sobą zapanować.

– Posłuchaj mnie. On nie rozumie, Ellie, do czego jesteś zdolna. Nie
widział. Chryste Panie, gdyby wiedział o Siggy to co ja, w żadnym razie
nawet nie przyszłoby mu przez myśl uczyć cię prowadzenia. Nie mogę
uwierzyć, że podjęłaś tego rodzaju decyzję bez konsultacji ze mną.

Nie odpowiedziałam. Czekałam, aż jej przejdzie. Nastąpiła długa cisza.

– W porządku – odezwała się wreszcie. – Wygląda na to, że muszę po nich
zadzwoić. To jedyne, co możemy zrobić.

Nie mogłam się sprzeciwić. Wręcz nie chciałam tego, bo pragnęłam, aby
Matt się odnalazł, i cokolwiek, co może im pomóc go odszukać, musi być
dobre. Jednak gdzieś w głębi duszy...

– Ale co, jeśli...? – zaczęłam.

Położyła mi palec na ustach.

– Będzie dobrze. Dobrze? Poradzimy sobie. Rano do nich zadzwonię.

W przedpokoju odebrała ode mnie bluzę, którą właśnie zdjęłam.

– No to gdzie byłaś?

– U Matta – odparłam, wyjmując z kieszeni jego pocztę i odkładając ją na półkę nad grzejnikiem.

Zerknęła na nią, potem znów na mnie.

– Powiedziałaś, że zostaniesz w domu.

– Wiem, ale...

– Jeśli ktoś zobaczy twoją szyję...

– Mamo, czy on mnie po prostu zostawił? – wyszeptałam.

– Oj, kotuś – westchnęła tak głęboko, jakby na całej planecie nie było dość powietrza. – Nie wiem. Chciałabym to wiedzieć. – Objęła mnie, po chwili uścisnęła i puściła. – Chodź, musisz coś zjeść.

Na stole w kuchni stały już dwa talerze z sałatką z tuńczykiem i jajkami na twardo. Jadła w milczeniu, a ja grzebałam w talerzu.

Spojrzała na mnie.

– Zjedz jajka.

– Nie jestem głodna.

– Zjedz jajka, potrzeba ci białka.

Skrzyżowałam ręce.

– Naprawdę? A po co?

Westchnęła ciężko.

– Po wszystko. Choćby po to, żeby wszystkie ranki szybko się zagoiły. – Wskazała widelcem moją dłoń i wzięła kolejny kęs. – Poza tym chodzi o poziom cukru we krwi, przyrost mięśni.

– Przyrost mięśni? – Kiwnęłam głową w stronę sypialni. – Ubiegłej nocy gołymi rękami praktycznie wyjęłam drzwi z zawiasów.

To nie miał być żart, ale przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, po czym zaczęłyśmy się histerycznie śmiać. Próbowала się opanować, ale nie mogła, a ja znowu się roześmiałam. Wtedy obeszła stół i mnie przytuliła.

Będzie z nami dobrze.

Gdzieś w głębi mojego umysłu Siggy znów dała o sobie znać, tym razem w nieco cieplejszy sposób.

ROZDZIAŁ 21

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>1 września 2006</i>

CC: Dobrze cię znowu widzieć, Ellie. Jak ci się ostatnio układa?

EP: Chyba dobrze.

CC: Ostatnio wspominałaś o konflikcie z mamą na temat tego, czy możesz raz jeszcze spróbować ze szkołą. Jak w tym tygodniu wygląda ta sprawa?

EP: Martwi się, że będę się widywała z Jodie, wie, że wciąż się spotykamy, więc... no. Właśnie. Ale generalnie jest okej.

CC: Dobrze, to już coś... czy to się zdarza, kiedy spędzasz czas z innymi znajomymi?

EP: Nie mam innych znajomych. [śmiech] Założę się, że brzmi to tragicznie, czyż nie?

[pauza: 18 sek.]

EP: Po prostu się martwi, że będę rozmawiać o Siggy.

CC: Mama nie lubi, kiedy o niej mówisz.

EP: To nie tak, to znaczy rozmawiamy o niej w domu. Chodzi o to, że obcy mogą się ostro, no, wystraszyć.

CC: Wystraszyć?

EP: No tak.

CC: Opowiedz mi o tym.

EP: To jest, no, kiedy miałam sześć czy siedem lat, był taki sąsiad, który powiedział, że zgłosi nas na policję, bo Siggy ciągle podnosiła mnie w nocy i gdzieś prowadziła, a mama musiała mnie szukać. Z tego powodu się przeprowadziłyśmy.

CC: To musiało być dla ciebie bardzo stresujące.

[pauza: 15 sek.]

CC: Wzruszasz ramionami. Nie było?

EP: Sama nie wiem. Byłam dzieckiem. Moja pamięć zawsze... szwankowała. Choćby sprawa terapii: wiem, że byłam na terapii, ale wspomnienie po niej... po prostu go nie ma.

CC: To zupełnie zrozumiałe. Takiej dysocjacji, z którą się zmagasz, często towarzyszą okresy amnezji. Nad tym powinniśmy tutaj popracować.

EP: Ale mnóstwo rzeczy pamiętam doskonale.

CC: W porządku, opowiedz mi o nich.

EP: Tak o czymkolwiek?

CC: Jasne. Jeśli spytałbym cię o pierwszą rzecz dotyczącą okresu dorostania, jaka przychodzi ci do głowy, to co byś powiedziała? Nie chodzi mi o fugi, z którymi się zmagasz.

EP: Przeprowadzki.

CC: Okej. Pamiętasz, jak to było?

EP: Bardzo dobrze. Wciąż się przeprowadzałyśmy. Myślę, że tu, gdzie teraz mieszkamy, to jest dwunasty, może trzynasty dom. I nie chodzi o przeprowadzki tuż za róg, ale do innych miast, w totalnie nowe miejsca.

CC: Nigdzie nie osiadłyście na dłużej?

EP: Nie. Ale to było... normalne. Tak po prostu musiało być. Gdziekolwiek się zatrzymałyśmy, traktowałam to po prostu jako miejsce, gdzie akurat mieszkamy. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że miałybyśmy gdziekolwiek zostać przez długi czas.

CC: A te przeprowadzki były planowane? Czy wiedziałaś z wyprzedzeniem, że będziecie się przenosić?

EP: Nie. Mama za każdym razem mówiła, że właśnie to jest w tym... najfajniejsze.

[pauza: 27 sek.]

CC: Ellie, a czy to było fajne?

[pauza: 17 sek.]

CC: Czy to wzruszenie ramion oznacza przeczenie?

EP: Sama nie wiem. Czasami.

CC: W porządku. Jak myślisz, dlaczego tak często się przenosiłyście?

EP: No... tak jak w tym przypadku, o którym mówiłam, przez Siggy. Doszłyśmy do wniosku, że nie chcemy więcej niczyich, hm, interwencji, no i wie pan. Jeśli ktoś powiadomiłby policję, to od razu wkroczyłaby opieka społeczna, lekarze i tak dalej.

CC: A tego nie chciałyście.

EP: Nie. Miałyśmy dość. Żadna metoda się nie sprawdziła, nic mi nie pomagało. Tak jak mówiłam.

CC: Rozumiem.

[pauza: 28 sek.]

CC: A te pozostałe przeprowadzki. Czy to wszystko wynikało z... obawy, że ludzie się dowiedzą o twojej przypadłości?

[pauza: 32 sek.]

EP: N-nie wiem.

CC: Okej. W porządku. Pytam o to, ponieważ decyzje o przeprowadzce zazwyczaj rodziny podejmują pod wpływem dwóch czynników: przyciągającego lub wypychającego. Jeśli coś cię w danym miejscu przyciąga, to podejmujesz świadome działania, by przenieść się tam, do nowego domu, nowego miasta. Może to być, dajmy na to, nowa intratna praca, ale także by być bliżej kogoś, kto wymaga opieki...

EP: Nie, to nigdy nie było nic takiego. Moja mama nie ma rodziny.

CC: W ogóle?

EP: W ogóle. Jej rodzice zmarli.

CC: Rozumiem. A często o nich rozmawiacie? Nie? Okej. A o twoim ojcu?

EP: Nie. Nigdy.

CC: Myślisz, że możemy wysnuć z tego jakiś wniosek? Mówię to, bo większość matek stara się zachować pamięć o ojcu u ich dziecka, gdy na przykład je osierocił, chyba że twój tata był...

EP: Nie wiem, jaki był. Pytałam. Już nie pytam, mama nie lubi. Obstawiam, że nie był super.

CC: Okej. Okej, możemy później jeszcze do tego wrócić, ale teraz wróćmy do przyczyn przeprowadzek. Nie było zatem czynnika przyciągania. Natomiast w przypadku czynnika wypychania nacisk

stawiany jest na wyprowadzkę. Wtedy nie jest ważne, dokąd się przenosisz, byle nie zostać tam, gdzie jesteś.

EP: Jasne. Znaczą sama nie wiem, na przykład kiedy?

CC: Na przykład w przypadku tego sąsiada. Bywają też sytuacje, że w miejscu zamieszkania brakuje pracy albo z jakiegoś powodu jest problem z przedłużeniem umowy o wynajem...

EP: Mama zawsze znajdowała pracę, zawsze znajdowała dla nas mieszkanie, to nie tak, że byliśmy bezdomni.

CC: Rozumiem. Ale niekiedy czynnik wypychania ma charakter społeczny. Wtedy dana osoba albo rodzina może czuć, że musi się wynieść z obecnego miejsca, aby uciec przed jakimś zagrożeniem.

[pauza: 29 sek.]

CC: Albo przed kimś.

EP: Ale przed kim? Nie mamy żadnych... my nikogo nie znamy. Nie, z nami to nie jest tak.

[pauza: 18 sek.]

EP: Powiedziała by mi, gdyby był ktoś... Nie wiem, ktoś, kto chciałby ją skrzywdzić.

CC: Albo skrzywdzić ciebie.

EP: No tak.

CC: Łączy was wyjątkowo bliska relacja, a mama się o ciebie bardzo troszczy.

EP: Tak... Tak właśnie jest.

CC: Co do tego nie mam wątpliwości. Ale jest też możliwe, że... Ujmę to tak: kiedy matka ma dziecko, które boryka się z... poczuciem

niepokoju, a ona bardzo je kocha i wie, że pojawiło się jakieś zagrożenie, to czy twoim zdaniem może usiłować zachować je przed dzieckiem w tajemnicy?

EP: Nie wiem.

[pauza: 28 sek.]

EP: Tak sądzę. Ale jakie zagrożenie? Co pan ma na myśli?

CC: Zaczniemy może od tego, czego się boi Siggy. Na przykład ognia.

EP: Wszyscy boją się ognia.

CC: Tak, ale...

EP: Kiedyś przeczytałyśmy, że ogień to jest taka, no wie pan, metafora. Wie pan, że wszystko niszczy. To po prostu taki – jak to nazwali? – taki szyfr. Jak metafora utraty tego, na czym nam zależy.

CC: Czytałaś to z mamą?

EP: Tak.

CC: To ciekawa myśl. Tak, na pewno. Ale co z tym człowiekiem?

EP: Tym... ze snu Siggy?

CC: Tak. Mówiłaś, że ma na sobie mundur? Możesz coś jeszcze o tym powiedzieć?

EP: Czemu?

CC: Czemu? No bo pomogłoby to nam wyodrębnić źródło...

EP: Ale to tylko sen.

CC: W porządku. Ale i tak mi powiedz.

EP: Okej. Dobrze. Ten mundur jest zielony, więc jak u żołnierza? Tylko że ja nie znam żadnego. To nie jest prawdziwy człowiek, tylko, tylko jak z tym ogniem, wie pan? Człowiek z bronią budzi strach. Ogień budzi strach. On jest... No właśnie, to tylko symbol.

CC: Rozumiem.

[pauza: 17 sek.]

CC: W porządku, Ellie, wydaje mi się, że musimy się temu przyjrzeć bliżej.

ROZDZIAŁ 22

Mae

Mae zaproponował, że wniesie Miś do środka, ale ona nie chciała nawet o tym słyszeć. Wyskoczyła z auta i popędziła przez ulicę do bramy, gdzie czekała, nie oglądając się na ojca.

– Daj jej czas – powiedziała Kit, która szła zaraz za nim.

– Ale ja nie mam czasu. Za godzinę muszę ją odstawić do matki.

Przeszli przez łysy trawnik przed budynkiem, w którym mieszkał, i weszli do środka. Zapach moczu uderzył ich zaraz po otwarciu drzwi klatki schodowej.

– Wow! – rzuciła Kit, zakrywając nos dłonią. – Czy zawsze tutaj tak śmierdzi?

– Nie – odparł Mae.

– Tak – odparła Miś.

Kit spojrzała na Mae i uniosła brwi.

– W porządku. Dobrze wiedzieć, że jak będę awansować i osiągnę twój szczebel kariery, zrobi mi się wszystko jedno.

– Męczyłem o to zarządcę – zapewnił, choć jeśli miał być szczery, wspomniał o tym tylko raz, i było to ponad trzy lata temu, kiedy się tu wprowadzał. Dopóki w jego mieszkaniu było czysto i schludnie, to, co na zewnątrz, najwyraźniej nie miało znaczenia. Nie był raczej duszą towarzystwa, większość jego dobrych kumpli wciąż mieszka w Brighton, a odkąd się stamtąd wyniósł, kontakty się urwały. Tutaj, co prawda, miał drużynę do halówki i garstkę kumpli, z którymi chętnie spędzał wieczory w pubie, ale jedyną osobą, którą regularnie przyjmował u siebie, była mieszkająca nad nim siedemdziesięciodwuletnia Bettina.

Otworzył drzwi i weszli do środka. Dwudziestka, którą zostawił sprzątacze na kredensie, zniknęła, a w mieszkaniu czuć było sztuczny sosnowy aromat. Miś zdjęła płaszcz i odłożyła torbę, podczas gdy Kit stała w miejscu i z rozbawieniem rozglądała się wokoło.

– No co? – spytał.

– Nic. Ja tam nic nie powiem o braku kobiecej ręki czy coś w tym stylu...

– Dobra, dobra – uciał, przewracając oczyma. Ale wiedział, że ma rację. Nadia zatrzymała większość rzeczy nabytych wspólnie, i choć kupił sobie niezbędne meble, prawdą było, że wewnątrz nie wyglądało zbyt przytulnie. Zero dekoracji, żadnych obrazków w ramach: poza parapetem, na którym rozrastała się kolekcja pędów roślin domowych od Bettiny, nie było niczego, co pozwalałoby przybyszowi ocenić, jakim Mae jest człowiekiem, co jest dla niego ważne. Jakoś nigdy nie zabrał się do odpakowania tub z plakatami ze starych koncertów i z gadżetami N.W.A., które pewnie nawet Miś musiałaby uznać za czadowe. Ale też nic by się nie stało, gdyby w końcu odmalował jej pokój.

Poszukał czystej pizamy, aby Miś mogła się przebrać, po czym przypomniał sobie o obietnicy, że zadzwoni do Nadii, gdy tylko dotrą do domu. Poleciał Kit, by poszła do salonu i znalazła małej coś do oglądania, po czym wybrał numer.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– To – oznajmiła jego była żona – to jest dno ostateczne. Jasne? Dla niej już gorzej być nie może.

Nie był pewien, czy to zarzut, czy groźba, ale odpowiedział:

– Tak. Wiem.

– Daj mi ją do telefonu, Ben. Porozmawiamy, a potem po nią przyjadę.

Palcem stopy domknął drzwi salonu.

– Zmęczona jest, Naddy. Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli zostanie tu na noc.

Nadia wypuściła powietrze i już czekał na nadciągający tajfun słowotoku, lecz nie, w miarę upływających sekund zrozumiał, że Nadia zastanawia się nad jego propozycją.

Spróbował raz jeszcze.

– Naprawdę nic jej nie jest. No i zacząłem robić kolację, więc...

– Co jej podasz?

Zawahał się, przycisnął telefon między barkiem a uchem i kucając, otworzył lodówkę. Pół chorizo, trochę pietruszki, a do tego w kredensie miał puszki fasoli i krojonych pomidorów. Składniki połączyły mu się w głowie, aż niemal widział, jak bulgoczą na kuchence.

– Cassoulet? – odpowiedział dosyć pewnym głosem.

– Skonsultuję to z Mikiem – odparła w końcu i się rozłączyła.

Do pokoju weszła Miś, trąc oczy.

– Jestem głodna.

Podniósł ją, pilnując, by nie sapnąć przy tym jak przy dźwiganiu czegoś ciężkiego. Położyła mu głowę na ramieniu i ziewnęła, podczas gdy on gładził ją po włosach.

Nie zrobił nic, by zasłużyć na jej wybaczenie, mimo to je otrzymał.

Przyszła wiadomość od Nadii, w której dawała Miś nieoczekiwaną zgodę na przenocowanie u ojca. Kit powiedziała, że zajmie się jedzeniem, i wyekspediowała oboje do salonu, gdzie usiedli obok siebie, by obejrzeć kreskówkę, którą Kit puściła im na komórcę. Nie zdawał sobie sprawy, że zamówiła pizzę aż do chwili, gdy po kwadransie zjawiała się dostawa, wywołując okrzyk radości jego córki. Rozmyślnie unikając jego spojrzenia, otworzyła karton, a wtedy pokój wypełnił się zapachami topionego sera i pepperoni.

– Mogę? – zapytała, a kawałek pizzy zawisł w pół drogi do jej buzi.

Mae nawet nie mrugnął.

– Jasne. Nie odmawiaj sobie.

Zanim film się skończył, minęła dziesiąta. Mae wycofał się w środku seansu, niewyraźnie mamrotał coś o czekającej go robocie, a Kit bez słowa zajęła jego miejsce, wyrwała Miś dodatkową poduszkę i umościła się wyraźnie na dłużej.

Przez następną godzinę Mae metodycznie wprowadzał możliwe warianty pisowni nazwiska gościa, z którym Matt znał się z kółka fotograficznego. Namierzył kilka prawdopodobnych numerów i wysłał wiadomość z prośbą o kontakt. Kiedy usłyszał znajomą melodię podłożoną pod napisy końcowe,

Kit weszła do kuchni. W jednej ręce niosła puste pudełko po pizzy, w drugiej dwa kubki. W teatralny sposób odstawiała obok zlewu obydwie naczynia, na dnie których pozostała odrobina mleka.

– Śpi – wyszeptała. Podniosła kolano, złamała na nim karton po pizzy i złożyła go na pół. – Segregujesz?

Mae wskazał na narożny kredens, po czym przeszedł do drzwi salonowych, aby rzucić okiem na Miś. Jedną ręką zwisała jej bezwładnie z kanapy, ale Kit przykryła ją kocem. Na twarzy śpiącej córki nie było nawet śladu po niemożliwej do naprawienia traumie, którą dzisiaj przeżyła. Przymknął drzwi.

Kit miała głowę w lodówce.

– Piwo – oznajmiła, wyciągając butelkę. – Chcesz?

Był dziwnie pewny, że zarówno lodówka, jak i schowane w niej piwo należą do niego, mimo to przyjął propozycję. Kit zrobiła ręką jakiś śmieszny ruch i butelki się otworzyły.

Po przeciągłym łyku z odchyłoną głową oparła się o ścianę, trzymając butelkę czubkami palców.

Gestem głowy wskazała na salon.

– Nic jej nie będzie.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz. Jesteś przekonany, że zawalasz i że przez wasz rozwód mała jest nieszczęśliwa.

– Aa, czyżby? – Mae jednym haustem opróżnił butelkę do połowy i od razu pomyślał o czekającej pod zlewem kolejnej kratce.

Kit podeszła do kuchennego stołu, podparła się i usiadła na blacie, opierając stopy na siedzeniu krzesła.

– Jestem jedną z siedmiorga rodzeństwa. – W kąciku ust zamajaczył jej przekorny uśmieszek. – Trzecią od końca. Mój najstarszy brat, a drań jest całkiem wygadany, ukuł taką teorię, że ja jestem dzieckiem dziczy.

– Jezu, to tak mam teraz zapłacić za darmową pizzę? Muszę wysłuchać historii twojego życia?

Napiła się, podczas przechylania butelki uśmiechając się do niego, przełknęła.

– Bardzo śmieszne. – Odchrząknęła i mówiła dalej. – No więc, mój brat mówi, że pierwsze dziecko to największa inwestycja z punktu widzenia rodziców. Przy pierwszym wszystko jest wielką sprawą. Świeżo upieczeni rodzice jakimś cudem zapominają, że tak naprawdę guzik ich obchodzi dzieci innych ludzi, i nie potrafią tego podejścia zastosować do siebie. Dzieciak to jedyny temat, o którym są w stanie myśleć czy rozmawiać. Co je, jak długo śpi, no i to wszystko wrzucają na Facebooka, bla, bla, bla. – Zbyła niemowlęstwo pobłażliwym machnięciem dłoni. – Pojawia się dziecko numer dwa i sprawa się nieco uspokaja, nikt nie świruje, kiedy dzieciak sobie zadrapie kolano czy raz na jakiś czas nie zje śniadania. Przy trzecim mama wciąż stara się ogarniać sytuację...

– A dlaczego nie tata?

Przeszyła go ostrym spojrzeniem.

– A ilu znasz ojców z siedmiorgiem dzieci, którzy siedzą w domu?

– No...

– Jasne, kurna, że nie znasz. Ale słuchaj. Przy czwartym mama – albo tata – zdaje sobie sprawę, że ten statek tonie i że chodzi już tylko o to, aby przetrwać. Ostatnie dziecko zawsze będzie malutkie, a kiedy mama odprawi je po raz pierwszy do szkoły czy gdzieś tam, to utonie we łzach i już zawsze będzie chciała mieć maleństwo blisko siebie.

– Ale czekaj, coś przeoczyłaś.

– Numer pięć? – Podniosła butelkę do ust, upiła łyk i wskazała na siebie. – Chcesz wiedzieć, jak często zapominali mnie zabrać ze szkoły?

I oto doszła do sedna opowieści.

– Nie raz. – Wybuchnęła śmiechem, odrzuciła głowę do tyłu. – Raczej raz w tygodniu. I to od samego początku. Wtedy stałam tam jak palant, a wszyscy naokoło tylko: biedna, mała Catherine, gdzie twoja mamusia i ci wszyscy bracia i siostry? – Przewróciła oczami, ale się przy tym uśmiechała, te wspomnienia wyraźnie nie wzbudziły w niej uczucia smutku. – Pod sekretariatem stało takie specjalne krzesło i myślałam, że jest przeznaczone dla mnie. Tylko dla mnie. Za oparciem chowałam komiks, żeby mieć co robić, gdy czekałam, aż mama sobie o mnie przypomni.

Mae dopił piwo do końca. Przez ulotną chwilę wydawało mu się, że mógłby się teraz otworzyć. Powiedzieć jej, że to wszystko wie, a także że to, co wcześniej mówiła o porządku i poczuciu panowania nad sytuacją, było

bardzo trafne. No ale przecież nie może, bo jak? Nie może powiedzieć nic takiego, nie może nawet pozbyć się wyrazu twarzy dającego do zrozumienia, że wszystko brzmi ciężkavo i zbyt osobiście. Bo gdyby to zrobił, wówczas musiałby opowiedzieć o swojej matce. A na to nie był jeszcze gotowy.

– Chcę przez to powiedzieć... – zaczęła Kit.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – mówiąc to, czuł, jak zmienia się jego nastrój, miał wrażenie, że nie panuje nad tonem własnego głosu. – Zawsze trafi się jakiś dzieciak nieszczęście, którego wszystkim jest żal.

Podniosła brew, zeskoczyła ze stołu i wcisnęła mu pustą butelkę.

– A nie – odparła, wkładając płaszcz. – Chcę powiedzieć to, do czego zmierzam od początku. Wyszłam na ludzi. Błędy się zdarzają, życie układa się mniej niż idealnie i trzeba sobie z tym radzić. Masz wpadkę, ale jedziesz, kurde, dalej. Już się tak nie zadręczaj.

Usłyszał znajome grzmotnięcie w mieszkaniu wyżej. Spojrzał na zegarek: minęła jedenasta, co oznacza, że Bettina skończyła już pracę jako moderatorka czatu i jest gotowa na zwyczajową szklaneczkę rumu. Rzucił okiem na Miś smacznie śpiącą w swoim pokoju o gołych ścianach. Na jej idealną buzię padało światło lampki nocnej, którą ma od urodzenia. Delikatnie zamknął drzwi, przełożył z zamrażalnika sześć foremek zapiekanki do plastikowej torby, po czym ruszył na górę.

Bettina już na niego czekała za uchylonymi drzwiami wejściowymi. Zdjęła łańcuch i zaprosiła go do środka. Jej mieszkanie, choć rozkładowo identyczne jak jego, nie mogłoby być bardziej odmienne. Wszystkie ściany były zawieszone obrazami, fotografiami miejsc, które odwiedziła, a nawet pocztówkami. Stały tam donice z dziesiątkami, jeśli nie setkami najrozmaitszych roślin, które kwitły też w wiadrach i wypełzały z doniczek ustawionych wysoko na półkach, tak jak Nadia ustawiała książki.

– Wszystko w porządku? – spytał Mae, przekazując torbę, po czym odebrał podaną mu szklanekę. – Nie mogę zostać długo. Jest u mnie Miś.

Sąsiadka podziękowała za prowiant i zmrużyła oczy.

– Wydawało mi się, że teraz miała być u mamy.

– Bo miała. Doszło do, no, zmiany planów.

– Nieprawda – odpowiedziała bez ogródek. – Coś się stało.

Uśmiechnął się, popił łyczek mahoniowego trunku, po czym wyznał prawdę, bo miał tylko takie wyjście. Możliwe, że pewnego dnia jakaś sztuczna inteligencja zdoła okłamać Bettinę, ale jemu nigdy się to nie udało.

Wysłuchiwała go uważnie, dopiła rum i wstała.

– Wiesz, kto jeszcze tu do mnie zachodzi?

Mae, zaskoczony i niepewny, czy w ogóle go słuchała, pokręcił głową.

– Nikt. – Uśmiechnęła się. – A czy wiesz, że z moją rodziną na Jamajce rozmawiam przez Skype’a?

– To – szukał właściwego słowa – smutne. Przykro mi, Bett.

– Ha! – rzuciła i sięgnęła po tytoń. – Nie o to mi chodzi.

Czekał na ciąg dalszy, ale nerwowo zerkał na drzwi, świadom, że jeśli Miś obudzi się sama w domu, to się nieźle wystraszy.

– Mam na myśli, że ty tu zachodzisz. A nie musisz. Nigdy nie proszę cię o te upominki – powiedziała, gestem dłoni wskazując na mrożone dania. – Wiesz, dlaczego tu przychodzisz?

Bo słuchasz, chciał jej powiedzieć. Bo zawsze jesteś obok mnie. Bo pachnie u ciebie jak w domu moich dziadków. Ale nie mógł tego wyznaczyć, więc nic nie powiedział.

– Przychodzisz, bo jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś też dobrym ojcem. Widziałam was, kiedy przyjechaliście. Z taką kobietą. – Posłała mu uśmiech i skinęła głową. – Piękna dama.

– Nie, słuchaj, ona jest...

– Cicho, mnie to nie obchodzi. Gołym okiem było widać, jak bardzo zależy ci na Miś. Cały czas patrzyłeś wyłącznie na nią. Rozumiesz? Przydarzył ci się błąd. Jesteś tylko człowiekiem. Nie możesz bez przerwy myśleć o tym, co zrobiłeś źle, Benjaminie.

Po powrocie do swojej kuchni wypłukał trzy butelki po piwie i wyrzucił je do właściwego pojemnika. Sprawdził wiadomości: jedna od Roda, kumpla, który chciał wyskoczyć razem na browar, i kilka w sprawie policyjnego meczu halówki w najbliższy weekend. W obydwu przypadkach odpisał coś, byle podtrzymać kontakt. Następnie, czekając na wrzątek w czajniku, przeszedł do

sypialni, wyciągnął pudło, które trzymał na górnej półce zabudowanej szafy, i przeniósł je do kuchni.

Obecnie pozwalał sobie na to jedynie od czasu do czasu, ale kiedy już to robił, to dogłębnie, z pełnym zaangażowaniem. Podniósł wieko i wyjął zawartość pudła na stół. Kopie wszystkich dokumentów z dochodzenia w sprawie Arden: oświadczenia, fotografie, raporty, transkrypcje, wszystko. Zaparzył bezkofeinową kawę, sprzątnął z krzesła ślady błota, które odpadło z butów Kit, po czym zabrał się do czytania.

Kiedy stawiał się na wezwanie dyspozytorki numeru alarmowego, Jodie Arden nie było już od niemal dwóch dni. Zaginięcie zgłosiła jej matka Lucy. Mae kończył właśnie zmianę. Miał nadzieję, że wróci do domu na czas, by wykapać Miś, która niedawno skończyła trzy latka. Ale sierżant Ian Heath, do którego Mae był przydzielony, nalegał, by natychmiast zajęli się tą sprawą. Jak mówił, potrzebne mu są nadgodziny. W domu miał cztery córki. Mae zapamiętał, jak walnął go w ramię i powiedział: A czego się nie robi, by nie musieć układać ich do snu, co?

Tak więc pojechali, a Heath całą drogę nadawał o jakiejś ciągnącej się od dawna wojnie na wyczerpanie, jaką prowadził z jedną taką detektyw, która jego zdaniem była traktowana ulgowo, a to ze względu na czynnik, który lubił określać „efektem miseczki D”. Mae, który pełnoprawnym posterunkowym był dopiero od miesiąca, starał się, jak mógł, nie słuchać słów mentora, aż dotarli na miejsce. Heath słynął w gronie kolegów nie tylko z zapalczywości, ale również ze skłonności do żywienia urazy, więc Mae nie zamierzał mu się przeciwstawiać.

Wpadli przez drzwi prowadzące do kompleksu na klatkę schodową.

– Tym razem ty się tym zajmiesz – rzucił Heath, tłumiąc dłonią beknięcie, i poklepał się po klatce piersiowej. – Zobaczymy, czy słuchałeś rad mistrza.

Mae nie miał wtedy żadnego doświadczenia, ale gdyby je miał, to gdy Lucy Arden otworzyła drzwi, od razu by spostrzegł, że chodzi o coś gorszego niż zaginięcie. Było coś w jej spokojnej, monotonnej, stroskanej serdeczności. Może chodziło o pokój Jodie, do którego Lucy koniecznie chciała go zaprowadzić już w momencie, gdy stanął w progu. Ściany pokoju nastolatki pokrywały murale, które, jak Lucy czym prędzej wyjaśniła, były dziełem Jodie.

– Genialna jest, prawda? – dodała, kiedy komplementował prace, a jej oczy były czerwone od płaczu. – Nie znosi szkoły, ale kocha sztukę, więc tym się właśnie zajmuje. Uwielbia malować.

Lucy zdążyła już wyrzucić na podłogę zawartość torebek i plecaków córki, opróżniła szuflady, teczki i kieszenie, a teraz grzebała w tym wszystkim, usiłując wpaść na jakiś trop. Pokój poobwieszany był plakatami dziewczyn grających muzykę grunge, między innymi Courtney Love, oraz tablicami z różnych demonstracji.

– U moich dziewcząt na ścianach takich zdzir nie uświadczysz – rzucił półgłosem Heath, wydymając wargę. Lecz Mae nie był zainteresowany gustem muzycznym Jodie. Nawet specjalnie nie szukając, na każdym kroku, w każdym pomieszczeniu widział dowody na to, że jest to stabilny dom rodzinny, choć tylko dla dwóch osób. Podczas gdy się rozglądał, Lucy opowiadała, że Jodie ze szkołą jest trochę na bakier i że przez ostatni tydzień nie chodziła na zajęcia.

– Tak już z nią jest, nagle dochodzi do wniosku, że ma dosyć edukacji, odmawia pójścia do szkoły, a potem znowu tam idzie.

– A w domu między wami wszystko dobrze się układa? – spytał, przyglądając się zdjęciom wetkniętym między lustro toaletki a jego ramę. Wiele z nich przedstawiało matkę z córką. Obrazki zabawy, chwil prawdziwego szczęścia, bardzo naturalne.

– Parę razy się poprzytykałyśmy. Wie pan, ona teraz testuje granice. Jak to nastolatka.

Mae skinął głową i odłożył fotografie na miejsce. Pomyślał, że nawet jeśli się poróżniły, to nie jest to dom, z którego ucieka się bez naprawdę poważnego powodu.

Kiedy wreszcie usiedli przy kuchennym stole, w jego głowie rozległ się pierwszy dzwonek alarmowy.

Lucy podejrzewała, że Jodie ma chłopaka. Co byłoby okej, tyle tylko, że jej zdaniem, chłopak jest o wiele starszy od Jodie. Kiedy Mae spytał, ile starszy, nagle załkała, tylko raz, po czym odwróciła wzrok.

– Nie wiem nawet, kto to jest – odpowiedziała. – Po prostu wiem, że kogoś ma. – Zaczęła wyjaśniać, że córka często bywa do późna poza domem, że ma pieniądze. Że doszło do awantury, kiedy Lucy odkryła, że córka robi sobie telefonem wyzywające zdjęcia. Heath tymczasem kręcił się po kuchni

i częstował ciastkami. Mae poprosił więc Lucy, by spisała nazwiska znajomych i miejsca, gdzie Jodie lubi bywać. Nachyliwszy się nad notesem, Lucy nieświadomie skubała sobie brwi, toteż kiedy odebrał listę, wierzchem dłoni musiał zgarnąć drobne półkoliste włoski.

Zapisał wszystkie wersje wypadków sprzed dwóch nocy, przy czym z każdą chwilą rosła w nim świadomość obecnej w nich niespójności.

W chwili wyjścia z domu Jodie była sama albo może z kimś bliskim.

Miała na sobie płaszcz, choć mogła to być sukienka z cekinami, ale niemal na pewno miała na nogach martensy. Chociaż możliwe, że jednak tenisówki marki Hi-Tec.

Jodie była poza domem od szóstej czy może ósmej albo wyszła, gdy Lucy rozmawiała przez telefon z bratem, a rozmowa trwała do siódmej, choć może to było tak bliżej dziewiątej.

Mae kombinował, wybiegając już myślami do przeglądania ujęć z kamer monitoringu, chodzenia od drzwi do drzwi, sprawdzania billingów telefonicznych, bo byli ludzie niewiarygodni, bywali ludzie naprawdę niewiarygodni, a wreszcie była ta oto nieszczęsna kobieta. I jeśli absolutnego braku pewności w wypowiedzi Lucy nie złożyłby na karb doznanego przez nią szoku, to trudno by mu było znaleźć tu jakiś punkt zaczepienia.

– Spróbujmy się zatem zastanowić, kto jeszcze mógł ją widzieć od środy – zaproponował. – Czy jest ktoś, kto często was odwiedzał? Znajomi, rodzina?

– Tak, jest przyjaciółka Jodie. Zaraz tutaj będzie.

– W porządku. Ktoś jeszcze?

Objęła się rękoma. Spuściła wzrok.

– Zaczęłam się z kimś spotykać. Z Charlesem – wyznała, a w jej spojrzeniu dostrzegł nagłe objawienie. – Zaniedbywałam ją – wyszeptała, a oczy nabiegły jej łzami. – Dlatego tak się stało. Czy ja ją zaniedbywałam?

Tak delikatnie, jak tylko potrafił, zapewnił ją, że to wątpliwe, że z nastolatkami bywa trudno, że jest przekonany, że świetna z niej mama. – Ale myśli pani, że Charles mógłby wiedzieć, dokąd się udała?

Nawet po latach Mae pamięta dźwięk dzwonka do drzwi, który przerwał ich rozmowę, i szloch Lucy na widok przybyłej osoby.

Bo kiedy grzecznie popijał herbatę, której tak naprawdę nie chciał, do kuchni, a przede wszystkim do jego dochodzenia, wkroczyły czternastoletnia

dziewczynka z matką, które miały odmienić koleje jego życia równie gwałtownie, jak spadający gład zmienia nurt potoku.

Kiedy się obudził, Miś stała obok przy stole, oparła rączkę na jego ramieniu, czuł jej ciepło przez tkaninę koszulki.

– Tatusiu – szeptała. W kuchni panował lodowaty chłód. – Tato.

Podniósł głowę z blatu, otarł usta i na moment dotknął dłońmi oczu. Zdjął z laptopa stertę papierów i poruszył myszką, by wybudzić ekran: była trzecia trzydzieści cztery. Zamknął pokrywę i wstał, chwytając Miś za rękę.

– Miałam zły sen. – Potarła powieki, a on przyciągnął ją do siebie i zaczął głaskać po gładkich jak piórka włosach. – W pokoju było pełno wody. Była tam babcia...

Przerwał pieszczoty.

– Babcia? – O matce Nadii mówiła zawsze Babunia.

– Twoja, tatusiu. Twoja mama.

Na jej wspomnienie coś się w nim zacięło, ale zmusił się, by w dalszym ciągu głaskać córkę po głowie.

– A co, kochanie, robiła? – Nie: *a jak wygląda?* Nie: *skąd wzięła się w twoich snach, skoro nigdy jej nawet nie poznałaś? Skoro nawet nie wie, że istnieje?*

– Nie umiałam pływać. A ona tam była, na brzegu, ale... ale nie chciała mi pomóc. Mamusia nie słyszała, a ty byłeś... – nagle głos jej się załamał i pokręciła głową, zaciskając oczy.

– Ćśś, Miś. – Opuścił ramiona i mocno ją przytulił. – Nic się nie stało, to był tylko zły sen.

– Boję się, tato – powiedziała wprost.

– Czego, kochanie?

Nastąpiła długa cisza, podczas której musiał zwalczyć chęć ponownego wypytania o te wredne dzieciaki, które widział pod szkołą, o to, czy Mike rzeczywiście jest wobec niej w porządku, jak to zawsze powtarza.

Ale dał jej czas, by sama sformułowała odpowiedź. Po długim milczeniu powiedziała po prostu:

– Czasami boję się wszystkiego.

Mae zabrał ją z powrotem do łóżka i odgarnął delikatne czarne włosy z buzi. Po chwili już spała, ale on jeszcze długo przy niej siedział. Patrzył, jak oddycha, i cichym spokojnym głosem mówił, że wszystko będzie dobrze, że nie ma się czego bać, bo tatuś jest przy niej. A ona spała i spała, zbyt głęboko i spokojnie, by się z nim spierać.

ROZDZIAŁ 23

Ellie

Częstotliwość zniżających lot samolotów malała, a hałasy dochodzące z zamykanych właśnie pubów cichły. Siedziałam w swoim pokoju już od wielu godzin, ale na sen nie było szans. Sprawdziłam godzinę na telefonie. Druga piętnaście.

Dwadzieścia siedem godzin, odkąd Matt zniknął. Mama już pewnie powiadomiła policję o samochodzie. Mimo to sądziłam, że odezwą się dopiero rano. Będzie zbieranie odcisków palców, przeglądanie zapisów z monitoringu. Może na tym się to wszystko skończy.

Odpuściłam sobie próby zaśnięcia, wstałam z łóżka i po omacku złapałam szlafrok. Ściągnęłam go z zamkniętych drzwi pokoju i stanęłam twarzą w twarz z moim odbiciem w lustrze. Lustro przekłamywało, bo wykonano je z jakiegoś tworzywa, żeby nie mogło się rozbić – wszystko w moim pokoju musiało być bezpieczne. Nie mam tu nawet pęsety. Podniosłam podbródek, żeby przyjrzeć się szyi. Wokół sińców barwy atramentu pojawiały się pierwsze wykwyty zieleni. A tam, tuż pod nimi, była moja blizna.

Niekiedy zapominam, że tam jest. Czubkiem palca dotknęłam twardej węglowatej skóry i przejechałam wzdłuż uszkodzonej tkanki. Po raz kolejny nie mogłam uwierzyć w to, co kiedyś zrobiłam. Miałam wtedy czternaście lat. Trzy tygodnie po sprawie z Jodie. Poderżnęłam sobie gardło nożem. Wybrałam ostry jak brzytwa, z falowaną klingą, aby przytrzymywała mięso i przecinała włókna. Pamiętam, jak zważyłam go w dłoni i oceniłam, że ten będzie najlepszy, bo największy. Zrobił się straszny syf, ale ten nóż mnie nie zabił. Oglądałam w lustrze, jak to sobie robię. W ostatniej chwili, kiedy przeciągałam ostrzem w poprzek szyi, najbardziej pragnęłam zobaczyć Siggy. Patrzyłam sobie głęboko w oczy, bo chciałam, żeby wiedziała, że nie udało jej się ze mną wygrać. Wtedy byłam w stanie myśleć wyłącznie o tym, że jeśli ja

nie będę żyć, Siggy nikogo już nie skrzywdzi. Pragnęłam tylko się jej pozbyć. Odebrała mi przyjaciółkę, więc chciałam ją ukarać i zadać jej cierpienie. I nieważne, że w ten sposób również samej sobie.

Kiedy straciłam przytomność, uderzyłam głową w bok wanny, co usłyszała mama. Wyłamała drzwi do łazienki. Ileś dni później w szpitalu pielęgniarz zmieniał mi opatrunek i myśląc, że śpię, powiedział do kogoś, kto mu w tym pomagał, że jeśli ten widok zacznie go prześladować, będzie musiał prosić żonę, by to ona pokroiła pieczeń jagnięcą. Pomyślałam, że to żart, ale żaden z nich się nie roześmiał.

A zresztą i tak wszystko na próżno. Siggy tamtej nocy w ogóle nie dała o sobie znać, wciąż nie wiedziałam, co wyrządziła Jodie. Mama nigdy nie powiedziała, co zrobiła z jej ciałem. Jednego dnia miałam przyjaciółkę, a nazajutrz jej nie było.

Obróciłam się tyłem do lustra, uniosłam top i spojrzałam przez ramię. Widziałam właściwie wszystkie pozostałe ślady. Połowę ciała pokrywało morze drobnych zmarszczek i żłobień, tak jakby skóra została w tych miejscach przyszczypnięta, ale się nie zagoiła. Pas uszkodzonej tkanki ciągnął się przez pośladek, między nogami, wzdłuż wewnętrznej strony ud.

Wiele razy próbowałam przypomnieć sobie wypadek z dzieciństwa, ale to tak, jak gdyby ktoś wziął gumkę i wymazał ten rozdział mojego życia. Nic z tego nie pamiętam: ani samego wypadku, ani bólu, ani rekonwalescencji, ani też szpitala, nic. Jak mówił doktor Cox, w przypadku traumy to nic wyjątkowego. Powiedział też, że umysł może zrobić wszystko. Nawet unicestwić przyczynę tego, od czego człowiek rozpada się na kawałki.

Mama opowiadała mi tę historię wielokrotnie, więc znałam ją na pamięć. Skończyłam cztery latka, właśnie miałam zacząć szkołę. Mama zrezygnowała już z kariery dziennikarskiej i pracowała z domu – oceniała prace na zlecenie miejscowej uczelni. Był czas egzaminów i miała mnóstwo roboty: była przepracowana, nie mogła dopilnować wszystkiego naraz, a ja się nudziłam i nie potrafiłam usiedzieć spokojnie. Na kuchence grzała się patelnia, a mama była w drugim pokoju. Powiedziała, że wiedziała, co się stało, gdy tylko usłyszała brzdęk, jeszcze zanim nastąpił mój przeraźliwy krzyk.

Lekarze podobno rozważali przeszczepy skóry, ale koniec końców, samo się zagoiło. Przez pewien czas wydawało się, że się z tego wykaraskam. I przynajmniej pod względem fizycznym tak się stało.

Jak mówiła mama, od momentu zdjęcia bandażu minęło parę tygodni, zanim Siggy zaczęła mnie nawiedzać.

Prześledziłam w lustrze brzegi blizn, znałam każdy zakręt, każdą zmarszczkę. Uznałam, że to zrozumiałe, że doktor Cox chciał je mieć na zdjęciach. Powiedział, że przydadzą się do dokumentacji, aby w razie potrzeby mógł je pokazać kolegom po fachu. Bo stanowię interesujący przypadek. Jednostkowe zdarzenie związane z urazem fizycznym zazwyczaj nie powoduje dysocjacji w takim zakresie, w jakim ja jej doświadczałam, toteż zamierzał napisać kiedyś o tym cały artykuł.

Przy pierwszym fotografowaniu, tylko ramion, łydek i łopatek, nie miałam z tym problemu. Więcej stresu przysporzyły mi kolejne sesje, kiedy musiałam zupełnie się rozebrać. Ale każda czternastolatka chce być interesującym przypadkiem. Nie mogłam spytać mamy, co o tym myśli, bo nawet nie wiedziała, że do niego chodzę. Zarówno on, jak i Jodie sądzili, że mam szesnaście lat, a to znaczyło, że decyzja należy do mnie.

Ale mama w końcu się dowiedziała i wszystko się posypało. Kiedy wytłumaczyła mi prawdziwy powód pstrykania tych zdjęć i co zapewne zamierzał z nimi zrobić, poczułam się, jakby wywróciło mi żołądek na lewą stronę.

Te moje zdjęcia wciąż gdzieś istniały.

ROZDZIAŁ 24

Mae

Następnego ranka Nadia, zgodnie z ustaleniami, zjawiała się u bramy szkoły. Wiązała właśnie pasek prochowca, gdy Mae zauważył, jaka jest szczupła, niemal chuda, bardziej niż przed dzieckiem, które urodziła dwa lata temu. Pomyślał o Yolandzie, przyrodniej siostrze Miś. Widział jej zdjęcia w pracach szkolnych Miś, ale to by było na tyle. Nigdy osobiście jej nie poznał.

Miś rzuciła się biegiem i uściskała matkę w pasie, a ta szepnęła jej coś do ucha, mocno przytuliła i poprowadziła przed sobą.

– Byłam już w środku, tym razem ci się upiecze – zwróciła się do Mae.

– Co? Dlaczego? – Plan był taki, że oboje wejdą i porozmawiają z dyrektorem, czy też raczej dostaną od niego ochrzan.

– Bo nie chciałam, by to eskalowało. Potrafisz nastawić się... defensywnie.

Mae czuł, że właśnie tak się dzieje, więc zacisnął zęby i przywołał resztki spokoju, gdy Miś odwróciła się i do niego pomachała.

– Pamiętaj o wycieczce szkolnej – zawołała na pożegnanie. – Bo pomożesz, tak jak mówiłeś, prawda?

Przewrócił oczami, że jak niby mógłby zapomnieć, i zanotował w pamięci, by to sobie zapisać, gdy tylko wróci do wozu.

Kiedy mała zniknęła z pola widzenia, Nadia zwróciła się w jego stronę.

– Przepraszam. Byłam przed czasem i uznałam, że najlepiej będzie załatwić to od ręki.

Wzruszył ramionami, świadom, że sprawia wrażenie nadąsanego.

– Nieważne. I co powiedzieli?

Była żona przesunęła dłonią po krótko ściętych włosach. Od czasu, gdy radykalnie skróciła swoje brązowe loki, minęły lata, on jednak nigdy do tego

nie przywyknął.

– Powiedziałam, że doszło do nieporozumienia, bo oboje myśleliśmy, że to drugie z nas ją odbierze i że odtąd będziemy się upewniać. Nie byli jednak usatysfakcjonowani. Wpiszą to do kartoteki. – Zobaczyła, jak się jeży, i dodała: – To kwestia bezpieczeństwa. Na tym polega ich praca.

Otworzył już usta, ale przemyślał sprawę i nie odpowiedział.

– Aha – przypomniała sobie o czymś i zdjęła torbę z ramienia – zanim zapomnę. Znalazłam coś takiego.

Podawała mu to coś w wyciągniętej ręce i upuściła na jego dłoń. Był to zegarek. Cienki pasek w kolorze złota, rysa na szkiełku. Przesunął kciukiem po kopercie, poznając każdy ślad i zadrapanie, dokładny rysunek i długość pęknięcia na pokrywie.

Był to zegarek jego matki.

– Otwierałam jakieś pudła – wyjaśniła Nadia. – Najwyraźniej zawieruszył się w moich rzeczach.

Podniósł wzrok, a ona marszcząc brwi, przechyliła głowę na bok.

– Ben, wszystko w porządku?

Zmusił się do uśmiechu, beztroskim ruchem wrzucił zegarek do kieszeni, jakby nie chodziło o coś ważnego, ot, starą błyskotkę.

– Tak. W porządku.

Nadia wzruszyła ramionami, wierząc mu na słowo, wymamrotała jakiś ogólnik o tym, że jest zajęta i że musi się zbierać.

Zegarek ciążył Mae na udzie niczym żelazna sztanga.

– Okej, jasne, ja też. Zaparkowałem tam – dodał, wskazując – więc...

– O, ja też – odparła, więc nie było wyjścia, musieli iść razem. Nastąpiła cisza podobna do tej, która poprzedzała kompletny rozpad ich związku. Złodowacenie, odwilż, znowu złodowacenie: koniec końców, taka niestabilność kruszy nawet granitowe skały.

– A więc – zaczęła – czy wtedy wieczorem wspominała ci coś o innych dzieciach?

– Nie. Jakich innych dzieciach?

– Pojawiła się sugestia, że dzieci mogą jej dokuczać.

Stanął w miejscu.

– Znęcają się nad nią?

Nadia ciężko sapnęła.

– Nikt tego tak nie określił...

– Nie? To jak mamy to w takim razie nazwać? O co chodzi, o kwestię rasy?

– Nie! Słuchaj, nic z tych rzeczy...

– No to o co, o jej wagę? Czy może chodzi o mnie? Że jestem policjantem? O to chodzi?

Zrobiła krok do tyłu i westchnęła.

– Ben.

– To wciąż jest moja córka, prawda? Mam prawo wiedzieć, tak? – Brzmiał wojowniczo i zdawał sobie z tego sprawę, ale się tym nie przejmował.

– Nie wydaje mi się, by o to chodziło. Wiesz, jaka jest Miś. Daje z siebie dwa razy tyle, ile dostaje. A nawet więcej.

Ale Mae nie słuchał.

– I dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?

– Ben. Dość!

I wtem, bo jaki sens miało dalsze powstrzymywanie słów, skoro i tak paść musiały:

– Domyślam się, że Mike o wszystkim wie? Był już może na rozmowie u dyrekcji?

Z zaciśniętymi w kreskę ustami pokiwała głową, po czym poszukała w torbie telefonu, coś wklepała i podniosła wzrok.

– Okej. Przesłałam ci numer do osoby, która się tym zajmuje. Zadzwoń do niej, jeśli chcesz to zgłosić. Mnie twoja agresja do niczego nie jest potrzebna.

– Wsunęła ręce do kieszeni. – Tylko nie zapomnij, proszę, o wycieczce szkolnej, dobrze? Do zoo. Powiedziałaś, że będziesz, więc...

Odwróciła się i odeszła.

Wziął głęboki wdech, po czym wypuścił całe powietrze.

– Nadia.

Nie zareagowała. Podbiegł i się z nią zrównał.

– Słuchaj, przepraszam. Nawaliłem z tym.

– Z tym, to znaczy?

Nie dał się sprowokować.

– Wczoraj wieczorem.

Wzruszeniem ramion pokazała, że się zgadza, ale nie zwolniła. Jej twarzy nie rozjaśniło nawet jedno cieplejsze spojrzenie.

– Owszem.

– I to się już nie powtórzy.

– Jak zawsze.

Zwolnił do spacerowego kroku, potem się zatrzymał. Parę metrów przed nim była kobieta, z którą naprawdę i szczerze zamierzał się zestarzeć. Ona także stanęła i się odwróciła. Miała oczy mokre od łez.

– Gdzie byłeś, kiedy wczoraj miałeś ją odebrać? Ja po prostu... Po prostu nie rozumiem. Co było aż tak ważne, że zapomniałeś?

Przez tę jedną sekundę dostrzegł w niej Nadię sprzed lat. W domu, wciąż samą, jeśli nie liczyć dziecka, które bezustannie dopominało się karmienia, wbijało w jej skórę swoje paznokietki ostre niczym odłamki szkła. Widział matkę i córkę, które z każdym dniem coraz bardziej oddalały się od niego, aby wreszcie odejść na dobre. Pamiętał, jak to wyglądało: ponieważ czas i zaangażowanie nie są niewyczerpalne, było logiczne, że kiedy skupiał się bez reszty na każdym detalu każdej prowadzonej ówczesnie sprawy, po powrocie do domu nie miał rodzinie nic do zaoferowania. Ale choć przysięgał zwolnić z robotą, pracować tylko w zakontraktowanych godzinach, koszmar świata, jaki widział, gdy miał na sobie służbową kamizelkę, za każdym razem niweczył jego szczytne intencje.

Tego nigdy Nadii nie powiedział. Wszyscy wiedzieli o pierwotnym, ochronnym polu siłowym, jakie wykształcają niektórzy mężczyźni, gdy rodzi im się dziecko. U niego tymczasem wystąpiła jego mutacja. Wykształciło się uczucie ogromnego przerażenia. Był niezdolny do spoglądania w oblicze córki bez obawy – bez absolutnej pewności – że jeżeli w pracy nie zrobi wszystkiego, co do niego należy, Miś będzie zgubiona. Jeśli nie zdoła rozwiązać sprawy morderstwa, jeśli nie wsadzi za kratki gwałciciela, nie odnajdzie zaginionej kobiety, to wszystko będzie znaczyć, że ją zawiódł, że nie zdołał jej ochronić, jej, tej drobnej dzieciny o delikatnych włoskach, za którą w mgnieniu oka oddałby własne życie. I od chwili, gdy zdał sobie z tego sprawę, zaczęła się jego droga na dno, a dopiero na samym jej końcu czekała jego żona – zrozpaczona na progu ich zabałaganionego wynajmowanego

mieszkania, byle jak ubrana i z wyjącem niemowlakiem na ręku, podczas gdy jej wybranek życiowy po półgodzinnej wizycie w domu ponownie zostawiał ją samą. I mówiła: Ja się tak nie bawię. Nie taka była umowa. Musisz się na coś zdecydować.

Nadia wpatrywała się w niego, czekając na odpowiedź.

– No?

– Jedna sprawa – odpowiedział w końcu, na co ona przystanęła, pokręciła głową i odeszła.

ROZDZIAŁ 25

Ellie

Obudziło mnie nagłe poczucie spadania. Skorupa znajomego snu pękła i się rozpadła: widziałam uwięzioną Siggy, zbyt przerażoną, by wołać o pomoc. Ogniki tępego bólu w mojej ręce przybrały na sile i wtedy sobie przypomniałam. Matt. Chwyciłam telefon, ale nie było żadnej wiadomości od niego, podobnie zresztą jak od kogokolwiek innego. Siggy drapała mnie od środka wzdłuż żeber. Jej ból oznaczał dla mnie spokój, któremu nie ufałam.

– Mogę wejść? – Zza zamkniętych drzwi dobiegł mnie głos mamy.

Wychrypiałam, że tak, i usłyszałam, jak otwiera górny skobel. Przerwała.

– I... to jesteś ty, prawda?

– Oczywiście. – Odchrząknęłam.

Zza drzwi dał się słyszeć odgłos drugiego skobla, umieszczonego wyraźnie niżej, a następnie wsuwanie klucza w zamek znajdujący się poniżej klamki.

Weszła, niosąc w jednej dłoni dwa kubki, jeden z nich mi podała.

– Nie dzwonił, mamó.

– Nie. – Usiadła na łóżku. Dopiero wzięła prysznic, roztaczała więc cytrusowy aromat, a jej włosy o siwych odrostach zostawiały ciemne ślady na fioletowej bluzie.

– Dobrze się czujesz? – Upiłam łyk kawy.

– Dobrze. Plany na popołudnie aktualne?

– Jasne – odpowiedziałam, myśląc: cholera, zapomniałam, dzisiaj jest Dzień Wisienki!

Co roku, jak jeszcze byłam mała, dwudziestego siódmego listopada obchodziliśmy z mamą święto. W jednej z fachowych książek mama przeczytała, że ze względów terapeutycznych wskazane jest przypisanie

niedominującemu alter ego szczególnego znaczenia. Chodziło o to, żebyśmy dały Siggy czas na pierwszoplanowe działanie, na wyrażenie siebie. Tyle tylko, że w odróżnieniu od większości osób z moją przypadłością, ja się nie „przełączałam”, więc w moim przypadku to nigdy nie działało zgodnie z zamierzeniem. Lecz i tak Dzień Wisienki stał się naszą tradycją i spędzałyśmy go na mówieniu do Siggy tak, jak gdyby chodziło o odrębną osobę, jakby była moją przyjaciółką. W pewnym sensie spełniała w ten sposób moje marzenie.

Posadziłyśmy drzewko w tajemnym miejscu, które mama uwielbiała, gdy była dzieckiem, blisko rzeki, około półtora kilometra od Hampton Court. Nawet kiedy mieszkaliśmy w Hove, co roku jeździliśmy, by je odwiedzić. To miejsce było trudne do znalezienia, trzeba było iść pozornie ślepo kończącą się ścieżką, która zapewne zupełnie by zarosła, gdyby nie nasze coroczne wyprawy. Wątpię, by ktokolwiek oprócz nas widywał to drzewo. Lecz dla mnie i dla mamy to miejsce było święte. Tyle że tym razem zapomniałam.

Ma się rozumieć, że mama to zauważyła.

– To znaczy możemy sobie odpuścić, jeśli nie masz ochoty. Ale...

– Nie, w porządku – odparłam, ucinając temat.

– To dobrze. – Rzuciła mi błady uśmiech, lecz od razu się wzdrygnęła. Podniosła rękę do twarzy, obejmując ją dłonią.

– Co jest? – spytałam.

– Nic takiego.

Chciała już wstać, ale jej nie dałam.

– Pokaż.

Wzięła głęboki wdech i podniosła twarz. Zobaczyłam opuchliznę wielkości pięści. Sięgała aż do dolnej wargi, w jednym miejscu skóra przebarwiła się na ciemno, a zaraz potem rozlewała na czerwono w kierunku policzka.

Kiedy zdałam sobie sprawę, na co patrzę, Siggy usztywniła się na całej długości mojego kręgosłupa.

– Słuchaj, nie przejmuj się – powiedziała cicho mama głosem stłumionym przez opuchliznę. – To moja wina. Po prostu myślałam, że to ty.

– Mamo, to nie byłam ja.

Jej jasnoniebieskie oczy spotkały się z moimi. Żadna z nas tego nie powiedziała, ale myślałyśmy o tym samym. Skoro Siggy była w stanie

przekonać mamę, która знаła ją lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej niż ja, to znaczy, że coś się zmieniło. To znaczy, że ona wygrywa.

– Powinnam była się zorientować. – Sięgnęła po moje ręce. Czułam się bezwładna, jak gdyby coś nagle pozbawiło mnie tchu albo jakby potrącił mnie samochód. – Zmyliło mnie, jak do mnie mówiła. Nie byłam w stanie odróżnić jej głosu.

– Co mówiła?

– Powiedziała „wpuść mnie, mamusiu”. – Zamknęła powieki.

Zmroziło mnie.

– I tyle?

– Właściwie tak.

– Mamo... Coś jeszcze?

Nie chciała spojrzeć mi w oczy.

– Mamo?

– Śmiała się, kochanie. Patrzyła mi w oczy i się śmiała.

Bez słowa usiadłam ciężko obok niej. Powoli objęła mnie ramieniem i siedziałyśmy tak przez chwilę, pogrążone w myślach, aż w końcu uściśnęła mnie i wstała.

– Rano muszę być w pracy, ale od jedenastej zastąpi mnie Brenda – oznajmiła, zbierając swoje rzeczy do torby. – Spotkamy się na ławce i zejdziemy razem, tak koło dwunastej.

Odprowadziłam ją do drzwi wejściowych, gdzie przystanęła przed lustrem, aby poprawić makijaż na zasiniaczonej twarzy. Zamknęła puderniczkę i zastygła w bezruchu.

W ramie lustra tkwiły powtykane zdjęcia z Dni Wisienki. Wszystkie po kolei: na pierwszym, w ubłoconych rękawicach i z poważnymi minami, stoimy obok właśnie zasadzonego drzewka. Ja – sześciolatka w tych czerwonych kaloszkach i wełnianej czapce. Na każdej kolejnej fotografii mama jest odrobinę bardziej siwa, ma odrobinę więcej zmarszczek, a ja z niezgrabnej nastolatki przemieniam się w dorosłą osobę.

Brakowało tylko zdjęcia z 2006 roku, kiedy mama poszła tam sama. Wtedy nie zrobiła fotki, nie miała nastroju, by uśmiechać się do aparatu, bo dwudziestego siódmego listopada tamtego roku dopiero co opuściłam oddział intensywnej terapii.

– Wtedy owocowała? – spytała, lekko muskając ubiegłoroczną fotografię czubkiem palca. – Nawet nie pamiętam.

– Ani ja. – Na każdym kolejnym zdjęciu drzewko jest nieco wyższe, jego pień jest coraz grubszy a korona szersza.

Westchnęła.

– Myślałam, że w tym roku Matt się z nami zabierze.

Odwróciłam się w jej stronę.

– Naprawdę?

– Dlaczego nie? Wydaje mi się, że łączy was coś poważnego.

– Mamo, ty go nie lubisz.

Spojrzała autentycznie zaskoczona.

– Nie lubię? Kotuś, uważam, że jest uroczy. Tylko – westchnęła ciężko, dając wyraz frustracji – tylko chcę, żeby wiedział, czego się podejmuje. Tyle.

– Ja nie jestem, cholera, psem ze schroniska.

– Nie o to mi chodziło.

Pożegnałyśmy się i ona ruszyła w kierunku drzwi, próbując się uśmiechnąć na odchodnym. Nie ma jednak mowy o uśmiechu, gdy oczy wypełnia lęk.

Gdy zamknęła drzwi, gdzieś pod sercem poczułam usadowioną wygodnie Siggy: na poły usatysfakcjonowaną, na poły przestraszoną. Bo ona też ten lęk dostrzegła.

ROZDZIAŁ 26

Mae

Mae siedział na zielonym plastikowym krześle, drugim z sześciu połączonych w jeden ciąg, przed gabinetem szefowej Matthew Corshama. Właśnie miał ponownie zaczepić siedzącą za biurkiem kobietę – czekał już od pięciu minut – kiedy drzwi się otworzyły i wyszła dość młoda osoba ubrana w schludny żakiet i spódnicę, stukając po betonowej posadzce granatowymi szpilkami z lakierowanej skóry.

– Panie detektywie – odezwała się, wyciągając smukłą dłoń. – Helen Williams, kadrowa.

Zgarnął teczkę i swój plecak, uściśnął podaną dłoń i wszedł za nią do gabinetu. Zamykając drzwi, wskazała na krzesło po gościnnej stronie uporządkowanego biurka, za którym następnie usiadła. Przez telefon sprawiała wrażenie osoby żywiołowej, teraz, sądząc po uśmiechu, który nie opuszczał jej twarzy, gdy podsumowywała kwestię zatrudnienia Matthew Corshama, doszedł do wniosku, że jego pierwsze wrażenie było trafne.

– Jak już mówiłam – ciągnęła – Matthew był technikiem laboratoryjnym na zewnętrznej umowie. Ostatnio zawieramy mnóstwo takich umów, by ograniczyć koszty, a...

– Nie muszę znać zasad waszej strategii zarządzania – przerwał jej. – Chcę tylko zrozumieć, dlaczego odszedł.

– Jak już mówiłam, był freelancerem, na umowie odnawianej. Umowa wygasła. – Jej uśmiech stężał.

– Ale tutaj jest napisane – zaoponował, otwierając teczkę i przepatrując poczynione przez Kit notatki – że jego umowa teoretycznie kończyła się co tydzień.

– Technicznie tak było.

– Ale w rzeczywistości pracował dla was ileś miesięcy. Właśnie na odnawianych umowach.

Potwierdziła krótkim skinieniem głowy.

– Po czym za obopólną zgodą postanowiliśmy, że umowa dobiegnie końca.

– Obopólną... zgodą... – powtórzył Mae, zapisując w notatniku.

– To znaczy powiedzmy, że znaleźliśmy sposoby na zredukowanie tam nakładów pracy. Więc ktoś musiał odejść, jeśli mnie pan rozumie.

– Powiedzmy... że... znaleźliśmy... sposoby... – Mógłby tak robić cały dzień. Dokończywszy zdanie, podniósł wzrok. – Rozumiem, że pracuje tu również jego dziewczyna. Zna ją pani? – Znowu zasługa Kit, która to wygrzebała. Ellie sprawdzono w rejestrze karnym, gdzie znaleziono informację o pracy w szpitalu. – Czyta podobno dzieciom książki na oddziale pediatrycznym?

Spięła się, ale rozluźniła na tyle szybko, że nie był pewien, czy prawidłowo odczytał jej emocje, jednak uśmiech jej nie opuszczał.

– Owszem. Była wolontariuszką.

– Była?

– Tak. Nie mogliśmy na niej polegać.

– Więc... ją też zwalnacie? Czy jej tygodniowa łamana przez trzyletnia umowa także zostanie – zajrzał do notatek – za obopólną zgodą rozwiązana, czy coś w tym rodzaju?

Helen Williams westchnęła ciężko.

Mae spuścił z tonu.

– Ja chcę jedynie wiedzieć...

– Chce pan jedynie wiedzieć, dlaczego tym razem nie przedłużyliśmy umowy z Matthew Corshamem – mówiła z zamkniętymi oczyma, jak gdyby myśl o odpowiedzi na to pytanie sprawiała jej fizyczny ból.

Zamknął teczkę, skrzyżował nogi i oparł się wygodnie na krześle.

– Otóż to.

– W porządku. – Wstała, obeszła biurko i otworzyła w nim szufladę. Wyciągnęła szczelnie zamkniętą plastikową torebkę, w której widać było coś jakby fiołki oraz parę plastikowych butelek, podniosła ją ku górze i nią potrząsnęła.

– Dlatego. Oto cała przyczyna.

Mae wstał, przejął od niej torebkę i przeczytał napisy na butelkach.

– Znalezione je w jego szafce. Mieliśmy anonimowy cynk od kogoś, kto widział, jak je tam wkładał. Ten ktoś uznał, że wyglądało to podejrzanie.

– Naprawdę? – Obrócił jedną z butelek. Ot, po prostu szklana butelka, nie widział w niej nic trefnego. – Dlaczego podejrzanie?

– Zaczniemy od tego, że nie są to objętości do domowego użytku. To raz – powiedziała, wskazując na butelkę, którą trzymał Mae. – Ta ma pojemność pół litra. Dawkowanie jest tak małe, że taka ilość znacznie przekracza zapotrzebowanie jednej osoby.

– No dobra – przyznał Mae, wciąż jednak nie rozumiejąc. – Ale co to jest?

– Ta tutaj – odpowiedziała, pokazując butelkę z przezroczystym płynem – to lidokaina. Ta to propofol, a ta z kolei to haloperidol.

– A teraz poprosiłbym po ludzku.

Wskazując na butelki w tej samej kolejności, wyjaśniła, prawie sylabizując.

– Lidokaina to powierzchniowy środek znieczulający, wykorzystywany do znieczulania miejsca wkłucia równolegle ze znieczuleniem ogólnym. Propofol to niezaliczany do barbituranów środek znieczulenia ogólnego. Ten, haloperidol, to aksamitny młot. Lek przeciwpsychotyczny, zwiotczający mięśnie, rozluźniający, uspokajający. Do stosowania przy ostrych objawach na przykład schizofrenii, do nagłej sedacji. Z tego, co wiem, używa się go w więzieniach.

– Więc nie są to leki z prywatnej recepty.

Zamilkła, znenacka wybuchnęła śmiechem, po czym przeciągnęła dłońmi po twarzy.

– Nie – odparła ze znużeniem.

– Ciężki dzień? – Mae opuścił ramiona i przechylił głowę.

– Można tak powiedzieć, proszę pana.

– Mów mi Ben. W jakim sensie ciężki?

– Musieliśmy przejrzeć zabezpieczenia w całym kompleksie. Biuro prasowe sra ze strachu, a nie chcesz nawet wiedzieć, co się dzieje u tamtych – powiedziała, wskazując na sufit.

– Kierownictwo?

– Ciśnie mnie dyrektor regionalny trustu, istne piekło. – Westchnęła i wyjrzała przez okno, a ręką sięgnęła do dekoltu gładkiej białej bluzki i rozpięła górny guzik. Miała jędrną opaloną skórę. Kiedy się odwróciła w jego stronę, w kącikach jej ust błąkał się zalotny uśmiech.

– Ale o co ciśnie? – Z całych sił próbował patrzeć jej w oczy, i tylko w oczy.

Z ogromnymi oporami, które wyraźnie widoczne były na jej twarzy, powiedziała coś, co nagle tchnęło życie w wizerunek Matthew Corshama, który Mae tworzył sobie w wyobraźni.

– Wykradł te leki z naszego punktu aptecznego.

Mae myślał o górnym guziku bluzki Helen Williams – o nim i o słowach, które wypowiedziała, gdy wychodził, aby jeśli będzie potrzebował dodatkowych informacji, kontaktował się właśnie z nią – przez całą drogę na parter, a potem do samochodu. Myślał o nim, przekręcając kluczyk w stacyjce, a także gdy wyłączał silnik i cofał się do budynku, by zejść do piwnicy do pracowni Matthew Corshama.

Kiedy zapukał do drzwi i wprowadzono go do jasnego sterylnego pomieszczenia, w którym pracował Matt, górny guzik bluzki Helen Williams ustąpił miejsca czemuś innemu. Czemuś, co Ellie Power powiedziała mu przed dwudziestoma czterema godzinami.

To najuczciwsza, najbardziej odpowiedzialna osoba, jaką można spotkać.

To dobry człowiek i ktoś, na kim mogę polegać.

Wiem, że mogę.

Technik laboratoryjny w kraciastej koszuli i z brodą à la David Grohl oprowadził go po pracowni. Na środku pomieszczenia stało parę dużych białych urządzeń, a każde z nich wyglądało tak, jakby zostało odlane w jednym kawałku. Przy ciągu biurka, który opasywał całe pomieszczenie, stały taborety na kółkach. Miejsce sprawiało dziwaczne wrażenie, tak jakby w każdym dniu roku panowała tam identyczna temperatura, a wrażenie potęgował brak jakichkolwiek zapachów i zimny blask ledowego oświetlenia. Było to przeciwieństwo pracowni, jaką zapamiętał sprzed dwudziestu lat – pogrążonej w ciemności, czerwieni i środkach chemicznych.

– Raczej nie mamy tu stałych miejscówek – poinformował go Grohl, stojący w dalszym kącie pomieszczenia – ale Matt najczęściej korzystał z tego

naroźnika.

Był to pusty fragment gładkiego białego blatu, a tam, gdzie łączył się on ze ścianą, widać było szereg gniazdek elektrycznych.

Mae przykucnął pod nim, a następnie się wynurzył.

– Żadnych szafek na dokumenty, nic takiego?

Grohl uśmiechnął się złośliwie.

– Tak, jasne. Zaraz po sąsiedzku mamy rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy. – Uśmiezek wyparował z jego twarzy, gdy Mae patrzył na niego bez słowa. – Nie. Żadnych szafek, działamy właściwie w stu procentach cyfrowo.

– Jasne. A co z jego komputerem?

– Tu go nie ma. Laska, z którą gadałem, o tym nie wspomniała?

– Chłopie, w obecności posterunkowej Ziegler nigdy bym tak jej nie nazwał. Ale owszem – przypomniał sobie Mae – wspomniała. Spodziewaliście się, że go odda, tak?

– Po prostu to nie w jego stylu, żeby zapomniał o czymś takim. Jest, jak to się mówi, sumienny. No ale ta historia z lekami, które znaleźli, to też nie jego bajka.

– O właśnie. Dlaczego o tym nie wspomniałeś, zgłaszając zaginięcie?

Grohl, nagle zainteresowany czubkami własnych butów, nadął policzki.

– Matt po prostu... wie pan. Poprosił mnie, żebym o tym nie nadawał.

– Jasne. – Mae zapisał coś w notatniku i podniósł wzrok. – Kadrowa mówiła o jakiejś szafce?

– Zgadza się, tylko że to nie tak jak w ogólniaku, gdzie masz konkretną szafkę tylko dla siebie. Tu rano po prostu wybierasz pierwszą wolną. To taka, do której trzeba wrzucić funta. Tak naprawdę to dziwne, że w ogóle z nich korzystał.

– Tak? A to dlaczego?

– Bo całkiem łatwo je otworzyć. A gdy masz torbę pełną kwitów, to nie lepiej trzymać je w skarpecie? – Facet zachichotał.

Mae bardzo powoli podniósł wzrok znad notesu.

– Kwitów. – Zaczekał. – Domyślam się, że nie chodzi o paragony.

– Oj – zwolnił Grohl, a powietrze wyraźnie z niego uszło. – Znaczy, że nie wiedział pan o pieniądzach.

– Nie wiedziałem. Ale teraz wiem. Mów dalej.

– Ostatniego dnia, jak Matt tu był, chyba w poniedziałek, zajrzał jeszcze, wie pan, żeby się pożegnać. Kiedy wkładał płaszcz, z wewnętrznej kieszeni wypadła mu taka torebka. – Potarł kciukiem dwa kolejne palce w międzynarodowym geście oznaczającym gotówkę. – Dwudziestofuntówki, równiutko poskładane, takie jak się bierze prosto z banku.

– O jakiej kwocie mówimy?

Sapnął i wzruszył ramionami.

– Tak mniej więcej? Tysiąc? Pięć tysięcy?

– A skąd ja, kurde, mam wiedzieć? Pracuję w szpitalu, a nie w jakimś kartelu. Zresztą nie płacą mi w gotówce.

Mae wyciągnął telefon, poszukał odpowiedniego obrazka, obrócił ekran. – To – wyjaśnił – jest pięć tysięcy, w dwudziestkach.

– To było więcej. Może dziesięć koła?

– A wiesz, skąd je miał?

Zamrugnął, po czym zdecydowanie odpowiedział:

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Nie chcę strzelać.

– Ale masz jakiś pomysł? – zachęcał go Mae, bo facet był porażająco niepewny siebie. – Choćby spekulacje i przypuszczenia. Nikomu nie powiem.

Grohl oparł się na ulubionym biurku kolegi i potarł palcami wokół bródki. – O lekach już pan wie.

– Tych, co je gwizdnął.

– Tak, tych. Ja o tym wiem tylko dzięki kumplowi, który pracuje w aptece. W skrzydle Rutherforda. O tym się głośno nie mówi, a Matt odszedł po cichu. Naprawdę po cichu. Nikt nie stawiał mu żadnych zarzutów. – Podniósł znacząco brew. – Wie pan, co chcę przez to powiedzieć?

– Sądzisz, że mu zapłacili? – Mae rozważał w myślach taki wariant, ale nie był przekonany. – Bo jeżeli szpital był gotowy mu odpuścić, to Mattowi na

pewno opłacało się nie poruszać tematu? Choćby po to, by nie zaszargać sobie kartoteki.

– Możliwe. Ale przede wszystkim chodzi o to, jak on to zrobił. Od razu widać, jak tandetny jest system zabezpieczeń. A tabloidy uwielbiają takie tematy, nie? No a on jest dyskretny, ale i niegłupi. Dlaczego miałby odejść z pustymi rękami, skoro mógłby wykorzystać tę tajemnicę i na tym skorzystać? – Wzruszył ramionami, poddając pomysł pod rozwagę.

– Mówisz, że Matt zagroził, że wyjawí własne przestępstwo? Zaszantażował szpital?

– Ja tam niczego nie mówię – zastrzegł Grohl, schylając się, by z nieskazitelnie czystej podłogi podnieść jakiś kłaczek. – Jak pan to ujął: spekulacje i przypuszczenia.

ROZDZIAŁ 27

Ellie

Spotkałyśmy się jak zwykle na ławce stojącej na granicy dwóch posiadłości, po czym poszłyśmy ścieżką w dół. Zawsze o tej porze roku była zarośnięta, ale dla nas to żadna przeszkoda. Obydwie wciągnęłyśmy wysoko rękawice z goretexu, a mama wzięła maczetę. W dzieciństwie uwielbiałam ten moment, kiedy leciałam za nią siekącą ostrzem po jeżynowych krzakach. Zupełnie jakbyśmy były nieustraszonymi odkrywczyniami, co przedzierają się przez dżunglę.

– Uważaj, coś dużego! – rzuciła przez ramię, udało mi się więc schylić w porę i uniknąć spotkania z grubym ciernistym pnączem, które odbiło w moją stronę.

Zanim przedarłyśmy się przez zarośla, mankiety moich spodni zdążyły się przemoczyć. Stojąc obok siebie, otrzepywałyśmy ubrania z liści i cierni i łapczywie oddychałyśmy, a z naszych ust wydobywały się kłęby pary i rozwiewały się niczym mgła. Czysty, leśny aromat wilgoci docierał zewsząd: z roślinności, rosy, deszczu, rzeki.

Za niewielką polaną rozciągała się dość gęsta brzezina bagienna, gdzie ziemia ustępowała miejsca wodom rzeki. Majestat Tamizy mógłby zadziwić nowicjusza, ale ja tę trasę pokonałam już tyle razy, że kroki do brzegu rzeki potrafiłabym odmierzyć po omacku. To miejsce było nasze.

Rozłożyłyśmy koc i usiadłyśmy, opierając się plecami o gruby konar, a mama sięgnęła po torbę i wyciągnęła termos.

– Zacziesz? – spytała. – Musisz z nią porozmawiać.

Wstałam.

– Siggy – rozpoczęłam i poczułam, że mnie obserwuje. – Wiem, że jesteś wściekła. Ale przyszłyśmy tu, bo... bo...

Zacisnęłam powieki, czując, jak mrocznie we mnie zakwita. Kiedy je otworzyłam, mama stała przede mną. Wzięła mnie za ręce i poszukała mojego spojrzenia.

– Przyszliśmy tu, bo chcemy, żeby wiedziała, że się o nią troszczymy.

– Robimy to od lat. To nic nie daje. Ona i tak sobie nie pójdzie, prawda?

Mama odkręciła termos z gorącą czekoladą, nalała do plastikowego kubka i mi podała. – Tego nie wiemy.

– Nie? To gdzie jest Matt?

Odwróciła wzrok.

– Nie sędzę, abyś musiała się niepokoić.

– Doprawdy? Dlaczego udajesz, że wszystko jest w porządku w sytuacji, kiedy on zniknął, ja jestem cała w zadrapaniach i siniakach, a ty... – Wskazałam na jej twarz, ale nie byłam w stanie tego wymówić. – Patrz, co ci zrobiła.

– Bywało gorzej, kochanie. Nic mi nie będzie. – Przed wyjściem do pracy wykorzystała całą moc swojego arsenału kosmetyków, ale teraz wyglądała niemal tak jak przedtem. Opuchlizna może odrobinę się cofnęła, ale krwiałek był fioletowy i nabrzmiały. Zanim zniknie, upłyną tygodnie.

Wbiłam spojrzenie w rzekę.

– Ona robi się coraz silniejsza. A my przegrywamy.

– Nie dramatyzuj. Pewnie nic mu nie jest – powiedziała, sięgając po moją dłoń.

Wiatr się wzmaczał, unosząc parę znad plastikowych kubków.

– Powinnam była zachować dystans. Powiedzieć mu, że jestem świrem, i po prostu odejść.

Opuściła rękę.

– Nie jesteś świrem.

– Nie, mamó? A patrzyłaś, kurwa, do lustra?

– No dobra. – Przesunęła się na kocu, siadając w uproszczonej pozycji lotosu. – Chwilowo przyjmijmy twoją wersję. Powiedzmy, że Siggy rzeczywiście cię tam zabrała, tam, na jego łódź. Poznałby, że to fuga. Wie o fugach.

Żałośnie wzruszyłam ramionami.

– I na pewno by cię powstrzymał.

– Jak?

– Nie wiem, ale spójrz na to realnie. Ile on ma, metr osiemdziesiąt dwa?

– Metr osiemdziesiąt siedem.

– I żadne z niego chuchro. Chodzi na siłownię.

– I co? Ty ćwiczysz praktycznie dzień w dzień i spójrz na rezultaty!

Wstała i podeszła do mnie, objęła mnie ramionami i przytuliła.

– Kochanie, już dobrze. Uspokój się.

Ze wszystkich sił starałam się nie rozpłakać, ale coś we mnie pękło i nie powstrzymałam łez.

– Jeśli to zrobiła, jeśli zrobiła z Mattem to samo, co zrobiła z Jodie...

– Nie mów tak, kotku. Właściwie nic nie wiemy.

– Owszem, wiemy. – Odsunęłam się, otarłam oczy mankietem i przełknęłam łzy. – Wiemy. Obie tak myślimy, prawda?

– Hej. Ty po prostu zakładasz najgorszy scenariusz.

– ...a ty ciągle powtarzasz, że to nie ja, mamó, ale się mnie boisz!

Chwila, w której mogła powiedzieć, że to nieprawda, jak nadeszła, tak sobie poszła. Obydwie zdałyśmy sobie z tego sprawę. Mama chwyciła mnie za ramiona i spojrzała mi w oczy.

– Nigdy, przenigdy cię z tym nie zostawię. Nigdy.

– Co zrobimy?

– Nie wiem. Mam na myśli, że możemy znów zacząć od początku. Nie – przerwała, podnosząc dłoń i nie dając mi wejść w słowo. – Nie. Posłuchaj. Skoro tak bardzo się martwisz, to wynieśmy się stąd. – Zatoczyła ręką koło. – Możemy pojechać dokądkolwiek. Nic nas tu nie trzyma.

– Czyli nie wierzysz, że wróci.

– Będę z tobą szczerą: niewykluczone, że stało się coś złego. Ale wciąż mamy pole manewru. Wciąż mamy siebie.

Otworzyłam usta, ale od razu je zamknęłam. Nie czułam się na siłach, by to powiedzieć.

Jej smutny uśmiech dał mi do zrozumienia, że już nie muszę.

– Wiem, kochanie, że ja ci nie wystarczę.

– Tu nie chodzi...

– Rozumiem. Jesteś dorosłą kobietą. Potrzebujesz kogoś więcej niż tylko mamy. Ale, Ellie, kochanie, czasami ludzie muszą inaczej ułożyć sobie życie. Wiesz, niektórym nie są pisane normalne związki. Nie znaczy to wcale, że nie mogą być szczęśliwi. Jednak przynajmniej dopóki nie ustalimy, jak nad nią zapanować, byłoby bezpieczniej trzymać się razem.

Wzięłam patyk i podłubałam w ziemi.

– Nie wyjadę nigdzie, dopóki go nie znajdę.

Zapadła długa cisza, zanim znowu się odezwała.

– Okej, w porządku. Rozumiem. Ale być może będziemy musiały przygotować się na spotkanie z czymś, co się nam nie spodoba.

ROZDZIAŁ 28

Mae

Kiedy Mae przechodził korytarzem, McCulloch wyjrzała i przywołała go do siebie.

– Jak tam pisklę?

– Kit? W porządku.

Nachylając głowę, by dodać głębi spojrzeniu, dopytała:

– Uprzejmy jesteś?

– Jestem wzorowy.

– To dobrze. – Zaczął dzwonić jej telefon i ruszyła z powrotem do środka, żeby odebrać, ale zmieniła decyzję. – Jakies postępy w sprawie zaginięcia? Na odprawie nie byłeś szczególnie gadatliwy.

Kwestię zaginięcia Matthew Corshama, czy co to tam w istocie było, poruszono na koniec zebrania, kiedy połowa zmiany już się podnosiła i ruszała do zajęć.

– Ustalamy jeszcze pewne fakty co do gościa. Wygląda na to, że przyłapali go w robocie na kradzieży i bezzwłocznie wyleciał, więc jeśli go znajdziemy, całkiem możliwe, że zostaną mu postawione zarzuty.

Skinęła głową, a grube loki zafalowały wokół jej twarzy.

– Ale uważasz, że to wciąż sprawa niskiego ryzyka?

– Tak.

McCulloch wydawała się zdezorientowana.

– Masz teraz całkiem sporo spraw, Ben?

Można było tak to ująć. Wciąż nie wykonał obiecanych telefonów w sprawie Damiena Hayesa i choć w tym tygodniu doszedł tylko temat Corshama, to nadal trzeba było ciągnąć z tuzin innych otwartych spraw.

– Ale to właśnie ta jest numerem jeden na twojej liście zadań? Czemu ta?

Przeniosła spojrzenie na drzwi, na co Mae odwrócił się i ujrzał stojącą za nim Kit Ziegler.

– Catherine. Właśnie rozmawialiśmy o waszym zaginionym. Jakies postępy?

Kit odchrząknęła.

– Główny kłopot w tym, że jest samotnikiem, więc nie mamy praktycznie nikogo, kto by go dobrze znał, jeśli nie liczyć jego dziewczyny.

Mae wysunął zuchwę. *Nie mów, kto to.*

McCulloch skinęła głową.

– No i matki. Ona wniosła coś przydatnego?

– Nie, nie możemy namierzyć żadnego z jego rodziców. A rozmawialiśmy z matką właśnie tej dziewczyny – poprawiła ją Kit.

Nie mów. Proszę.

– Ale jeśli mam być szczerą, to żadna z pań Power na razie wiele nie wniosła.

Kurwa.

Mae otworzył oczy, a McCulloch powoli wróciła do niego wzrokiem.

– Power – powtórzyła. Od jej spojrzenia posiniały mu paznokcie.

Kit przytaknęła, następnie spojrzała na Mae i z powrotem na szefową.

– Coś nie tak? – spytała, po czym zerknęła do środka biura. – Pani komisarz, dzwoni pani telefon.

McCulloch zamrugała, przycisnęła palce do skroni i przeszła do biurka.

– Zaraz do was przyjdę – oznajmiła i podniosła słuchawkę.

Kit poczekała, aż będą na korytarzu, i dała wyraz dezorientacji.

– O co tam poszło?

– Nie mam pojęcia.

Przystanęła przy automacie z kawą.

– Chcesz?

– Dla mnie kozie siuski w wersji sezonowej, byle organiczne.

Kit ze śmiechem wrzuciła monety do maszyny.

– Ale tak serio – ciągnęła, wybierając guzikiem coś, co miało smakować jak latte. – Wyglądała, jakby zaraz miała ci urwać łeb.

Mae wzruszył ramionami, rozłożył ręce w geście a bo ja wiem, ale była w tym krztyna poczucia winy. Protokół nic o tym nie mówił, lecz zdawał sobie sprawę, że powinien przynajmniej uzgodnić to z McCulloch. Od samego początku bardzo go wspiera, nawet po tym, gdy sypnęła się sprawa Arden i góra pożegnała go równie ochoczo, jak ochoczo przejechała się po jego sierżancie. Ale McCulloch go broniła: to sierżant Heath był odpowiedzialny za niewłaściwe zachowanie, a nie Mae. I powtarzała to za każdym razem, kiedy temat powracał: jemu, swoim kolegom po fachu, a nawet wydziałowi wewnętrznemu.

To nie twoja wina, Ben. Była bardzo nieźrównoważona. Sierżant Heath – nie mówiła o nim nigdy Ian, nigdy więcej – sierżant Heath nawalił. To nie przez ciebie.

– W porządku, sierżancie? – spytała Kit.

Rozluźnił ręce i zmusił się do uśmiechu. Kit, usatysfakcjonowana, wzruszyła ramionami, wyjęła brunatny plastikowy kubek z automatu i upiła łyk.

– Ja pierdolę – skomentowała, krzywiąc się. – To naprawdę smakuje jak kozie siki.

Mae zaczął jej opowiadać, czego dowiedział się w szpitalu, gdy zadzwonił jej telefon. Odebrała, powtórzyła parę razy „tak” i parę „no”, a na koniec kilka „dzięki”. Rozłączyła się i odwróciła ku niemu z widocznym na twarzy poruszeniem.

– Dzwonił kumpel z drogówki – oznajmiła. – Poprosiłam, by sprawdzili numery nadwozia, i zgadnij, co im wyszło?

– Wóz Corshama?

– Wóz Corshama. Golf cabrio z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. Spłonął za starym budynkiem kina w Feltham.

ROZDZIAŁ 29

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>10 września 2006</i>

CC: Witaj ponownie, Ellie.

EP: Dzięki. Cześć. Czy mam... Czy tym razem mam się położyć?

CC: To zależy od ciebie. Umieściłem tu te poduszki, abyś miała taką możliwość, jeżeli uznasz, że łatwiej ci się w ten sposób zrelaksować, jeśli... tak, tam będzie dobrze, tylko przesunę... o tu. Tak. Wygodnie?

EP: Tak. Okej.

CC: A więc dziś spróbujemy jeszcze z sesją sterowaną. Jeżeli nadal masz na to ochotę.

EP: Nie nazwałabym tego ochotą, ale niech będzie.

CC: [śmiech] W porządku. Więc za chwilę wysłuchamy nagranego przewodnika relaksacyjnego. Chodzi o to, by uspokoić twój umysł i sprawdzić, czy możemy w jakiś sposób przyjrzeć się uczuciom, które zwykła przejawiać Siggy.

EP: Okej.

CC: Na początek nazwijmy może te uczucia. Mówiłaś przedtem, że Siggy często czuje ogromny gniew, zgadza się... ty byś ją tak

opisała?

EP: Tak mi się wydaje. Chyba jednak jeszcze bardziej niż gniew jest to lęk.

CC: Lęk. Opowiedz mi o tym.

EP: Ona tak jakby... Ona zawsze chce wszystko sprawdzać, tak jakby upewniać się, że jest bezpiecznie. Nie ufa ludziom.

CC: W porządku. Dobrze. A więc teraz posłuchajmy przewodnika i zobaczmy, czy uda nam się wytworzyć bardzo bezpieczną spokojną przestrzeń, aby się ujawniła. Tylko to na moment zatrzymam...

[nagranie zatrzymane] [nagranie wznowione]

CC: W porządku. Chciałbym, żebyś była tak zrelaksowana jak w tej chwili. My do niczego Siggy nie zmuszamy i z nią nie walczymy.

EP: Mhm.

CC: A więc kiedy będziesz gotowa, chcę, żebyś mi powiedziała, czy Siggy czuje coś konkretnego. Pozwól, by to wyszło, niech twoje ciało absolutnie nic nie robi.

[pauza: 12 sek.]

EP: Boi się.

CC: W porządku. To nic złego. To teraz skieruj to uczucie na przód umysłu. Bez pośpiechu. Bardzo delikatnie spróbujmy się na tym strachu skupić. Oczy zamknięte. Może pomożemy jej ustalić, czego się boi. Może zdołamy namierzyć zagrożenie.

[pauza: 41 sek.]

CC: Zauważam, że przyspiesza ci oddech.

EP: To taki jakby ucisk? Tutaj.

CC: W piersi? Dobrze. Możesz mi powiedzieć, co jeszcze czujesz, są jakieś inne wrażenia?

[pauza: 23 sek.]

EP: Jakby wszystko się kurczyło. Ja chcę się skurczyć. Ukryć.

CC: W porządku. Zostańmy przy tym uczuciu. Jest coś lub ktoś, przed czym chcesz się ukryć. Jeśli to możliwe, zrób teraz krok w tył od siebie samej i powiedz mi, co jeszcze jest blisko ciebie, co jeszcze jest wokół, co może potęgować to poczucie strachu.

EP: Bo... boli.

CC: Boli. Czujesz ból.

EP: Wszędzie. Przez całe... wzdłuż... wzdłuż pleców i nóg.

CC: Czy możesz powiedzieć, skąd się ten ból wziął?

[pauza: 32 sek.]

CC: Widzę, że wciąż próbujesz się skurczyć i bardzo mocno zaciskasz powieki.

EP: Nie... nie chcę patrzeć. Potrzebuję pomocy.

CC: Tak. Potrzebujesz pomocy, boli cię i potrzebujesz kogoś, kto będzie obok, by ci pomóc. Czy ktoś tam jest? Czy jest tam ktoś, kogo znasz?

EP: Nie.

CC: Jesteś sama? Spróbuj teraz uspokoić oddech, postaraj się odrobinę rozluźnić buzię. Dasz radę?

EP: Nie widzę mamy.

[pauza: 24 sek.]

EP: Nikogo nie widzę.

CC: Możesz mi powiedzieć, dlaczego mówisz szeptem?

[pauza: 27 sek.]

CC: Ellie?

[pauza: 23 sek.]

CC: Siggy?

EP: [szeptem] Bo jeśli będę krzyczeć, to on mnie znajdzie.

ROZDZIAŁ 30

Ellie

Gdy wróciłyśmy do cywilizacji, było już sporo po piętnastej. Mama musiała jechać do pracy, aby zmienić koleżankę, więc do domu wracałam sama autobusem. Robiło się coraz chłodniej, a mnie, przemoczonej po wycieczce do lasu, stopy zupełnie zlodowaciały. Postanowiłam usiąść na górnym poziomie.

Wysiadłam z autobusu i przeszłam na drugą stronę dwujezdniowej drogi. Dziewczynę zauważyłam dopiero, gdy prawie na mnie wpadła.

– Ellie! O mój Boże!

Chwilę mi zajęło, zanim ją rozpoznałam. Miała na sobie obcisłe jeansy i czapkę z pomponem, a nie piżamę lub koszulę szpitalną, w której zwykle ją widziałam.

– Natalya. – Była jedną z najstarszych pacjentek na oddziale dziecięcym. – Jak się masz? – zapytałam, szybko chowając zabandażowaną dłoń w kieszeni.

– O wiiieeee lepiej! – odpowiedziała, przewracając oczami. Zgrabna figura Barbie podkreślała jej urodę, z której wyraźnie zdawała sobie sprawę. Pewnie wszyscy chłopcy łazili za nią niczym wataha wilków. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Przypominała mi Jodie, bo tak jak ona zawsze kipiła energią. – A co u ciebie? Nadal pomagasz w szpitalu?

– Tak, można tak powiedzieć – odrzekłam i zamachałam ręką. Już chciałam sobie pójść, ale Natalya złapała mnie za rękaw.

– Słuchaj, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię spotkałam. – Odgarnęła włosy z twarzy, odsłaniając na moment ślad po tym, przez co trafiła na oddział. Piętro wyżej nad jej rodzinnym mieszkaniem wybuchł bojler. Potoki wrzącej wody nie zalały co prawda jej twarzy, ale reszta ciała do końca życia pozostanie świadectwem tego zdarzenia.

– No już – powiedziała, wstydliwie przykrywając bliznę włosami. – Nie musisz się tak gapić.

– Prze... przepraszam – odpowiedziałam, przerażona faktem, że mnie przyłapała. – Myślałam, że to... nic takiego. Wybacz. – Nigdy wcześniej nie widziałam jej ran bez opatrunków. Ich żywe kolory i gładkość mnie zaskoczyły. W niczym nie przypominały moich oparzeń, które raczej sprawiały wrażenie bezbarwnego krajobrazu księżycowego. Choć moje były pewnie o jakieś dziesięć lat starsze.

Wyprostowała się, najwyraźniej trochę urażona.

– Słuchaj, ty znasz Matta, prawda?

Niepewnie skinęłam głową.

– To super! – stwierdziła rozpromieniona. – Sprawa wygląda tak. On obiecał, że pokaże mi laboratorium, ale zgubiłam jego numer.

– On dał ci swój numer?

– Jasne! Fajny z niego gość. Poznałam go kiedyś w bufecie, potem raz czy dwa odwiedził mnie na oddziale. To było wtedy, kiedy zaczęłaś przychodzić do szpitala.

– Masz na myśli Matta. Matthew Corshama. Takiego wysokiego?

– O Boże, wiem! Straszne z niego ciacho! No to co, masz go? Jego numer? W sumie może być też adres. Powiedział, że pokaże mi łódkę. Bo on mieszka na jakiejś łódce, prawda? – Po chwili dodała: – Czy ty się dobrze czujesz?

Odeszłam od niej w pośpiechu. Zaczęłam biec. Krzyczała za mną, żebym się zatrzymała, po czym obrzuciła mnie wyzwiskami.

– Jezu Chryste! Co za popieprzona laska!

Zwolniłam dopiero, kiedy przestałam ją słyszeć.

Zaproponował, że pokaże jej łódź?

Kiedy dotarłam do mieszkania i zaczęłam siłować się z nowym zamkiem, serce biło mi jak szalone. Zatrzasnęłam drzwi za sobą, zamknęłam oczy i spróbowałam złapać oddech. Byłam wściekła.

Natalya trafiła na oddział mniej więcej miesiąc przed początkiem mojego wolontariatu. Nigdy nie byłyśmy w stosunku do siebie zbyt wylewne, ale zakładałam, że wspomniałam o niej Mattowi. Próbowałam sobie przypomnieć. Czy kiedykolwiek powiedział mi, że z nią rozmawiał? Nie, na pewno nie. Ani słowa.

Co jeszcze przede mną ukrywał?

Mój wzrok zatrzymał się na półce nad kaloryferem, na której mama zostawiła jego korespondencję. Przypomniałam sobie, że były tam rachunki. W tym rachunek za telefon.

Musiałam dorwać ten billing.

Sprawdziłam wszystkie kieszenie dużej bluzy na wypadek, gdybym go jednak nie wyciągnęła. Niczego nie znalazłam. Może mama gdzieś je odłożyła? Popatrzyłam w salonie, ale nie było ich ani na stole, ani pod kanapą i poduszkami. Nie przypięła ich magnesem do lodówki, nie zostawiła u mnie w pokoju. Z pewnym niepokojem przeszukałam sypialnię mamy. Wszystko na nic.

Obeszłam po kolei miejsca, które przychodziły mi na myśl, ale zatoczyłam jedynie koło, gubiąc się w tym wszystkim. Może mama już powiedziała policjantom o samochodzie i sama przekazała im tę korespondencję? Na pewno nie. Poinformowałyby mnie o tym. Ścisnęłam dłońmi skronie. Pomyśl. Pomyśl! Otworzyłam oczy i spojrzałam na jej gruby niebieski płaszcz. Ściągnęłam go z wieszaka i sprawdziłam kieszenie. Trafiłam na parę drobniazków, konturówkę do oczu i bilety autobusowe. W wewnętrznej kieszeni, zasuwanej na zamek, znalazłam wszystko.

Rozrzuciłam je na podłodze i znalazłam rachunek za telefon. Nie miałam przy sobie nic ostrego, więc szybko, zanim obleciał mnie strach, rozerwałam kopertę palcem. Rozłożyłam kartki i zaczęłam się wczytywać. Moje poczucie złości zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Matt stanął mi przed oczami, jak potrząsa głową z niedowierzaniem, że zwykły rachunek potrafi doprowadzić mnie do łez. Ale jego troska i jego wierność były widoczne tu, na każdej kartce. Abonament za piętnaście funtów, a każde połączenie wykonane z rozmysłem, by nie roztrwonić pieniędzy, których zresztą nie miał. Poszczególne połączenia różniły się długością, ale podliczone koszty pozostawały niezmiennie: 0,00£.

Z jednym wyjątkiem. Tym wyjątkiem z jedenastego listopada, za 6,88£. Połączenie międzynarodowe z numerem kierunkowym, którego nie rozpoznawałam. Wyciągnęłam komórkę, wpisałam numer, sprawdziłam go i wcisnęłam zieloną słuchawkę. Głos z nagrania poinformował mnie, że mam niewystarczające środki na koncie. Chwyciłam billing i wlepiłam weń wzrok w nadziei, że nagle coś w nim odkryję. Nic takiego się nie wydarzyło. Musiałam zrezygnować z półśrodków.

Zaczęłam wydzwaniać numery, zaczynając od początku listy. Pomijałam te, które znałam, a w przypadku pozostałych rozłączałam się, gdy tylko skojarzyłam, do kogo się dodzwoniłam. Matt miał niewiele numerów, pod które dzwonił: do pracy, restauracji z chińszczyzną, w której parę razy zamawialiśmy, oraz serwis fotograficzny, z którym kłócił się w sprawie naprawy swojego rolleiflexa. Nic ciekawego, nic nowego.

Aż wreszcie trafiłam.

Wyprostowałam się, mrucząc pod nosem numer. Był mi nieznany. Matt wykonał z nim dwudziestominutową rozmowę tego samego dnia co międzynarodowe połączenie. Siedem dni temu. Potem kolejne, po dwóch dniach, trwające jedenaście minut. Musiałam się upewnić. Wprowadziłam numer na klawiaturze, wcisnęłam znaczek słuchawki i przyłożyłam telefon do ucha. Sygnał łączenia rozbrzmiał w mojej głowie niczym syrena, ale udało mi się jeszcze w tym czasie przejrzeć pozostałe strony billingu. W ciągu jednego miesiąca kontaktował się z tym numerem czternaście razy.

Z numerem, którego Matt nie powinien znać.

Dodzwoniłam się.

– Tu skrzynka głosowa doktora Charlesa Coxa – usłyszałam nagrane powitanie. – Proszę o zostawienie wiadomości.

ROZDZIAŁ 31

Mae

Mae polecił Kit przyjrzeć się temu, co zostało z samochodu Matthew Corshama, po czym postanowił skorzystać z chwili spokoju, by nadrobić zaległości. Skontaktował się ze swoim odpowiednikiem w regionie Thames Valley. Był wyczerpany ciągłym zainteresowaniem mediów sprawą rodziny, która uciekała przed opieką społeczną. Po półgodzinie pracy jego żołądek zaczął się domagać lunchu. Mae wygramolił się z fotela i zbiegł na parter, przeciskając się przez tłum napierający z naprzeciwka. W bufecie prawie nic już nie mieli, ale zdecydował się na kanapkę z tuńczykiem i herbatę. Gdy odsuwał tackę, jego leżący na blacie stołu telefon delikatnie zawibrował. Przeczytał wiadomość od Nadii o wywiadowce, co z kolei przypomniało mu, że musi zadzwonić do nauczycielki Miś.

W sekretariacie szkoły odebrano już po pierwszym sygnale, po czym przełączono go do pokoju nauczycielskiego.

– Dzwonię w sprawie Dominiki Kwon Mae – poinformował, zdając sobie przy tym sprawę, że pełne imię córki brzmi teraz szczególnie obco.

Odpowiedziało mu długie ciche westchnienie.

– No tak, zastanawiałam się, kiedy w końcu pan się odezwie.

Jeśli nauczycielka chciała wytrącić go z równowagi, musiałaby się bardziej postarać. Stwierdził, że dopiero co został poinformowany o problemach córki w szkole.

– Pozwolę sobie panu przerwać – odezwała się kobieta. – Wbrew pozorom, odpowiedzialność za tę sytuację nie leży wyłącznie po jednej stronie. Dominica, cóż, w bardzo dosadny sposób wyrażała się o tych chłopcach z szóstej klasy.

– Naprawdę? – Mae wstał od stołu, strzepał okruchy do pudełka po kanapce i dopił herbatę.

– Co najmniej kilku z nich wielokrotnie usłyszało, że są... – urwała, po czym ściszyła głos do szeptu: – kutafonami.

– No dobrze, ale czy nimi są? – Jakoś udało mu się stłumić chichot.

– Czy są co?

Wyszedł na korytarz.

– Czy wspomniani chłopcy są kutafonami. Bo z tego, co słyszę, to garstka chłystków obrała sobie za ofiarę dziewczynkę, i to o wiele młodszą od nich, a dorosła osoba staje w ich obronie, bo małej udało się odgryźć. Szczerze mówiąc, pani...

– Collins – dokończyła oschle.

– Pani Collins, wydaje mi się, że Dominica zachowuje się w ten sposób, ponieważ dorośli, którym jej matka i ja zawierzyliśmy, ją zawiedli. I to bardzo.

Cisza, która nastała, zdradzała, że nauczycielka nie jest przyzwyczajona do tak bezpośrednich rozmów.

– Cóż – odezwała się w końcu. – Przykro mi, że tak to pan odbiera, ale zapewniam, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić dzieciom bezpieczne środowisko. Szczególnie uczniom, których życie rodzinne jest... – zamilkła na chwilę, dobierając właściwe słowa: – ...trochę wyboiste.

Nie chciało mu się już bawić w dyplomatyczne pierdoły i poprosił o rozmowę z dyrektorem. Łaskawie zapisano go na wolny termin. Tuż przed zakończeniem połączenia pani Collins zdążyła jeszcze wbić ostatnią szpilę.

– Rozumiem, że jest pan świadomy, panie Kwon Mae, że Dominica prosiła nas o zwracanie się do niej nazwiskiem Marston, które nosi jej matka. Wiem, że obecnie oficjalnie tak się nie nazywa, ale może w ten sposób udałoby się nam ograniczyć nieporozumienia.

Mae postanowił jak najefektywniej przerwać rozmowę, ciskając telefonem o ziemię. Urządzenie odbiło się od posadzki i wpadło wprost pod źródło z wodą pitną.

Sięgając po komórkę, pomyślał o przebieżce. Od razu skierował się do swojej szafki w piwnicy. To jedyne rozwiązanie. Miał jeszcze czas na parę

kilometrów, a potem szybki prysznic. Włożył trampki i mocno je zasznurował. Musiał wyjść, zanim eksploduje.

Marston. Do kurwy nędzy!

Włożył słuchawki, znalazł na iPodzie wczesne utwory Dre i pogłodził muzykę tak, by linia basów rozbrzmiała mu aż w kręgosłupie. Napełnił butelkę wodą i dokończył się ubierać: podkoszulek, bluza z kapturem i spodnie dresowe.

Gdy wyszedł z budynku, poczuł na twarzy szarą mgiełkę mżawki. Skierował kroki na prawo, oddalając się od ciasnych i dusznych przedmiejskich przecznic w kierunku północnej obwodnicy. Przyspieszył.

Ustawił sobie limit piętnastu minut, wiedział, że dłuższy bieg oznaczałby spóźnienie. Ale biegł dalej. Dwadzieścia minut. Dwadzieścia pięć. Nie zwracał uwagi na deszcz, który rozpadał się na dobre. Nie miał w głowie żadnej trasy, skręcał to w lewo, to w prawo. W ten sposób nauczył się miasta, gdy przeprowadził się tu z Sussex. Pokonanie drogi powrotnej będzie dla jego nóg wyzwaniem. Mimo wszystko nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że w jakimś sensie stracił Miś, że niewystarczająco o nią walczył i teraz nie jest już jego córką.

Gdy minął stację Willesden Junction, zadzwonił telefon. Wyciszył muzykę i zwolnił do joggingowego tempa. Dzwoniła Ellie Power.

– Znalazłam ślad – powiedziała. – Zdobyłam jego rachunki telefoniczne. Matt rozmawiał z doktorem Coxem.

Mae się zatrzymał.

– Twoim doktorem Coxem.

– Tak.

– Czy wiedziałaś, że utrzymują kontakt?

– Nie. Ale chodzi mi o datę ich ostatniej rozmowy. Przypomniałam sobie, że tego dnia słyszałam, jak Matt kłóci się z kimś przez telefon. Tłumaczył mi, że to stary znajomy jeszcze ze Szkocji, ale sprawdziłam, że tego dnia z nikim innym nie rozmawiał. Zakładam, że to musiał być on. Cox.

Mae podrapał się po szczecinie. Przypomniało mu się odkrycie Kit.

– Znaleźliśmy jego samochód. Stał porzucony na opuszczonej posesji w Feltham. Czy przychodzi ci do głowy jakkolwiek powód, dla którego Matt by tam pojechał? Przy założeniu, że to on prowadził.

Nie usłyszał odpowiedzi. Odsunął telefon od ucha, by sprawdzić na ekranie, czy połączenie nie zostało przerwane.

– Ellie, czy słyszałaś, co...?

– Tak, słyszałam pana – odpowiedziała cichym głosem. Była przerażona.

– Czy domyślasz się, dlaczego...?

– Nie. Nigdy nie wspominał o Feltham. – Miała ciężki oddech. – Ale zbada pan tę sprawę? Jego rozmów z Coxem?

– Ellie, a w jaki sposób trafiłaś na jego billing?

– Powiedział pan, że chce mi pomóc. To proszę to zrobić.

Przygryzł wargi, a w głowie rozbrzmiało mu *cholera jasna*.

Umówili się, że Ellie prześle mu na telefon kopię billingu. Włączył nawigację w aplikacji z mapami i ustawił najkrótszą trasę na posterunek.

Gdy dotarł pod prysznicę, w pustym pomieszczeniu słychać było tylko odgłos jego kroków. Poszedł pod natrysk i odkręcił kurek, przygotowując się na kilka sekund lodowatej wody, zanim napłynie ciepła. Nadstawił twarz pod strumień, nabrał wody w usta i ją wypłuk.

Cox. W strugach wody zmywającej pot Mae przypomniał sobie wszystko, co wie o tym człowieku. O jego kompetencjach, którym od początku nie dowierzał.

Że spotykał się z Lucy Arden, matką Jodie. Że już na początku śledztwa przyznał się, że posuwał też Jodie.

Zanim się wytarł, Mae podszedł nago do telefonu, osuszył dłonie ręcznikiem i sprawdził skrzynkę mailową. Zdjęcie billingu już na niego czekało. Ellie podkreśliła każdą pozycję z interesującym ich numerem telefonu. Od ręki sprawdził kontakt w wyszukiwarce internetowej, by się upewnić, czy Ellie się nie myli. Trafił na zaskakująco prostą stronę internetową Coxa. Dowiedział się z niej, że lekarz nadal ma gabinet w tym samym miejscu, na pierwszym piętrze eleganckiej wiktoriańskiej kamienicy w okolicach Highbury Fields. Mae zobaczył numer telefonu stacjonarnego, ale zdecydował się zadzwonić na komórkę, której numer widniał na billingu Matta. Połączenie odebrano po trzecim sygnale.

– Doktor Charles Cox – usłyszał Mae. W głosie wybrzmiewał śmiech. Jakby Cox chciał dać Mae do zrozumienia, że przed chwilą skończył

opowiadać przeżabawną anegdotę w saunie wypełnionej jego wielbicielami ubranymi w szlafrocłki.

Lekkość tonu zniknęła jednak zupełnie, gdy tylko Mae się przedstawił. Tak właśnie działał na ludzi.

ROZDZIAŁ 32

Ellie

Wybiegłam z domu, gdy tylko Mae się rozłączył. Przecięłam drogę i ruszyłam wzdłuż alei w kierunku garaży. Z walącym sercem stwierdziłam, że policjant miał rację: samochodu Matta nie było.

Wracałam na chodnik jakby na autopilocie, próbując w myślach poskładać wszystkie elementy. Z tego, co mówił, wnioskowałam, że to nie mama zgłosiła sprawę na policję. Czy to zatem oznacza, że samochód został skradziony? A może po prostu Matt po niego wrócił? Skręciłam na naszą ulicę i zeszłam z krawężnika, nie patrząc na drogę. Srebrny van gwałtownie zahamował i minął mnie o mniej niż pół metra. Odskokczyłam i podniosłam rękę w geście przeprosin, ale kierowca samochodu, skryty za przyciemnianymi szybami, jedynie przyspieszył i pojechał dalej.

Po godzinie wróciła mama. Opowiedziałam jej o sprawie z samochodem. Spokojnie zdjęła płaszcz, odwiesiła go na wieszak, weszła do kuchni i sięgnęła po zamknięty w szafce imbryk. Zadałam jej konkretne pytanie o auto i otrzymałam konkretną odpowiedź.

– Nie – stwierdziła. – Nie dzwoniłam na policję.

– Co? Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

– Ale... ja muszę wiedzieć, co się stało, mamo! To mnie... – przerwałam i zacisnęłam na chwilę powieki. – To doprowadza mnie do szału. O mało nie wpadłam pod furgonetkę, taki mam mętlik w głowie.

Mama postawiła pusty czajnik na blacie, po czym na mnie spojrzała.

– Co? – zapytałam.

Wyglądała inaczej niż jeszcze przed chwilą. Była zdruzgotana. Przez długą chwilę wpatrywała się we mnie, a następnie rzekła:

– Obie wiemy, co się stało.

– Co? Przecież mówiłaś, że...

– Myślałam o tym, że według ciebie Siggy staje się coraz silniejsza. – Pochyliła się nad blatem, a ja dopiero wtedy zauważyłam, jak bardzo jest wykończona. Zmęczenie odbijało się na opuchniętej skórze pod oczami, podrażnieniach przy sińcu na szczęcie i sprawiało, że trudno mi było patrzeć na jej twarz. Wyglądała staro. – Obawiam się, że masz rację.

– Ale cały czas mówiłaś, że...

– Nie powiedziałam ci całej prawdy, kochanie.

– Co masz na myśli? – Poczułam, jakby mnie zmroziło.

Wbiła wzrok w sufit, westchnęła i wyszła z kuchni. Wróciła, trzymając torbę, z której po chwili coś wyciągnęła. Jakąś ubłoconą tkaninę. Ale od razu poznałam, że należy do mnie.

– Twój płaszcz przeciwdeszczowy. Znalazłam go na przystani.

Potrząsnęłam głową, nie potrafiłam znaleźć słów.

– Byłaś tam tamtej nocy.

Podawała mi płaszcz, ale nie chciałam go dotknąć. Nie mogłam nawet na niego spojrzeć.

– Naprawdę miałam nadzieję, że znajdzie się jakieś inne wytłumaczenie. –

Mama położyła go delikatnie na blacie, jakby miała w rękach niewybuch. Chwyciła mnie za dłonie. – To ja. Ja pozbyłam się auta. Musiałam dać nam więcej czasu. Ale najwyraźniej przyszła pora, by się z tym wszystkim zmierzyć.

– Mamo, nie, proszę cię. – Opadłam na drewniane krzesło.

– To było tak – zaczęła, nadal stojąc. – Wydawało nam się, że Siggy się wyciszyła, ale było inaczej. Gdy byłaś mała, chciałam wierzyć, że jeśli będę łagodna, wyrozumiała i pozwolę ci wyrażać wszystko, co chcesz, to Siggy zniknie. To moja wina, kochanie. Tak bardzo pragnęłam, by wszystko było w porządku, że nic do mnie nie docierało, nawet po sprawie Jodie, po tym wszystkim. Wmawiałam to sobie, mimo że wszystkie terapie, regresje, ćwiczenia i inne bzdury nie działały. Wmawiałam też tobie, że jeśli będziemy ostrożne, wszystko będzie w porządku. Prawda, że próbowałyśmy?

Pomyślałam o całym jej poświęceniu dla mnie, o porzuceniu pracy, by móc lepiej się mną opiekować, o wszystkich przeprowadzkach. A po sprawie Jodie,

nawet gdy już była zamknięta, wiedziałyśmy, że wystarczy jeden świadek, jeden dowód. Więc postanowiłyśmy się ukryć. Unikałyśmy rozgłosu i ograniczyłyśmy nasze życie tylko do nas dwóch. Żadnych przyjaciół, żadnych partnerów. Bez wyjątku. Bo do tej pory, zawsze gdy pozwoliłyśmy się komuś zbliżyć, dochodziło do złych rzeczy.

– Naprawdę próbowałyśmy – powiedziała. – Ale, niestety, nie poszło po naszej myśli. Wybacz mi, Ellie. – Uniosła moją dłoń, a ja nie protestowałam. Zimnymi ustami ucałowała moje palce. – Znalazłyśmy się tutaj. Siggy staje się coraz silniejsza i groźniejsza, niż mogłyśmy się tego spodziewać. Przez nią umarła Jodie. A teraz Matt...

Zamilkła i wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

– Musimy stąd uciekać, kochanie. Mocno czuję, że musimy wyjechać. Tym razem naprawdę zniknąć.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia! Dokądkolwiek!

– Nie mogę. Musimy się dowiedzieć, co się stało. Potrzebuję... nie wiem. Dowodu.

– Czego ci brakuje? Spójrz na wszystko, na swoją rękę, na swoją szyję, cholera!

– Nie mogę tak po prostu odejść, mam. Ja go kocham.

– On nie żyje, Ellie! – wykrzyczała. – Otwórz oczy, na litość boską!

Miałam tego dość. Wyszłam do salonu i wcisnęłam się w kanapę. Choć próbowałam zbytnio nie dramatyzować, musiałam przyznać, że moja mama, mój jedyny sprzymierzeniec, właśnie straciła nadzieję. Byłam wykończona, bez sił, a w mojej głowie kotłowały się przeróżne myśli.

– No dobrze – powiedziała, wchodząc do pokoju. – Potrzebujesz snu. – Podała mi dłoń, a ja instynktownie za nią złapałam. Chciała podnieść mnie z kanapy.

– Chcę jeszcze chwilę posiedzieć – powiedziałam.

Ale mama chwyciła mnie za drugą rękę.

– Nie. Muszę choć raz zadbać o siebie. Potrzebuję kąpieli, kieliszka wina i chwili relaksu.

– Mamo, ale przecież możesz to zrobić, proszę.

– Nie. Chodź ze mną.

– Co ty robisz? – zapytałam zdziwiona. Spróbowałam wyrwać rękę. Trzymała je jednak mocno.

– Muszę opracować plan. A nic nie zrobię, jeśli ty tu będziesz. Mogłabyś zasnąć, a ja nie chcę znowu dostać w twarz.

Dokończyła zdanie i spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach. Jej twarz szybko jednak przybrała surowy wyraz. Nigdy wcześniej nie zauważyłam tej czerwonej linii. Nawet nie wiedziałam, że taka istnieje. A jednak ją przekroczyłam. A moja mama wraz ze mną.

– Wiesz co? Wszystko dla ciebie poświęciłam. – Głos miała spokojny i pewny, ale po jej rozpalonych policzkach płynęły łzy. – Tak bardzo cię kocham. Tak mocno, a ty nie dajesz mi nic! Proszę tylko o jeden bezpieczny wieczór we własnym domu. Dobrze? Więc ty... – mówiła, prowadząc mnie do mojego pokoju – ...pójdiesz za mną.

W tym momencie usłyszałam w głowie krzyk Siggy.

PRZESTAŃ.

– Przestań!

Obie stałyśmy jak skamieniałe, ciężko oddychając.

Coś popchnęło mnie naprzód. Jakaś siła podniosła moją dłoń i uderzyła mamę. Mocno, prosto w twarz.

Mama zakryła skroń ręką.

– Czy to była ona?

Otworzyłam usta, aby odpowiedzieć, ale wtedy zobaczyłam krew w kącie łuku brwiowego.

– Czy to jej sprawka, Ellie? – Krew zaczęła mocniej lecieć, tworząc na policzku cienką stróżkę.

Ale to nie była Siggy. Byłam przecież w pełni świadoma.

To ja to zrobiłam.

ROZDZIAŁ 33

Mae

Tuż przed stacją Hammersmith metro linii District znika w tunelu, a okna pociągów stają się lustrami w tym chwilowym mroku. Mae ujrzał swoje odbicie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą widział rzędy ceglanych domów. Odwrócił wzrok i rozmasował bolące mięśnie żuchwy. Według mapy sieci metra na zaokrąglonym suficie wagonu miał przed sobą jeszcze pół godziny podróży. Siedem stacji do Green Park, przesiadka na linię Victoria, krótki przejazd do Highbury & Islington, a potem dziesięć, piętnaście minut spaceru do kliniki.

Ostatni raz był tam, gdy grupa operacyjna wywróciła gabinet do góry nogami. Cox próbował podważyć nakaz przeszukania, zasłaniając się tajemnicą lekarską. Jakby miała moc oddalenia zarzutu uprowadzenia dziecka. Poszukiwania ostatecznie okazały się bezowocne: wszystko, co tam znaleźli, potwierdzało jedynie zebrane wcześniej materiały dowodowe, z których wynikało, że Cox próbował uwieść córkę swojej dziewczyny. Coś, co na początku wyglądało na terapię Ellie, przerodziło się w intymną relację. Dziesiątki recept, notatek i setki wiadomości tekstowych układały się w hedonistyczną opowieść o nocnych wizytach w barach, których pracownicy powinni byli odmówić obsługiwanie Jodie, oraz pobytach w hotelach, w których obowiązkiem recepcjonistów jest zgłoszenie takiego podejrzanego zachowania jak Coxa. Nieodmiennie jednak wszyscy ulegali jego szczególnej charyzmie.

Jodie nigdy nie przyznała się matce, że sypia z Coxem. Dopiero Mae i Ian Heath mieli ją uświadomić.

Obecnie Mae mógł już przyznać, że osobowość Coxa musiała mieć znaczący wpływ na zapalczywość, z jaką Heath się za niego zabrał. Był aroganckim, zakochanym w sobie lekarzem, przekonanym o swojej

uczuciowości nawet w obliczu wydarzeń, które w zwykłych ludziach wywołują dojmujący wstyd. Jednak na każdy zarzut, który Mae chciał mu postawić, Cox potrafił odpowiedzieć równie istotnym zarzutem pod adresem Heatha, a pośrednio również Mae. W opinii lekarza policja zachowywała się agresywnie, nawet gdy prokuratura już umorzyła postępowanie. Obrażliwa, pozwalająca sobie na osobiste wycieczki, grubiańska. Bezpodstawnie wywołująca poczucie strachu.

Mae po części zgadzał się z zarzutami Coxa.

Jednak silniejsze było przekonanie, że lekarz powinien walić się na ryj.

Za pięć szóstą był już na miejscu i kroczył po mokrym chodniku. Szedł niespiesznie i gdy w pobliskim kościele pod wezwaniem Jezusa Chrystusa rozbrzmiały dzwony oznajmiające równą godzinę, dotarł do południowego skraju Highbury Park. Stał przed masywnymi drzwiami i wcisnął dzwonek przy wypolerowanej miedzianej tabliczce z napisem COX PSYCHOTERAPIA.

W głośniku odezwał się radosny głos recepcjonistki. Zmieniła jednak ton, gdy tylko usłyszała nazwisko.

– To naprawdę pan – powiedziała, gdy wszedł do recepcji na parterze.

– Samira, dobrze pamiętam? – Mae przypomniał sobie nagle jej imię. Zaskoczyło go, że Cox nie zmienił recepcjonistki. Wydawał się człowiekiem przedkładającym anonimowość nad zażyłość, ale jej obecność świadczyła, że jest inaczej.

Skinęła głową, wyraźnie zdenerwowana.

– Zgadza się. Ale proszę mi powiedzieć, czy doktor wiedział, że pan przyjdzie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi za jej plecami.

– Panie detektywie.

W odróżnieniu od recepcjonistki Cox wyraźnie się postarzał. W 2006 roku był ucieleśnieniem wigoru: pod byle pretekstem w ułamku sekundy przywoływał uśmiech z wyszczerzonymi zębami, jakby spodziewał się ekipy filmowej. Mae widział w nim raczej korporacyjnego prawnika niż psychoterapeutę: jedwabne koszule były ewidentnie dobierane tak, by podkreślić muskulaturę torsu, a grafitowe garnitury co chwila migwały turkusową lub fioletową podszewką.

Niewiele z tego zostało.

Blond włosy oddawały pole siwiźnie, a jego niegdyś rumiana skóra zszarzała. Miał zapadnięte policzki, nieobecne spojrzenie, a po drzeniu ręki przeczesującej włosy na skroni Mae rozpoznał objaw częstego picia alkoholu. Choć jego sprawa nie zakończyła się w sądzie, najwyraźniej i tak zapłacił za to wszystko wysoką cenę.

– Zapraszam do środka – powiedział, po czym zwrócił się do recepcjonistki. – Samira, nie musisz dłużej zostawać.

Gestem wskazał Mae gabinet, który okazał się pozbawiony przepychu i splendoru, jakich z zewnątrz można się było spodziewać.

– Co się stało z dębową okładziną? – zapytał sierżant, rozglądając się naokoło.

Cox zasiadł za biurkiem w wysokim fotelu obitym skórą, który nie pasował do wnętrza ani wielkością, ani stylem, po czym wbił chłodny wzrok w Mae.

– Ma pan na myśli pokój przyjąć na pierwszym piętrze? Podnająłem go, podobnie zresztą jak większość pomieszczeń w budynku.

– Biznes się nie kręci jak dawniej? – Mae skrzyżował ręce.

– Czy zechciałby pan to powtórzyć, tym razem bez nuty radości w głosie?

– Nie bardzo.

Cox przyjrzał się mu badawczo, po czym wzruszył ramionami.

– Jeśli musi pan wiedzieć, to biznes ma się katastrofalnie – odpowiedział, otwierając szufladę biurka. – Mam szczęście, jeśli się trafi kilku pacjentów na tydzień. Samira przychodzi od czasu do czasu chyba bardziej z wrodzonej dobroci, jako że zalegam z połową wypłat. – Wyprostował się, położył na stole buteleczkę taniej wódki, po czym bez cienia wstydu odkręcił ją i wlał jedną trzecią zawartości do kubka. Wypił ją duszkiem, prowokująco utrzymując wzrok na Mae, a następnie dodał: – Spodziewam się jednak, że nie zapuścił się pan tutaj tylko po to, by wymienić uprzejmości.

Mae poczuł, że poza zadowoleniem zaczyna się w nim odzywać inne uczucie. Dopiero gdy Cox ponownie napełnił kubek, policjant zrozumiał, że jest mu go żal.

– Powiedziałem przez telefon, dlaczego przyjadę. – Mae usiadł na plastikowym fotelu obrotowym, podobnym do tych na posterunku, i złożył dłonie w piramidkę.

Cox potwierdził ruchem głowy.

– Czyli obecnie zajmuje się pan sprawami zaginionych osób.

– Szukam Matthew Corshama. Rozmawiał pan z nim przez telefon tuż przed jego zaginięciem.

Cox odstawił kubek na stół.

– Mam nadzieję, że pan wie, że nie mogę udzielić panu informacji o pacjencie, chyba że przyszedł pan z odpowiednim nakazem sądowym.

– A więc on był pana pacjentem?

Terapeuta spojrzał na rozmówcę ze znużeniem.

– Nie. Eleanor Power. To w jej sprawie przyszedł, podobnie jak pan.

– Nie. Przyszedłem tu, by ustalić jego miejsce pobytu, doktorze Cox.

– Nie mogę panu pomóc. – Mężczyzna odchylił się w fotelu.

Mae wykonał identyczny ruch, zagłębiając się w oparcie. Nigdzie mu się nie spieszyło.

– Spójrzmy na to z innej strony. Nasza wspólna przyjaciółka Ellie...

– Ona miałaby nazywać pana przyjacielem?

– Ona twierdzi, że nie miała pojęcia, że znał się pan z Matthew.

– Czyli zgodnie z zasadami. U nas w branży mówi się na to poufność. Wpisuje się to w zasady postępowania. Aha – dodał, podnosząc dłoń w teatralnym geście przeprosin. – Zasady postępowania to...

– Wiem, czym są zasady postępowania.

Cox uzupełnił kubek i wypił. Nastała cisza, w której Mae spokojnie mógłby powiesić siekierę.

Postanowił jednak pytać dalej.

– O czym z nim rozmawiałeś, Charles?

– Nie rozumiem, czemu miałoby cię to interesować, Ben.

– Naprawdę? No to pozwól, że z grubsza zarysuję sprawę. Gość niezbyt lubił produkować się przez telefon. Dziewczyna, praca, żarcie na wynos i to by było na tyle. Jednak zadzwonił do ciebie dosłownie na parę dni przed tym, jak rzekomo zniknął. A jakoś tak się złożyło, że pięć lat temu odegrałeś dużą rolę w sprawie zaginięcia, która dotyczyła tego samego świadka.

Cox zacisnął zęby i opuścił wzrok w tej godnej podziwu potyczce.

– Pozwolisz, że powtórzę pytanie – kontynuował Mae. – Chyba że mam pójść i przynieść ten pieprzony nakaz sądowy, a dobrze wiesz, że go zdobędę. O czym z nim rozmawiałeś? O Ellie?

– Eleanor Power już od dłuższego czasu nie jest moją pacjentką. Od lat. Uchylę rąbka tajemnicy lekarskiej: ona nie jest już pod moją opieką.

– Doprawdy? – Mae odchylił się w fotelu. Miał dużo czasu. – Bo z tego, co ja wiem, gdy wypuszczono ją ze szpitala, została skierowana właśnie do ciebie.

Początkowe zdziwienie policjanta na wieść o zniesieniu ubezwłasnowolnienia Ellie wzrosło, gdy odkrył, że wypisano ją ze szpitala i za zgodą matki przekazano pod opiekę Coxa. Terapeuty, z którym Ellie miesiącami się spotykała bez wiedzy Christine. Człowieka, który jak to ujęła, zniweczył lata rozwoju jej córki. Widział w tym tyle samo sensu wtedy, co i teraz.

– To było dawno temu. – Lekarz westchnął i przyjrzał się swoim palcom. – Nawet gdybym miał słabość do łamania przysięgi lekarskiej, poinformowałbym Matthew, że zgodnie z regulaminem kliniki wszystkie informacje o pacjentach są usuwane po dwóch latach.

Mae wziął głęboki oddech. Ale jak nie drzwiami, to oknem.

– Przyszedłem tutaj, by skreślić cię z listy osób, na które muszę mieć oko. Chcę wrócić do domu i powiedzieć: z doktorem Coxem sprawa jest jasna. No ale nie będę mógł tego uczynić, jeśli nadal będziesz niechętny do współpracy w prostym temacie, prawda? A to by oznaczało, że będę musiał zaangażować w sprawę dodatkowe osoby. Poproszę dzielnicowego, by zaparkował radiowóz pod twoim domem i zadał ci masę pytań, co nie postawi cię w dobrym świetle, tym bardziej jeśli nadal mieszkasz na tej ładnej ulicy. To była Tongdean Road, prawda? Byłoby jeszcze gorzej, gdyby zdarzyło się to rano, gdy wszyscy sąsiedzi odwożą dzieci do szkoły.

– Mieszkam w kawalerce nad punktem zakładów bukmacherskich. Sprzedałem dom pięć lat temu, by móc zapłacić za adwokata.

– No tak. – W karku Mae coś przeskoczyło.

– To brzmi jak ewidentny szantaż – dodał po chwili terapeuta.

– Czyżby?

Cox poukładał wszystkie przedmioty na biurku w równych rzędach, po czym spojrzał w oczy policjanta.

– Jeśli dam ci prostą odpowiedź, czy sobie pójdziesz?
– Tak. Zdecydowanie sobie pójde – odpowiedział, starając się zachować neutralny ton głosu. – Czego on szukał?

– Matthew Corsham był zainteresowany moją specjalizacją.

– Zaburzeniami dysocjacyjnymi?

Cox się wzdrygnął, po czym skinął głową.

– Odpowiedziałem mu, że nie mam z tym już do czynienia.

Mae zmarszczył brwi.

– Jak to? Jesteś w tym temacie najważniejszym arbitrem w kraju, prawda?
A przynajmniej jednym z najważniejszych.

– Byłem. – Dolał sobie wódki i wypił, jakby w kubku miał mleko. – Ellie Power była moją ostatnią pacjentką. Więcej się tego nie tykałem.

– Zatem była to bardzo krótka wymiana zdań. O czym jeszcze rozmawialiście?

– Martwił się o jej zdrowie psychiczne. Żądał dostępu do jej akt, ale odmówiłem. Porozmawialiśmy jeszcze ogólnie o symptomatologii, przyczynach, farmakologii.

W komórcie Mae odezwało się powiadomienie. Wyciągnął telefon, by go wyciszyć, ale wiadomość tekstowa była na tyle krótka, że od razu ją przeczytał. Kit napisała po prostu:

Gul gul gul!

Zduśił w sobie uśmiech. Był to dziwny sposób zaproszenia kogoś na drinka, ale nie miał nic przeciwko. Schował telefon do kieszeni.

– Rozmawiałeś z nim przez telefon?

– Tak.

– I spotkaliście się?

– Tak.

– Ile razy?

– Nie wiem.

– Dobra. Zrozum, że odpowiedź „nie wiem” mi nie wystarczy. Raz? Czy dwadzieścia razy?

– Kilka – odpowiedział Cox. Potrząsnął głową, by zgarnąć włosy z czoła, i spojrzał w sufit. – Ostatni raz jakiś tydzień temu.

– Gdzie to miało miejsce? Tutaj?

– Nie. U mnie w mieszkaniu. Już ci mówiłem, że był uparty.

– I dalej będziesz twierdzić, że podczas tych kilku rozmów deliberowaliście ogólnie o psychologii?

– Tak. O tym i o zasadach poufności.

Mae podjął strategiczną decyzję, wstał i splótł dłonie za plecami, po czym stwierdził:

– To chyba mamy wszystko.

– Tak mi się wydaje.

Policjant skierował się do drzwi, ale coś mu się przypomniało.

– Czy podczas wizyt u ciebie miał ze sobą laptopa?

Cox ściągnął brwi i dotknął opuszkami skroni jakby w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Nie wiem, być może. Czemu pytasz?

– Czy miał go ostatnio?

Terapeuta zmrużył oczy.

– Wybacz, ja... – zaczął, patrząc na butelkę stojącą na biurku. – Moja pamięć nie do końca...

– Dobra, nieważne. Nie przychodzi ci na myśl żadna inna informacja, która mogłaby nam pomóc? Nic?

W ułamku sekundy wzrok Coxa niemal niepostrzeżenie padł na podłogę i momentalnie odbił się z powrotem.

– Nie, nic więcej.

Mae mógł tego nie zauważyć. Ale zauważył.

ROZDZIAŁ 34

Ellie

W końcu po cichu się poddałam. Nie powiedziałyśmy sobie nawet dobranoc. Było o wiele za wcześnie, by iść spać, ale gdy mama wychodziła z łazienki, już leżałam w łóżku. Zajrzała na chwilę do mojego pokoju, dzięki czemu mogłam zobaczyć plastry, które przykleiła na rozcięty łuk brwiowy. Potem zamknęła drzwi na klucz. Usłyszałam odgłos przesuwania czegoś ciężkiego po wykładzinie w przedpokoju. Ustał tuż za moimi drzwiami. Zapanowała cisza.

Odwróciłam twarz do ściany i podkuliłam nogi ze świadomością, że sen przyjdzie dopiero za kilka godzin. Poczytałam, posprzątałam w pokoju, pomalowałam paznokcie. Za dwadzieścia dziesiąta dotarł do mnie dźwięk spłuczki i kroków mamy, zatrzymujących się na sekundę koło mojego pokoju. Następnie cicho zamknęła drzwi do sypialni.

Powoli mijało mi oburzenie, a w jego miejscu pojawiło się poczucie ogromnego smutku związanego z mamą: jej największym występkiem są kąpiel i kieliszek wina. Nigdy, odkąd pamiętam, nie zdradzała choćby śladowego zainteresowania mężczyznami. Kiedyś nawet zasugerowałam jej pójście na randkę, choćby pod fałszywym nazwiskiem, skoro boi się o naszą anonimowość.

– Twój ojciec nauczył mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć o mężczyznach – odpowiedziała ponuro i na tym temat się urwał.

Chwilę bawiłam się telefonem, wypróbowując możliwe hasła dostępu do skrzynki pocztowej Matta. Nieskutecznie. Niedługo potem rozładowała mi się bateria. Ściągnęłam kołdrę i zaczęłam szukać ładowarki, ale przypomniałam sobie, że jest u mamy. Za żadne skarby jej o nią nie poproszę.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jest mi zimno, i wróciłam do łóżka. Już sięgałam po pierzynę, by się przykryć, ale zatrzymałam się w pół ruchu, bo

usłyszałam dziwne odgłosy. Ktoś cicho i szybko pukał do drzwi frontowych.

Skrzypnięcie, po czym głośny szept dochodzący przez wrzutnik na listy:

– Paniusiu!

Przycisnęłam ucho do drzwi, starając się jak najciszej oddychać przez usta. Moja pierwsza myśl: policja. Znaleźli Matta. Ale przecież policja nie szepcze przez szpary na listy. Przyłożyłam palce do drzwi, analizując swoje szanse – jeśli zacznę krzyczeć, czy ten ktoś mnie usłyszy? A nawet jeśli, to co sobie pomyśli?

– Muszę z panią porozmawiać – odezwał się głos. To na pewno był mężczyzna, ale nie umiałam określić jego wieku. Nie był rodowitym londyńczykiem. – Paniusiu. Jest tam pani?

Nagle skojarzyłam. To Piotr, syn państwa Szymańskich.

Chciałam już krzyknąć, ale usłyszałam metaliczny brzęk listwy wrzutnika opadającej na drzwi i kroki na schodach. Pojawił się drugi głos, nastąpiła cicha wymiana zdań na tyle daleko od drzwi, że nie miałam możliwości rozpoznania słów. Potem doszedł do mnie dźwięk zamykanych drzwi u państwa Szymańskich.

Czekałam w bezruchu, nasłuchując. Jakież odgłosy w mieszkaniu poniżej, zatrzaśnięcie drzwi, stłumione fale rozmów. Uklęłam i przytknęłam ucho do wykładziny. Udało mi się odróżnić głosy należące najpewniej do pana Szymańskiego oraz jego syna, ale choć czułam napięty ton ich sprzeczki, nie rozumiałam ani słowa.

Podeszłam do okna.

Szymańscy mieli przy swoim mieszkaniu niską parterową przybudówkę, więc tuż za moim oknem znajdował się dość wąski kawałek płaskiego dachu. Nie było na nim żadnej balustrady, a jego frontowa krawędź kończyła się lekkim spadkiem.

Jeśli będę ostrożna i opuszczę się z dachu cała, do ziemi pozostanie mi niewiele ponad metr.

Ubrałam się w pośpiechu. Jeansy, biustonosz, podkoszulek, bluza z kapturem. Otworzyłam okno, wyszłam na dach i bez oglądania się za siebie dotarłam do krawędzi.

Odwrociłam się, spuściłam połowę ciała, po czym spokojnie się zsunęłam. Upadek na nogi był bolesny, wywróciłam się na tyłek. Poraniłam sobie dłonie,

bo instynktownie próbowałam się nimi podeprzeć. Najważniejsze jednak, że byłam na ziemi. Zrobiłam krok do tyłu, pomyślałam o oknie, które w roztargnieniu zostawiłam otwarte na oścież, i wybuchnęłam głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ 35

Mae

Kiedy wyszedł z za rogu na ulicę, przy której mieszkała Kit, przyszło mu do głowy, że to wszystko jest cokolwiek dziwne. Ciepło bijące z pojemników na wynos parzyło go, gdy ocierały się o nogę, chciał więc jak najszybciej odstawić je na jakiś stół. Zwolnił jednak, by przemyśleć sytuację.

Było po dziesiątej wieczorem. W odpowiedzi na wiadomość od niej nagrał się, a potem napisał, i to dwukrotnie, pytając, gdzie mieliby się spotkać. Nie odpowiedziała. Sprawdził więc jej dane w systemie i odszukał adres. Okazało się, że mieszka po drodze z roboty, więc może zahaczyć o jej dom. Z butelką chablis i kilkoma pudełkami żarcia z najlepszej knajpy na wynos w okolicy. Ot, mimochodem.

Ale teraz zaczął się nad tym zastanawiać. Wypatrując numeru 128, myślał: pewnie już jadła. Albo: co, jeśli najzwyczajniej w świecie nie znosi kuchni indonezyjskiej. Albo miała na myśli inny wieczór, albo poszła już spać. Albo się rozmyśliła.

Parę domów dalej nagle rozświecił się ogródek i usłyszał perlisty śmiech. Cztery, pięć kobiecych głosów, które zamilkły, nachylając głowy, po czym zobaczył ogromny obłok dymu papierosowego, a wraz z nim wrócił śmiech. Licząc drzwi mijane po numerze 120, zdał sobie sprawę, że spotkanie odbywa się u Kit. Ma towarzystwo. A on przylazł tutaj i przyniósł wino, i kurwa mać. Czyli nie chodziło jej o dzisiejszy wieczór.

Na odwrót jednak było już za późno. Ale czy na pewno? Minął numer 122. Tak. Nie. Po prostu przejdzie obok. Ona na pewno nie pali, więc może jeszcze jest w środku, zatem zdoła się prześlizgnąć niezauważony, wszystko będzie dobrze. Albo może tylko zajrzy na moment i powie, że... nie.

Patrzył wprost przed siebie: 126... i 130. Wypuścił powietrze i szedł dalej.

– Sierżancie?

Przystanął. Obrócił się. Ścieżką, w absurdalnie krótkiej i wydekoltowanej sukience obszytej w całości złotymi cekinami, odsłaniającej gołe ramiona pokryte tatuażami kotwic i róż, kroczyła Kit. Jej twarz wyrażała zarazem radość i zdumienie, a palcami trzymała za szyjkę butelkę corony z limonką.

– Sierżancie! A więc to jednak pan!

W ogrodzie zrobił się szum, pozostałe kobiety zaciągały się dymem papierosowym, z uniesionymi brwiami popatrując po sobie nawzajem.

– O, Kit – odezwał się, mało przekonująco udając zaskoczonego. – Cześć.

– Mieszkasz gdzieś tutaj? – spytała, a na jej obliczu pojawił się wyraz lekkiej dezorientacji.

– Idę skrótem – odparł, a gdy spojrzała na jego torbę, uniósł ją lekko i dodał: – Niosę kumplowi.

Jedna z kobiet parsknęła śmiechem i odwróciła się plecami.

– Jasne. – Kit skinęła głową, mrużąc przy tym oczy. – To ślepa uliczka.

Jej towarzyszki nagle zamilkły, bo posłała im wściekłe spojrzenie.

Zachował się jak palant. Wiedział to doskonale. Czy coś jednak zmieni, jeżeli w tym momencie powie jej, że zachował się jak straszny palant? Czy przyznanie się do tego cokolwiek zmieni na lepsze?

Jedna z palących, niska krzepka kobieta o krótkich czarnych włosach, podeszła i stanęła obok Kit.

– Brywieczór! – rzuciła radosnym głosem, po czym zerknęła na niego, następnie na Kit, znowu na niego, cały czas zaciągając się dymem. – Kto to jest?

– Ben – odezwał się Mae, wyciągając dłoń, którą kobieta uścisnęła z siłą robotnika portowego.

– Browara? – zaproponowała. – Nie gryziemy.

– To znaczy akurat Masakra gryzie, nie? – wybąkała któraś z pozostałych. Wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– No fakt – przyznała ta z łapą dokera. – Miałam na myśli resztę. Masakra gryzie jak sukinkot, co nie, kotek? – zagruchała do Kit. Następnie przechyliła głowę. – Choć pewnie sierżant już o tym wie. – Kącikiem ust wypuściła cienką smugę dymu.

Kit dała koleżance kuksańca, po czym wskazując kciukiem na drzwi wejściowe, spytała:

– Ale chcesz się napić? Mam w pytę browca.

Tak więc koniec końców, raczej nie miał wyboru. Poszedł za nią do środka, mijając rozbawione koleżanki, i dyskretnie postawił torbę z jedzeniem tuż za drzwiami do kuchni. Przedpokój zalany był kiczem: wszędzie na ścianach widniały pozawieszane na śrubach siedmiocalowe czarne płyty, a towarzyszyły im niedopasowane sznury z lampkami. Absolutnie, ale to absolutnie wnętrze nie przypominało jakiegokolwiek policyjnego domu, jakie widział do tej pory. W kuchni Kit otworzyła lodówkę, włożyła do niej głowę i wynurzyła się z butelką.

– Tak w ogóle to moje pseudo z derby – wyjaśniła, robiąc palcami ten trik, którym otworzyła kapsel bez śladu wysiłku czy dyskomfortu.

– Proszę?

– Masakra. – Podała mu otwarte piwo, skrzyżowała ręce i patrzyła, jak pije. – Tak już mamy na roller derby, każda dostaje ksywkę. Ja jestem Mundurowa Masakra.

Przełknął.

– Ale już nie jesteś mundurowa. Masz detektywa.

– No – zauważyła, rozciągając ramiona nad głową i rozluźniając plecy. – Trzeba było zastrzec to pseudo przed ewentualnym awansem.

Upił następny łyk piwa.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Cholera. – Wykrzywiła się przepraszająco. – Gdzie mój telefon? Sorry. Byłam na starciu. Na meczu.

– I była zajebista – dodała śpiewnym głosem jedna z towarzyszek, wchodząc pomiędzy nich i sięgając po dzban z czymś kolorowym, co nie było raczej napojem stosownym na szkolną dyskotekę. – Przemieliliśmy te zdziury bez litości.

Mae patrzył, jak koleżanka dudli kubek fluorescencji, zaciska oczy, następnie zgrzyta zębami i się wzdyga, po czym dumnym krokiem powraca do salonu, gdzie głośność muzyki tymczasem wzrosła o parę decybeli.

– Dobrze wiedzieć – odparł Mae i w dwóch łykach dokończył piwo.

Kit odnalazła komórkę, podłączyła ją obok czajnika i wzbudziła ekran.

– Wino czy piwo? – przeczytała, ewidentnie zaskoczona. Podniosła wzrok i spytała: – Czy ja... czy my się jakoś umawialiśmy?

– Napisałaś – zaczął, ale zdumienie na jej twarzy tylko przybrało na sile, toteż dodał: – Gul gul gul? – Powoli przyzwyczajał się do myśli, że wszystko mu się popieprzyło do tego stopnia, że jeszcze tygodniami będzie płonął ze wstydu. – Uznałem, że masz na myśli...

Chwyciła go za ramię, zwijając się ze śmiechu.

– Aa! Nie! Chodziło mi o dźwięk, jak wywali korek! – wyjaśniła między atakami rozradowania. – Przepraszam, no sorry.

Poczekaj, aż się opanuje.

– Zabawne. Zawsze mi się zdawało, że to chodzi o korki elektryczne.

Przechyliła w zamyśleniu głowę, po czym wzruszyła ramionami.

– Tak czy owak, sęk w tym, że zadzwoniła do mnie Colleen.

– Coll... McCulloch? – Mae nigdy nie słyszał, by ktokolwiek mówił o jego przełożonej po imieniu. – I co powiedziała?

– Chciała wiedzieć, co dokładnie udało nam się ustalić. Więc jej krótko zreferowałam, a ona na to, że musi z tobą porozmawiać. Z tego, co zrozumiałam, chce, żebyśmy przekazali sprawę komuś innemu.

– Dlaczego? – spytał Mae, choć doskonale wiedział dlaczego.

– Nie sprecyzowała. Wspomniała coś o „dawnych dziejach” – odparła Kit, palcami rysując w powietrzu cudzysłów. Na jej korzyść przemawiał fakt, że pytania, które bardzo chciała zadać, nie padły. – Tak czy siak – zaczęła po przerwie, która obojgu uświadomiła, że Mae nic więcej w tej kwestii nie dopowie – skoro już jesteś: byłam w Feltham. Tam, gdzie znaleźli wóz Corshama.

Pacnęła w telefon i obróciła ekran w jego stronę. Zdjęcie przedstawiało samochód z bogatą przeszłością i bez przyszłości. Choć fragmenty z tyłu pojazdu pozostały mniej więcej nienaruszone, przód karoserii był cały poczerwieniały, a elementy plastikowe – stopione i połamane.

Oddał komórkę.

– Ustaliłaś, jak się tam znalazł?

– Nie. Ale to podejrzane, nie uważasz?

– Tak i nie. Na przystani nie ma parkingu, więc prawdopodobnie zostawiał auto na ulicy. Ktoś stwierdził, że nim nie jeździ, więc...

– Więc równie dobrze jakieś dzieciaki wybrały się nim na przejażdżkę? Jest na tyle stary, że bez większego problemu da się go odpalić.

– Możliwe. Znam kogoś w miejskim dziale monitoringu. Zobaczę, co mi tam wypatrzy.

Kit roztarła twarz i jęknęła.

– A nie moglibyśmy dostawać na wszystko jasnych odpowiedzi?

Mae dał jej kuksańca na pocieszenie.

– Wiesz, nigdy nic nie wiadomo. A nuż przy następnej sprawie trafi ci się atak szalonego nożownika i zakrwawione ślady prowadzące pod dom podejrzanego.

– Nie, nie, nie o to mi chodzi – zaoponowała, nagle poważniejąc. – Naprawdę chcę go znaleźć, wiem, że jest dorosły i w ogóle, ale to przecież czyjś syn, nie?

Mae poczuł, jak uśmiech zastyga mu na ustach. Nagle w głowie zakłębiły się obrazy, które tak długo starał się zagrzebać w pamięci.

– No co? – spytała Kit, odstawiając piwo. – Co ja takiego powiedziałam?

Z wyćwiczonym przez lata spokojem odegnał wyobrażenie swojej matki. To nagranie, które przesłała: *Zawsze będziesz moim synem. Ale...*

Najokrutniejsze słowo w tym języku. Trzy litery, które sprawiają, że wszystko, co padło przed nimi, staje się gównem. Jakby w ogóle nie istniało.

Ale.

– Mae?

Ale już nie wrócę.

– Tak. Jasne – odparł. – Nic.

Zmierzyła go wzrokiem, po czym ponownie podniosła butelkę do ust.

ROZDZIAŁ 36

Ellie

Stałam na ulicy w świetle latarni przez dobre dziesięć minut, ale choć nawoływałam przez otwór na listy i waliłam w drzwi, pan Szymański nie otwierał.

Przeszłam pół drogi schodami do nas na górę, ale stanęłam. Nie miałam klucza. Nie było mowy, bym budziła mamę, żeby mnie wpuściła, nie po tym, co się stało wcześniej. Nie mając innego wyboru, ruszyłam na długą przechadzkę do łodzi Matta.

Kiedy doszłam na miejsce, na pomoście nikogo nie było. Panowała niesamowita cisza, jak gdyby to miejsce na mnie czekało. Na najwyższym stopniu leżała wrzucona przez drzwiczki dla kota paczka w papierze pakowym owinięta szeroką brązową taśmą. Znaczyło to, że pan Jupp znalazł przesyłkę, o której wspominał.

Obróciłam ją w rękach. Miała adres zwrotny, napisany małymi drukowanymi literami wzdłuż krótszego z boków. Przyszła z Brighton.

Zdałam sobie sprawę, co to takiego. Kształt i waga były tak znajome jak w przypadku ulubionej pary butów. Nie dałam rady zedrzeć taśmy, chwyciłam więc nóż z szuflady i przecięłam opakowanie. Pierwsze, co napotkały moje palce, to liścik. Odręczny. Krótki, raz jeszcze z adresem, napisanym tym razem małymi literami, tym samym drobnym, okrągłym pismem, a do tego numer telefonu.

Drogi Matthew, przeczytałam. Oto i on. Proszę, proszę, obiecaj mi, że będziesz o niego dbał. Pozdrów ode mnie serdecznie Ellie. Zawsze była taka kochana. Moja Jodie zrobiłaby dla niej wszystko. Lucy.

Lucy Arden, matka Jodie. Czytając o „Mojej Jodie”, poczułam, jakby kość mi stanęła w gardle. Zerwałam papier i ciężko przysiadłam, od czego wąski kil łodzi zanurzył się głębiej. W środku znajdowała się książka, mniej więcej

formatu A5, w okładce z fioletowego winylu. Powyginana i uszkodzona na rogach, z pękniętym grzbietem. Tym, co odróżniało tę konkretną książkę od setek innych wydrukowanych w tym samym czasie, była charakterystyczna plama z proszku daktyloskopijnego.

To był pamiętnik, stary pamiętnik, zapisany odręcznie dwoma różnymi charakterami pisma. Połowę zapisałam ja, drugą połowę moja zmarła najlepsza przyjaciółka. Wpisy robiłyśmy na przemian, bo kolejno brałyśmy go na przechowanie i przekazywałyśmy sobie podczas następnego spotkania, aby przeczytać dopiero później, w samotności, nocą. Kartkowałam, w zaciśniętym żołądku przełykając Siggy. Tu i ówdzie moje słowa głęboko wrzynały się w papier, dając wyraz nastoletnim emocjom – złości, miłości, smutkowi – które rozdymały nas do granic wytrzymałości.

Z szacunkiem przeszłam na koniec. Do ostatnich wpisów przed pustymi stronami. Do zapisanych przez nią szerokim, okrągłym pismem niemalże histerycznych wyznań miłości. Do licznych wykrzykników przypieczętowanych małutkimi serduszkami zamiast kropek, takimi samymi, jakie wieńczyły jej litery „i” i „j”. Nigdy nie nazwała obiektu swego uwielbienia w obawie, że kiedyś pamiętnik może wpaść w ręce mamy, ale ja wiedziałam. Trudno było tego nie zauważyć.

Przez pierwszych parę dni po zniknięciu Jodie Cox zjawiał się każdego wieczora. Przychodził ze mną porozmawiać, ale mama mu nie pozwalała. Nie chciała, by się do mnie zbliżał. Kiedy to się stało, przestała pracować, wszędzie mi towarzyszyła. Początkowo utrzymywała, że to nie mogła być sprawka Siggy. Próbowала mnie przekonać, że moje zadrapania mogły wziąć się skądkolwiek, że nie było się czym przejmować.

Ta przerwa, między zniknięciem Jodie a dokonaniem przez mamę odkryciem, nie trwała długo. Choć chciałam pomóc w dochodzeniu i wiedziałam, że nasza jedyna szansa polegała na wyznaniu prawdy policji, to właśnie w tych dniach uruchomiłyśmy lawinę kłamstw. O niczym innym z mamą nie rozmawiałyśmy, tylko raz za razem powtarzałyśmy temat. Czy chociaż zdawałam sobie sprawę, że zmyślamy? Z obecnej perspektywy wydawało się, że wówczas tkwiłyśmy w jakimś bezbarwnym bezczasie, ale bez wątplenia nigdy nie powiedziałyśmy sobie, że właśnie się zastanawiamy, w jaki sposób okłamać policję. Początków tych sfabrykowanych szczegółów teraz już nie mogłam odtworzyć: tego o rozbitej latarni w miejscu, gdzie powiedziałam, że Jodie wsiadła do wozu; tego, jak przysięgałam, że sprzeciali

się o jej buty; tego, jak Cox nazwał ją pierdoloną wywłoką. Wszystko stało się tak stopniowo, że linia łączenia zupełnie się zatarła: to, co mogło się wydarzyć, przemieniło się w to, co z całą pewnością i naprawdę widziałam.

Dopiero kiedy mama ją znalazła, poukładałyśmy wszystkie elementy. Prawdziwą wersję. Ale wtedy było już za późno.

Spałam, kiedy zjawiała się, by mi powiedzieć, że przyszło jej do głowy, gdzie mogła zniknąć Jodie. Oświeciło ją znieenacka: to miejsce, dokąd przed kilkoma miesiącami chciała wybrać się na kemping. Mama powiedziała, że gdy tylko na to wpadła, próbowała dzwonić i poinformować o tym Bena Mae, ale nie odbierał. Było późno, a on miał w domu małe dziecko i żonę. Więc po prostu wsiadła do auta i pojechała sama.

Kiedy chodziła po okolicy, coś zwróciło jej uwagę. Coś jasnego.

A kiedy się zbliżyła, odkryła, że był to pukiel włosów Jodie.

Wyciągając ją, mama pokaleczyła sobie dłonie o krzaki jeżyn. Pokazywała mi potem zranienia, obłe krople zakrzepłej krwi. Jak powiedziała, Jodie miała w dłoni kępkę czarnych włosów. Dotknęłam podrażnienia na swojej głowie. W tej sytuacji dalsze słowa były zbędne.

Cox nie był człowiekiem niewinnym, ale to, co mu zrobiłam, cośmy mu zrobiły tą opowieścią, choć wiedziałyśmy, że go tam nie było, to świństwo. Nawet nie potrafiłam myśleć, jak po tym wszystkim musiało wyglądać jego życie. Wytoczona mu sprawa zakończyła się niczym, gdy zrobiłam, co zrobiłam, z nożem. Jak uznali, byłam nie zrównoważona. Niewiarygodny świadek. Ale mleko się rozlało. I wiedział, że kłamałam.

Zamknęłam książkę i położyłam palce na okładce. Nie z braku chęci do lektury – po tak długim czasie chciałam przeczytać to w całości. Ale musiałam się zastanowić. Przejechałam palcem wzdłuż liściku od Lucy, która po zniknięciu córki błagała mnie, byśmy pozostały w kontakcie, ale której moja matka zabroniła się do mnie odzywać.

Mama mówiła, że to dla nas niebezpieczne. Wystarczyło, bym raz powiedziała o jedno słowo za dużo.

Ale oto miałam zachowany dowód naszej przyjaźni, który odnalazł Matt. Matt odszukał Lucy Arden, a ona mu to przesłała. Jedyne wspomnienie rzeczywistych myśli i uczuć córki. Książkę, co do której miała nadzieję, że dowiedzie winy Charlesa Coxa, ale która ostatecznie okazała się zaledwie paplaniem dwóch nastolatków. Ogólnikowym, poszlakowym, anegdotycznym.

Czego się chciałeś z niej dowiedzieć, Matt?

Czytałam, aż zaczęła ogarniać mnie senność, a wtedy wstałam, by się poprzeciagać i pobudzić krążenie. Na zewnątrz światło księżyca odbijało się w gładkiej tafli wody, śląc jasne wstążki refleksów, które tańczyły i przeplatały się na suficie i na ścianach łodzi. Obserwowałam je, a powieki robiły mi się coraz cięższe, rozpaczliwie łaknąc odpoczynku, kiedy nagle usłyszałam głosy na pomoście.

Przez okno dostrzegłam rodzinę, którą kojarzyłam: mieszkańcy łodzi, sąsiedzi Matta, powracali nocną porą. Tata niósł małą dziewczynkę, wciąż w szkolnym stroju, śpiącą mu na ramieniu, a mama łagodnie pacyfikowała wiercącego się na rękach szkraba, chłopczyka, któremu przymykały się oczy. Mężczyzna obrócił się i ujrzałam, że ma na sobie coś, od czego zawrzało mi w skroniach. Była to kurtka we wzór maskujący. Wcześniej jej nie zauważyłam. Na dodatek miał na sobie bojówki, a T-shirt nie był brązowy, ale w kolorze khaki. Tak, to był żołnierz. Chwyciłam za brzeg blatu kuchennego, a Siggy z opadniętymi powiekami zwróciła się ku mnie.

Zadrżały mi kolana. Opadłam na podłogę, gdzie nie mogli mnie dojrzeć, wylewając sobie whisky na jeansy. Usłyszałam, jak się oddalają, a mały zaczyna płakać. Widok tego dziecka, widok chłopczyka ze snu, rozpalił mi się w oczach i wbiłam paznokcie w dłonie, powtarzając sobie w myślach: *Nie, nie tutaj. Dalej, Ellie.*

Ale to nadciągało niezależnie od mojej woli. Nic nie mogłam poradzić, a panika i zgiełk wokół mnie narastały, jakbym tam była, jakby była tam Siggy i jakby był tam ten chłopczyk, jakby patrzył mi w oczy, a ja nie mogłabym mu pomóc...

*placze, bo jest głodny
nie rozumie i nie możesz*

Oddychaj – oddychaj – wdech na siedem

*proszę zostaw go
proszę nie on będzie cicho on nie rozumie
on nie*

nie

nie rób

niech ktoś go powstrzyma zostaw go

nie rób mu krzywdy nie rób mu krzywdy nie nie nie nie nie NIE

Zimna ciecz na moich nogach, sącząca się przez spodnie

proszę ja chcę do mamy. Proszę

Oczy miałam otwarte, a jedynym dźwiękiem był mój własny urywany oddech. Obraz – ta scena, która wciąż tam tkwiła, gdzieś z tyłu moich oczu – zaczął blaknąć i wkrótce, z każdym szarpnięciem serca, wstrząsający mną paniczny strach stawał się mniejszy. Usta miałam sztywne, otwarte i wciąż czułam jego zapach, tego żołnierza ze snu Siggy, zapach krwi, aż gęsty w moich nozdrzach. Gdy udało mi się rozluźnić szczękę, twarz chłodziły mi łzy. Wzdrygnęłam się w oczekiwaniu, aż mi się rozjaśni.

Kiedy wreszcie wstałam, wylałam resztę whisky do zlewu. Poruszałam się powoli, wciąż otoczona Siggy jak smogiem, który mnie spowalniał, otepiał i pozbawiał sił.

Północ przyszła i minęła. Nie wiedząc, co zrobić, aby powstrzymać się przed zaśnięciem, znalazłam jakąś książkę. Wtem łódź poruszyła się na wodzie, a kiedy znowu się podniosłam, siadając do pionu z jęknięciem, zdałam sobie sprawę, że przysnęłam. Nie wiedziałam, na jak długo. Parę minut? Na godzinę? Byłam pewna, że się nie ruszyłam, ale czułam Siggy, jak iskrzyła między warstwami mojej skóry. Naszej skóry. Podciągnęłam się, podskoczyłam parę razy w górę i w dół, napinając i zaciskając ręce, starając się ją odegnąć, aż sobie przypomniałam o tej rodzinie, o tych dzieciach, które spały w odległości zaledwie kilku metrów od miejsca, gdzie byłam. A mnóstwo łodzi w ogóle nie miało wewnętrznych zamków.

Nie mogłam pozwolić, by tej nocy do mnie przyszła. Nie tutaj.

Pod panelem pokładu dziobowego znalazłam pęczek opasek zaciskowych. Wypróbowałam jedną z nich, przeprowadzając cienki koniec przez ucho na przeciwnym krańcu i zaciskając tak, jak to robiła policja w jakimś programie, który widziałam kiedyś z mamą. Z jednej zrobiłam bransoletkę i włożyłam w nią rękę, zaciskając na tyle ciasno, bym nie mogła jej zdjąć. Następnie przez pętlę na nadgarstku przełożyłam drugą opaskę i już wkładałam do niej rękę,

kiedy w ostatnim przeblysku przytomności umysłu zdałam sobie z czegoś sprawę.

Skoro Siggy była w stanie poprowadzić jego samochód, to dałaby też sobie radę z plastikowymi kajdankami.

Wiedziałam, co muszę zrobić. Z szafy w sypialni wyciągnęłam pustą torbę ikeowską i rozpoczęłam zbiory. Z kuchni – wszystkie noże, nożyczki, widelce. Ostrzałkę, szpikulce. Następnie żyletki z łazienki: niezaczone opakowanie jednorazówek, którymi Matt zawsze potrafił poharatać swoją piękną buzię, a które znalazłam wepchnięte za umywalkę. Przeszukałam wszystkie szafki i szuflady od dzioba po rufę: piłki do metalu ze schowka na narzędzia, dłuto, młotek, śrubokręty. Druciane wieszaki na ubrania, dwa korkociągi.

A kiedy byłam pewna, że mam już wszystko, przekradłam się na pokład rufowy i po kolei powyrzucałam je do czarnej wody.

ROZDZIAŁ 37

Mae

Mae stał, dygocząc na schodach ratusza Ealing, a jego oddech zamieniał się w parę. Rozglądał się na wszystkie strony w oczekiwaniu na taksówkę. Pod wspianą, przypominającą zamek budowlą znajdowało się Centralne Pomieszczenie Kontrolne zarządzanego przez dzielnicę systemu monitoringu i to właśnie tam Mae miał nadzieję zdobyć nieco wiedzy na temat losu auta Matthew Corshama.

Dwa kubki kawy ustawił sobie pod nogami i spojrzał na zegarek. Można powiedzieć, że wpół do ósmej rano to pora niekoniecznie sprzyjająca spotkaniom. Tyle że Rod, jego dobry kolega i kontakt w lokalnych władzach, był dawnym wojskowym, tak więc Mae uznał, że wczesna pobudka nie jest mu obca. Fakt, telefon od Mae o szóstej rano nie sprawił mu szczególnej radości, ale robota to robota.

Zadzwoił telefon i Mae wyciągnął go z kieszeni. Colleen McCulloch. Jego kciuk zawisł już nad zieloną ikonką, ale jednak nie odebrał: *chce, żebyśmy przekazali sprawę komuś innemu*, mówiła Kit. *Coś o dawnych dziejach*.

Później oddzwoni do McCulloch. Nic się nie stanie.

Po przeciwnej stronie ulicy kobieta prowadziła po chodniku stadko dzieci w kamizelkach odblaskowych. Patrzył na ich powolny marsz, na torebki z drugim śniadaniem dyndające im w rączkach, a poczucie, że o czymś zapomniał, powoli przekradło się z tyłu głowy do centrum jego uwagi.

Kurwa jego mać.

Wycieczka szkolna. Miś chciała, żeby pojechał z nimi na wycieczkę.

Wyciągnął telefon i zauważył, że otrzymał wiadomość od Kit, wysłaną ubiegłej nocy być może z dziesięć minut po tym, jak wymknął się z imprezy Jędz z Hounslow.

Wiadomość brzmiała: *Mniam mniam mniam*.

Pod nią przysłała zaś kolejna, wysłana parę sekund później: (*objaśnienie: to my, zjadamy właśnie kolację, którą zostawiłeś*).

Mae się uśmiechnął, a poczucie upokorzenia odrobinę osłabło, po czym zadzwonił do sekretariatu szkoły i zostawił wiadomość, w której deklarował chęć pomocy przy wycieczce, zastanawiał się, czy będzie miał okazję poznać chłopca – „kutaфона” – który dokucza jego skarbowi.

W końcu zza kawalkady autobusów powoli wyłoniła się duża taksówka przystosowana do transportu osób niepełnosprawnych. Kierowca wysiadł i opuścił rampę, a podparty dotąd Mae wyprostował się i podszedł przywitać przyjaciela.

– Jesteś, mój drogi, barbarzyńcą – oznajmił Rod, gdy wytoczył się z taksówki i zapłacił. Lecz jego irytacja nie była na tyle duża, by nie sięgnąć po flat white, podaną przez Mae, którą przyjął z wyrazami fałszywego oburzenia i sprawnie umieścił w chwytaku na wysokości biodra. – Poza tym swoim telefonem obudziłeś moją żonę, a pracuje na nocną zmianę. Więc jeśli na nią trafisz, uważaj, by nie dostać po jajach.

Mae przeprosił go i w ślad za nim wszedł po rampie.

– Nowa bryka? – spytał, podziwiając wózek inwalidzki Roda na smukłej ramie ze szczotkowanego aluminium.

– Ten starość? – Rod otaksował wózek wzrokiem z wyraźną dumą. – Dla takiego warto by było drugi raz stracić nogi.

Mae pokazał w recepcji odznakę i ruszyli korytarzem, a nad ich głowami świetlówki z terkotem budziły się do życia.

W pomieszczeniu kontrolnym Mae przystanął, aby przyzwyczaić się do mroku. Tego dnia byli tam pierwsi. Pokój rozmiarów auli w szkole podstawowej wyglądał w znacznej mierze jak zwykłe biuro – bałagan, papiery, drukarki, biurko – tyle tylko, że było w nim znacznie ciemniej. Główną ścianę pokrywały ekrany. Za pierwszym razem, kiedy Mae znalazł się w takim pomieszczeniu, zdumiało go, do jakiego stopnia wygląda ono w rzeczywistości tak, jak je przedstawiano na filmach. Praca w takim półmroku pięć dni w tygodniu nie może być dobra dla zdrowia, lecz najwyraźniej nie przeszkadzało to Rodowi, który zasilił ekipę ratusza zaraz po otrzymaniu zwolnienia ze służby z powodów zdrowotnych – w wieku

dwudziestu dwóch lat stracił obydwie nogi wskutek wybuchu miny przeciwpiechotnej.

Rod dojechał do stanowiska pracy, z przodu i pośrodku, zrzucił płaszcz i sięgnął pod konsolę, gdzie przełączył pstryczek. Uruchomiło to jakieś trzydzieści pięć metrów kwadratowych powierzchni ekranowej, która oświetliła pokój.

Wyszczерzył się do Mae i przyznał:

– Kocham ten moment. – Po okazywanym przed budynkiem naburmuszeniu nie było już śladu. – To czego chcesz? Co jest takie ważne, że przerywasz mi mój ulubiony sen?

Mae dosunął sobie krzesło.

– Muszę wyłapać ostatnie chwile pewnego auta przed spłonieniem.

Rod wysłuchał go i skinął głową.

– Z kiedy?

Mae podał datę i godzinę i Rod zabrał się do pracy. Nie dość, że z wojska wyniósł zamiłowanie do porządku i precyzji, to na dodatek znał dzielnicę jak własną kieszeń. Mae swego czasu widział, jak na bieżąco potrafi śledzić samochody na ekranach, przełączając kamery i niczym jasnowidz wyprzedzając zmiany kierunku śledzonego auta, układał kolejne kadry jeden po drugim niczym kostki domina.

– Problem w tym, że te fragmenty tutaj i tutaj – zastrzegł Rod, zaznaczając kwartały wskaźnikiem laserowym – nie należą już do dzielnicy, jakieś dziesięć lat temu je sprzedano. Kiedy były nasze, dałbym ci i pięćdziesiąt różnych ujęć, ale teraz cały odcinek pokrywa ledwie parę kamer na słupach.

Często powtarzane twierdzenie, że gdziekolwiek się ruszysz, zostaniesz nagrany, jest błędne. Jasne, było mnóstwo kamer, tyle że ich zasięg składał się na chaotyczną plecionkę, nie zaś wielką scentralizowaną sieć, jak to sobie ludzie zwykli wyobrażać. W rzeczywistości, jeśli zależy ci na nagraniu spoza budynków, najlepiej spojrzeć w górę, zorientować się, które kamery mogły coś wychwycić, a następnie przejść się i dowiedzieć, do kogo należą. Może połowa z nich rzeczywiście była do czegoś podłączona, a z tych jedynie drobny odsetek zapisywał widok z obiektywów.

Rod skupił spojrzenie na ekranie wbudowanym w biurko, przy którym siedział.

– To tam?

– Tam. – W Feltham w latach dziewięćdziesiątych zaplanowano budowę potężnego nowego centrum rekreacyjnego i w tym celu wyburzono tamtejsze kino, lecz potem projekt stracił dofinansowanie i od tego czasu cały kompleks pozostawał w stanie uśpiania. Wciąż otaczało go ogrodzenie, po części z siatki, po części z płotu, na którym wisiały klasycznie nieprzekonujące ostrzeżenia przed konsekwencjami wtargnięcia na teren.

– To najlepsze, co mogłem znaleźć – oznajmił Rod, pokazując Mae okrojony kadr z końca drogi prowadzącej do opuszczonej posesji. – Albo może tu. – Przełączył na ujęcie z większej wysokości, obejmujące, do połowy otwartą i niczym niezabezpieczoną bramę.

Mae się nachylił.

– Daj ten pierwszy kadr. Gościa widziano ostatnio koło piątej, to puść może od tego momentu i zobaczmy, co się pojawi.

Rod załadował materiał i ustawił dziesięciokrotną prędkość odtwarzania, objaśnił Mae, jak obsługiwać konsolę, po czym wybrał się do toalety. Kiedy wrócił, Mae był dokładnie pięćdziesiąt procent mniej optymistycznie nastawiony niż dotychczas.

– Ani śladu? – spytał Rod, sięgając po kawę.

– Pokaż ten drugi kadr. – Mae westchnął.

Na nagraniu w Feltham zrobiło się ciemno. Zapaliły się latarnie, częstotliwość ruchu samochodowego wyraźnie spadła, a potem... nic. Godzina nagrałego materiału, który równie dobrze można by uznać za zatrzymane ujęcie, jeżeli pominąć sporadyczne błyski samolotu nadlatującego ze wschodu w kierunku Heathrow. Licznik czasu zasuwał, a z północy na nagraniu zrobiła się pierwsza, potem druga w nocy. Rod ziewnął i oparł łokcie na blacie.

I nagle się wyprostował.

– Mamy cię.

Mae również to zauważył. Z lewej strony ekranu wjeżdżał charakterystyczny dwubarwny kabriolet Matthew Corshama. Rod przesunął powoli kciukiem po kółku konsoli.

– Dobrze, trzecia zero dziewięć – oznajmił. Patrzyli, jak samochód skręca w bramę, po czym zagłębia się w kompleks i znika z kadru.

– Puść to jeszcze raz. – Mae poderwał się na nogi i obserwował obraz z bliska. Lecz nawet przy projekcji klatka po klatce z nagrania nie dawało się ustalić wiele więcej. – Cholerne odbicia – wymamrotał. Refleksy świetlne na przedniej szybie uniemożliwiały identyfikację kierowcy. Ale z wysokości nadkola wywnioskował, że samochód nie był zbyt obciążony, jechała nim prawdopodobnie jedna osoba, a konkretna pora stanowiła już jakąś informację.

– Mówiłeś, że auto zaraz spłonęło, tak? – dopytał Rod, podnosząc wzrok.

– Na to wygląda.

– No to kierowca musiał w końcu wyjść. – Wskazał na dygoczący obraz na pauzie. – A to jedyne wyjście, więc...

– Więc poczekajmy.

I poczekali. Lecz około piątej rano, kiedy mrok zaczął się przeistaczać w szary dzień, a ruch uliczny przybierał na sile, stało się jasne, że kierowca nie wyjdzie tą samą drogą, którą wjechał.

Mae przeciągnął dłońmi po czaszce.

– Kurwa. – Nagle wpadł na pomysł. – A gdybyśmy ruszyli za autem w tył?

– Aha. Chcesz wysledzić go do źródła. – Rod się uśmiechnął, wydymając językiem policzek, i skupił się na konsolocie. – To może skocz po więcej kawy, bo to pewnie trochę potrwa.

W sumie zajęło to Rodowi około godziny, ale kiedy już skończył pracę, efektem była piękna i nieco oszałamiająca składanka.

– Spróbuj skupić się na samym wozie, a nie na otoczeniu – poradził Rod, przywołując Mae, który do tej pory zajęty był wyszukiwaniem w internecie pomysłów na wystrój sypialni dla dziewczynek. – Ujęcia bardzo się różnią wysokością i orientacją, więc trudno za nimi nadążyć, ale koniec końców, docieramy do celu.

Patrzyli, jak samochód cofa się w czasie i przestrzeni i wyjeżdża tyłem z zapuszczonego podwórza na drogę.

– Tu widać, jak cofa się do szosy na Staines – zauważył Rod, który służył Mae za narratora – a potem tu ścina na północ i zmierza na autostradę. – Moment przerwy. – Taki monitoring to fascynująca sprawa, co? Biję na głowę *Grę o tron*.

Mae śledził, jak samochód przejeżdża pod autostradą M5 w okolicach Heston, potem zatacza pętlę, aż wreszcie zjeżdża z Boston Manor Road tuż za Elthorne Park i znika.

– Niestety, tutaj to się właściwie urywa. Na tych obszarach mieszkalnych zasięg jest bardzo fragmentaryczny. – Rod zatrzymał sekwencję i obrócił się na wózek. – W ogóle to jakoś pomogło? Facet gdzieś tam mieszka?

Mae pokręcił głową.

– Dobrych parę kilometrów stąd. – Sięgnął po wystający z przegródki spis ulic. – Ale co to w ogóle za droga, gdzie znika nam z oczu?

Rod wpisał polecenie i ekran po prawej przełączył się z widoku satelitarnego na widok mapy. Nachylił się.

– Początek Abson Street – odparł.

Abson Street. Tam mieszka Ellie.

– To ci coś mówi?

Mae wstał.

– Niewykluczone.

– Chwileczkę, wielkoludzie – zaproponował Rod, widząc, jak Mae zgarnia płaszcz z krzesła. – Zanim wyjdiesz, powiedz mi, kiedy mnie znowu gdzieś wyciągniesz. Od miesiący nigdzie nie byliśmy. Nocami nie śpię, marząc o dniu, kiedy zadzwonisz...

– Dobra, dobra. Sorry. Byłem zawałony robotą.

Rod popatrzył na niego z czymś w rodzaju zaniepokojenia.

– Hej, o co chodzi?

Mae się zastanowił, czy powiedzieć. Z Rodem kumplował się od lat, jeszcze kiedy przed wstąpieniem do policji pracował w ochronie. Przyjaciół był jedną z niewielu osób, które utrzymały z nim kontakt, kiedy, jak to eufemistycznie ujął Rod, Mae wybrał się na „urlop regeneracyjny”. Teraz przypomniał sobie, że Rod miał też parę uwag na temat sierżanta Heatha: służyli kiedyś razem, a Rod był człowiekiem zdolnym długo pamiętać urazy.

– Pamiętasz Jodie Arden?

– Tak. – Powoli skinął głową. – Tak, jak najbardziej.

Mae się zawahał. Chodziło o otwartą sprawę, rzecz poufną, ale Rod był ze wszech miar godzien zaufania.

– Nasz zaginiony to chłopak Ellie Power, czyli...

– ...najlepszej przyjaciółki, tak, pamiętam – dokończył Rod, marszcząc czoło. – Co za zbieg okoliczności.

– I mnie to mówisz? – Mae narzucił kurtkę, dopijając zimną resztkę kawy.
– I pewien nie jestem, ale wygląda na to, że ten dupek Charles Cox również jest w to zamieszany.

Rod zrobił wielkie oczy, ale zanim zdołał odpowiedzieć, odezwał się telefon Mae. Dzwoniła Kit.

– Jestem na zewnątrz – oznajmiła. – Wychodź.

Podziękował Rodowi, pożegnał się i ruszył do schodów.

Kit stała na zakazie, z włączonym silnikiem i komórką przy uchu.

– Jest pan tam teraz? – powiedziała do aparatu, kiedy Mae wszedł do wozu. Machnęła na niego, by czym prędzej zamknął drzwi, zwolniła hamulec ręczny i włączywszy się do ruchu, dopiero wtedy skończyła rozmowę.

– Dobrze – dodała. – Za dziesięć minut tam jesteśmy. – Odłożyła telefon do wnęki nad radiem. – Ale mamy wieści; nie wiem tylko, czy dobre, czy złe, czy po prostu pojebane.

– Co się stało?

Nie odrywała oczu od jezdni.

– Dzwonił Jupp. Właśnie wpłynął czynsz za łódź Matthew Corshama.

ROZDZIAŁ 38

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>17 września 2006</i>

CC: Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym poświęcić chwilę kontynuacji sesji sprzed tygodnia.

EP: Okej, niech będzie.

[pauza: 21 sek.]

CC: Z twojej mowy ciała widać, że ten pomysł niezbyt ci się podoba.

EP: To było... Nie mogę przestać o tym myśleć. Ciągłe to widzę, ciągle tak jakby... czuję. Nie chcę tego czuć.

CC: To była bardzo trudna sesja.

EP: Już nic mi nie jest.

[pauza: 31 sek.]

EP: Serio, nic mi nie jest.

CC: W porządku. Jasne. Więc pod koniec naszej ostatniej sesji ustaliliśmy, że gdybyś mogła, odbyłabyś rozmowę z mamą na temat swoich blizn.

EP: Tak, zgadza się, chyba tak. Skoro pan sądzi, że to coś da. Ale tak szczerze, ja tego nie pamiętam. Po prostu. Jak pan ostatnio mówił, że mój wypadek mógł mieć coś wspólnego z Siggy... Nie, moim zdaniem tak po prostu nie jest.

CC: Nie, czyli twoim zdaniem nie ma tutaj związku?

EP: Naprawdę tak uważam. Miałam wypadek.

CC: Ale go nie pamiętasz.

EP: No... nie. Byłam naprawdę mała. Ale to, co ostatnio robiliśmy... cokolwiek to było, to było... jakieś inne. Siggy potrafi... To znaczy nie musi pan wierzyć we wszystko, co panu powie.

CC: Tyle że doszliśmy do czegoś, do tego poczucia bólu i też strachu, co zdawało się sugerować odmienne wyjaśnienie obrażeń, jakich doznałaś we wczesnym dzieciństwie.

EP: Nie. Kiedy byłam dzieckiem, miałam wypadek z wrzącą patelnią. A to tydzień temu – ten sen czy cokolwiek to było – to Siggy w pożarze. To tylko sen. Koszmar. To nie rzeczywistość.

CC: Aha.

[pauza: 31 sek.]

CC: Ellie, czy pamiętasz, że wspominałaś o strachu przed tym, że ktoś nadchodzi? Że trzeba się ukryć. Mówiłaś o jakimś człowieku.

[pauza: 22 sek.]

EP: To był sen.

CC: Rozumiem.

EP: Proszę posłuchać, to wszystko, co ona mówi, że się czegoś boi, jak cała ta historia z żołnierzem – to ściema. Spytałam mamę, nie znamy nikogo w wojsku czy coś, nigdy nie znałyśmy. To nie ma ze mną nic wspólnego.

[pauza: 40 sek.]

EP: No dobrze, to dalej w takim razie co? Dlaczego nic pan o tym nie mówi?

CC: Chcę ci jedynie przypomnieć, że kiedy mówimy o Siggy, to w istocie jest ona częścią twojej własnej tożsamości, która oddzieliła się od dominującego ja.

EP: Tak, to rozumiem.

CC: Ona nie... To nie jest tak, że chodzi o odrębną osobę. Ona poza tobą nie istnieje.

EP: Wiem.

CC: Tak więc wszelkie... szczegóły, wszelkie lęki, które ma, które w jakiś sposób jej się trzymają, jak gdyby cały czas ich doświadczała, nie biorą się z niczego. To przeżycia, które ją ukształtowały: chwile, których się trzyma, bo są kluczowe dla jej tożsamości, rozumiesz? Kwestie takie jak te sny, o których mi opowiadałaś: wzmianki o żołnierzu, o chłopczyku, i ten długi budynek, o którym parę razy wspominałaś...

EP: To sprawy Siggy, nie moje.

CC: W porządku. Posłuchaj, ja rozumiem, że jeżeli od wczesnego dzieciństwa nie byłaś na terapii, to prawdopodobnie nigdy nie mówiłaś o tym szczerze profesjonalistom. Ale teraz rozmawiasz o tym ze mną, będąc osobą niemalże dorosłą, więc najszczerzej, jak tylko można, powiem ci to, co wiem i o czym jestem przekonany: dysocjacja tak nie działa.

EP: Wcześniej mówił pan, że umysł może zrobić wszystko. I to nie raz. Tak pan mówił.

CC: Tak. Tak mówiłem. Ale istnieją wzorce i... Posłuchaj, to jest tak. To, o czym tu rozmawiamy, te obrazy i wydarzenia zostały

zagrzebane, odłączone od twojej psyche. Siggy to tożsamość, która stała się jakby strażniczką tych... informacji.

EP: Nie. Nie.

[pauza: 1 min 12 sek.]

CC: Dobrze, proszę, tutaj masz chusteczki. Możesz na mnie spojrzeć? Dobrze, w porządku. Ellie. To, o czym mówiłaś w zeszłym tygodniu, nie jest wytworem twojej wyobraźni. To, co opisywałaś, ten ból, ten lęk, to, że nie chciałaś otworzyć oczu – to wszystko to traumatyczne doświadczenie, które naprawdę miało miejsce.

[pauza: 23 sek.]

EP: Nieprawda.

CC: W porządku. Przecież tu idzie o wysoką stawkę. Dopuszczenie myśli, że to prawda, przyznanie, że istnieje możliwość, że tak było, może być dla ciebie niebezpieczne.

EP: Nie. To nieprawda.

CC: Aż strach o tym myśleć.

EP: Nie, bo...

CC: Bo jeśli pozwolisz sobie uwierzyć, że ta trauma jest prawdziwa, to jak mogłabyś czemukolwiek jeszcze zaufać?

[pauza: 21 sek.]

CC: Jak się z tym czujesz, jak teraz o tym myślisz?

[pauza: 33 sek.]

EP: Nie mogę tego zrobić. Nie mogę. Lepiej będzie, jeśli pozostanę taka, jaka jestem.

ROZDZIAŁ 39

Ellie

Spałam na łodzi, ale nie zaznałam spokoju. Sny były krwawe, niewyraźne i mieszały różne momenty w czasie. Widzę Matta ze zmiażdżoną sznurem szyją, a ja stoję spokojnie obok niego. Potem znowu się pojawia, tym razem z wykręconą głową, która leży obok reszty ciała. Jeszcze żyje i próbuje złapać oddech. Następnie okazuje się, że wpadł do dołu czy grobu, a z zimnej ziemi podchodzi do niego woda, wsiąka we wszystkie pory i powoli go dusi. Matt wciąż jest świadomy i błaga mnie o pomoc.

Jednak w tych wszystkich wizjach nie widziałam Siggy ani żadnego elementu charakterystycznego dla niej. Ani budynku, ani krwawiącego małego chłopca, ani munduru czy pożaru. Nic.

Gdy w końcu się obudziłam i postanowiłam wstać, spuściłam nogi z łóżka i zaczęłam rozglądać się za czymś, czym mogłabym zdjąć opaski zaciskowe. Jako że wszystkie ostre przedmioty wyrzuciłam za burtę, spróbowałam przeciąć pętlę kluczem, ale nie udało mi się dobrze go ustawić. Usiadłam na rancie blatu w kambuzie i zaczęłam pocierać opaską o kawałek metalowej listwy, która odpadła od płyty wiórowej. Plastik przy nadgarstkach coraz bardziej się wycierał, aż wreszcie mogłam przerwać go z trzaskiem zębami. Z oswobodzonymi dłońmi zdjęcie pozostałych opasek poszło już o wiele szybciej. Niebawem zebrałam wszystkie rzeczy, nie zapominając o dzienniku, i byłam gotowa do wyjścia.

Gdy otworzyłam luk i wyszłam na pokład, niebo dopiero zaczynało się mienić różową poświatą poranka. Zaczęłam biec truchtem w kierunku domu, ale głód i uczucie osłabienia zmusiły mnie do zwolnienia do spacerowego kroku.

Na rogu naszej ulicy zatrzymałam się, przypominając sobie minioną noc. Ktoś wyraźnie próbował mi coś powiedzieć i miałam zamiar dowiedzieć się,

kto to był.

Zapukałam do drzwi sąsiada, ale to nie pan Szymański je otworzył.

– Oni cię śledzą. – W drzwiach stał ich syn, Piotr. Chłopak miał poszarzałą skórę i ciemne niczym chmury burzowe worki pod oczami. – Próbowałem cię ostrzec, ale... – zaczął, wychodząc na zewnątrz. Nagle pojawił się jego ojciec, stanął za nim i wciągnął z powrotem do środka.

– Wracaj już do domu – polecił, przymykając przede mną drzwi. Ale nie zatrzasnął ich. Spojrzał w dół i zdziwił się niemal tak bardzo jak ja, że w szparze drzwi znajduje się moja noga.

Stałam niewzruszona.

– Zeszłej nocy Piotr chciał mi coś powiedzieć. Muszę się dowiedzieć, o co mu chodziło.

– Nie – rzucił kategorycznie Szymański, próbując wypchnąć nogą moją stopę.

Zza jego pleców doszedł krzyk Piotra:

– Furgonetka!

– Jaka furgonetka? – zapytałam. – Panie Szymański, o czym on mówi?

– O niczym. Mamy problemy z Piotrem.

– Jaka? – krzyknęłam w głąb mieszkania.

Zdażyłam jeszcze usłyszeć głos dochodzący z przedpokoju:

– No, furgonetka! Ta z ulicy!

Wtedy panu Szymańskiemu udało się przejąć inicjatywę i zatrzasnął mi drzwi tuż przed nosem. Zdumiona odwróciłam się, próbując złapać oddech po szamotaninie. Rozejrzałam się po ulicy, ale dostrzegłam tylko samochody osobowe.

Oczywiście nie mogłam wrócić do domu. Wyszłam bez klucza, a mamy nie ma w środku. Przysiadłam na schodkach, zastanawiając się, co ze sobą zrobić. Chciałam spotkać się z Lucy, ale w tym celu musiałabym pojechać do Brighton. Mogłabym zadzwonić do Mae, powiedzieć mu o pamiętniku, ale by to zrobić, potrzebowałam komórki, która była zatrzaśnięta w mieszkaniu. Pozostawało mi schować dumę do kieszeni i pójść do szpitala po klucze mamy.

Po godzinnym spacerze dotarłam do szpitala, gdzie od razu skierowałam kroki tam, gdzie zwykle mama urzędowała. Wcześniej byłam tam tylko raz, ale jakoś udało mi się znaleźć drogę. Trzeba najpierw przejść na sam koniec korytarza, potem zejść schodami, aż dotrze się do części piwnicznej ze ścianami z pustaków i rurami pod sufitem.

Trafiłam pod odpowiednie drzwi i postanowiłam wejść. Przełożony mamy był Haitańczykiem o potężnym głosie, niepasującym do jego drobnej postury. Zapukałam i otworzyłam drzwi, zamierzając się przedstawić. Jednak gdy tylko mężczyzna podniósł głowę, od razu odsunął krzesło, wstał i podszedł do mnie z wyciągniętymi rękami.

– Cóż za miła niespodzianka. Ellie Scott!

Chciałam go poprawić, ale nagle skojarzyłam, że najpewniej nie zna prawdziwego nazwiska mamy.

– Szukam mojej mamy – wyjaśniłam i uścisnęłam jego dłoń. – Nie wie pan, gdzie może być?

– Pojęcia nie mam – odpowiedział jowialnie.

– Nie... nie ma jej tu? – Oblał mnie zimny pot. Zniknęła. Zobaczyła, że uciekłam z pokoju, i w końcu stwierdziła, że ma dość.

– No nie, na pewno jest gdzieś w okolicy – odpowiedział. Nie widział, jak kamień spada mi z serca. – Ale tak to zwykle bywa. – Zniknął za biurkiem, by otworzyć szufladę. – Twoja mama przychodzi, bierze listę zadań i sprzęt, i tyle ją widzę. Zwykle nie wiem, gdzie akurat pracownicy przebywają, ale skoro robią, co do nich należy... – Zamknął jedną szufladę i zajrzał do drugiej. – Wspomniała mi, że przyjdiesz.

– Naprawdę? – Zmarszczyłam brwi.

– Mhm. Ach! Tu jest – powiedział, wyciągając coś. Przekazał mi moją komórkę, do której gumką recepturką przypięty był mosiężny kluczyk. – Podobno zapomniałaś jej przed wyjściem. Podładowałem, powinna działać.

Wzięłam telefon, podziękowałam i wyszłam. Włączyłam go dopiero na parterze. Od razu usłyszałam dźwięk powiadomienia: esemes od mamy.

Ellie, nie wiem, co ty wyprawiasz, ale wracaj do domu.

Uniosłam kciuk nad ekranem, postanowiłam jednak odczekać chwilę. Kolejna wiadomość. I następne:

Kotku, gdzie jesteś?

Błagam. Umieram ze strachu. Daj znać, że wszystko w porządku, i wróć do domu.

Bez odpowiadania wykasowałam wszystkie wiadomości, po czym ruszyłam do pracowni Matta.

Białe drzwi do pomieszczenia zlewały się z białymi ścianami, przez co cały korytarz rozświetlony jarzeniówkami wyglądał niczym sterylne wnętrze statku kosmicznego. Zgięłam rękę, by zapukać, ale jakiś pulchny brodacze w wieku Matta, choć od niego niższy, wypadł z gabinetu i niemal mnie przewrócił.

– Kurde... przepraszam – powiedział, pomagając mi złapać równowagę. Pod pachą trzymał przesyłkę, kopertę bąbelkową skrywającą najpewniej ciężką książkę. – W czym mogę pomóc?

– Mój chłopak Matt pracuje... pracował tutaj – wyjaśniłam. – Wydaje mi się, że mógł tu coś zostawić, a akurat byłam w okolicy, więc...

– Ellie? – zapytał. – Jestem Leon. Pracowałem z nim, pamiętasz? Już rozmawialiśmy.

– A, no tak, Leon. – Zastanawiałam się, czego o mnie mógł się dowiedzieć.

– Czyli się znalazł? – zapytał z uśmiechem. Oparł się o framugę, nie zapraszając mnie do środka. Nigdy nie byłam w pracowni Matta, ale widziałam zza Leona, że raczej niewiele mnie ominęło. Jako że skanery i inne drogie urządzenia znajdowały się gdzie indziej, pomieszczenie było wymalowanym białą farbą pustawym pokojem z paroma rzędami ekranów.

Zaprzeczyłam głową, na co momentalnie zrzędnęła mu mina.

– Ojej, naprawdę? Po prostu pomyślałem, że skoro zwrócił komputer... – odparł, podnosząc nieco opakowanie i wyciągając z niego kartkę papieru.

– To jego? – zapytałam.

– Odniósł. Wczoraj w nocy. – Rozłożył kartkę i z zafrasowaną twarzą przebiegł wzrokiem po tekście.

– Widziałeś go?!

– Nie. Przed chwilą zadzwoniono do mnie, że na recepcji czeka na mnie przesyłka. Choć w sumie – dodał z papierem w dłoni – na potwierdzeniu przewozu widnieje inne nazwisko. Hamsworth? Harnsworth? Kogoś, kto to przyniósł. Pewnie to jakiś kurier.

Nie mogłam oderwać wzroku od paczki.

– Słuchaj, mogłabym na chwilę na to spojrzeć?

– No, nie za bardzo – odrzekł z przepraszającym uśmiechem. – Właśnie niosę to do działu kadr. Nasza przełożona pilnie sobie tego zażyczyła, kiedy wspomniałem jej o przesyłce.

– Dosłownie na minutę. – Wyciągnęłam rękę. – Przrzekam, nie dłużej.

– Wybacz – powiedział, ściskając pakunek mocniej ramieniem, i mnie wyminął. Drzwi do pracowni zaczęły się powoli zamykać. – Mówiła, że potrzebuje tego natychmiast. Pewnie lada chwila tu przyjdzie.

– Błagam. – Spojrzałam mu w oczy, stawiając wszystko na jedną kartę. – On nadal się nie odnalazł, Leon. Nie mam pojęcia, co się dzieje, gdzie on jest, nic nie wiem. Potrzebuję jedynie informacji, że jest bezpieczny. Potrzebuję... czegokolwiek. A poza tym – dodałam, wskazując na pakunek – nic na razie nie mam.

Leon westchnął, a wyraz podejrzliwości na jego twarzy ustąpił miejsca współczuciu.

– No dobrze. Ale tylko dwie minuty, zgoda?

– Dziękuję, Leon. – Uśmiechnęłam się do niego. – To mi zupełnie wystarczy.

ROZDZIAŁ 40

Mae

Gdy tylko dojechali do przystani, zadzwonił telefon Mae.

– Zacznij już, ja dołączę – odezwał się do Kit, która postanowiła wyjść z samochodu. Policjant wyciągnął komórkę i rozpoznał numer ze szkoły Miś. Odszedł parę kroków na bok i dopiero wcisnął zieloną słuchawkę.

– Oddzwaniam w sprawie wycieczki szkolnej z udziałem klasy Dominiki – poinformowała sekretarka.

– Rozumiem. Muszę to jeszcze ustalić w pracy, ale nie powinno być problemów. Kiedy mam się zjawić?

Kobieta na chwilę zamilkła.

– Właśnie chodzi o to, panie Kwon Mae, że niestety nasz system nie może znaleźć pana danych w krajowym rejestrze karnym.

– Bo ich tam nie ma. Mają państwo jednak świadomość, że jestem czynnym funkcjonariuszem policji? Nie wydaje mi się, żeby istniała konieczność sprawdzania mojej przeszłości kryminalnej.

– Tak, wiem. Jednak zgodnie z wewnętrznym regulaminem nie możemy przyjąć wolontariuszy spoza rejestru.

Brzmiało tak, jakby rzeczywiście mówiła poważnie.

– Dobrze, nieważne. Pojadę i wypełnię dokumenty, by mieć to z głowy, jeśli naprawdę tak bardzo tego potrzebujecie.

– Cudownie. Proszę podejść też do sekretariatu i wypełnić formularze. Dzięki temu będziemy mogli pana zaprosić przy kolejnej wycieczce.

– Nie kolejnej. Ja muszę być obecny na tej najbliższej. Dominica mnie prosiła.

– Nie widzę takiej możliwości. WYROBIE NIE ZAŚWIADCZENIA TO KWESTIA KILKU TYGODNI. Musi pan zebrać naprawdę sporo różnych dokumentów od poprzednich pracodawców. Niestety, nie zdąży pan zrobić wszystkiego na czas.

Mae, wkurzony, ale świadomy bezsensowności dalszej sprzeczki, rozłączył się. Dołączył do Kit, która patrzyła na Juppę. Starszy mężczyzna stał na pomoście, trzymając kurczowo linę, i krzyczał na podwładnego znajdującego się na tylnym pokładzie łodzi Matta.

– Cholera, mówiłem przecież, że miał być węzeł ratowniczy – mruknął. Łódź, ustawioną prostopadle do brzegu, niebezpiecznie zносиło na rzekę.

– Czy ona tak się powinna zachowywać? – zapytała radośnie Kit, prowokując kolejny strumień przekleństw ze strony Juppę. Czekali na pomoście, aż mężczyźni odzyskają kontrolę nad łodzią. Kit chwyciła za rzuconą cumę i sprawnie zawiązała wokół knagi.

Juppę skinął głową z uznaniem, ścierając pot z twarzy.

– No, przynajmniej ktoś tu się zna na rzeczy. Chyba ze sto razy powtarzałem temu matołowi... – powiedział, mając zapewne na myśli Mattę, bo wskazywał na jego łódź – ...że ma ją cumować lewą burtą.

– Z powodu kilwaterów – dodała Kit bez zastanowienia. Dostrzegła zdziwienie na twarzy Mae, więc ciągnęła: – Kilwaterów z przepływających jednostek. Na łodziach odpływy szarej wody znajdują się najczęściej tuż nad linią wody. Nie sprawia to problemów na kanałach, gdzie obowiązuje ograniczenie do czterech węzłów i nie ma silnych kilwaterów. Co innego na Tamizie. Wystarczy jedna wysoka fala, by nagle z łodzi zrobił się przypadkiem okręt podwodny.

Mae uniósł brwi.

– Morski korpus kadecki – odparła, poprawiając jedną z cum zawiązanych przez Juppę. Otrzepała dłoń o spodnie i spytała: – Panie Juppę, można na słowo?

Właściciel przystani przyjął ich w swoim biurze i zrobił herbatę. Kit wyjęła tablet, podczas gdy Mae zaczął zadawać pytania.

– Więc twierdzi pan, że Matt opłacił czynsz.

– Tak było. – Cała uwaga Juppę była skoncentrowana na pokaźnych rozmiarów monitorze. Mężczyzna grubym palcem kilkakrotnie wcisnął na

klawiaturze „Escape”, a z każdym wciśnięciem zmarszczki na jego czole stawały się coraz głębsze.

– Czy mógłby pan rozwinąć ten temat?

– Skoro panu zależy. Miał nieopłacony czynsz, a teraz ma opłacony.

Mae skrzyżował ręce na piersi.

– Panie Jupp, to ważny szczegół.

Mężczyzna westchnął i odrzekł:

– Przyjechałem tu rano i zobaczyłem w drzwiach kopertę.

– Ma pan ją przy sobie? – wtrąciła Kit.

Mężczyzna poprzekładał parę kartek, znalazł list i podał go policjantowi. Kit błyskawicznie wyciągnęła z kieszeni i przekazała Mae parę nieużywanych rękawiczek nitrylowych. Włożył je, po czym przejął rozdartą kopertę od Juppa. W środku widać było cienki plik banknotów dwudziesto- i dziesięciofuntowych.

– Tylko tyle? Bez żadnego listu?

Jupp zagłębił się w stosik dokumentów, po czym wyjął z niego złożoną na pół kartkę formatu A4. Przekazał ją Mae, mówiąc:

– To tylko imię Matta, nazwa łodzi, data i wysokość opłaty.

Nic więcej. Na dole kartki widniało wydrukowane imię Matta. Bez podpisu.

– Czy zwykle płacił gotówką? – spytała Kit.

– Zdarzało mu się.

– Ale nie widział go pan? Nie spotkał go?

– Przecież bym powiedział, prawda? Nie widziałem go, odkąd popłynął odpompować.

Kit zmrużyła oczy.

– Czyli nie widział go pan, jak wracał po opróżnieniu zbiorników?

– Tak. Nie widziałem.

Na widok Kit sięgającej do kieszeni Mae kliknął długopisem. Kobieta obeszła stół Juppa z telefonem w dłoni.

– Panie Jupp, czy kojarzy pan tego człowieka? Czy widział go pan tutaj?

Z miejsca przy drzwiach, gdzie siedział, Mae dostrzegł, że na ekranie wyświetlone było zdjęcie Coxa.

– Pewnie. Kumpel Matta.

Mae zamrugał oczami i spojrzał na Kit.

– Czy jest pan pewien? – zapytał.

– Czy ja naprawdę wszystko muszę wam dwa razy powtarzać? Tak, jestem pewien. Był tu sporo razy, ale nie pytajcie mnie o daty – dodał, unosząc dłoń.
– Bo nie mam pojęcia.

– Czy odwiedził go jakoś niedawno? W tym tygodniu? – dopytała Kit.

– Chyba. Tak – odpowiedział, po czym uderzył w ekran. – Cholerne kurewstwo – stwierdził i dodał smętnie: – Skubany, niezły sobie znalazł moment, by coś takiego odwalić. Miał mi pomóc z komputerem.

– Matt? – spytał Mae. – Dobry z niego spec komputerowy, prawda?

– W porządku jest – stwierdził Jupp niechętnie. – Choć nie było tego po nim widać, szczególnie jak łąził z tym wielkim laptopem. Nawet ja bym się wstydził takiego komputera. Był wielkości drukarki.

– Nie udało nam się jeszcze odnaleźć tego urządzenia – przyznała Kit.

– Nie? Pewnie pożyczył temu gościowi ze zdjęcia. Tak myślę.

– Jemu? – spytała, wskazując na telefon.

– Tak jest. Widziałem, jak odchodził z nim pod pachą. Był w dużej kopercie bąbelkowej z napisem NHS na boku.

– I nie wydawało się to panu dziwne? – dopytywał cierpliwie Mae.

Jupp wzruszył ramionami.

– Nie wyglądał, jakby z tym uciekał. Jak mnie zobaczył, to pomachał, wiecie – zaprezentował niezobowiązujący ruch ręką.

– Kiedy to miało miejsce?

Właściciel przystani podniósł wzrok na przyklejony do ściany kalendarz A3.

– Kilka dni przed tym, jak ostatni raz widziałem Matta. Choć gdy teraz się nad tym zastanawiam, to doszło wtedy do pewnego nieporozumienia. Matt przyszedł do mnie następnego dnia i pytał, czy nie zostawił tu laptopa.

Twarz Kit przybrała jeszcze bardziej pochmurny wyraz.

– Czy przypadkiem pożyczanie nie musi być z definicji świadomym wyborem? – zapytała, spoglądając na Mae. – Żaden ze mnie prawnik, ale jestem prawie pewna, że inaczej mamy do czynienia ze zwykłą kradzieżą.

– Też coś tak czuję. – Mae skinął głową.

Jupp znowu wzruszył ramionami.

– Matt by mi powiedział, gdyby ktoś go okradł. Przekazałem mu, że widziałem jego kumpla z laptopem, wszystko opisałem, a on odrzekł coś w stylu „w porządku”, no i sobie poszedł.

Mężczyzna nie zamierzał nic więcej powiedzieć. Kit podziękowała mu w imieniu policji, po czym wróciła z Mae do samochodu.

– No, kurwa, nie do wiary – odezwała się, gdy Mae odpalił focusa. – Do tego wiemy, że Matt zdążył jeszcze wymienić zamek, prawda? Czy zrobił to, bo go okradziono? Czy właśnie chciał temu zapobiec?

Jednak policjant prawie jej nie słuchał. W jego głowie kolejne pytania tłoczyły się niczym auta przed bramkami na autostradzie. Czy Cox naprawdę jest w posiadaniu zaginionego laptopa? Jak dobrze Matt znał się z Coxem? Co o tym wszystkim sądziła Ellie?

Czy Ellie w ogóle o tym wiedziała?

– Musimy znaleźć tego laptopa – stwierdziła Kit, wyciągając komórkę. Wybrała numer, przycisnęła telefon do ucha barkiem, a rękami otworzyła schowek. Po chwili szperania wyciągnęła pół opakowania biszkoptów Jammie Dodgers i szybko pochłonęła ciastko.

– Jak zwierzę – skomentował Mae, gestem odmawiając poczęstunku. – Do kogo dzwonisz?

– Do szpitala – odpowiedziała z pełnymi ustami. – Warto sprawdzić, czy laptop nie wypłynął na powierzchnię. Tak, z Helen Williams poproszę. –

Wróciła do rozmowy, grzbietem dłoni strzepując okruszki z ust. – Tak, w dziale kadr. Mówi posterunkowa Ziegler.

Kiedy w końcu przełączono Kit do Helen Williams, dojeżdżali na posterunek. Jednak to, co policjantka usłyszała, wpawiło ją w osłupienie.

– Wrócił tej nocy?!

Mae, który właśnie zwalniał przed zjazdem na posterunek, wcisnął nagle hamulec, zawrócił i popędzili w kierunku szpitala.

– Czemu, do cholery, pani nie zadzwoniła? – rzuciła Kit w emocjach. Przez chwilę milczała, dotykając palcami nosa. Nagle krzyknęła: – Nie! Nikt nie może go nawet tknąć.

ROZDZIAŁ 41

Ellie

– Naprawdę musimy się pośpieszyć – stwierdził Leon, gdy drzwi za nami się domknęły. – Jeśli ona się dowie, dostanę straszny opieprz.

– Masz moje słowo.

Położył na blacie laptop i go włączył. Ekran się rozświecił, a mnie serce podskoczyło do gardła: po naszym ostatnim spotkaniu Matt ustawił jako wygaszacz ekranu nasze zdjęcie. Na fotografii tuliliśmy się policzkami – niemal poczułam jego kilkudniowy zarost i nasze stykające się uszy. Uśmiechnęłam się, wspominając przez chwilę tamto szczęście, ale szybko wróciłam do rzeczywistości.

Oparłam palce o klawiaturę i zagłębiłam się w pamięci. Czego szukałam?

Tajemnic.

Starłam się znaleźć cokolwiek, co Matt chciałby ukryć. Ale gdzie? Na pulpicie znajdowały się typowe ikonki – mojego komputera, przeglądarki, kosza – oraz kilkanaście folderów, których nazwy nie sugerowały prywatnych treści.

Leon nachylił się nade mną, sięgnął po myszkę i wskazał coś kursorem.

– Najwyraźniej to dokumenty z pracy. O te, na dole – stwierdził, przelatując kursorem nad folderami zatytułowanymi *ONKO. Lab DO ZROBIENIA* czy *PED. do przejrzenia* – są zsynchronizowane z głównym serwerem. Cała ich zawartość aktualizuje się, gdy tylko połączysz się z systemem.

– Mogę mimo to jeszcze zerknąć?

Mężczyzna wydał policzek.

– No dobra, jeśli musisz.

Wzięłam do ręki myszkę i otworzyłam pierwszy lepszy folder. Był pusty. Leon uniósł podbródek.

– To dziwne. – W folderze nagle pojawiła się ikonka obracającej się piłeczki. – O, widzisz? System zaczął go uzupełniać.

Ekran zaczął się wypełniać kolejnymi plikami, ale Leon wciąż sprawiał wrażenie zafrasowanego.

– Nad czym się zastanawiasz? – spytałam. – Chyba chciał coś ukryć, skoro wszystko wykasował.

– Właśnie to mnie dziwi. Nie rozumiem, po co mu to było. Przecież wie, że pliki by się zaktualizowały.

Otworzyłam kilka kolejnych folderów, za każdym razem natrafiając na to samo. W katalogach zaczynały się pojawiać setki plików, ale niewiele to pomogło. Nazwy wszystkich plików były stworzone według wzoru Nazwisko/Imię/Data z jakimiś kodami na początku i końcu zapisu. Sprawdziłam parę dokumentów, ale ewidentnie natrafiłam na same dane pacjentów. Nawet gdyby Matt coś ukrył wśród plików, wyłuskanie tego zajęłoby parę godzin, jeśli nie dni. A sądząc po coraz większym zdenerwowaniu Leona, już dawno skończył mi się czas.

W pośpiechu przejrzałam otwarte katalogi, nie wiedząc za bardzo, co zrobić. Coś musiało tu być. Dotarło do mnie, że gdyby Matt chciał coś ukryć, to przemianowanie pliku na jedną z tych nic niemówiących nazw mogło dać mu pewność, że nikt nigdy tego nie odnajdzie. Równie dobrze mógł to wykasować.

Wyprostowałam się, myśląc: „No nie”.

Otworzyłam kosz, kibicując sobie w myślach. Na ekranie wyświetliła mi się lista kilkunastu folderów. Pomiedzy dwoma folderami, nazwanymi „Wystawy” oraz, z nieznanych mi powodów, „kapral James Scott”, widniał katalog „Cox/Arden/Powerowie”.

Arden? Nic nigdy nie mówiłam Mattowi o Jodie. Ale co więcej: Powerowie? W liczbie mnogiej? Gdy otwierałam folder, serce łomotało mi w piersi.

Spojrzałam na Leona.

– Czy ten także się zaktualizuje?

– Nie, to dotyczy tylko synchronizowanych folderów. Usunięcie z kosza jest bardziej nieodwracalne, choć... – Zamyślił się, nachylając głowę.

– Choć co?

– No, to nie jest nieodwracalnie nieodwracalne. Chodzi o kod bajtowy: chłopaki z działu informatycznego wytłumaczyły mi to, gdy wykasowałem coś jeszcze przed wprowadzeniem systemu udostępniania. Trochę to skomplikowane, ale sprowadza się do faktu, że o ile nie jesteś specem od komputerów lub nie polejesz dysku twardego kwasem, to wykasowane pliki da się bez większego problemu przywrócić.

– Czy ty potrafiłbyś to zrobić?

– Oj, nie. Ale policja zapewne tak – odpowiedział, rozglądając się na boki. Zatrzymał wzrok na punkcie tuż za moją głową i podskoczył ze strachu. – Przepraszam, naprawdę właśnie miałem...

Obróciłam się. W drzwiach stała Helen, koordynatorka wolontariuszy na oddziale dziecięcym i bezpośrednia przełożona Matta. Na jej twarzy rysowała się mieszanka oburzenia z przerażeniem.

– Co ty tu robisz? – zapytała. Następnie wskazała palcem laptop i zwróciła się do Leona: – Powiedz mi, proszę, że to nie to, o czym myślę.

Poderwałam się, przemknęłam obok niej i zatrzymałam się dopiero, gdy byłam poza terenem szpitalnym.

Dotarłam na przystanek autobusowy, mijając zaplecza sklepów w Hanwell. Zimne powietrze kłuło mnie w płuca, ale nie zwracałam na to uwagi. Nie myślałam nawet o tym, jak Helen zareaguje na moją wizytę w szpitalu.

Zastanawiałam się nad tym, co kryło się w folderze. Nad tym, że Matt widocznie zgromadził tyle informacji, że miał powód zebrać je wszystkie w jednym miejscu.

I nad tym, co też mogło go skłonić do ich skasowania.

ROZDZIAŁ 42

Mae

Kiedy Mae i Kit zastali Helen Williams w jej gabinecie, akurat nakładała na policzki puder.

Usiedli bez zaproszenia, a Mae skrzyżował ręce.

– Dobra. To zacznijmy może od tego, co mi obiecałaś, że dasz znać, gdy tylko trafi się coś interesującego. Czyżby zwrot jego laptopa nie wydawał się dostatecznie ciekawy?

Williams upuściła puderniczkę do dużego kartonowego pudła, które stało na jej biurku.

– Wybacz. Byłam bardzo zajęta.

– To gdzie jest teraz ten komputer? – dopytała Kit.

Helen wyciągnęła szufladę i z namaszczeniem wystawiła laptop na biurko. Podniosła wzrok.

– Pomyślałam, że lepiej go dla was przechowam. Dlatego kazałam go przynieść z domu. Właśnie miałam dzwonić, ale byliście pierwsi.

– Czyżby? – Kit uniosła brwi, po czym wyjęła z kieszeni opakowane rękawiczki nitrylowe, otworzyła je i włożyła. – Kto go przyniósł?

– W środku jest kwit z dostawy. Nazwisko nic mi nie mówi. W każdym razie nie był to Matthew.

– Czy od momentu, gdy komputer znalazł się w budynku, ktoś jeszcze miał z nim do czynienia?

– Leon Baxter z pracowni diagnostyki obrazowej, gdzie był zatrudniony Matthew. – Zamilkła i odwróciła wzrok.

– Kto jeszcze? – spytał Mae.

– Nikt – odpowiedziała odrobinę za szybko.

Mae nie miał czasu na podchody.

– Tak czy inaczej, rozmówimy się z Leonem, więc jeśli będzie miał nam coś do powiedzenia, to lepiej, byśmy to najpierw usłyszeli od ciebie, jasne?

Westchnęła.

– I Eleanor Power.

– Co? – spytali równocześnie Mae i Kit.

– Przechwyciła go. Udało jej się jakoś przekonać Leona, by pozwolił jej zajrzeć do laptopa, nim przyniósł go do mnie.

– Aha – odpowiedział Mae, zamykając oczy. – Fantastycznie.

– Nic tam nie zmieniała. Nic nie kopiowała ani nie kasowała. Zapewnił mnie o tym.

– No cóż, skoro cię o tym zapewnił, to ze swojej strony dochowałam należytej staranności. – Kit wskazała na pudełko. – A to tutaj to co to za historia? Zmiana biura?

Uśmiech stężał Helen na twarzy.

– Nowy rozdział – odparła sztywno. – W sektorze prywatnym.

– Co za zbieg okoliczności – zauważyła beznamiętnie Kit.

Helen zbyła uwagę ruchem dłoni.

– Niespecjalnie. Każdy, kto jest coś wart, rezygnuje. Publiczna służba zdrowia schodzi na psy, nie wiecie?

Po wyjściu, zamknąwszy laptop w torbie na dowody rzeczowe i odłożywszy go do bagażnika, Mae zadzwonił do speców komputerowych, zapowiadając, że przywiezie im sprzęt do gruntownego przetrzepania. Gdy się rozłączał, przyszło mu do głowy coś jeszcze.

– Wróc może do recepcji – powiedział Kit. – Jeśli to tam zwrócili laptopa, to prawdopodobnie będzie w rejestrze, kto go przyniósł.

– A może się nagrało?

– To by było szczęście.

Rozdzielili się. Mae umościł się w samochodzie i wybrał numer Ellie. Odebrała po drugim dzwonku.

– Obyś miała naprawdę dobre wytłumaczenie tego, co właśnie zrobiłaś – oznajmił.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Zamierzałam do pana zadzwonić.

– Przed czy po tym, jak postanowiłaś spróbować przechwycić jego komputer? Ellie, nie będę mógł ci pomóc, jeśli ot tak będziesz robiła podobne numery. – Nawet nie zdążył jeszcze zapytać o samochód i o to, co o nim wiedziała. – Musimy się spotkać. Mam z tobą parę rzeczy do omówienia. I z twoją mamą też. Mówię poważnie, jasne?

– O, naprawdę? Bo ja już myślałam, że to wszystko taki wielki żart. – W jej głosie słychać było gniew. – Sądziłam, że jest pan przekonany, że Matthew po prostu postanowił urwać się z miasta.

– Nigdy tego nie powiedziałem – zaproponował, świadom, że pomyśleć tak, owszem, pomyślał. Ale co teraz myślał? Gdzieś w tym wszystkim był Cox, kradzione leki, pieniądze. W szpitalu mówili mu jedno, z materiału dowodowego wynikało drugie. Cox przyznał, że rozmawiał z gościem o Ellie, ale coś ukrywał. Czyny za łódź wpłynął, ale od iluś dni nikt faceta nie widział. Jego telefon padł, materiał dowodowy był nieuporządkowany, wątek jego domu stanowił ślepą uliczkę, a jego dziewczyna... no cóż. Jego dziewczyną była Ellie Power.

A zatem czy Matthew Corsham zaginął? Czy miał się dobrze?

Ellie powoli wypuściła powietrze.

– Kontaktował się z Lucy Arden.

– Matt?

– Tak. Podesłała mu tę książkę, ten... ten pamiętnik, co go razem prowadziłyśmy. Ja i Jodie.

Pamiętał go. Pamiętał, jak ślęczał nad nim w rękawiczkach, niekiedy długimi godzinami, starając się dostrzec przeoczony szczegół, jakiś szyfr, cokolwiek przydatnego.

– Zamierzam się z nią zobaczyć – oznajmiła Ellie. – Właśnie tam jadę.

Mae o mało co nie wybuchnęła śmiechem.

– Nie. Nie, nie jedziesz. Ellie, to policyjne dochodzenie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? To ja pojedę się z nią zobaczyć. Gdzie ona jest, ciągle w Brighton?

– Tak, ale...

– Żadnych „ale”. Musisz się trzymać od tego z daleka. Daj mi pracować.

ROZDZIAŁ 43

Ellie

Nie mogłam teraz pojechać do Lucy, ale to nic. Było coś jeszcze, co miałam do załatwienia.

Nie musiałam spoglądać na plan miasta. Choć kiedy byłam pacjentką doktora Coxa, a sesje odbywaliśmy wyłącznie w Brighton, wiedziałam dokładnie, gdzie znajdował się jego gabinet w Londynie. Jodie tam bywała, a potem wracała do domu, wręcz buzując od wrażeń ze wspólnych zakazanych weekendów. Po tym, co się stało, mama zabroniła mi kontaktować się z Coxem, ale jego stronę internetową znałam jak własną kieszeń, a kiedy zbliżyłam się do budynku przy Highbury Park, wydał mi się tak znajomy, jakbym prawie tam mieszkała.

Gdy wchodziłam po kamiennych stopniach, Siggy rozbudziła się, jakby ją podłączono do prądu. Domofon zatrzeszczał.

– Tak? – spytał kobiecy głos. Z miejsca go rozpoznałam.

– Samira? Tu Ellie. Ellie Power.

Dało się słyszeć ciche westchnięcie, po czym zamek się odblokował.

– Wchodź, serdeczko.

Pchnęłam ciężkie drzwi i weszłam do środka, szerokimi, obitymi dywanem schodami docierając na pierwsze piętro. W holu drzwi do apartamentu Coxa otwały się na oścież i stanęła w nich Samira. Miała na sobie sweterek, który wydawał się niewiarygodnie wręcz miękki, i musiałam zebrać się w sobie, by nie paść jej w ramiona, które ku mnie wyciągnęła. Ale tego nie zrobiłam.

W końcu opuściła je i uśmiechnęła się smutno, poprawiając okulary, których nie nosiła, gdy ostatnio ją widziałam.

– Czyli bez przytulania. W porządku.

Wzdrygnęłam się w napięciu. Dotknęło ją to, widziałam, że ją dotknęło, ale mnie to nie obchodziło.

Bo bez względu na to, co mówiła, Samira ani przez moment nie wierzyła, że mam szesnaście lat. Nie miała prawa w to uwierzyć: sama miała dzieci, właśnie córki. Nawet w ubraniach pożyczanych od Jodie byłam ledwie dzieckiem, ledwie weszłam w okres dojrzewania. Choć aż do momentu, kiedy mama wytłumaczyła mi, czym jest uwodzenie dzieci, nie dostrzegałam istoty sytuacji, Samira odgrywała tu kluczową rolę. Urabiała. Zaufałam jej, bo postarała się, by tak się stało.

– Muszę porozmawiać z doktorem Coxem – oznajmiłam od niechcenia. Nie miałam ochoty na pogawędkę, nie chciałam się przytulać. Pragnęłam tylko się dowiedzieć, dlaczego, do cholery, rozmawiał z moim chłopakiem bez mojej wiedzy.

– Wejdz – oznajmił napięty głos za moimi plecami.

Odwróciłam się. Cox stał w drzwiach swojego gabinetu. Na twarzy przybyło mu bruzd. Miał skrzyżowane ręce, a usta zaciskał w wąską, prostą kreskę, przez co jego twarz przypominała znak zakazu wjazdu.

– Szkoda, że nie zadzwoniłaś wcześniej – zauważył głucho, odwracając się i wchodząc z powrotem do gabinetu. – Zamknij za sobą drzwi – powiedział, gdy za nim podążyłam.

Tak też zrobiłam, po czym stanęłam przy wejściu, wciskając ręce w kieszenie, aby nie mógł dojrzeć, jak mi dygoczą.

– Bardzo dawno się nie widzieliśmy, Ellie – odezwał się, zaplatając palce w supeł na stojącym przed nim biurku. – Jak się miewasz? Pracujesz? Uczysz się?

– Nie przyszedłam rozmawiać o mojej edukacji.

Krótki, wyzuty z radości uśmiech.

– Nie. Chcesz się dowiedzieć, co z Mattem.

– Wie pan, gdzie on jest?

Pokręcił głową.

– Nie.

– Wiem, że pan z nim rozmawiał.

– Rozmawiałem. Miał mnóstwo pytań na temat twojej przypadłości, a także twojej przeszłości. Bardzo interesował się kwestią – przerwał, jak gdyby

następne słowo nie chciało mu przejść przez usta – kwestią Siggy. Nie był pewien, czy ma pełen obraz sytuacji.

Czekałam, udając, że nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Ale czułam się, jakby ktoś mnie uderzył, a Siggy wzdrygnęła się dotknięta, przez co musiałam powstrzymać odruch, by nie objąć się ramionami, aby ją ukoić. A więc co, uważał, że kłamię? Że jakoś go zwodzę?

Cox tylko siedział i przyglądał mi się niczym umiarkowanie ciekawemu, ale znajomemu okazowi w zoo.

– Jesteś zaniepokojona – zauważył.

– Niech mi pan nie mówi, jak ja się czuję. Nic pan o mnie nie wie.

Westchnął, skubiąc nitkę na mankiecie.

– Możliwe, Ellie, że masz rację. Ale próbowałem.

– Nie, nie próbował pan. Pan mnie wykorzystał.

Skrzywił się na te słowa i na moment zacisnął powieki.

– Ellie, ja cię nie wykorzystałem...

– Tak, wykorzystał mnie pan. Nas obydwie, mnie i Jodie.

Poprzysięgłam sobie, że się nie popłaczę. Ale powłoka, którą zbudowałam sobie wokół mojego smutku, wokół upokorzenia, znienacka wydała się bardzo krucha. Siggy pokryła mnie niczym skóra, utrzymując w jednym kawałku.

– W przypadku Jodie popełniłem ogromny błąd, w żadnym razie nie powinienem był sobie pozwolić na... – zaczął, ale ja się zjeżyłam, podnosząc w górę dłonie.

– Nie chcę słyszeć ani słowa o tym, co pan jej zrobił.

– Co z nią robiłem, Ellie. Nie była dzieckiem.

– Była. Była dzieckiem. I ja byłam dzieckiem.

– Ciebie nie tknąłem. Nigdy bym nie...

– Zrobił pan coś gorszego. To, co pan mi zrobił, było jeszcze gorsze. –

Wyprostowałam dłonie, które nieumyślnie zacisnęły mi się po bokach ciała w pięści, i przypomniałam sobie, co mi powiedziała mama. *Nie ma większego pola do nadużyć niż obietnica wyleczenia.* Ciężko wzdychając, przeszedł do okna i nalał sobie alkoholu.

Wypił i spojrzał na zewnątrz.

– Twoja matka wie, że tu jesteś?

– Mam dziewiętnaście lat.

– Tak, oczywiście, masz. Jesteś dorosła. – Wziął następny łyk. – Niezależna od niej.

Wzruszyłam ramionami, nie bardzo rozumiejąc, i spróbowałam przejść do sedna.

– W komputerze Matta był pewien plik. W nazwie miał nas wszystkich: pana, mnie oraz Jodie. Dlaczego?

Zastygł ze szklanką w pół drogi do ust. Pozostał w tej pozycji przez moment, po czym bezgłośnie odstawił naczynie na biurko.

– A skąd to wiesz?

– Bo widziałam.

– I gdzie to widziałaś, Ellie? Policja mówiła, że jego laptop zaginął.

– Nieważne, gdzie to widziałam. Pytam pana...

– Skoro widziałaś jego laptopa i widziałaś folder, to dlaczego mnie teraz pytasz, co w nim było?

– Bo skasował zawartość. Dlatego.

– To może nie chciał, byś to wiedziała.

Ewidentnie nie zamierzał ustąpić. Strzepnęłam nieistniejący pyłek z ramienia, jakby rzecz mnie nie obchodziła.

– No, spodziewam się, że policja już ustali, co tam było, bez względu na to, czy mi pan powie, czy nie.

– Jak niby mieliby to zrobić? Chyba mówiłaś, że został skasowany?

– Jeżeli ciągle istnieje kod bajtowy, to właściwie żadna różnica – odparłam, sprawiając wrażenie, jakbym wiedziała, co to znaczy.

Nastąpiła długa pauza. Cox podszedł do okna, otworzył je, a następnie zapalił papierosa. Ręce mu drżały.

– Chyba powinnaś już sobie pójść.

– Nie wyjdę, dopóki nie powie mi pan tego, co pan wie.

Nie oderwał ode mnie wzroku. Parokrotnie zaciągnął się głęboko papierosem, po czym go zdusił.

– Pamiętasz ostatnią rzecz, jaką ci powiedziałem?

Pamiętałam.

Kiedy wypisali mnie ze szpitala, w żalosnym stanie, ale funkcjonującą, i z pozszywanym i zabandażowanym gardłem, opiekę nade mną przejął doktor Cox. Spotkał się ze mną i z mamą na oddziale zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Aż do chwili, gdy dotarliśmy na parking, sądziłam, że on i mama odłożyli dzielące ich różnice na bok, abym mimo wszystko dalej mogła się z nim widywać. Pamiętam, jak postawiłam sobie torbę na kolanach na tylnym siedzeniu naszego auta, jak mama sięgnęła do tyłu i zapięła mi pasy. Sądziłam, że pojedzie z nami, jak zapowiadali. Ale on tylko stał ze zwieszonymi rękami, a mama ruszyła.

I wtedy widziałam go po raz ostatni.

Cała ta szopka, w ramach której podpisywał dokumenty, była tylko na pokaz, żeby mnie stamtąd wydostać. Taka przysługa dla mamy, żeby uregulować sprawy, jak mówiła, żebyśmy znowu mogły być po prostu razem we dwie, bo po tym wszystkim i po tym, co on zrobił, byłam małą dziewczynką, która potrzebowała swojej mamy.

Mimo że mama zabroniła mi się z nim kontaktować, rozpaczliwie pragnęłam porozmawiać, przede wszystkim zaś pragnęłam, by mi się wytłumaczył. Bo po prostu nie byłam w stanie sobie tego poukładać – tego, jaki był przy mnie, z tym, jaki według mamy był naprawdę. Tak głęboko byłam przekonana, że się o mnie troszczył, a poczucie, że się co do tego myliłam, było po prostu druzgoczące. Kiedy mama to odkryła, zakazała mi dalszych kontaktów. Okłamywałam ją i widywałam się z nim bez jej zgody, ponieważ po latach niekończących się i daremnych poszukiwań wyrzekła się kolejnych lekarzy. Jak stwierdziła, popełniłam ogromny błąd, mylnie oceniłam sytuację. Uznałam, że mogłam mu zaufać, i się myliłam, i to wszystko, co powinnam wiedzieć.

Pamiętałam ostatnią rzecz, którą mi powiedział, bo było to stwierdzenie, które słyszałam też od Matta.

Nie bierz nic na wiarę.

– Pan mnie zdradził – wyrzuciłam.

Usiadł za biurkiem i przestawił palcami kubek, ustawiając go dokładnie pośrodku blatu, następnie poprawił położenie laptopa, telefonu, długopisu, a na koniec ułożył na nim dłonie.

– Nie zdradziłem cię. To nieprawda.

– Nie? To po co panu były te zdjęcia, doktorze Cox?

– To była dokumentacja zawodowa! – krzyknął, uderzając pięścią w biurko, że aż kubek podskoczył. Przez chwilę milczał i oddychał ciężko przez nos, jakby starając się uspokoić. Gdy ponownie się odezwał, głos miał cichy. – Coś ci powiem, Ellie. To, co zrobiłaś, kłamstwa, które naopowiadałaś o tym, że miałbym mieć coś wspólnego ze zniknięciem Jodie, o mało nie zniszczyły mojej kariery.

– To, co pan mi zrobił, o mało co nie zniszczyło mi życia. Skoro już rozmawiamy o moralności.

Zmrużył oczy.

– Twoja matka kazała mi przysiąc, że już nigdy więcej nie będę z tobą choćby rozmawiał...

– Moja matka? – Poderwałam się na nogi, a Siggy była ze mną i zwiłała się w ciasnej, czarnej spirali szafy. Ale tego, tej furii, się nie bałam. Było to coś, co mogłam wykorzystać, coś, co nas łączyło. – Gdyby nie matka, wciąż bym sądziła, że miał pan rację. Że był pan przyzwoity. Ale nie był pan, co?

– Ellie.

Przyszedł, by powiedzieć coś innego, ale było już za późno, abym się powstrzymała.

– Ile małych dziewcząt pan tu miał u siebie? Co? Ile zrozpaczonych dzieciaków, przekonanych, że jest pan kimś, przed kim mogą się otworzyć? Dziesiątki? Setki?

– Ellie. – Stał na nogach, ręce miał uniesione, a oczy szeroko otwarte. – Uspokój się.

– Mówił mi pan, że te fotografie są dla mojego dobra...

– Bo i były.

– Ale cały czas – powiedziałam, a głos drżał mi ze złości i z wysiłku, by się opanować – cały czas myślał pan tylko, co by tu z nimi zrobić. Komu by je sprzedać.

– Dobra. Weź teraz parę głębokich wdechów. – Cox podszedł w moją stronę, wyciągając ręce, jakby chciał złapać mnie za dłonie, ale odepchnęłam go bez ceregieli.

– Łapy przy sobie! – warknęłam, wyrywając się poza jego zasięg. – Jak pan śmie?! – Gniewnie otarłam twarz dłonią. I co teraz miałam zrobić? Wyjść?

Wiedziałam, że powinnam wyjść, ale nie byłam w stanie. – Ja tylko chcę, żeby wrócił Matt. Ja tylko chcę, żeby wrócił.

– W porządku – odparł. – W porządku. – Zmierzył mnie wzrokiem, a potem jakby podejmował decyzję. Powrócił za biurko i wsunął ramiona w marynarkę zawieszoną na oparciu fotela. – Przyniosę nam herbaty i wtedy będziemy mogli porozmawiać.

– Nie chcę herbaty. Chcę, by powiedział mi pan prawdę.

– Mnie się przyda herbata. Tylko... tylko poczekaj tu moment.

Opuścił sam pokój, a jego sylwetka rozmyła się za szybą z matowego szkła. Chwilę później do gabinetu weszła Samira.

Przez moment nic nie mówiła, po czym wydobyła z siebie długie westchnienie.

– Doktor Cox powiedział mi, że zginął. Ten twój Matthew.

– Na to wygląda.

– Wydawał się przeuroczy – kontynuowała. Dla podkreślenia słów złożyła razem dłonie. – Bywa, że ludzie okazują się o wiele miłsi, kiedy pozna się ich osobiście.

– Ty go... Ty go poznałaś?

Skinęła głową.

– Był tu parę dobrych razy.

Otworzyłam usta i z powrotem je zamknęłam.

– Jest bardzo miły. Odniosłam wrażenie, że naprawdę się przejmuje – zauważyła, po czym przechyliła głowę ze współczuciem. Podeszła do okna, by zabrać zawieruszony świstek papieru, po czym stanęła, spojrzała na mnie, marszcząc brwi, a następnie wyjrzała w dół przez szybę.

– To skończyliście na dzisiaj? – zapytała.

Przeszłam przez pokój i podążyłam za jej spojrzeniem na ulicę. Odgłos masywnych drzwi, które uderzyły we framugę, rozniósł się po budynku, a na zewnątrz ukazała się jasnowłosa głowa.

Cox wcale nie poszedł po herbatę.

Wypadłam z gabinetu i pomknęłam po schodach do frontowych drzwi, przeskakując po dwa stopnie, ale nie byłam dość szybka. Kiedy otworzyłam drzwi, już go nie było. U dołu kamiennych stopni serce łomotało mi

z wysiłkiem. Ostatnie, co widziałam, to mgnienie jego siwiejących blond włosów za kierownicą poobijanego trzydrzwiowego auta w kolorze wiśni.

ROZDZIAŁ 44

Mae

Mae stał w plamie słońca w salonie dwupoziomowego mieszkania Lucy Arden, a gwizdek czajnika na kuchence zagłuszał łagodne głosy słuchowiska radiowego dochodzącego z kuchni. Kit zlecił, by ustaliła, w jaki sposób laptop Matthew trafił z powrotem do szpitala, i zobowiązał, żeby zadzwoniła, jeśli się czegokolwiek dowie.

– Mleka? – zawołała z kuchni Lucy. – Cukru?

– Tak, poproszę, i nie, dziękuję.

W taksówce ze stacji kolejowej Brighton uświadomił sobie, że od czasu, kiedy ostatnio był nad morzem, upłynął ponad rok. Wciąż, ma się rozumieć, miał tu garstkę znajomych, i początkowo utrzymywał z nimi kontakt, przyjeżdżał w odwiedziny. Ale po tym, jak zmienił formację, a do tego Nadia również przeniosła się do Londynu, praktycznie nic go już tu nie ciągnęło. W mieście niewiele się zmieniło, lecz w domu Lucy wszystko wyglądało inaczej.

Ogarnął pomieszczenie wzrokiem, starając się pogodzić wygląd miejsca z tym, jak przedstawiało się kiedyś. Po zniknięciu Jodie sąsiedzi Lucy Arden się zmobilizowali. Zadbali o to, by miała dość żywności, aby zapęłnić obydwie lodówki w jej koszernej kuchni, a to, co się nie zmieniło, ustawiono na blatach kuchennych. Ostatnim razem, gdy tu był, dla jej własnego zdrowia powrzucał do worków na śmieci zapomniane zapiekanki i zapakowane w folię ciasta. Po żaroodpornych naczyniach swobodnie pełzała pleśń, a do tego panoszyły się mrówki. Do takich widoków przywykł w lokalach zamieszkiwanych przez narkomanów.

Reszta mieszkania wyglądała jeszcze gorzej. Lucy nie była w stanie znieść pustki, jaką pozostawiła po sobie jej córka, toteż powyciągała z graciarni wszelkie przedmioty z dzieciństwa Jodie i ponownie powstawiała je do

pokojów. Całość robiła wrażenie chaosu, tego rodzaju nieładu, który wwierca się w umysł i rozbija powstające w nim zdania. Wszędzie stały sterty przedmiotów, gier, DVD z kreskówkami, książek, prac do szkoły, strojów do przebieranek, maskotek, a wszystko to narastało i rozprzestrzeniało się niczym napad paniki.

Ale tutaj, tutaj czuł się jak w jakimś innym mieszkaniu u innej osoby. Albo to skuteczność przepisywanych przez psychiatrów leków znacznie się poprawiła od czasu, gdy sam musiał z nich korzystać, albo też w inny sposób Lucy zdołała odnaleźć spokój ducha. Było czysto, poodkurzane, ciepło, porządknie, od razu odnosiło się wrażenie, że ktoś tu mieszka. Dotknął zdobnego ramienia tradycyjnej menory ustawionej na parapecie. Pięć miejsc na świece było wypolerowanych i gotowych na szabas. Wielokrotnie widział coś podobnego w domach ofiar poważnych przestępstw: podczas gdy niektórzy tracili wiarę, inni oddawali się jej z tym większym zaangażowaniem. Najwidoczniej dla Lucy religia okazała się drabiną, która pomogła jej wydostać się z otchłani – a kimże on był, by to oceniać? Gdy sprawy przybierały kiepski obrót, ludzie musieli się czegoś chwycić, tak jak łodzie, którym trzeba było kotwic. On sam dużo by dał za nieco wiary, kiedy zostawiła go Nadia. Bóg raczy wiedzieć, ku czemu by się zwrócił, gdyby coś podobnego zdarzyło się Miś, jeśli ktoś zabrałby ją...

Lucy wróciła z kawą, a także tacą z pokrojonym ciastem owocowym. Usiadła, podała mu kubek, złapała własny.

– To o co chodzi?

Rozsiadł się w fotelu.

– Rozumiem, że miałaś kontakt z Matthew Corshamem. I coś mu przesłałaś? Pamiętnik?

Jej uśmiech stężał i dotknęła dłonią szyi, gdzie cienki srebrny łańcuszek złapał skrawek słonecznego światła.

– Prosił mnie, bym nie mówiła Ellie – oznajmiła po chwili milczenia. – Powiedział, że stara się coś z nią zdziałać, ale że wciąż jest bardzo... jak to ujął? Krucha. Chciał się o niej dowiedzieć jak najwięcej.

– Czyli czego? O sprawie z Jodie?

Wzruszyła ramionami, a to, co nie dawało mu spokoju, teraz znienacka się wyklarowało, pokazało w pełnej krasie. Była to akceptacja. Lucy Arden nie była już owładnięta smutkiem.

– O tym wszystkim. O tym, jak dziewczyny wybrały się do... – zatrzymała się i z wysiłkiem przełknęła ślinę, nim wymówiła nazwisko – Coxa, nic nam nie mówiąc. Chciał dopytać o to, to straszne coś, co zrobiła Ellie. Już potem. Ale teraz już z nią lepiej? Powiedział, że zamierza się do niego wprowadzić.

Mae parokrotnie zabębnił gumką swojego ołówka w twardą okładkę notesu, po czym odezwał się, bacznie śledząc jej oblicze.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, mówiłaś, że dowiedziałaś się paru rzeczy o Coxie. O tym, co w międzyczasie robił.

Westchnęła i wyjrzała przez okno.

– To było dawno temu. Wciąż byłam zła na wszystko. Już go potem nie śledziłam, jeżeli o to chciałeś mnie spytać.

– Lucy, nie przyjechałem cię o nic oskarżać.

Ze wstydu i zażenowania ściągnęły jej się rysy.

– Mam to już za sobą. Mam inną pracę, żyję dalej. Dlaczego mnie o niego pytasz?

Pauza. Grunt to właściwe sformułowanie. Nie mógł tego spieprzyć.

– Wygląda na to, że Matthew i Cox utrzymywali ze sobą kontakt.

– Doprawdy? Coś podobnego. – Pokręciła głową z niesmakiem. – No cóż. Gdybym wiedziała coś takiego...

– I wygląda na to, że Matthew Corsham zaginął.

– O, nie. – Nachyliła się do przodu. – Czy on... czy myślisz, że... że coś mu jest?

Mae rozłożył ręce.

– Nie wiem. Ale cokolwiek powiesz o Matthew, może nam się przydać.

Wstała i podeszła do okna. Przez szybę, ponad płaską panoramą, krwawiły ciemnoróżowe i fioletowe chmury, oświetlane przez tonące słońce.

Zacisnęła usta.

– Dobra. Dwa tygodnie temu zadzwonił do mnie. Chciał ustalić, co wiem na temat Ellie.

– Opowiadaj.

– Rozmawialiśmy zaledwie przez pół godziny. Musiałam iść do pracy. Mieliśmy wypić razem kawę, ale powiedziałam, że prześlę mu pamiętnik. On

chciał wiedzieć wszystko: jak się poznałyśmy z Ellie, jakie miała relacje z Charlesem Coxem, wszystko.

– I co mu powiedziałaś w sprawie Coxa?

Błysnęła sztywnym jak drut uśmiechem, od którego policzki ledwo jej drgnęły, po czym odparła:

– Powiedziałam mu, że to pedofilski gnój, którego chętnie posłałabym na stryczek. – Dopila kawę i zapatrzyła się w pusty kubek.

– Przepraszam, Lucy, że to wszystko wywlekam. Ale jeśli cokolwiek jeszcze byłabyś w stanie mi powiedzieć...

– Wcześniej go śledziłam. Charlesa. No wiesz, kiedy sprawa była świeża. – Podniosła wzrok, a jej oczy nieoczekiwanie zabłyśły. – Ciągle go śledziłam. Praktycznie dzień w dzień. – Pokręciła głową. – A on wiedział, że tam jestem. Nie starałam się z tym kryć. Jasne, że w mojej obecności nie zrobił niczego, co by go obciążało, ale mnie było wszystko jedno. Chciałam, by się mnie bał. Zrujnował mi życie. Ale... gdyby nie ja, nigdy by jej nie poznał. Wyobrażasz sobie, jak się żyje ze świadomością, że ktoś, z kim... – wzdrygnęła się, gdy to mówiła – sypiałaś, uwodził twoje dziecko? A nawet gorzej? On po prostu... zburzył wszystko.

– Ale nic nie znalazłaś, bo inaczej byś mi powiedziała.

Lucy Arden odchyliła głowę do tyłu i wydała długie westchnienie.

– Przez rok dzień w dzień chodziłam do jego domu. A on zupełnie jakby zmienił się w robota, codziennie robił dokładnie to samo, jakby trzymał się jakiegoś rozkładu. A przecież wiedziałam, że stracił mnóstwo pacjentów. Po tym, co się stało, nikt nie chciał zdradzać mu swoich brudnych sekretów. – Zaśmiała się krótko i sucho. – Za to jego mama prowadzi centrum jogi w East Molesey. Wrzuciłam jej na stronę internetową masę jednogwiazdkowych recenzji.

– Na stronę jego mamy?

– No tak, wiem – przyznała, spoglądając na niego i się krzywiąc. – Paskudne zachowanie. Bardzo możliwe, że jego mama to urocza osoba. To nie jej wina. – Westchnęła ciężko. – Nie wiem, czemu ci to mówię.

Mae wzruszył ramionami.

– Wiele przeszłaś, Lucy. Mało ludzi wie, co znaczy stracić kogoś w ten sposób.

– Mało.

Wytrzymała jego spojrzenie. Przez kilka pełnych napięcia sekund jego własny sekret, jego własna strata jakby przesuwiała się i zaczynała z niego wypęlać. Niemalże czuł, jak jej ostre pazury chwytają się ścian jego gardła, żeby się stamtąd wydostać. Zmusił się jednak, by odwrócić wzrok. Wstał, zdobył się na służbowy uśmiech i zaczął zbierać się do wyjścia.

Nie mógł się dzielić swoim smutkiem. Na pewno nie z Lucy, która była ofiarą. Z nikim.

Kiedy wyszedł na wyłożony mozaiką korytarz, dotarł do niego aromat piekących się pomarańczy, w którym dawało się wyczuć nutkę palonego cukru. Zawęszył, na co Lucy Arden zareagowała śmiechem. Pierwszy raz w życiu słyszał, jak się śmieje.

– To marmolada. Nie wiem, czy mi się uda.

Aromat wskazywał, że raczej nie, ale nie zamierzał psuć jej zabawy. Choć, jak pomyślał, wiążąc sznurowadła butów, które z szacunkiem zostawił przy drzwiach wejściowych, bez dwóch zdań zdarzało mu się przekazywać zdecydowanie gorsze wieści.

Wstał i wyciągnął rękę, aby się pożegnać, lecz coś za głową Lucy przykuło jego uwagę. Zrobił krok w bok i się temu przyjrzał. Portret. Olej, powiedzmy, że impresjonistyczny, lecz przedstawioną na nim twarz rozpoznał natychmiast. Spojrzał na Lucy.

– Czy to...?

– Całkiem podobna, prawda? – odpowiedziała cicho, skubiąc paznokiec.

Podszedł bliżej obrazu.

– Co to, coś w rodzaju symulacji starzenia?

– Tak – potwierdziła. – Jak w przypadku Madeleine McCann.

– Tyle że wymalowana – zauważył, nie odrywając oczu od wizerunku młodej kobiety.

– Zgadza się. – Lucy była teraz przy drzwiach i odpinała łańcuch. – Postarali się.

Nie żartowała. Wtedy mieli do dyspozycji tylko zdjęcia, do tego jeden czy dwa urywki z amatorskiego nagrania wideo. Jodie, która grzecznie siedzi w szkolnym mundurku albo też w strojach z zajęć teatralnych. Lady Makbet, Blanche Dubois. Mae nigdy nie widział jej na żywo. Lecz jeśli Jodie tak jak

inni postarzałyby się o pięć lat, byłyby teraz po dwudziestce. I wyglądałyby bardzo podobnie do widniejącej na obrazie młodej kobiety w szarym swetrze z golfem – te same subtelne, szlachetne rysy twarzy, te same gęste ciemnobrązowe włosy, zwinięte niczym sznur i przerzucone przez mlecznobiały obojczyk.

– Skąd to masz?

Zerknęła na obraz.

– Ee, gdzieś z internetu – odparła niekonkretnie, po czym otworzyła szeroko drzwi. – Ale firma chyba już splajtowała.

Mae wyciągnął telefon z kieszeni i wykadrował obraz do zdjęcia, pilnując, by uchwycić podpis w prawym dolnym rogu. Może ktoś taki przydałby mu się w ekipie.

Lucy obiecała zadzwonić, jeśli cokolwiek jeszcze przysłoby jej do głowy, i się pożegnali.

Przez całą drogę do londyńskiej Victoria Station nie mógł pozbyć się myśli o obrazie, niczym kleszcza tkwiącego w skórze. Kiedy wysiadł z pociągu na smagany wiatrem peron, zadzwoniła Kit i szybko powiedziała coś ważnego.

– Możesz powtórzyć? – zawołał, zasłaniając dłonią drugie ucho.

– Czekaj. – Była gdzieś na zewnątrz i musiała przekrzyczeć pikanie cofającej ciężarówki. Wtem znienacka zakłócenia ustały i słyszał ją wyraźnie. – Powiedziałam, że właśnie skończyłam w szpitalu. Okazuje się, że mają całkiem przyzwoite nagranie z monitoringu. Zaraz ci podeślę fragment, na którym odniesiono laptopa do recepcji. To raczej nie kurier, no i to nie Matt.

– Jesteś pewna?

– Tak. To kobieta. Ciemne włosy, w średnim wieku, tak się przynajmniej zdaje.

– Ktoś, kogo kojarzysz?

– Nie wydaje mi się, ale trudno powiedzieć. Właśnie wysyłam. Sam powiedz, co o tym myślisz – odparła.

– Poczekaj – przerwał Mae. – Zanim się rozłączysz, mam dla ciebie zadanie. Jeśli dasz radę, spróbuj namierzyć artystę przed moim powrotem. –

Powiększył na ekranie zdjęcie obrazu Lucy i przysunął je sobie pod nos. – Zdaje się, że się nazywa... – Zmrużył oczy, starając się doczytać. – E. Shevah. – Przeliterował jej nazwisko. – Podeślę ci jeden portret.

– To znaczy malowidło portretowe? – W głosie Kit dawało się wyczuć rozbawienie. – Sierzancie, zamrożenie płac każdego zabolowało, ale nie jestem przekonana, czy aby na pewno rozwiązaniem było wejście w rynek sztuki.

– Taa? To samo mogę powiedzieć o karierze komediantki. Postaraj się o przyzwoity wydruk tego zdjęcia i spróbuj namierzyć malarza, byśmy sobie pogadali.

– Okej. A klip już leci.

Mae się rozłączył i z telefonem w dłoni podążył wraz z tłumem przez barierki. Nagranie doszło, a w czasie gdy się ściągało, zdołał znaleźć sobie miejsce siedzące.

Otworzył. Obraz był ziarnisty, kadrowany, jak sądził, że zbyt wysoka, by dało się rozpoznać twarz osoby podchodzącej do stanowiska recepcyjnego.

Rozciągnął go palcami. Nachylił się. Zatrzymał nagranie, cofnął, przewinął do przodu, zrobił to raz jeszcze, i ponownie, aż nabrał absolutnej pewności.

– Kurwa – zaczął, nie mogąc uwierzyć w to, co ma przed oczami – mać.

Albowiem twarz na ekranie, twarz osoby, która anonimowo odniosła laptop Matthew Corshama na miejsce, należała akurat do sekretarki człowieka, który zdaniem Mae przed pięcioma laty zabił Jodie Arden.

Do Samiry Anand.

ROZDZIAŁ 45

Ellie

Gdy weszłam z powrotem na piętro, Samira czekała na mnie u szczytu schodów, trzymając się za szyję.

– Dokąd poszedł? – zapytała zdziwiona. – Co się stało?

Już wiedziałam, jak chcę to rozegrać.

– Przypomniał sobie nagle, że musi odebrać zamówienie z pralni.

– Naprawdę? Ale dopiero co odebrałam jego marynarki.

Wzruszyłam ramionami.

– Tak powiedział. Ma za chwilę wrócić, kazał mi poczekać.

Spojrzała podejrzliwie.

– No nie wiem, to znaczy on zwykle nie pozwala...

– To tylko ja, Samiro – odpowiedziałam. – Nie zamierzam obrabować gabinetu. Stwierdził, że niedługo będzie z powrotem.

Mój ton głosu wyraźnie ją uspokoił, bo ustąpiła.

– W sumie czemu nie. Zrobię herbatę.

Zamknęłam za sobą drzwi. Może była frajerką, ale niegłupią, więc miałam najpewniej jedynie parę minut. Za chwilę Samira zadzwoni do Coxa i dowie się, że być może się spieszył, ale na pewno nie do pralni samoobsługowej.

Okazało się, że dbałość o bezpieczeństwo nie była jego mocną stroną. Szafki na dokumenty były co prawda zamknięte, ale klucze znajdowały się tam, gdzie zajrzałam w pierwszej kolejności: leżały w najwyższej szufladzie biurka. Podeszłam po cichu z powrotem do środkowej szafki i ją otworzyłam. Przekartkowałam kolejne zakładki, ułożone alfabetycznie od „Rutherford” na końcu po „Leonard” na przodzie. „Payne”, „Petherham”, „Pienaar”, „Porter”, „Pringle”. Żadnego „Power”, choćby pustej teczki.

Za ścianą usłyszałam dźwięki wyłączanego czajnika, kroków i otwieranej szafki.

Nieporadnie otworzyłam kluczem kolejne szuflady. Od „Ryder” do „Thatcher” i od „Thebo” do „Young”. Nic tam nie znalazłam. Wpadło mi do głowy, że pewnie ma coś na Matta, ale pod C nie znalazłam teczek z nazwiskiem „Corsham”.

Kurwa.

Głos zza ściany spytał:

– Cukru?

Nie słodziłam, ale mogłam ugrać trochę czasu.

– A masz może miód? – odpowiedziałam głośno. – Albo jakiś słodzik?

Zaczęłam ostrożnie wsuwać z powrotem szuflady, ale w ostatniej chwili dostrzegłam coś na samym końcu ostatniej z nich. Za folderami ustawionymi alfabetycznie kryła się kategoria „Inne”.

Za podziwką znajdowała się tylko jedna brązowa koperta z kartonowym tyłem. Widniał na niej wydrukowany na czerwono napis: „Nie zginać”. Na froncie widniały nazwisko i adres Coxa, zapisane delikatnym, okrągłym charakterem pisma, oraz zagraniczny znaczek pocztowy z tarczą przyozdobioną gwiazdami.

Ktoś dopisał jeszcze wielkimi literami: „E.P.?”.

„EP” – może „Ellie Power”? Ale czemu ze znakiem zapytania?

Odwróciłam kopertę i odchyliłam klapkę. Klej już dawno wysechł, pozostawiając brązowy połysk, a papier zmiękł ze starości. W środku znajdował się pojedynczy dokument.

Z kuchni dobiegł mnie odgłos stukania łyżeczką o rant filiżanki. Wyciągnęłam kartkę, jednym okiem patrząc na drzwi.

Papier był białawy, gruby i opatrzony znakiem wodnym. Litery czarne z czerwonym wykończeniem, a w jednym rogu widniała mniej więcej centymetrowa rdzawa linia. Był to oficjalny dokument, przypominający certyfikat, tyle że nie po angielsku. W wykropkowane pola wpisano odręcznie słowa oraz rok 1989, dwa lata przed moimi narodzinami.

Wsunęłam kartę z powrotem do koperty z gwiazdnym znaczkiem i spojrzałam na stempel pocztowy: 22 września 2006.

Cztery dni przed śmiercią Jodie.

– I oto słodziutka herbatka – odezwała się Samira, otwierając drzwi biodrem.

Nie czekałam ani chwili. Zanim się odwróciła, postawiwszy kubki na biurku, zdołałam wsunąć kopertę pod bluzę, zamknąć szuflady i stanąć prosto.

– Przepraszam – odezwałam się. – Jednak nie mogę tak długo czekać. Mam inne zobowiązania.

– Och, no dobrze – powiedziała z zaskoczeniem. – Może innym razem?

– Jasne. – Podeszłam do drzwi.

– Udało ci się skontaktować z ciocią?

– Ciocią? Co masz na myśli?

– No, siostrą twojej mamy. Szukała cię tu i zostawiła swój numer. Bardzo prosiła, bym ci go przekazała.

Zamrugałam oczami zbита z tropu. Samira skrzyżowała ramiona i zmarszczyła brwi.

– Nie? Nie odezwała się? Udało mi się odszukać stary adres mailowy twojej mamy i przesłałam jej numer. Spodziewałam się, że mogła zmienić adres, ale – wzruszyła ramionami – nic więcej nie miałam. Próbowałam jakoś was znaleźć, ale obie...

– Kiedy to było?

– Oj, już jakiś czas temu. Będzie ze dwa lata. Twoja ciocia twierdziła, że od dawna próbuje cię odszukać. Wydaje mi się, że znalazła nas przez szpital, po tym jak dostałaś skierowanie do doktora Coxa.

Ciocia?

– Chyba wypadło jej to z głowy. Masz do niej numer?

Nagle zadzwonił telefon na biurku.

– Poszukam – odpowiedziała, zmierzając do blatu. – Zostaw do siebie kontakt, to zadzwonię, gdy tylko go znajdę. Wybacz, powinnam odebrać. – Podniosła słuchawkę i pomachała mi na do widzenia.

Schodziłam po schodach, myśląc tylko o jednym. Moja mama była jedynaczką. Jej rodzice umarli wiele lat temu, nie doczekawszy się kolejnej córki.

Ja nie miałam cioci.

ROZDZIAŁ 46

Mae

Od momentu, kiedy Mae zidentyfikował Samirę Anand na nagraniu ze szpitalnego monitoringu, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Czekając przed budynkiem Victoria Station, aż Kit podjedzie, by go podwieźć, zadzwonił do McCulloch i przedstawił jej, jak się sprawy mają.

– Zgarnijcie go – poleciała McCulloch. – Ale jak już tu wrócisz, Ben, utniemy sobie pogawędkę, okej?

– Tak, jasne – odparł, przerywając rozmowę, nim zdołałaby powiedzieć cokolwiek więcej. Wiedział, co się szykuje: zważywszy na jego wcześniejsze zaangażowanie w temat, będzie chciała po cichu przerzucić go na inny odcinek. Lecz im dłużej był w stanie to opóźniać, tym większe miał szanse na dogrzebanie się do sedna sprawy.

Znalezienie Kit nie nastęrczyło mu trudności: podjechała z tyłu dworca. Sprawę ułatwiało to, że puszczała playlistę Bikini Kill, którą dało się słyszeć z odległości pięćdziesięciu metrów, aczkolwiek z szacunkiem przyciszyła muzykę, gdy tylko zajął miejsce obok.

Ustawił w nawigacji adres gabinetu Coxa. Podróż do serca Highbury miała im zająć czterdzieści minut. Sprawa nie była na tyle pilna, by odpalać syreny, ale i bez kogutów był spokojny, że Kit zdoła dojechać przynajmniej trochę przed czasem.

– Co robimy, jak już będziemy na miejscu? – spytała, włączając się do ruchu. – Porozmawiamy osobno z Coxem i z recepcjonistką?

– O ile oboje tam będą. Dopiero co do niego dzwoniłem i nie odbierał. Na wszelki wypadek posłałem radiowóz do jego mieszkania. – Miejsce zamieszkania doktora, istotnie tak nieciekawe, jak to swego czasu opisał, było szokiem nawet dla Mae. Trudno mu było wyobrazić sobie bardziej

spektakularny upadek, biorąc pod uwagę pałacową rezydencję, w której Cox mieszkał przed zaledwie kilku laty.

Zapiął pasy, wężąc w powietrzu. Coś, czego nie widział, pachniało niezwykle smakowicie. Światła się zmieniły, a Kit wjechała focussem na środek skrzyżowania, blokując nadciągający ruch z innego kierunku. Kierowca błyszczącej beemki obtrąbił ją i miał słuszność, lecz ona popatrzyła na niego spode łba i wymknęła się z niewielkiego zatoru, który sama spowodowała.

– Fartowny z ciebie drań, że też rozpoznałeś ją po tym ujęciu ze szpitala – zauważyła, spuszczając nogę z gazu.

– Dociekliwy ze mnie drań – poprawił. Ponownie pociągnął nosem. – Co to tak pachnie?

Sięgnęła do tyłu i wyciągnęła papierową torbę.

– Churros. Chcesz? – Poczęstowała się cienką, wydrażoną pałką ze smażonego w głębokim tłuszczu ciasta, taką, o jakie Miś błagała go na jarmarkach, po czym na widok jego zawahania zrobiła minę pełną lekceważenia i zamachała przed nim torbą.

– Dalej, zaszalej – zachęciła między kęsami. – Wsłuchaj się w zew natury.

Odmówił, toteż wzruszyła ramionami, oblizując palce z cukru.

– Twoja strata.

Przejechali przez rzekę i udali się na północ. Wygląd okolicy szybko się zmienił, gdy przekroczyli niewidzialną granicę społeczną, która rozdzielała dzielnicę Islington. Kiedy zjechali z Holloway Road, gęsta zabudowa komunalna ustąpiła miejsca wspaniałym rezydencjom wzdłuż zazielenionych, zadbanych ulic. Przejeżdżając obok dawnego stadionu Arsenalu, zwolnili, a Kit się uśmiechnęła. Poruszała się po okolicy z isticie taksówkarską pewnością, teraz zaś Mae zrozumiał dlaczego.

– Fanka Kanonierów?

Wyszczerzyła się szeroko.

– Ty też?

– Nieee. Zdarza mi się obejrzeć Pszczoły, kiedy wygrywają.

Kolejny uśmiech.

– To nieczęsto.

– Co poradzisz. Niespecjalnie zresztą lubię oglądać piłkę. Zwłaszcza gdy mam świadomość, ile zajmuje nam potem porządkowanie.

– O! Czyli chodzi o śmiecenie?

– Czyli chodzi, rzecz jasna, o porządki międzyludzkie. O zapijaczonych kibiców. Nigdy nie pracowałaś w dniu meczu? Nie widziałaś, jak nam potem rosną wskaźniki interwencji domowych?

Przejechała językiem po zębach i pokręciła głową.

– No tak, ale durniów znajdziesz w każdym sporcie. Nie możesz przez to skreślać całej dyscypliny. No ale co z Miś, lubi chodzić na mecze?

Mae otworzył usta, aby odpowiedzieć, po czym zamknął je z powrotem, niepewny, jak to sformułować.

Przez chwilę się na niego zagapiła.

– Nigdy jej nie zabrałeś? Serio, panie sierżancie?

Uniósł do góry palec.

– Jedno słowo... – zaczął.

– Czyżby „Hillsborough”? – Przewróciła oczami. – No proszę cię. To ja ją zabiorę.

– Ależ mowy nie ma.

Kit się zaśmiała i odpuściła temat.

– Dobra, okej. Ale może za to wciągnie ją roller derby? Może zabrałabym ją na wyścig? Myślisz, że zechciałaby zobaczyć, jak spuszczają łomot nowej koleżance taty z pracy?

Zmienił zdanie i sięgnął do tyłu po churro.

– To chciałby obejrzeć chyba każdy.

Highbury Park była ekskluzywną ulicą, obstawioną terenówkami i połyskliwymi hybrydami. Drzewa, większe i grubsze, niżby tego sobie życzyła nawierzchnia, podnosiły korzeniami asfalt, tu i ówdzie wypiętrzając wysokie krawężniki. Stanowiły jednak osamotnioną oznakę nieuporządkowania. Zabezpieczone farbą żelazne ogrodzenia wzdłuż ulicy w regularnych odstępach dawały miejsce szerokim kamiennym stopniom, na tyle wiekowym, by miały pośrodku żłobienia wydeptane przez dziesięciolecia kosztownym obuwiem. A również i tym tanim, jeżeli uwzględnić służbę.

Kit zaparkowała auto w ciasnym miejscu i wyłączyła silnik. Wysiadając, podniosła głowę i cicho zagwizdała. Mae wiedział, co sobie myśli: w Hounslow próżno było szukać takich zbytków. Zauważył, że niczym nieodrodne dziecko swej dzielnicy, za każdym razem, gdy wysiada z samochodu, przechyla głowę w jedną i w drugą stronę. Jak gdyby rozprostowywała się po wypuszczeniu z klatki. Jak gdyby była odrobinę dzika. Odrobinę tak jak on.

Odwróciła się. Zobaczyła, że na nią patrzy, ale nie odwróciła wzroku, dopóki sam tego nie zrobił. Mae przebiegł kciukami wzdłuż załamania kołnierzyka, aby go wyprostować, i zatrzasnął drzwi focusa, a następnie ruszył za Kit, która pokonała schody ze zwinnością kozicy.

Wcisnął przycisk dzwonka i wydał policzki.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kit. – Wyglądasz, jakbyś był zdenerwowany.

Wewnątrz dało się słyszeć kroki, lecz domofon nie odpowiadał.

– Nie ucieszy się, że mnie widzi.

– Czyżby? A ktoś się z tego cieszy? – spytała Kit, gdy od środka otwierano zamki. Drzwi się uchyliły, ukazując Samirę Anand, której oblicze wskazywało, że doskonale wie, co ją teraz czeka.

– Wejdźcie – wybąkała, wyglądając zza nich na jezdnię i wyraźnie martwiejąc na widok radiowozu.

Klinika na pierwszym piętrze przedstawiała się nieskazitelnie: duże, miękkie kanapy w spokojnych kolorach, na podłodze gruby dywan. Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, Samira zamknęła za nimi drzwi pomieszczenia recepcyjnego. Zdjęła słuchawkę z widełek, przycupnęła nerwowo na rancie biurka z polerowanego mahoniu i gestem zaprosiła ich, by usiedli.

Kit oparła się o ścianę, a Mae zaplótł dłonie za plecami niczym mundurowy.

– A więc co z tą paczką, którą wczoraj odniosła pani do szpitala?

Samira spojrzała wpierw na niego, potem na Kit, jak gdyby prosząc o wyrozumiałość.

– Skąd...? – zaczęła, po czym sama urwała.

– Skąd wiedzieliśmy, że to pani? Skoro oddając paczkę, wpisała się pani jako... – Ostentacyjnie spojrzał na przesłane przez Kit zdjęcie. – „Pani

Harsworth”?

– O... naprawdę?

Kit opuściła ramiona i westchnęła.

– Tak, naprawdę. – Wybrała sobie miejsce na środku wielkiej kremowej kanapy i rozłożyła ramiona wzdłuż oparcia. – To jest tak, chcemy po prostu ustalić, co pani wie o tej paczce i dlaczego usiłowała pani ukryć, że to pani ją przyniosła.

Samira Anand, która wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać, wyszeptała:

– Ja po prostu... Ja tamtędy przechodziłam. Pomyślałam, że wysłanie kurierem, tak jak polecił, byłoby marnotrawstwem, i po prostu sama ją wzięłam.

Mae usiadł i wyciągnął notes.

– A teraz od początku, jeżeli to nie problem.

Westchnęła, po czym utkwiała spojrzenie w jakimś punkcie na środku pomieszczenia.

– Doktor Cox chciał, żebym wysłała tę... paczkę do szpitala. Powiedział, że powinna pójść kurierem, ale że mam nie podawać, że to od niego.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Doprawdy? – Kit uniosła twarz i posłała Mae spojrzenie. Wyraźnie nie wierzyła w choćby słowo. – I mamy rozumieć, że nie spytała pani o powód?

– Nie. – Spojrzała Kit w oczy, po czym wdała się w pojedynek na spojrzenia z dywanem. – Znamy się z doktorem Coxem od bardzo dawna. Po prawdzie to znam go lepiej niż własnego męża. Na dobre i na złe, w luksusach i w biedzie – dodała z niepewnym śmiechem. – Bywa niekiedy trochę... ekscentryczny. Więc jeśli ma jakąś nietypową prośbę, po prostu ją spełniam. On już ma swoje powody.

– Pani sama pakowała tę paczkę? – spytała Kit, wciąż pamiętając z niedawnego szkolenia, by niczego nie ujawniać ani nie sugerować.

Sekretarka znowu wzruszyła ramionami.

– Nawet nie wiedziałam, że ma drugiego laptopa.

Mae zerknął na Kit i zobaczył, jak ta mruży oczy.

– A więc wiedziała pani, że to laptop?

Znienacka ułożenie długopisów i ołówków w szklanym przyborniku wydało jej się nader ciekawe.

– Pani Anand... – Kit nachyliła się do przodu. – Chyba już pani wie, że badamy sprawę zaginięcia pewnego młodego człowieka. Mamy powody podejrzewać, że może mu grozić niebezpieczeństwo, a wszystko, co nam pani powie, a co może pomóc go odszukać, ma absolutnie kluczowe znaczenie.

– Podobnie jak czas – dodał Mae. W żadnym razie nie chciał, by za tydzień sekretarkę Coxa naszły wyrzuty sumienia.

Samira Anand odchrząknęła.

– Doktor Cox powiedział, że chce, by to jak najszybciej oddać. Zaraz po tym, jak pan wyszedł – dodała, zerkając pobieżnie na Mae – wczoraj wieczorem. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mu zależało, by nie było na tym jego nazwiska. Poleciał mi zamówić kuriera, ale pomyślałam sobie, że przecież znam ten szpital. Mijałam go za każdym razem, gdy szłam w odwiedziny do siostry, toteż od razu zaplanowałam, by podskoczyć tam po pracy. A doktor Cox nie bardzo ma teraz czym szastać. Pomyślałam, że zostawię to po drodze.

Kit nachyliła się do przodu, oparła łokcie na kolanach i przekrzywiła głowę.

– Naprawdę?

– Tak.

– To po co podawała pani lipne nazwisko?

Kobieta westchnęła.

– Sa... sama nie wiem. Znienacka przyszło mi do głowy, że może nie powinnam tego odnosić, że może z jakiegoś konkretnego powodu doktorowi zależało na kurierze.

– Czyli nie dlatego, że wiedziała pani, że może się to okazać pomocnictwem w popełnieniu przestępstwa?

Łapczywie zaczerpnęła powietrza, ponownie przeskakując spojrzeniem między nimi dwojgiem.

– Nie! Jakiego przestępstwa?

Kit rozłożyła dłonie.

– To zapewne ustalimy, jak już znajdziemy pana Corshama, prawda? Bez względu na to, w jakim będzie... stanie, kiedy nam się to wreszcie uda.

Akurat w tym momencie odezwał się telefon Mae. Dwa brzęknięcia: wiadomość tekstowa. Od Ellie. Wyciągnął i przeczytał.

Zacisnął oczy. Otworzył. Przeczytał raz jeszcze.

Parę godzin temu widziałam się z Coxem, informowała w wiadomości. Gdzieś się teraz ukrywa, uciekł w trakcie naszej rozmowy.

Mae w mgnieniu oka się poderwał. Przeprosił, wskazał na telefon, po czym wyszedł z pomieszczenia i dodzwonił się do Ellie, nim jeszcze dotarł do drzwi wejściowych.

– Co to znaczy „uciekł”? – wysyczał.

– Znaczy, że „uciekł” – odpowiedziała, przyjmując postawę defensywną. – Powiedział, że zaparzy nam herbaty. Wyszedł, wszedł do samochodu i odjechał.

– Co? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– No to pomyśl, Ellie. O czym rozmawialiście? Coś go musiało ewidentnie spłoszyć.

Chwila ciszy.

– W komputerze Matta był pewien folder. W koszu, więc chciał go skasować. Nazwany „Jodie Ellie”... nie, czekaj. „Powerowie/Arden/Cox” czy jakoś tak. Powiedziałam mu, że go widziałam. Chciałam wiedzieć, ile wie.

– I co on na to?

– Nic. Nie dawał nic po sobie poznać. Znaczy powiedziałam mu, co przekazał mi Leon, że policja jest w stanie odtworzyć skasowane pliki, i to najwyraźniej go podenerwowało. Potem zmieniliśmy temat, a później, no, po prostu zniknął.

– A dzwoniłaś do niego? Dzwoniłaś do Coxa, jak już uciekł?

– Zgłasza się poczta głosowa. Wyłączył komórkę.

– Słuchaj – zmusił się teraz, by mówić spokojnie. – Musimy porozmawiać. Gdzie jesteś?

Znowu cisza.

– Prawie w domu – odparła. Sprawiała wrażenie wyczerpanej i zagubionej.
– Może gdzieś się przejdę, wypiję kawę.

– Dobra, słuchaj. Musimy pogadać. Jeśli nie idziesz do domu, to wybierz jakąś kawiarnię czy coś i napisz mi, gdzie jesteś.

– Okej.

Mae nie wydawał się przekonany.

– Ale tak zrobisz, dobrze?

Dała słowo i gdy wymienili zdawkowe pożegnania, na ekranie pojawiło się kolejne połączenie.

Dzwonił Rod Stevens. Mae rzucił okiem na schody: drzwi kliniki wciąż były zamknięte.

– Drugi raz dzisiaj – zauważył Mae, gdy odebrał. – Ale mi się trafiło.

– No popatrz. Nie żebym szantażem moralnym chciał cię zmusić, byś w końcu wyskoczył ze mną na browar, ale słuchaj. Znalazłem parę wolnych mikrosekund i poszperałem sobie w sprawie tego twojego ancymona.

– Coxa? – Mae skupił się bez reszty. – I co?

– Parę ciekawych kwestii. Ma takiego srebrnego volkswagena transportera.

– Stevens przeczytał mu numery tablic, po czym przeszedł do istoty rzeczy. –

Sporo się nim kręci, dużo czasu spędza w East Molesey, ale najczęściej parkuje go w garażu w Haringey. – Podał adres, a Mae oszacował, że to jakieś osiemset metrów od wynajmowanego przez Coxa mieszkania nad bukmacherem. – I najwyraźniej często bywa pod jakimś adresem w N5, i to w części co bardziej malowniczej – dodał Rod.

– Gdzieś w okolicach Highbury Park?

Cisza, następnie pomruk rozczarowania.

– A ja tu już sobie myślałem, że zaraz pocztą mi przyślą pagony honorowego komisarza policji.

Mae się zaśmiał.

– Właśnie tu jestem – wytłumaczył. – To jego klinika. Słuchaj, wielkie dzięki, ale muszę już...

– Mowy nie ma, najlepsze zostawiłem na koniec.

– To dawaj.

– Przez ostatnich parę tygodni często parkował gdzieś w granicach niewielkiego obszaru w rejonie W13 tuż przy Windmill Road. A to tam zniknął nam ten samochód, kiedy dzisiaj bladym świtem zabawiliśmy się w cofanie w czasie. – Przez moment milczał, aż w końcu spytał: – Ben? Jesteś tam?

– Taa. Jestem, kolego – odpowiedział Mae, usiłując zdobyć się na obojętny ton, podczas gdy adrenalina tryskała mu uszami. – O jakim konkretnie obszarze mówimy?

Rod odchrząknął i wymienił kilka ulic. Gdy odpowiadał, Mae narysował sobie w myślach mapę rejonu, w którym się one skupiały.

– A w samym środku...

– Jest Abson Street – dokończył Mae. – Jasny gwint.

– Mało tego – ciągnął Rod. – Tylko, wiesz, kąt widzenia jest trochę niepewny i możliwe, że się mylę, ale patrzę na przekaz na żywo i wygląda mi na to, że on tam teraz właśnie jest.

ROZDZIAŁ 47

Ellie

Kelnerka przyniosła zamówioną herbatę do mojego stolika i aby nie przeszkadzać, odeszła bez słowa. Wnętrze kawiarni było przyjemne, a z radia za kontuarem płynął nienachalny szmer jakichś popowych piosenek. Mae napisał w wiadomości, żebym poczekała, ale minęły trzy kwadranse i nadal go nie było. Gdy już zaczęłam zbierać się do wyjścia, pod kawiarnię zajechał prowadzony przez niego radiowóz. Mae nie wysiadł jednak z samochodu, tylko zdjął okulary przeciwsłoneczne i przyjrzał się wnętrzu kawiarni. Zobaczywszy mnie, odwrócił się w drugą stronę i powiedział coś do pasażera. Z pojazdu wysiadła wysoka, dobrze zbudowana kobieta, aż promieniująca oczywistą pewnością siebie, która dla mnie zawsze była nieosiągalna. Przebiegła za radiowozem, klepiąc dwa razy w dach. Mae nacisnął przycisk przy lusterku wstecznym włączający niebieskie światła i odjechał.

Czemu nie chciał wejść? Co się stało?

Gdy kobieta otworzyła bez trudu ciężkie szklane drzwi kawiarni, już byłam na nogach. Energicznym krokiem podeszła do mojego stolika i usiadła na kanapie po przeciwnej stronie blatu. Gestem kazała mi usiąść.

– Znaleźliście go? Matta. Czy coś się stało? – spytałam szybko.

– Ellie – powiedziała, wyciągając do mnie dłoń. – Miło cię poznać. Jestem posterunkowa Catherine Ziegler, pracuję z sierżantem Mae.

– Czemu sam tu nie przyszedł? – Chciałam się dowiedzieć. – Co się dzieje, dokąd pojechał?

– Musiał... zająć się czymś pilnym – odpowiedziała. Zauważyła, że ze strachu wciskam się w oparcie, więc dodała: – Nie chodzi o Matta. Niestety nadal nie wiemy, gdzie jest. Sierżant Mae kazał przeprosić w swoim imieniu. Ma, hm, ma wiele spraw na głowie.

W ogóle jej nie uwierzyłam. Dała znać gestem podchodzącej do nas kelnerce, że niczego nie potrzebujemy, po czym nachyliła się do mnie, kładąc dłonie pośrodku stołu.

– Ale zależało mu, Ellie, byśmy ucięły sobie pogawędkę. Jest parę tematów, które na obecnym etapie zaczęły nas niepokoić, i chciałabym z tobą szczerze o nich porozmawiać.

Siggy się nie odzywała, ale czułam, że czai się gdzieś niedaleko. Nie tryumfowała, nie oceniała mnie. Wsunęłam dłoń w drugi rękaw i opuszkami dotknęłam skóry na przedramieniu. Potrzebowałam kontaktu. Ból skaleczonej ręki dyskretnie pulsował przykryty opatrunkiem pod rękawiczką.

Rozejrzałam się po kawiarni. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą. Nagle wstałam.

– Chodźmy... czy mogłybyśmy porozmawiać gdzieś indziej?

Policjantka się podniosła.

– Jasne.

Na dworze chłód wciskał się pod ubrania. Czułam, jak Siggy schodzi do podeszew i odwraca się plecami.

Skierowałyśmy się na północ. W słabym oświetleniu masywna, szara chmura wyglądała jak ciężka, pofałdowana skorupa wisząca nad miastem. Ostatni raz byłam tu w lecie z Mattem. Kupiliśmy wtedy kanapki kilka ulic dalej w sklepie Boots. Teraz jednak donice na kwiaty były puste, a przystrzyżona trawa powoli zmieniała się w zimowe klepisko.

Posterunkowa Ziegler stanęła przy ławce, strzepnęła z niej okruchy łuszczącej się zielonej farby i usiadła.

– Może być? – Oparła dłonie na kolanach, wzięła głęboki oddech i zaczęła:
– Przede wszystkim chcę powiedzieć, że jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że poinformowałaś nas o Coxie i o tym, co cię u niego spotkało.

Kopertę, którą ukradłam z gabinetu, już wcześniej schowałam do torby. Czułam jednak jej bliskość, a policzki rozpały mi się ze zdenerwowania. Czy policjantka o tym wiedziała? Czy to w ogóle możliwe?

– Musimy jednak poprosić, byś nie utrudniała nam czynności służbowych, dobrze? Choćby kiedy próbowałaś przejąć laptopa przed naszym przybyciem. Chyba miałaś świadomość, że też chcieliśmy sprawdzić komputer, prawda?

Zacisnęłam zęby i odwróciłam wzrok.

– Musisz przestać się wtrącać. Gdyby okazało się, że... – zamilkła, bardzo ostrożnie dobierając słowa – ...że sprawa nie dotyczy samego tylko zaginięcia osoby, to każdy z przedmiotów staje się dowodem rzeczowym. Nie możesz przy nich manipulować.

– Ja nie manipuluję! – odpowiedziałam, czując, jak ogarnia mnie niepokój, i z tego powodu mówię wyższym głosem. – Po prostu staram się dowiedzieć, co się dzieje.

– Dobrze. Wiem. Jednak musimy dojść do porozumienia, prawda?

Zmusiłam się do uśmiechu i skinęłam głową.

– Tak. Dobrze.

– Świetnie. – Z kieszeni wyciągnęła notatnik i znalazła niezapisaną stronę.

– To może ogłosimy amnestię, co? Czy może masz mi coś jeszcze do przekazania?

Zamrugłam. Nie pamiętam, co robiłam w noc zniknięcia Matta, a moja matka zniszczyła jego samochód, bo jest przekonana, że to ja go zabiłam.

– Nic.

Skinęła głową i coś zapisała.

– Mam jeszcze pytanie. Skąd wiedziałaś, że masz przyjść do szpitala?

– Nie wiedziałam. Łut szczęścia. Byłam tam, by odebrać coś od mamy.

– Aha. A jak ona w ogóle się miewa?

– Chyba dobrze. Nie wiem.

– Jak to?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie widziałam jej od... – urwałam i zastanawiałam się, ile minęło czasu. Czy kiedykolwiek wcześniej miałyśmy taką przerwę?

– Kłótni?

– Nie – zaprzeczyłam szybko. – Nic z tych rzeczy. Chciałam odwiedzić ją w pracy, ale była akurat w samym środku zmiany i nie wiedziałam, gdzie mogę ją znaleźć. A w ogóle ten system zmianowy jest tak nieprzewidywalny, a ja nie miałam przy sobie telefonu, więc... – Zamilkłam, bo zdałam sobie sprawę, że za bardzo się tłumaczę.

– Rozumiem – odpowiedziała, po czym chwilę mi się przyglądała. – A ty jak się czujesz? Czy chciałabyś mi powiedzieć, w jakim jesteś stanie

psychicznym?

Musiałam się wzdrygnąć.

– Nie zamierzam cię oceniać.

– Ja nie... – zaczęłam. – To nie ma nic wspólnego z...

– Słuchaj, wiem, że już kiedyś straciłaś przyjaciółkę. Chodzi mi o to, że nawet bez doktoratu z psychologii rozumiem, jeśli jest ci teraz trudno.

Nie uśmiechnęła się choćby kurtuazyjnie, ale dostrzegłam coś w jej twarzy. Poczułam instynktownie, że mogę jej zaufać.

– Ma na imię Siggy, tak?

Na dźwięk jej imienia machinalnie zacisnęłam szczękę. Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale tylko pokręciłam przecząco głową. Byłam niemą pięciolatką. Zaciskałam sobie pięści na udach i czułam, że chcę już do domu. Musiałam wrócić do domu, bo gdybym zaczęła rozmawiać z tą kobietą, mogłabym nie umieć przerwać.

Wstałam.

– Muszę już iść – oznajmiłam, po czym odeszłam.

Posterunkowa szybko mnie dogoniła.

– Słuchaj, nie powinnam tego robić, ale powiem ci coś nie jako glina, ale jako osoba, która wie co nieco o traumie i zdrowiu psychicznym, dobra?

Nie zwolniłam, ale jej słuchałam.

– Ellie, jeśli twoim ostatnim psychoterapeutą był doktor Cox, i to wiele lat temu, to naprawdę sędzę, że powinnaś się zastanowić nad znalezieniem kogoś nowego. Przynajmniej na teraz. Bo widzę, jak źle to... ta sprawa na ciebie wpływa, a naprawdę wątpię, byś zasługiwała na takie cierpienie.

Ze złości łzy zaczęły spływać mi po policzkach, ale szybko wytarłam je grzbietem rękawiczki.

– Pani nie wie, o czym mówi.

Posterunkowa wzięła głęboki oddech, jakby zbierała do czegoś siły. Następnie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Dasz radę wydobrzeć, jeśli tylko się postarasz.

Siggy zaczęła tężeć mi w ramionach. Czułam jej ciężar i rozwibrowanie. Wyrwałam się spod ręki, a cała sympatia, którą jeszcze przed chwilą czułam do tej obcej osoby, ustąpiła miejsca złości i oburzeniu.

– Nic pani o mnie nie wie. Nic. Czy pani sądzi, że pogrywam sobie tylko w jakąś głupią gierkę?

– Nie. Skądże, zupełnie nie miałam tego na myśli.

Cała się trzęsłam, czując jednocześnie strach, wściekłość i dojmujący smutek.

– Za kogo się pani uważa, że może mnie oceniać i mówić mi, kim jestem?

Skrzyżowała ramiona, po czym powoli i spokojnie skinęła głową.

– Dobrze, już w porządku, Ellie, przepraszam. – Jednak po chwili dodała: – A zatem ostatnia szansa. Kolejnym krokiem będzie oficjalne przesłuchanie, a wiem, że tego byś nie chciała. I ja tego nie chcę.

Nagle zrozumiałam, przed jakim stoję wyborem. Z jednej strony mogłam zachować się słusznie, stawiając na prawdę i sprawiedliwość ze wszystkimi tego skutkami. Na drugiej szali było tylko jedno: moja matka i całe jej poświęcenie dla mnie, większe, ważniejsze i istotniejsze niż cokolwiek innego.

– Ellie.

– Tak, słuchałam pani. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– No dobrze. Zróbmy to tak, jak chcesz. Będę musiała wezwać cię na komisariat. Zadzwoń pod ten numer. – Podała mi wizytówkę. – Ustalimy termin dziś albo najpóźniej jutro. A tymczasem musisz trzymać się z dala od śledztwa. Czy się rozumiemy?

Nie odpowiedziałam.

Przechyliła głowę i spytała jeszcze raz:

– Czy się rozumiemy?

– Tak.

Patrzyłam, jak opuszcza park i przechodzi na drugą stronę ulicy. Z zimna szczękały mi zęby. Ziąb oplótł mi nogi i rozchodził się po ciele. Skostniały mi palce. Bez zastanowienia je wyprostowałam i poczułam przeszywający ból w skaleczonej dłoni. Zakręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy i czekałam, aż mordęga minie. Gdy ból zaczął ustawać, coś zawibrowało mi w kieszeni.

Dwie wiadomości jedna po drugiej. Pierwsza brzmiała:

Przepraszam, że tyle to zajęło, ale była u nas policja. Znalazłam numer do twojej cioci. Trzymaj się, Samira.

Druga była wizytówką elektroniczną:

Power, Bernadette. Potem podany był numer telefonu.

Siedziałam przez dłuższą chwilę z komórką w dłoni, nie zwracając uwagi, kiedy wyłączył się jej ekran.

Zastanawiałam się – okłamałaś mnie, mamó?

Kim ty jesteś?

Kim tak naprawdę jesteśmy?

ROZDZIAŁ 48

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>24 września 2006</i>

CC: No to – tym razem usiądź przy stole – co tam u ciebie?

EP: W porządku. Co to jest... [śmiech] w tym tygodniu mamy zajęcia plastyczne?

CC: Chciałbym spróbować z tobą czegoś nowego.

EP: Yy, dobrze.

CC: No więc kilka sesji temu popracowaliśmy nad tym, by udostępnić Siggy przestrzeń, aby wyszła na pierwszy plan...

EP: Nie chcę znowu tego robić. Nie... przepraszam, nie chcę...

CC: W porządku, Ellie – usiądź tylko na moment – nie będziemy robić niczego, na co nie masz ochoty. Dobrze? Zaufaj mi. Ufasz mi?

[pauza: 21 sek.]

EP: [szeptem] Tak.

CC: Dobrze. To dobrze, Ellie. A więc rozumiem, że nie masz ochoty wiązać tego, co pokazuje ci Siggy, ze swoimi własnymi doświadczeniami.

EP: No.

CC: Ale... Posłuchaj, z drugiej strony możemy na to popatrzeć w ten sposób – i pamiętaj, że umysł działa na niesamowite sposoby, naprawdę może dokonać wszystkiego – możemy uznać, że być może ta część twojej osobowości tworzy na swój sposób pewną narrację, pewną opowieść. Jako sposób na zrozumienie jakiegoś traumatycznego zdarzenia, którego nie potrafiła zrozumieć wówczas, gdy do niego doszło.

EP: Aha.

CC: [śmiech] W porządku, nie wydajesz się przekonana. Okej, to nowe spojrzenie na tę sprawę, może się wydać odrobinę dziwaczne. Ale dlatego chciałbym z tobą pomyśleć o pewnych szczegółach z tych snów, o których parokrotnie opowiadałaś. Czy moglibyśmy zrobić coś takiego?

EP: Chyba tak.

CC: Świetnie. Więc... poczekaj, niech no tylko je znajdę. Na podstawie naszych wcześniejszych sesji zrobiłem nieco notatek na temat tych snów. Proszę. No więc wspominałaś wcześniej sen, w którym jesteś uwięziona – w którym Siggy jest uwięziona – i trwa pożar.

EP: Tak.

CC: I nie może krzyknąć.

EP: Nie.

[pauza: 41 sek.]

CC: Ellie? Bo wyczuwam wyraźną niechęć do...

EP: Nie, chodzi o to, że... Ja ich po prostu nienawidzę. Tych snów. Nawet sama rozmowa o nich, jak teraz, już czuję, o, tutaj...

CC: Z przodu głowy?

EP: I próbuje mnie, bo ja wiem, jakoś wypchnąć. Jasne?

CC: Bardzo ci się teraz narzuca.

[pauza: 23 sek.]

CC: To doskonały moment, by sięgnąć do obrazów, które mogą się tam kryć.

EP: Dobra, to niech mi pan poda...

CC: Tu jest papier, o, a tu ołówki.

EP: Dobra. To tu jest ogień. [gryzmolenie] A tu jakieś schody czy stopnie.

CC: Świetnie, Ellie. I Siggy tam jest?

EP: Kuca. Wczołguje się pod coś, coś takiego jakby drewno czy drzwi, czy jakoś tak. Sama nie wiem.

CC: I jest tam sama?

EP: W środku tak, ale... na zewnątrz...

CC: Po drugiej stronie ściany albo drzwi?

EP: Tak, sama nie wiem... gdzieś na zewnątrz jest ktoś jeszcze.

CC: Kto to?

[pauza: 14 sek.]

CC: Dobrze.

[pauza: 11 sek.]

CC: Ellie, jeśli to ci pomaga, to możesz nie otwierać oczu, ale wkładam ci w dłoń zwykły ołówek, a papier masz tuż przed sobą. Jeśli mogłabyś narysować cokolwiek w związku z tą osobą...

EP: Nie... Przepraszam. Nie wiem. To mężczyzna. Nie znam go.

[pauza: 33 sek.]

CC: Zrobimy sobie małą przerwę? Może wody?

[pauza: 56 sek.]

CC: Gotowa, żeby spróbować jeszcze raz? W porządku. Naprawdę, Ellie, to jest kawał dobrej roboty.

EP: Dobrze. Czy... Chciałabym narysować budynek.

CC: Budynek z...?

EP: Z tego drugiego snu. Widzę ten budynek właściwie każdej nocy. Mogę jeszcze jedną kartkę? Dzięki. No więc jest długi i – o, taki – ale tu, na samym końcu, fragment się zawalił.

CC: Dobrze. A co to jest... to z przodu?

EP: To jakby... jakby takie duże pole.

[pauza: 25 sek.]

EP: Ale nie ma trawy, tylko jakby ciemniejsze, sama nie wiem.

CC: Świetnie. Czy to – skończyłaś już na tym? Okej. Więc. Jakie uczucie wiąże się z tym budynkiem?

EP: Uczucie?

CC: Jak się... Co Siggy mogłaby czuć w związku z tym miejscem. Czy taki obrazek ją uspokaja? Czy jest straszny? Jeszcze coś innego?

EP: N-nie wiem.

[pauza: 22 sek.]

CC: Czy to miejsce łączy się jakoś z tym pożarem, jak myślisz?

EP: Nie sędę. Nie, myślę, że ten pożar jest gdzie indziej.

[pauza: 35 sek.]

EP: Sama nie wiem.

CC: Świetnie ci idzie. Ellie? Świetna robota, naprawdę się posuwamy. A możemy się teraz zastanowić nad tym, do czego ten budynek służy? Wygląda... To jest, zgaduję, że jest trochę za duży, by to był po prostu dom rodzinny?

EP: Nie, to nie dom. To znaczy ludzie tam mieszkają, ale...

CC: Rozumiem... a dużo tam ludzi? Możesz o tym miejscu powiedzieć coś jeszcze?

[pauza: 24 sek.]

CC: To znaczy czy to może być na przykład... bo ja wiem, szpital? Albo szkoła z internatem?

EP: Nie. Nie sędę.

CC: Albo hotel czy...?

EP: Nie, nic takiego, on jest cały porozwalany, jasne?

CC: Tak, rozumiem.

[pauza: 14 sek.]

CC: I to tam jest ten chłopczyk?

EP: Nie. Nigdy... nigdy nie ma go w budynku. Jest... gdzie indziej.

CC: Myślisz, że dałabyś radę narysować coś...

EP: Nie.

[pauza: 38 sek.]

EP: Chyba chciałabym już skończyć.

ROZDZIAŁ 49

Mae

Po podwiezieniu Kit do kawiarni na rozmowę z Ellie Mae popędził na Abson Street. Radiowóz, który zawczasu tam skierował, stał za rogiem, zgodnie z jego poleceniem, by nie rzucać się w oczy. Lecz kiedy Mae zaparkował i zapukał w szybę, posterunkowy w wozie potwierdził to, czego się obawiał. Po Coxie i jego furgonetce nie było ani śladu.

Mae podziękował mundurowemu i odesłał go do dalszych obowiązków, po czym zgłosił się przez radio do centrali z pytaniem, co nowego. Coxa nie było też w domu, a kobieta w kanciapie bukmacherskiej pod jego mieszkaniem powiedziała, że nie widziała go od chwili, gdy wyszedł tego ranka.

Podziękował dyspozytorce i poprosił ją, by raz jeszcze podała funkcjonariuszom numery rejestracyjne i opis Coxa.

– Jak tylko on albo wóz gdzieś się pojawią, natychmiast dajcie mi znać – polecił.

Usiadł z powrotem za kierownicą, skąd miał dobry widok na mieszkanie, i uchylił trochę okno, by szyby nie parowały. Christine nie spodoba się wiadomość, którą zaraz jej przekaże. Postanowił, że poczeka z tym na Kit, i obrócił się w fotelu, aby usunąć coś, co wbijało mu się w biodro.

Był to, rzecz jasna, ten cholerny zegarek. I po co mu on niby teraz? Dziadek zrobił wielkie halo, uroczyście przekazując mu go na szesnaste urodziny, kiedy on nie widział mamy chyba ze trzy lata.

Przekładał go sobie teraz z ręki do ręki, owijając metalową bransoletę wokół palców, na zmianę zatrzaszkując i otwierając klamerkę. „Żebyś pamiętał, że cię kocha”, powiedział wtedy Jobu, i nie było w tym ani grama ironii. Tego popołudnia byli sami we dwóch. Mae dyskretnie wymknął się po tort, aby zastąpić czymś zwęglone kulinarne nieszczęście, będące rezultatem starań dziadka, i żaden z nich choćby słowem nie wspomniał o dokonanej

podmianie. Dziadek zapalił świeczki, po czym zjedli tort z papierowych talerzyków i podzielili się butelką Stella Artois, specjalnie w tym celu kupioną parę tygodni wcześniej. Kiedy tylko urodziny dobiegły końca i Mae pomógł Jobu w umyciu się i przygotowaniu do snu, popędził do Gipton, by zastawić zegarek. Potem kupił za to pół uncji haszu od niejakiego Paula i ponownie się pokazał dopiero po tym, jak całość puścił z błękitnym, krętym dymem.

Trzy tygodnie później, kiedy Jobu zmarł, właściciel lombardu wykazał się prawdziwym człowieczeństwem i ujrawszy opuchniętą twarz Mae, bez słowa oddał mu niesprzedany zegarek.

Tuż obok niego rozległ się klakson samochodu i Mae o mało nie dostał zawału. Podjechała czarna taksówka, w której z tyłu siedziała Kit i zwijała się ze śmiechu. Wóz zatrzymał się tuż przed nim i policjantka wysiadła.

Mae włożył zegarek do kieszeni marynarki i spotkał się z nią na chodniku.

– Przysnęło się, panie sierzancie?

– Nie, ja tylko... nic takiego. Ellie w porządku?

Kit wzruszyła ramionami, zapłaciła kierowcy i pacnęła w dach.

– Właściwie nic nowego – odparła, chowając rachunek do portfela, który następnie wsunęła do kieszeni.

W jej zachowaniu było coś nie tak.

– Coś się stało?

Cmoknęła niby do siebie samej i pokręciła głową, patrząc w niebo.

– Nie, po prostu, wiesz, trochę się w to zaangażowałam. Próbowalam porozmawiać z nią o jej stanie zdrowia. Wychodzi na to, że niespecjalnie lubi o tym gawędzić z osobami, których zupełnie nie zna.

– Okej. – Uznał, że to nawet miało sens.

– No. A potem przywołałam ją do porządku i kazałam zgłosić się na komisariat. Nie była zachwycona. A co u ciebie?

Mae pokręcił głową.

– Jeśli tu był, to zniknął, zanim się zjawiliśmy. Nadałem temat przez centralę, na razie cisza, ale jeszcze wcześniej. – Ruchem głowy wskazał mieszkanie pań Power. – Idziemy?

Christine otworzyła drzwi i bez słowa zaprosiła ich do środka.

– Zaczekacie na Ellie? – spytała, krążąc po przedpokoju, gdy przechodzili do salonu. – Nie wiem, o której wróci.

Kit pokręciła przecząco głową.

– W gruncie rzeczy mamy parę pytań do pani – wyjaśniła.

Christine weszła i przycupnęła na oparciu jednej z powycieranych kanap, krzyżując ręce i zakładając nogę na nogę.

– Bardzo proszę.

– Podejrzewamy, że Matthew kontaktował się z Charlesem Coxem.

Zamknęła powieki. Wymamrotała coś niezrozumiale.

– Przepraszam – odezwała się łagodnie Kit – mogłaby pani powtórzyć...?

– Powiedziałam, że wiedziałam, że tak się stanie. Wiedziałam.

– Co pani ma na myśli?

Westchnęła przeciągle.

– Matt naprawdę interesuje się przypadłością Ellie, ale zarazem potrafi być bardzo zaborczy. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Chciał cały czas mieć na nią oko.

Mae i Kit popatrzyli po sobie, myśląc o tym samym, lecz to on to wyraził:

– Dlaczego wcześniej o tym nie wspominałaś?

Przyłożyła palce do skroni i je ścisnęła.

– Znaczy, bo to nie było nic... jakiegoś złowieszczego. Po prostu Ellie ma bardzo szczególne potrzeby, a Matt jest taki kochany, że lubi wychodzić im naprzeciw. Dowiedziałam się, że rozmawiał z osobami z jej przeszłości.

– Jak się tego dowiedziałaś?

Spojrzała na niego. Ważyła słowa.

– Christine, muszę to wiedzieć. Czego się dowiedziałaś i w jaki sposób.

Zwróciła się teraz ku Ziegler.

– Słyszałam, jak parę razy zwraca się do niej „Siggy”.

– Czyli imieniem jej...

– Tak, właśnie, jej alter ego. A to ją bardzo, ee, niepokoi. Miałam poczucie, że rozkoszował się jej słabością. To wcale nierzadkie.

Ziegler naprawdę starała się zachować bezstronność, Mae jednak czuł, jak aż bije od niej oburzenie.

– Dlatego też wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że w jakiś sposób nią manipulował. Ona z natury jest bardzo podatna i jeżeli chcecie znać moje zdanie, to przeszło mi już przez myśl, że to całe zniknięcie czy coś jest tak naprawdę grą, którą on z nią prowadzi. Wiem na przykład, że rozmawiał z Lucy Arden, to jest z matką Jodie.

– Powiedział to pani?

– Podśluchałam. Potem... no, nie za dobrze to będzie o mnie świadczyć, ale ani myślę coś teraz ukrywać. Sprawdziłam w jego telefonie. No i tak. Wiedziałam, że rozmawiał z Coxem.

Mae skinął głową, nie dając nic po sobie poznać.

– I co sobie o tym pomyślałaś?

– A jak myślisz? Powiedziałam mu, że równie dobrze mógłby dać jej sznur i od razu byłoby po kłopotcie.

– Panno Power – odezwała się Kit – a czy w ogóle go pani widziała?

– Coxa?

– Z tego, co wiemy, ostatnio pojawiał się w okolicy.

– W okolicy u Matta?

– W tej okolicy. Właśnie tutaj – przytaknęła Kit.

Christine gwałtownie się podniosła. Zrobiła wielkie oczy i popatrywała to na Mae, to na Kit.

– Chcecie mi powiedzieć, że nas śledzi?

– W żadnym razie. Chcieliśmy wiedzieć, czy go widziałaś.

Christine mocniej otuliła się swetrem, jak gdyby w pokoju znienacka zrobiło się chłodniej.

– Byłabym gotowa zrobić wszystko, by do końca życia nie oglądać tego człowieka.

– Czyli nie widziała go pani? – dopytała Kit.

– Nie.

– Ani w pracy, ani w drodze z pracy do domu?

– Nie. – Christine powoli pokręciła głową, jak gdyby zdezorientowana tym pytaniem. – Nie, jasne, że nie! – Zaśmiała się gwałtownie i niepewnie. – Myślicie, że bym tego nie zauważyła?

– Nie, chodzi o to...

– I co on robił, obserwował nas?

Kit spojrzała do notatnika, lecz Mae wiedział, że gra na zwłokę, formułując myśli tak, by nie wzbudzić niepotrzebnie zaniepokojenia.

– Na razie przyglądamy się jedynie ruchom jego pojazdu.

– Samochodu? Jakiego?

– To w gruncie rzeczy furgonetka. Charles Cox ma zarejestrowanego na siebie volkswagena transportera.

Poderwała się na równe nogi i pomknęła korytarzem. Mae wstał i zobaczył, jak otwiera drzwi frontowe i rozgląda się po ulicy. Kiedy wróciła do środka, cała się trzęsła.

– Kojarzę auto, o którym mówicie. Stoi tu... od tygodni.

Mae skinął głową, a Christine wyraźnie zmartwiała.

– Ellie o tym wie?

Mae odchrząknął.

– Zdaje sobie sprawę, że to się wiąże. Była u niego.

Christine przygryzła wargi i powoli przytaknęła. Cały czas patrzyła na Mae. Kiedy się odezwała, mówiła cichym, opanowanym głosem. Nie zwracała się ani do nich obojga, ani do żadnego z osobna.

– Zrozumcie, proszę. Po tym, jak zniknęła Jodie, starałyśmy się odnaleźć równowagę, powrócić do normalności. Ale Ellie każdego dnia toczy boje, których ani wy, ani ja nie jesteśmy sobie w stanie nawet wyobrazić. Nie wie, kim będzie za minutę. Zwykle, codzienne czynności, sprawy, których my nawet nie dostrzegamy, sprawiają, że... – gestykulacją wyraziła eksplozję – jest krucha. Oczywiście zdobyła się na olbrzymi wysiłek, aby to ukryć. To cała ta fasada, którą niekiedy wznosi, te przedstawienia odgrywane przed obcymi, a nawet przed Mattem. – Zatrzymała się i machnęła ręką. – To naprawdę pocieszające. Ale za każdym razem zawsze wraca tutaj i to ja targam do drzwi wejściowych koce, żeby ją owinąć, kiedy nie jest w stanie zrobić więcej nawet jednego kroku. To ja kołyszę ją do snu, kiedy budzi się z wrzaskiem z powodu przerażających rzeczy, które zobaczyła we śnie. Ona jest w zupełności ode mnie zależna. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, jeśli chodzi o komfort, jeśli chodzi o cokolwiek. Żyję całkowicie dla niej. Czy wy to rozumiecie?

Notatnik Kit zwisał jej swobodnie w palcach, zasłuchana zapomniwała o nim. Mae nabrał powietrza w płuca, żeby odpowiedzieć, ale Christine zwróciła się teraz do niego, on zaś nie był w stanie jej przerwać.

– Po tym, co się stało z Jodie, byle drobnostka jest ją w stanie sprowokować. Całe lata naszego życia poświęciłyśmy naprawianiu szkód, jakie wyrządził pan wraz z sierżantem Heathem. I wiem, wiem – uprzedziła go, reagując zawczasu na słowa protestu, do którego już się gotował – były też inne czynniki. Jej przyjaciółka zniknęła, cała ta historia była dla wszystkich czymś potwornym. No jasne. Ale to, jak ją potraktowała policja? Te oskarżenia, ten... ten szal, w który wpadł pański kolega. A co pan zrobił, żeby to powstrzymać? Nic. Nie sądzę, by pana nowi współpracownicy wiedzieli, do czego doprowadził pan Ellie.

Kiedy o tym wspomniwała, Mae musiał się wysilić, aby się nie wzdrygnąć, a przy tym czuł, jak Kit wbija wzrok w podłogę, świadomie na niego nie spoglądając. Już sam się o to postarał, by rzeczy, o których teraz była mowa, nie znalazły się w otrzymanej przez nią teczce sprawy.

– Christine, sierżant Heath wyleciał ze służby. Złożyłem zeznania o tym, co się stało.

– A potem cię puścili.

Nie musiał się przed nią usprawiedliwiać. Ale i tak złapał się na tym, że mówi jej to, co powtarzał samemu sobie setki i tysiące razy.

– Byłem młodym funkcjonariuszem. To była moja pierwsza sprawa. Powinienem mu się postawić, ale tego nie zrobiłem, i będę tego żałował do końca życia.

– Mogłeś go powstrzymać. To w równym stopniu twoja wina co jego.

– To nie była moja wina, Christine. – Ale powiedział to tak, że nikt by w to nie uwierzył, a już na pewno nie ona. I na pewno nie on sam.

Christine przyglądała się obojgu, a obiekcje Mae wisiły między nimi niczym ostrze gilotyny.

– Właśnie dlatego starałyśmy się trzymać od ciebie z daleka – ciągnęła głosem, w którym wciąż pobrzmiwał ten gniewny spokój. – Jesteś jak trucizna. Czy ty to pojmujesz? A teraz wracasz tu i co nam oferujesz? Pomoc? Ochronę? Nie. Po trochu znowu nasycasz nam życie strachem i patrzysz, co ten strach z nią robi.

Wyczuwając narastającą wściekłość, Kit wkroczyła między nich.

– Christine...

– Nie, odsuńcie się. Nie macie pojęcia, co wy jej wyrządzacie.

Teraz już krzyczała, mocno zaciskając zwieszane dłonie w pięści. Twarz Mae zamieniła się w gumę, twardą i nieprzepuszczalną. Przestał słyszeć. Bez względu na to, co by teraz powiedziała, na wszelkie gromy nienawiści, którymi by teraz ciskała w niego za to, co zrobił, on mógł tylko stać i czekać, aż emocje poodbijają się od ścian, a w końcu zwolnią i utracą moc. Musiał jedynie poczekać.

Tyle że Christine nie ograniczyła się do krzyku. Rzuciła się na niego, uderzając go pięściami w pierś, otwartą dłonią waląc po policzku, a po chwili znalazła się na kolanach, a Kit, obok niej, trzymała ją za nadgarstki.

– Christine Power, aresztuję panią za...

– Nie! – polecił jej Mae. Kit przerwała, spojrzała na niego, a on pokręcił przecząco głową. Powtórzył już spokojniej: – Nie. To niepotrzebne. Teraz wyjdę na zewnątrz i wszyscy się uspokojimy. Dobrze, Christine?

Nie odpowiedziała. Kiedy wychodził korytarzem, odprowadzało go jej donośne, głuche szlochanie.

– My tylko chcemy, by nam dano spokój – mówiła. – Ja tylko chcę się zająć moją biedną dziewczynką i chcę, by to wszystko już minęło.

Kit wyprzedziła Mae w drodze do samochodu. Nim przeszedł przez ulicę, była już w fotelu kierowcy i wkładała kluczyki do stacyjki. Jeszcze przez parę chwil posiedzieli, patrząc przed siebie bez słowa, z wciąż wyłączonym silnikiem, po czym odwróciła się ku niemu. Całym ciałem. Chciał spojrzeć na nią, spojrzeć prawdzie w oczy, ale nie był w stanie.

– Zechcesz mi powiedzieć, co to w ogóle było?

– Nie wiem, Kit.

Nie zaszczyciła go odpowiedzią. Po prostu czekała.

Po raz pierwszy żałował, że sprawy nie było w aktach głównych, tylko że upchnięto ją gdzieś w kartotece standardów zawodowych. Inaczej już by o tym przeczytała, już odpowiednio wcześniej osądziłaby go za rolę, jaką wtedy odegrał. Nie musiałby wówczas teraz tu siedzieć ze świadomością, że w ciągu kilku najbliższych minut jej opinia na jego temat da gwałtownego i nieodwracalnego nura w dół. W samochodzie panowała cisza, jeżeli nie

liczyć miękkiego odgłosu, z jakim otworzył usta, i pospiesznie wziętego głębokiego oddechu, nim wreszcie to z siebie wyrzucił.

Opowiedział jej o wszystkim. O Heacie, który był mocno wcięty po intensywniej godzinie w pubie i który w pokoju przesłuchań zgubił wątek. I obwinił o to Ellie. I powiedział jej, że jest wariatką, że równie dobrze może to ona zabiła Jodie. Oficer od kontaktów z rodziną w pierwszej kolejności zażądał od Mae, aby ten zainterweniował, lecz gdy on idiotycznie, żałośnie, haniebnie podporządkował się swojemu przełożonemu, wciąż wierząc w hierarchię dowodzenia, funkcjonariusz wybiegł na korytarz, wzywając pomocy.

Ale wtedy było już po ptokach.

– I kiedy Ellie wróciła do domu, przeciągnęła sobie nożem kuchennym po gardle. Straciła mnóstwo krwi, musieli ją wprowadzić w śpiączkę farmakologiczną. Założyli dwadzieścia jeden szwów.

Oddech Kit w ogóle nie przyspieszył. W dalszym ciągu patrzyła na niego, uważnie słuchała, a jej twarz przypominała maskę.

Później, już przed sądem, Heath twierdził, że był na skraju załamania, że niszczyła go woda, że rozsypało mu się małżeństwo, że jego dzieci... Jedną łzawa historia za drugą. Fakty zaś były takie, że jego wymówki nie robiły żadnej różnicy Ellie, której życie po próbie samobójczej wisiało na włosku.

Wymówki nie pomogły też i jemu samemu. Komisja uznała, że Ian Heath dopuścił się rażącego zaniedbania, i natychmiastowo zwolniła go ze służby. Niespełna miesiąc później już nie żył, po tym jak rozwalił się własnym autem na barierce drogi krajowej, jadąc pięć razy za szybko.

Kit nie przerywała. Nie zadawała pytań. Kiedy Mae skończył, nadal patrzyła przez okno. Wyglądała na wściekłą.

– Nic nie mówisz – zauważył po chwili.

Zamrugła, jak gdyby zbudziła się ze śpiączki, a na jej twarzy widać było, jaki wysiłek sprawiało jej sformułowanie odpowiedzi.

– Czy... Czy naprawdę nie przyszło ci do głowy, by powiedzieć mi o tym wcześniej? Przed tym wszystkim?

I wtedy spojrzała mu w oczy. Wytrzymał.

I nagle nie była już wkurzona. Minęło, wyparowało. Przez tę jedną chwilę narodziła się więź. Samym skrajem, zaognionymi brzegami, które wydawały

mu się tak obszarpane, że mogły się jedynie dalej pruć, owinał się wokół czegoś od Kit, i właśnie wtedy, jakimś cudem, jakby nie był już taki wyniszczony. Odwróciła wzrok i westchnęła ciężko, co jeszcze dziesięć minut wcześniej brzmiałoby jak drwina czy też frustracja albo rozczarowanie. Ale to nie było nic z tych rzeczy.

To było przebaczenie.

Kit przekreśliła kluczyk w stacyjce i sięgnęła lewą ręką do dźwigni biegów, ale zamiast wrzucić jedynkę, jej dłoń opadła w dół i na moment dotknęła jego ręki.

– Raczej nie jesteś już tym samym człowiekiem.

I wtedy znowu podniosła dłoń, a dzwonek jej telefonu przywołał ich do rzeczywistości. Wyrzuciła się, by odebrać, lecz Mae nie od razu odzyskała równowagę. Ciągle czuł ciepło miejsc, w których jej palce dotknęły jego skóry. Tak jakby jej ciepło wnikało gdzieś do środka.

Rozmowa Kit trwała niespełna minutę, a jej udział w niej sprowadzał się głównie do pojedynczych słów.

– Tak, jasne, dobra. Łapię. – Spojrzała Mae w oczy i powiedziała bezgłośnie „mamy go”. – Na pewno to jego? Okej. Świetnie. Zaraz będziemy. – Gdy tylko się rozłączyła, uśmiechnęła się do niego. – Kojarzysz ten garaż, o którym wspominał twój gość od monitoringu? W Haringey? Sprawdziło się: mają tam furgonetkę Coxa. Właśnie ściągają ją na komisariat.

– Zajebicie.

– Istotnie. – Szybko odjechała od krawężnika i wyszczerzyła się do Mae w uśmiechu, a on się poczuł, jakby po długiej wspinaczce wyszedł na równinę. Albo jakby właśnie wzeszło słońce.

ROZDZIAŁ 50

Ellie

Niebo pokryte było grafitowymi chmurami, zza których przebijało się blade światło wiszącego nisko słońca. Choć ostatni raz w Richmond byłam lata temu, bez problemu odnalazłam się wśród niskiej zabudowy, luksusowych ulic i nabrzeży rzeki.

Miałam się zobaczyć z Bernadette, nieznaną osobą, która niespodziewanie odezwała się do Samiry Anand. Cały czas powtarzałam sobie, że nasze spotkanie może okazać się zupełną stratą czasu. Jednak gdy mijałam podróżnych i zakupowiczów zmierzających ku stacji, w głowie rozbrzmiewały mi słowa Matta. Że to, w co wierzę, nie zawsze jest prawdą. Pytałam go w myślach o radę. Wczuwałam się w rolę i dopowiadałam sobie jego odpowiedź.

Powiedziałam mu, że podobno to moja ciocia.

Ale ty nie masz żadnej cioci.

*Tak mówiła mama. Zawsze. Jej rodzice nie żyją,
a ona była jedynaczką.*

Wyobraziłam sobie, jak przygląda mi się ze zmarszczonym czołem.

Czyli uważasz, że nie można jej ufać?

Spodziewałam się, że w tym momencie Siggy się odezwie, by mnie podkusić. Ale czułam jedynie jej promieniujący zarys, jakieś kłębowisko oczekiwań w miejscu, gdzie zwykle siedziała, taksując mnie wzrokiem. Przyspieszyłam kroku, by dotrzeć na umówione spotkanie.

Kiedyś mieszkaliśmy niedaleko, nad rzeką, w Kingston, ale skończyło się to nieprzyjemnie. Ktoś zauważył mamę w fabryce pudełek, gdzie pracowała na nocne zmiany. Podszedł do niej i stwierdził, że wygląda zupełnie jak Christine Power, „wiesz, ta panienska z wiadomości!”. Następnego nocy

zrozumiał, że to naprawdę ona, i całą zmianę nie dawał jej spokoju. Godzinę po jej powrocie z pracy byliśmy spakowane, a nim wzeszło słońce, siedzieliśmy już w autobusie nocnym, który wiozł nas do nowej kryjówki – nowego domu, jak twierdziła – na drugim końcu miasta.

Tuż nad rzeką bruk lśnił od niedawnego deszczu, a powietrze można było ciąć nożem. Wychyliłam się na palcach nad kamienne nabrzeże gwałtownie opadające ku rzece, by popatrzeć na wodę. Trafiłam akurat na przypływ. Pomarszczony liść wierzby nadpływający ze wschodu zatrzymał się na chwilę na powierzchni, wykonał kilka powolnych obrotów, po czym ruszył z powrotem w kierunku, z którego przypłynął.

W pewnej odległości od nabrzeża rozciągał się rząd ławek okutych żelazem, wyznaczający kraniec trawnika. Podeszłam do jednej z nich, ale zanim usiadłam, starłam dłonią wodę z desek i rozłożyłam na nich porzucony przez kogoś egzemplarz gazety „Metro”.

Czekałam. Zaczęła padać mżawka. Gdy podniosłam rękę, by ochronić oczy przed deszczem, poczułam czyjaś dłoń na ramieniu.

– Ellie?

Zmrużyłam oczy i mimo deszczu podniosłam wzrok. Zobaczyłam beżowy wełniany płaszcz i wydzierganą szydełkiem czapkę, tak jak pisała w wiadomości. Jednak najbardziej przyciągała uwagę jej twarz: blada skóra, intensywnie niebieskie oczy, niby rozświetlone czymś od wewnątrz.

Po wyglądzie można by uznać, że to moja matka.

Zabrała rękę, gdy tylko podniosłam głowę.

– Jeju! – powiedziała, zbliżając dłonie do swojej szyi. – Bardzo panią przepraszam. Po prostu czekam na... – Urwała, wpatrując się w moje ubranie. Widziałam w jej oczach zdziwienie, ale nie wiem dlaczego. Dokładnie opisałam jej mój ubiór.

– Ellie Power. To ja – powiedziałam, wstając.

Kobieta cofnęła się o krok, nerwowo potrząsając głową.

– Nie – odpowiedziała. – B-bardzo przepraszam. Wydaje mi się, że doszło do nieporozumienia.

ROZDZIAŁ 51

Mae

Kiedy Kit wjechała focusem na parking przy komendzie, na skąpanym w świetle placu panował duży ruch. Oboje wysiedli, lecz nim Mae zdążył zrobić choćby krok, już dostrzegła go McCulloch.

– Ty – odezwała się, podchodząc do nich. Skierowała go trochę dalej, tak, żeby ich rozmowy nie słyszał żaden z pozostałych policjantów.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, jak to rozegrać. Lecz jego szefowa ceniła sobie bezpośredniość, dlatego też postanowił nie owijać niczego w bawełnę.

Uprzedził ją, nim zdążyła się odezwać.

– Pani komisarz, chciałbym poprowadzić to do końca.

– Aha. Czyli to dlatego nie odbierasz, kiedy dzwonię.

Nie było sensu zaprzeczać.

– Wiem, że powinienem pani powiedzieć, że sprawa dotyczy pań Power, ale...

– Owszem. Powinieneś.

– Ale zapewniam, że unikam osobistego zaangażowania. Dla mnie to po prostu sprawa jak każda inna.

Patrzyła na niego przez moment, po czym roześmiała się uprzejmie.

– Daj spokój, Ben. „Unikasz osobistego zaangażowania”? Nie jesteś, kurwa, cyborgiem. Ale wcale nie zamierzałam odsunąć cię od sprawy, jeżeli o to ci chodziło.

– Nie?

– Nie. Chciałam dać ci możliwość wycofania się, jeśli sam byś chciał. Nikt nie musiałby o tym wiedzieć, ale jeżeli uznałbyś, że wolisz...

– Nie, naprawdę.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę ze zmrużonymi oczami, aż wreszcie machnęła lekko ręką na znak, że odpuszcza.

– Pamiętaj, Mae, że ja naprawdę się o ciebie troszczę. To, co się wtedy stało... no, ciężka sprawa. Jedna z najcięższych.

Odkopnął kamyk.

– Minęło sporo czasu.

– Dobra, Ben. Przyjęłam. – Zadowolona ze zmiany tematu poprowadziła go do garażu strzeżonego. – A więc, jeśli chodzi o tę furgonetkę... Całkiem interesujący sprzęt.

Paru żółtodziobów z wydziału kryminalnego, przyjętych w tym samym czasie co Kit, pakowało i etykietowało materiał dowodowy na tyle srebrnego volkswagena transportera. Wóz wyglądał na drogi, wychuchany, bez choćby zarysowania, miał mocno przyciemnione szyby. Obok Mae stanęła Kit.

– Ojaciesunę – skomentowała, otwierając szeroko oczy.

Mae nigdy nie był jakimś wielkim surferem, nigdy w życiu nie wyjechał też na żaden kemping, ale z tego, co wiedział, to kiedy takie furgonetki przebudowywano, zazwyczaj wyposażano je na podobieństwo tych domków: ot, składane łóżka, miniaturowe kuchenki, szafki na prowiant i pościel.

Ale nie tę.

Ta wyglądała inaczej. W narożniku znajdowała się mata do jogi przymocowana do częściowej przegrody oddzielającej szoferkę od zasadniczej części pojazdu. Poza tym furgonetkę niemal całkowicie wypełniały konsole i napędy. Był tam laptop, głośnik odsłuchu ze wskazówką, a do tego parę kompaktowych konsoli, przypominających mniejsze wersje sprzętu didżejskiego.

Facet wewnątrz furgonetki z wielką ostrożnością wciskał się w kąt za fotelem kierowcy, aby skadrować coś, co wyglądało jak postawiony na boku talerz, wycelowany w zaciemnione okno furgonetki. Pośrodku talerza znajdował się gruby cylinder, do którego przytroczono pręt, na obu końcach wygięty w dół niczym kierownica roweru.

Kit zwróciła się w stronę nadkomisarz z miną, jakby właśnie natrafiła na żyłę złota.

– Wie pani, co to jest?

McCulloch wzruszyła ramionami.

– Luksusowa różdżka wróżbity? Dildo?

– Mikrofon paraboliczny – odpowiedziała Kit. – Widziałam taki w jakimś filmie szpiegowskim, używali go do... – Wtem jednak przerwała i spojrzała w oczy Mae, który wtrącił:

– Ten gość. Ten sąsiad.

Co on takiego powiedział? Coś o inwigilacji.

A oni go wyśmiali.

– Ktoś mi powie, o co chodzi? – dopytała McCulloch. – Jaki sąsiad?

– Facet pod mieszkaniem pań Power, strasznie poruszony, że na pewno jesteśmy z... sam już nie pamiętam, chodziło o Secret Service?

– Z MI5 – dopowiedziała Kit z przepaszającym wyrazem twarzy. – A my, no, uznaliśmy, że to wariat.

– Wariat czy nie wariat, lepiej czym prędzej zdobyć od niego zeznania. – Odwracając się do jednego z cywilnych techników, McCulloch spytała: – Ile czasu potrzeba, byśmy się dobrali do zawartości tych dysków?

– Kilka godzin.

– To niech będzie szybciej. – A potem znów zwróciła się do Kit: – Mam też dla was trochę lepsze wieści, jeśli można to tak nazwać.

– Naprawdę?

– Tego laptopa od Matthew Corshama wysłaliście łąbskim, żeby się pobawili w odzysk?

Kit zmarszczyła czoło.

– Tak, ale skąd pani o tym...?

– Zawartość – wymamrotał Mae, zdając sobie sprawę, co to musiało oznaczać. Spojrzał na McCulloch, a ona potwierdziła ponurym skinieniem głowy. – Od razu zgłasza się to gorzej, jeśli znajdą cokolwiek powyżej trójki na skali COPINE. To co to było? – spytał przełożoną, licząc w myślach na niski rezultat. Skala, przedstawiająca typologię pornografii dziecięcej, rozciągała się od poziomu 1, czyli fotografii nieerotycznych, po poziom 10, przedstawiający skrajny sadyzm i zoofilię.

– Niestety szóstka.

– Kurwa – rzucił pod nosem. Następnie wydał policzki i gotując się na najgorsze, dodał: – To chyba najlepiej będzie, jak pójdziemy się przekonać.

Obładowana kanapkami i chipsami Kit stawiała się u jego drzwi akurat w chwili, kiedy Mae otwierał przesłaną mu przez McCulloch wiadomość od gościa z wydziału danych kryminalistycznych.

– Niech no spojrzę – powiedziała Kit, obracając monitor i przepatrując treść e-maila, aż w pewnym momencie zrobiła dziwną minę. – „Algorytm pięćsetdwunastobitowy” – przeczytała powoli, pomiędzy kęsami chleba i protein. – „Rozpięte i załadowane”. Co to, kurwa, znaczy? Myślisz, że próbuje dobrać mi się do gatek?

Mae parsknął śmiechem i wywołał specjała przez Skype’a. Facet, grubawy gość posługujący się nickiem GildiaZłodziei1987, naprawdę się postarał, aby ubrać to wszystko w określenia zrozumiałe dla laika.

– W zasadzie to na tym sprzęcie była duża liczba obrazów – powiedział, a jego twarz zaciną się na ekranie. – Pracujemy nad ich skatalogowaniem, ale dobra wiadomość jest taka, że ten, kto te wszystkie pliki pokasował, nie wiedział, co robi.

– W jakim sensie? – spytał Mae.

– No więc tak, kiedy kasujesz plik, to jedynie usuwasz dane indeksowania: listę w folderze, która informuje o tym, gdzie się ten plik znajduje. Ale same pliki dalej gdzieś tam są.

– Naprawdę? – dopytała z niedowierzaniem Kit. – Trochę to straszne. – Rozerwała opakowanie kanapki z szynką i serem i podała połowę Mae, nie odrywając spojrzenia od ekranu.

Zachęcony jej zaciekawieniem technik ciągnął:

– A więc w przypadku jotpegów same pliki często zostają pofragmentowane po całym dysku, ale wtedy trzeba znaleźć kod bitowy...

– Doskonała robota – przerwał mu Mae. – Możesz przewinąć do momentu, w którym nam mówisz, co tam znalazłeś?

– Oj, dobrze – odparł 87, starając się nie okazać urazy. – A więc ciekawe jest to, że materiał pochodzi tutaj z dwóch różnych źródeł. Nazwę je Zbiorem Jeden i Zbiorem Dwa. Większość Zbioru Jeden to, jak już pewnie słyszeliście, zdjęcia pornograficzne dzieci. Jak już zbierzemy wszystko z dysku,

porównamy je z CAID, ale próbki, które dotychczas przepuściliśmy, wykazały sporo powtórzeń.

Kit zerknęła pytająco na Mae.

– CAID to baza obrazów wykorzystywania dzieci – wyjaśnił. – Jeśli trafisz na zdjęcie, które ma wiele powtórzeń, to znaczy, że już krążyło w sieci, więc ten, u kogo je znalazłaś, raczej go nie zrobił.

– Właśnie – potwierdził 87. – I zaraz je prześlę. Ale coś mi mówi, że w pierwszej kolejności będziecie chcieli obejrzeć sobie te inne, ze Zbioru Dwa. To już jest coś totalnie innego, seria z kolejnymi numerami plików. Na tego kompa trafiły zaszyfrowane, z innego, pojedynczego źródła.

– Weź podeślij – powiedział Mae, po czym podziękował i zakończył połączenie. Minutę później 87 przesłał mu e-mailem kilka plików, obiecując niebawem kolejną porcję. Mae zaznaczył całą szóstkę i je pootwierał.

Nastąpiło parę sekund opóźnienia.

Wtem Kit poderwała się na nogi, wykrztuszając jedzenie na dłoń, a krzesło, na którym siedziała, upadło z trzaskiem na podłogę.

– O Jezu. O kurwa mać – wydukała.

Mae wyciągnął chusteczkę z opakowania w szufladzie i jej podał. Ale nie mógł oderwać wzroku od ekranu.

Na wierzchu nowo otwartych dokumentów znajdowała się fotografia. Dolna połowa kobiecego ciała – dziewczęcego ciała – od bioder do uda. Dziewczyna siedziała nago, szeroko rozchylając nogi. Po wewnętrznej stronie jej ud ciągnął się pas węglowatej, nieukrwionej, zabliźnionej tkanki, który z lewej dochodził do jej warg sromowych. Mae powoli odłożył kanapkę i ją odepchnął.

– Żyje, prawda? – spytała cienkim, niepewnym głosem Kit z rogu pokoju.
– Czy ona przynajmniej żyje?

Mae nachylił się do przodu, przybliżając widok do nieuszkodzonego fragmentu skóry na dole uda. Zdjęcie miało całkiem dobrą rozdzielczość, mógł więc dostrzec coś, co wyglądało jak leciusienka gęsia skórka.

– Jest. Reakcja na zimno. Tak, żyje.

– A... ale co to, kurde, jest? Czy to oparzenia?

– Nie wiem. – Jeśli pominąć blizny, skóra miała oliwkową karnację, tyle tylko, że była zasiniona. Zminimalizował fotografię i przeszedł do kolejnej,

a potem następnej. Niewielka pierś, zdeformowana takim samym postrzępionym, dawno zabliznionym uszkodzeniem. Pośladki, ramiona, piersi i gardło, tył nogi. Pięć fotografii, zapewne tej samej kobiety. Czy też dziewczyny: była młoda, miała już za sobą okres dojrzewania, ale dopiero co. Bez ujęcia twarzy nie sposób było się upewnić, czy patrzyli na zdjęcia wykonane za obopólną zgodą, czy też na coś o wiele gorszego.

Zaczekał, aż Kim w swoim tempie powróci do ekranu. Kiedy to zrobiła, sprawiała wrażenie odrętwiałej.

– Nie wpuszczaj tego – powiedział łagodnym głosem, wciąż z oczami na ekranie.

– Co masz na myśli?

– W sensie, nie dopuszczaj tego – ruchem głowy wskazał na zdjęcie – do siebie. Musisz sobie po prostu powiedzieć, że to nie tak, że ludzie są tacy. Jeśli to do siebie dopuścisz, to już nigdy nie wyjdzie.

– Ludzie? Nie, to nie... – zaczęła, ale wyjęła myszkę z jego dłoni i zestawiała dwa zdjęcia obok siebie. Jedno przedstawiające gardło, drugie ukazujące ramię.

Przyłożyła palec do ekranu.

– To są ślady, o których pisał Cox w tej książce. To ona – powiedziała, śledząc nienaruszony środek gardła. – To Ellie. Tyle że zanim... tyle że sprzed zniknięcia Jodie Arden.

A Mae, który uniósł dłonie znad klawiatury, jak gdyby parzyła go w palce, zrozumiał, że miała rację.

ROZDZIAŁ 52

Ellie

Miała na imię Bernadette. W skrócie Bern. Powiedziała, że od dziesięciu lat mieszka niedaleko, kawałek na wschód, w Hanworth. Pracowała w branży finansowej jako sekretarka, nie miała dzieci, choć przez chwilę była rodzicem zastępczym. Mąż, Duncan, zginął młodo w wypadku na motocyklu. I od półtorej dekady próbowała mnie odnaleźć.

– Jak jej się to udało?

– Jak co jej się udało?

– Zniknąć z powierzchni ziemi – spytała, obracając łyżeczkę w dłoniach. Podczas rozmowy patrzyła na mnie tylko sporadycznie. – Naprawdę szukałam wszędzie. Próbowałam wszystkiego. Raz nawet opłaciłam detektywa, ale pracował dla mnie tylko tydzień. Po prostu rozpułnęła się w powietrzu.

– Nie wiem – odpowiedziałam, nie mijając się zbytnio z prawdą. Zdawałam sobie sprawę, że mama czasami, szczególnie po sprawie z Jodie, posługiwała się fałszywymi nazwiskami, by ukryć naszą tożsamość. Nie miałam jednak pojęcia, że zniknęła, i to zostawisz rodzinę. Ale nie ciekawiło mnie, jak to zrobiła, ale dlaczego. Choć zawsze mówiła, że robiła to z powodu Siggy, że przemieszczałyśmy się, żeby nie dopadli nas lekarze, opieka społeczna czy inne osoby, które upierały się mi pomóc, właśnie przestawałam w to wierzyć. Nagle, niczym piłka plażowa wyskakująca z wody, przypomniał mi się urywek sesji z doktorem Coxem: mówił coś o powodach szybkich przeprowadzek ludzi. Skojarzyłam, że nazwał to czynnikiem wypychającym.

Czasem ludzie czują, że muszą się przenieść z obecnego miejsca, aby oddalić się od czegoś groźnego.

Poprawiłam się na krześle i spojrzałam nerwowo na wyjście. Jeśli to prawda – jeśli moja mama rzeczywiście zostawiła swoją rodzinę – musiała mieć zapewne jakiś sensowny powód.

Bern zamieszała kawę.

– To czym się teraz zajmuje? Zarobkowo.

– Jest sprzątaczką.

Zaśmiała się, ale szybko się uspokoiła.

– Żartujesz?

Pokręciłam przecząco głową.

– To nie może być prawda. Ona była korespondentką wojenną. Była nieustraszona i genialna. A teraz jest sprzątaczką?

– Jest nieustraszona i genialna – odpowiedziałam, krzyżując ręce na piersi.

– Nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Nie, nie, nie o to mi chodziło. Po prostu nie potrafię tego zrozumieć. Nic a nic. – Wydawało się, że rozmawia ze stojącą przed sobą filiżanką cappuccino. – Nie rozumiem, cóż takiego jej uczyniliśmy, że po prostu tak się od nas odcięła. Mama i tata nigdy się z tym nie pogodzili.

– Mama i... masz na myśli moich dziadków?

Spojrzała się na mnie, po czym odwróciła głowę, jakby nie była w stanie utrzymać kontaktu wzrokowego.

– Tacy byli z niej dumni. Wszystkim opowiadali, że Chrissy to, Chrissy tamto, bla, bla, bla. Dobrze, rozumiem, że osiągnęła bardzo wiele. Gdy jeszcze wydała im na świat pierwszą wnuczkę, stała się dla nich... cóż. – Podniosła dłoń wysoko nad głowę, wskazując jakiś niewidzialny pułap. – Pamiętam nasz spacer w Hampstead Heath. Ciągłe podchodzili do nas ludzie. Właśnie zaczęto emitować jej sprawozdania, więc wszyscy rozpoznawali jej twarz. Z którejś tam wojny wróciła do domu dopiero, gdy widać było jej... że jest w ciąży. –

Wskazała palcem brzuch. – Ojciec nieźle się na nich uwziął, Chris była przerażona. Długo potem się z tego śmiałyśmy.

Wszystko to wydawałoby się urocze, tyle tylko, że ja nie miałam dziadków. Przynajmniej ich nie poznałam, bo według tego, co mówiła mi mama, rodzice przestali się do niej odzywać, gdy była ze mną w ciąży. Zerwali z nią kontakt, więc nigdy ich nie spotkałam. W ogóle o nich nie rozmawiałyśmy.

Jednak w słowach Bern musiało kryć się jakieś ziarno prawdy, bo jednego nie dało się ukryć – cała jej twarz poświadczała, że była siostrą mojej mamy.

– Co się zatem stało? – zapytałam. Chciałam wysłuchać jej wersji w całości, nim ją podważę. – Jak straciłyśmy kontakt?

Powoli wypięła łyk kawy, po czym wytarła kąciuki ust. W końcu odezwała się niepewnie, chropowatym głosem wieloletniej palaczki.

– Po przyjęciu urodzinowym. To były trzecie urodziny.

– Moje?

Odpowiedziała ledwie zauważalnym skinieniem.

– Kameralne spotkanie. Byłam ja z Duncanem, Chrissy i nasi rodzice. Potem przez parę tygodni nie miałam kontaktu z Chrissy. Dzwoniłam kilka razy, ale nikt nie odbierał. W końcu podeszłam pod jej dom, ale już wprowadzała się do niego nowa rodzina. – Wzruszyła ramionami, oznajmiając koniec historii. – Nigdy więcej jej nie spotkałam. Zabrała moją piękną siostrzenicę. Zniknęłyście, tak jakbyście nigdy w ogóle nie istniały.

– I to tyle? Po prostu zapomniałaś o nas?

Wbiła we mnie wzrok, lecz rozgniewane z początku spojrzenie szybko przybrało wyraz głębokiego smutku.

– Szukałam wszędzie. Kontaktowałam się z jej dawnymi współpracownikami, wspólnymi przyjaciółmi ze szkoły, lekarzem. Ze wszystkimi, którzy mogli cokolwiek wiedzieć o jej zniknięciu. Policja w niczym mi nie pomogła. Funkcjonariusze wykonali tylko kilka telefonów, po czym umyli ręce. Chrissy wspomniała wcześniej parę razy o zamieszkaniu za granicą, więc policjanci stwierdzili, że takie wytłumaczenie wystarcza. Znała wielu obcokrajowców, całe życie podróżowała. Nie było żadnych podstaw do podważenia jej poczytalności, a do tego jeszcze ten list...

– Jaki list?

Wypięła kolejny łyk i bezgłośnie odstawiała filiżankę na spodek.

– Napisała w nim, że wyjeżdża na wycieczkę. I tyle, zero szczegółów. To było okropne. Mama pogrążyła się w rozpacz. Już chorowała, jej stan się cały czas pogarszał, a ojciec był u kresu... Rozumiesz.

– Nie. Niezupełnie. – Nie rozumiałam nic z tego, co mi próbowała przekazać. Jeszcze parę godzin temu nie ośmieliłabym się podważyć faktu, że mama była jedynaczką. Dłonie Bern zaczęły drżeć, a oczy wypełniły się łzami. Podałam jej serwetkę z naczynia stojącego na blacie.

– Kiedy nie masz własnych dzieci – odezwała się, wycierając oczy – a bardzo chcesz je mieć, tyle że nie możesz...

Myślałam intensywnie, jak jej odpowiedzieć.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co to za uczucie. – Tylko tyle przyszło mi na myśl.

– Nie. Nie potrafisz. Wiem, że córka mojej siostry to nie moje dziecko, ale bardzo ją kochałam. Bardzo. Więc zaczęłam szukać wszędzie, wydałam na to wszystkie pieniądze, jakie miałam, a później zamieszkałam z powrotem z rodzicami. Trzydziestopięciolatka śpiąca znowu w swoim starym, wąskim łóżku. – Podniosła filiżankę, popatrzyła na nią przez chwilę, po czym odstawiła z powrotem. – I po wielu latach, po wielu latach niewiedzy, czy kiedykolwiek znowu zobaczę siostrę albo siostrzenicę, czy w ogóle żyją, nagle natrafiłam na imię Chrissy w artykule. Dotyczył tej dziewczyny, która zaginęła, Jodie Arden. Kilka tygodni mi to zajęło, ale w końcu trafiłam do doktora Coxa. Jego sekretariat za żadne skarby nie chciał mi podać numeru. Siostra znowu mi uciekła. Była tuż przede mną, a nagle... puf! – podsumowała, robiąc dłonią gest eksplodującego fajerwerku. – Zniknęła. A teraz to się przydarza.

Nie rozumiałam. Skoro tak mnie kochała, czemu nie cieszyła się, że tu jestem, po tylu latach?

– Przecież siedzę tutaj.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem, co się dzieje. Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz.

Wlepiłam w nią wzrok.

– To ty skontaktowałeś się ze mną – stwierdziłam. – Przyszłam, bo to ty mnie o to poprosiłeś. Niczego od ciebie nie chcę.

– No już – powiedziała łagodnie. – Spokojnie.

Kobieta siedząca przy stoliku obok spojrzała na nas podejrzliwie, po czym szepnęła coś do swojego towarzysza.

Bern utrzymała ze mną kontakt wzrokowy.

– Naprawdę nie wiesz? W sumie to nie twoja wina. Nie jesteś... nie jesteś osobą, której się spodziewałam.

– Nie? No dobrze. To kogo się spodziewałeś?

Nie odpowiedziała.

– Co ci naopowiadała moja siostra? O mnie. – Od razu zdała sobie z czegoś sprawę i dodała: – Czy w ogóle wie, że mama i tata nie żyją?

Nie miałam pojęcia, jak subtelnie powiedzieć jej prawdę.

– Nic nie naopowiadała. Nawet nie wiedziałam, że istniejesz.

Kobieta powoli skinęła głową.

– A co z całą resztą, z pozostałą rodziną? Wiem, że nie widzisz się z Jimem, ale...

– Jakim Jimem?

– Jimem – powtórzyła. – Twoim *ojcem*.

– Mój ojciec nie żyje.

Bern przyjrzała mi się ze zmrużonymi oczami.

– Bardzo mi przykro – powiedziała w końcu, ale zabrzmiało to machinalnie, jakby myślami była gdzie indziej. Jakby mi nie wierzyła. – Kiedy? Jak to się stało?

Zdumiona potrząsnęłam głową.

– Z powodu prochów. Ale to się stało, zanim się urodziłam. – Jak mogła tego nie wiedzieć?

Powieki jej zadrgały. Zamknęła oczy.

– Co? – zapytałam w przypiływie złości. – O co chodzi?

Kobieta wzięła głęboki oddech, wyraźnie starając się dobrać słowa, które mnie nie urażą.

– Słuchaj, wy-wydaje mi się, że powinnam porozmawiać z twoją mamą.

– Nie. Nie, ty teraz rozmawiasz ze mną.

– Ellie, proszę. Naprawdę muszę z nią porozmawiać.

– Wiesz co? – zaczęłam, czując, że jestem u kresu cierpliwości. – Nie mam na to czasu. To jakieś pierdolenie. – Czemu ja tu w ogóle siedziałam, słuchając tego wszystkiego? Musiałam znaleźć Matta, a spotkanie z nią ani trochę mi w tym nie pomagało. Niezdarnie wstałam i prawie przewróciłam krzesło. Udało mi się je w porę złapać i odstawić. Ruszyłam po bluzę, którą odwiesiłam na tyłach kawiarni, ale Bern mnie zatrzymała. Wychyliła się z krzesła i złapała mnie za nadgarstek.

– Dobrze, proszę – powiedziała. – Usiądź z powrotem. Proszę, musimy to rozwiązać... Musimy to omówić.

Miała smukłe, blade palce, tak jak moja mama. W niczym nie przypominały moich. Przez chwilę stałam, patrząc na nią, ale w końcu usiadłam. Czułam, jak po mojej skórze rozlewa się ciepło. Bern posłała mi

nieśmiały, smutny uśmiech, a następnie położyła na stół torbę i otworzyła tylną kieszeń. Wyjęła komórkę, ale nawet na nią nie spojrzała, nie włączyła ekranu.

– Dobrze, w porządku. – Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze. – Nie mam pojęcia, co Christine ci naopowiadała, ale w sumie nie powinno mnie to dziwić. Widać było, że mieli problemy. Jim był... – Bern odwróciła wzrok. – Był bardzo niespokojnym mężczyzną. Wybuchowym.

Nieświadomie objęłam się ramionami. Siggy rozpląszczyła się na plecach, próbując się schować. Jakby nie chciała tego słuchać. Ja nie chciałam tego słuchać.

– Był od niej trochę starszy. Gdy się poznali... Boże, to musiało być z dziesięć lat przed twoimi narodzinami... Twoja matka wciąż była młoda, jej kariera dopiero zaczynała się rozwijać. Spotkała go podczas pracy nad reportażem po wojnie...

– Wojnie? Jakiej wojnie?

– O Falklandy – odpowiedziała, nieskutecznie próbując ukryć zdziwienie, że tego nie wiem. Westchnęła, kręcąc głową. – Wojna odcisnęła na nim spore piętno, utrzymujące się przez lata. Sporo czasu spędził na leczeniu specjalistycznym. Tak też się poznali. Chrissy przeprowadzała z nim wywiad o zespole stresu pourazowego i jakoś ta znajomość się rozwinęła. Byli...

– Czyli co? Był lekarzem? Psychiatrą?

– Nie – odpowiedziała powoli. – Nie był lekarzem. – Oderwała ode mnie wzrok i włączyła komórkę. – Nie zrozum mnie źle – stwierdziła, szukając na ekranie czegoś, czego nie widziałam. – Potrafił być bardzo miły i delikatny, ale czasami coś mu się przestawiało i całkowicie tracił nad sobą panowanie. Miewał problemy z policją, kilka razy trafił do więzienia. Nie wiedział, jak odnaleźć się w nowej sytuacji po wszystkim, co tam zobaczył, w czym brał udział.

Popatrzyłam na swoje dłonie.

– Czy mam rozumieć, że zachowywał się brutalnie? Wobec mamy? – Chciałam spytać: „Wobec mnie?”.

– Nie wiem – odpowiedziała, ucinając temat. – Chrissy nigdy tego nie powiedziała. Wiem tylko, że twój ojciec był bardzo oddany rodzinie. Całkowicie oddany. Nie potrafił sobie poradzić z separacją. Doprowadzała go do szału.

Wreszcie znalazła to, czego szukała. Znów podniosła wzrok na mnie.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale na którymś etapie sprawy się... skomplikowały. – Spojrzała mi w oczy. – Jim nie... Oni po prostu zrobili sobie przerwę od siebie, po czym nagle Chrissy zniknęła. Przysięgłem, tak jak ja, że będzie was szukał. Patrz. – Odwróciła telefon ekranem do mnie. – To on.

Nachyliłam się. Zajął mi chwilę, by w ogóle zrozumieć, na co właśnie patrzę. Podsunęła mi telefon, mówiąc dalej:

– To zdjęcie zrobiono parę tygodni przed... czekaj, czy ty się dobrze czujesz?

Skuliłam się, zaciskając powieki. Ogarnęła mnie panika, nie potrafiłam, nie chciałam spojrzeć na zdjęcie. Odepchnęłam komórkę i zakryłam ręką oczy.

– Proszę, nie chcę tego widzieć. Błagam, to nie on.

To nie mógł być on. Nie dopuszczałam do siebie tej myśli. Nie spojrzałam nawet na twarz wyświetloną na ekranie. Nie wiedziałam, jakiego koloru miał włosy, czy w ogóle miał włosy, czy był wysoki, niski, chudy. Niczego nie widziałam. Zobaczyłam jedynie jego ubranie.

Zielony mundur. Zielony, khaki, kamuflaż.

Był żołnierzem.

Kobieta siedząca naprzeciwko mnie twierdziła, że mój ojciec był żołnierzem.

Gdyby Siggy mogła krzyknąć, jej krzyk rozdarłby niebo.

ROZDZIAŁ 53

Mae

Kiedy znalazł Kit, akurat czekała, aż jedyna przyzwoicie działająca drukarka kolorowa raczy się uruchomić.

– Dzwonił technik z Brighton and Hove – oznajmił jej Mae, opierając się o ścianę. – Te zdjęcia Ellie na sto procent są od Coxa. Ktoś od nich zdobył dostęp do starej kliniki Coxa i obfotografował jego dawny gabinet. Zgadza się tło, zgadza się oświetlenie. A patrząc na to, kiedy je zrobiono, na brak blizny, oznacza to...

– Że bez dwóch zdań była wyraźnie nieletnia.

Mae sztywno przytaknęła.

– To co, Cox je sprzedawał? – dopytała Kit. Kopie fotografii wysuwały się z drukarki niczym języki, a posterunkowa każdą z nich ostrożnie chwyciła między palec wskazujący a kciuk, jakby chodziło o brudną bieliznę, po czym układała sobie w teczce obrazem do dołu.

– Jeszcze nie wiadomo. Ale możliwe.

– I zero wskazówek co do tego, dokąd się ulotnił?

Mae pokręcił głową.

– Ale poleciliśmy pogranicznikom zablokować jego paszport, więc daleko nie ucieknie.

Cynicznie pociągnęła nosem.

– Oby.

Mae poczekał, aż skończy drukować, i razem poszli do windy. Podczas jazdy w dół stali w milczeniu. Wysiedli na parterze, gdzie, w odróżnieniu od typowo biurowego wystroju wyższych pięter, na łatwych do czyszczenia

niebieskich ścianach na odbojnicy przebiegającej na wysokości pasa rozmieszczono w regularnych odstępach przyciski alarmowe.

Przystanęli przy automacie z przekąskami. Mae wygrzebał z kieszeni jakieś drobne, wrzucił je w otwór i wstukał kod odpowiadający batonikowi zbożowemu.

Kit oparła się o grzejnik.

– A co do tych zdjęć, myślisz, że mają coś wspólnego z pieniędzmi, z kasą, o której mówił jego kolega? Może Corsham... Sama nie wiem, może kręciły go młode dziewczyny z obrażeniami ciała? Może podniecała go myśl, że ktoś inny poniewiera jego dziewczynę?

– Całkiem możliwe. Będziemy musieli zwinąć Helen Williams, no i jej przełożonego, wyciągnąć od nich wszystko na temat tej kradzieży z apteki: daty, konkretną listę tego, co skradziono. Masz. – Podał jej batonik. – Trochę energii.

– Już jadłam. – Zabrzmiała niczym robot. Na jej twarzy znać było napięcie i determinację. Nawet na niego nie spojrzała.

– Dobra. Już. Kod dziewięćdziesiąt dziewięć, idziemy.

– Co?

Zapomniał, że jest nowa.

– Kod dziewięćdziesiąt dziewięć: przerwa na herbatę.

– A, nie. Za dużo mam roboty – odpowiedziała i machnęła bez przekonania dłonią, nie patrząc mu jednak w oczy.

Staął wprost przed nią, zmuszając, by na niego spojrzała.

– Wszystko okej? Zależy mi, żebyś była przytomna i dokładna.

– Nic mi nie jest. – Odepchnęła się od ściany i ruszyła w stronę wind.

– Kit – odezwał się. Musiała go słyszeć, ale nie zareagowała. – Kit – powtórzył. – Posterunkowa Ziegler.

Tym razem stanęła. Odwróciła się i podeszła z powrotem.

– Jedna z moich sióstr, okej? – Cała była maksymalnie spięta. Pięści, ramiona, szczeka, nawet jej postawa przypominały twardą skałę, jak gdyby wyczekiwała na uderzenie. Zatrzymała się przed nim w odległości kilku kroków i mocnym ruchem przeciągnęła dłońmi przez włosy. – Młodsza ode mnie, dwudziestoczworolatka. Jest u mamy. A kiedy mówię, że tam jest, to

mam na myśli, że tam żyje. Tkwi. Cały czas. Tyle dobrego, że jest chociaż, kurwa, internet, to dzięki temu ma „znajomych” – powiedziała, okraszając słowa gorzkim cudzysłowem zrobionym z palców, a każde słowo żarło niczym kwas – ale jeśli chodzi o relacje społeczne, prawdziwe życie? – Opuściła kąciaki ust i pokręciła głową. – Nic a nic.

Gdyby Mae już jej trochę nie poznał, uznałby, że zaraz się rozpłacze. Nie odzywał się i słuchał, bo wiedział, jak to jest z tymi opowieściami o prawdziwych powodach wstąpienia do policji, które nie każdy musiał mieć. Jeśli ktoś szedł na służbę, bo chciał wierzyć w tę całą gadkę, że świat będzie bezpieczniejszy, to nieodmiennie miał po temu naprawdę dobry powód.

Skrzyżowała ręce.

– No więc jak była w ostatniej klasie, została zgwałcona. – Słysząc było, że wkłada wiele wysiłku, by mówić spokojnym tonem. – Ot, oportunistyczny gwałt typu „nieznajomy w parku”. Po prostu, kurwa, pech. Aż do tego momentu wszystko szło idealnie: same szóstki, kapitanica drużyny piłkarskiej, prowadziła gazetkę uczniowską, miała niezłe pióro. A teraz? Teraz je. Po prostu... nie może przestać. Ma retrospekcje. Ma napady paniki, tak dwa, trzy, cztery razy dziennie. Od ośmiu lat. Miałeś kiedyś atak paniki?

Pokręcił głową.

– Nie. Wydaje jej się, że umrze. Nie może oddychać, dosłownie nie...

Kit przerwała i odchyliła głowę w tył, jakby połykając resztę zdania.

Mae czekał.

Wzięła kilka głębokich oddechów, po czym spojrzała znowu na niego, zdobywając się na słaby uśmiech bez przekonania. Miał nadzieję, że nie będzie go przeproszać, i nie przeproszała.

– Ten gnój, który zrobił te zdjęcia – powiedziała, stukając w teczkę, którą miała pod pachą – to powód, dla którego tutaj jestem. To po to spędziłam dwa lata życia, których nikt mi nie zwróci, na zgarnianiu pijaków z chodników. Żeby dostać się tutaj, żeby trafić do jednego pokoju z takim gnojem i żeby za to zapłacił.

Mae skinął głową.

– I dobrze.

– Co?

Rozprostował skrzyżowane na piersi ramiona.

– Powiedziałem, że to dobrze. Cieszę się, że jesteś wściekła. Też jestem wściekły. A wiele osób tutaj tak naprawdę nie jest wściekłych. Są zadowolone. Trafiły tu tylko ze względu na status, po to, by zdobywać błyszczące srebrne gwiazdki na ramionach, by po trzydziestu latach mieć emeryturę czy co tam będą chciały. Tyle że ludziom trzeba, byśmy byli wkurzeni, bo zadowoleni jesteśmy im po nic. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy w chwili rozpoczęcia zmiany powinniśmy dyszeć wściekłością. W radiostacji miałybyś taki jakby mały wskaźnik. Jeśli jesteś miła i spokojna, to wracaj do domu i sam nie wiem, pooglądaj sobie na YouTube posty Britain First. I wróć, jak już się należycie wkurwisz.

Zaśmiała się i śluza puściła. Łzy, które oboje sądzą, że powstrzyma, polały jej się po twarzy, a ona obróciła się, wycierając je gniewnie i powtarzając:

– O, kurwa. Kurwa mać.

Pozwolił jej płakać. Nie odwracał wzroku.

– Chcę przez to powiedzieć, że tak daleko doszłaś, będąc sobą, radząc sobie na swój sposób. Ale żeby oddzielać gniew, jak gdyby było to coś, czego należy się wstydzić? Nie musisz tego robić. Da się inaczej. Gniew sam się nie ulotni, więc po prostu go wykorzystaj, aby się na coś przydał. Nie kryj go.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, uśmiechnęła się smutno i ją rozłożyła.

– Ćwiczyłeś sobie tę gadkę na Miś?

Otworzył usta i zamknął je z powrotem. Bo znienacka poczuł się zawstydzony faktem, że odpowiedź na to pytanie brzmiała „nie”. W pogadankach, które urządzał Miś, zawsze chodziło o to, by była twarda, by zachowała to dla siebie. Dlaczego?

Głośno oczyściwszy nos, zadała mu pytanie, którego się spodziewał.

– No to co ciebie ściągnęło do tej pracy? I daruj mi, proszę, te bzdury o „odwdzięczaniu się społeczności”.

Wzruszył ramionami.

– Pensja?

Oboje się roześmiali, ale nie na długo. Kit, z wciąż poczerwieniałymi oczyma, zapytała jeszcze raz.

– Ale tak serio. Stało się coś niedobrego, prawda?

Złoty zegarek ciążył mu w kieszeni jak sztaba litego żelaza. Otworzył usta, niepewny, co się z nich zaraz wydobędzie, lecz wtem zabrzączał telefon.

Wyciągnął aparat i zerknął na ekran: wiadomość głosowa. Od Mike'a.

– Będę musiał odpowiedzieć – poinformował ją, machając komórką. Odwrócił się w stronę, z której nadszedł, przywołując numer Mike'a, aby oddzwonić.

Kit zawołała w ślad za nim:

– Co do jednego nie masz racji.

Przystając przy podwójnych drzwiach, odsunął telefon od ucha i zerknął za siebie.

Potrząsnęła krótką czupryną, jak gdyby miała do odrzucenia z twarzy jakieś długie włosy.

– Co do gniewu.

– Czyżby?

– Ja go nie kryję. Po prostu go odkładam. Jak chcesz się przekonać, jak wygląda długo tłumiony gniew, to zobacz kiedyś Mundurową Masakrę w akcji.

– Umowa stoi – odpowiedział ze śmiechem, przechodząc przez podwójne drzwi.

Jako że numer Mike'a był zajęty, Mae udał się wprost do kuchenki wydziału kryminalnego. Napełnił czajnik, włączył go, po czym wyjrzał przez okno, żeby się upewnić, że nikt nie będzie mu przeszkadzał, i zadzwonił, by odsłuchać pocztę głosową.

Dobiegł go nosowy głos Mike'a, tak fałszywie ciepły jak ogień grzejnika na prąd.

„Ben. Cześć”.

Mae zdał sobie sprawę, że w głębi duszy wiedział już, do czego to zmierza.

„Słuchaj, Nadia prosiła, bym to ja zadzwonił, bo nie wiedziała, jak to, no, przyjmiesz”. Z każdym słowem czuł narastający ciężar niewypowiedzianych pretensji. „No więc wiem, że pewnie trudno ci będzie to przyjąć, ale, no, jest taki plan, ee...” – jego głos nieprzyjemnie teraz zadrżał, co utwierdzało Mae w przekonaniu, że Nadia stała obok i gestykulowała, pociągając za sznurki swojej marionetki – „będziemy składać papiery o przeniesienie z powrotem do Stanów. Od razu, całą czwórka”. Mae wsłuchał się w pauzę, a serce pod żebrami łomotało mu, jakby wstrząsane szlochem. „No. Tak, ee, sobie pomyśleliśmy, że dla Miś – dla Dominiki – lepiej będzie po prostu tak to

przeciąć. Nadia poprosiła, bym zadzwonił, bo sama się martwiła, że, ee, że nie przyjmiesz tego zbyt dobrze”.

Następnie dorzucił kolejne szczątkowe, sztuczne frazesy i nic niewnoszące informacje: że załatwili już sprawę wiz, że liczyli, że uda im się „stać na nogi” i wówczas „dopracować szczegóły” co do jego kontaktów z Miś. Że wybrali już żłobek dla małej i że mają na oku po prostu idealną szkołę dla Miś. Jaka to będzie dla niej wspaniała sposobność, jakie ją czekają wspaniałe przeżycia.

Jak powiedział, już to z nią omówili. Jak powiedział, nie mogła się doczekać.

„No więc tak. Ekscytująca sytuacja. Ale teraz to zależy od ciebie”.

Mae wysłuchał całej wiadomości. Wysłuchał też głosu po zakończonym nagraniu, który informował go o dostępnych opcjach. Aby wysłuchać ponownie, wciśnij dwa. Aby usunąć, aby zachować. Żadna z tych opcji mu nie pasowała. Żadna nie zakładała naprostowania sprawy, bycia tatą swojej córki. Prawdziwym tatą, a nie tylko gościem, po którym odziedziczyła migdałowe oczy oraz temperament i który będzie dzwonił z drugiego końca świata. I który mówił, że ją kocha, ale jakoś nigdy nie potrafił tego okazać.

Opcje menu głównego powtórzyły mu się w uchu jeszcze kilkakrotnie.

Oto wypisywano go z opowieści jej życia. „Mój prawdziwy tata mieszka w Anglii”, będzie mówić nowym koleżankom, kiedy będą pytać, czemu oboje rodziców ma białych. „Nie, rzadko się widzimy”.

Kawa zdążyła doszczętnie wystygnać, gdy wtem do pomieszczenia wpadła Kit, nie panując nad swoją ekscytacją. Była zajęta rozmową przez radiostację, ale chwyciła go za rękaw.

– Na Abson Street, nazywają się Eleanor i Christine Power. Nie dajcie im wyjechać. – Odmeldowała się i spytała: – Gdzieś ty się podziewał?!

Zamachał telefonem. Nie zamierzał teraz poruszać tego tematu.

– Nieważne, chodź – rzuciła, wyciągając go na korytarz. – Zajebiście ważne wieści.

– Gdzie idziemy?

– Do sali audiowizualnej, i to już. Tego to musisz posłuchać.

ROZDZIAŁ 54

Ellie

Bernadette zamówiła mi taksówkę i wysłała mnie do domu, wciskając do kieszeni dwudziestofuntowy banknot na opłacenie podróży. Obiecała, że odezwie się niebawem. Kazałam jednak taksówkarzowi zatrzymać się parę przecznic przed naszą ulicą i resztę drogi przeszłam na piechotę. Szłam powoli. Nie miałam pewności, czy mama gdzieś wyszła, ale nie chciałam ryzykować i pukać do drzwi. Nie chciałam jej spotkać. Musiałabym rozmawiać i kłamać. Podniosłam z ziemi kamyk, rozejrzałam się dookoła, podeszłam bliżej domu i rzuciłam nim w okno. Od razu się skryłam i odczekałam chwilę. Nikt nie odpowiedział. Rzuciłam jeszcze raz. Zero reakcji.

Weszłam do domu.

W przedpokoju na podłodze leżała kartka A4 z wiadomością dla mnie.

Wysłałam cię szukać. Jeśli wrócisz, zostań w domu, będę z powrotem koło siódmej.

Spojrzałam na zegar. Miałam pół godziny na znalezienie czegoś, cokolwiek, co potwierdzi lub podważy informacje usłyszane od Bernadette.

Zgniotłam kartkę i ukryłam ją pod jednym z trzech czarnych worków na śmieci stojących pod ścianą. Weszłam do pokoju mamy i zaczęłam poszukiwania. Jeśli rzeczywiście tak bardzo mnie mamała, gdzieś musiał się ukrywać ślad, dowód jej kłamstw. Jakiś list, karta, zdjęcie lub cokolwiek innego. Obojętnie w jakiej postaci. Chciałam jedynie poznać odpowiedź.

Sprawdzałam kolejne szuflady, posługując się tylko zdrową ręką, bo druga była zbyt obolała. Mama wszystko już popakowała. Pod łóżkiem, gdzie zwykle trzymała skrzynki z dokumentami i innymi papierami, nie było nic.

Tylko leżące na łóżku walizki i pudła zdradzały, że jeszcze się nie wyprowadziłyśmy.

Wpadłam do swojego pokoju. Złożone ubrania leżały na łóżku. Wszystkie pozostałe rzeczy, takie jak książki, notatniki, pamiątki, przybory do makijażu czy biżuteria, zniknęły.

Drzwi do kuchni były otwarte, choć zwykle mama zamykała je na klucz. Szybko zrozumiałam dlaczego. Pomieszczenie zostało opróżnione i wyszorowane, lodówka i półki świeciły pustkami. Talerze, kubki, noże i widelce. Wszystkie zamki zostały usunięte, ale wraz z nimi zabrano cały nasz dobytek.

Czyli mama podjęła decyzję. Wyjeżdżamy.

Stałam w przedpokoju i objęłam się, wsuwając ręce pod pachy. Zraniona dłoń od razu postanowiła dosadnie mi o sobie przypomnieć. Odwinęłam opatrunek: skaleczenie już nie piekło, ale zdawało się odrętwiać. Nie odważyłam się na nie spojrzeć. Podeszłam z powrotem do walizek. Otworzyłam pierwszą: do środka zapakowano ubrania, ale pod dnem schowana była koperta A4.

Skrywała nasze paszporty, mamy i mój.

Nawet nie wiedziałam, że mam paszport.

Zabrałam go i włożyłam kopertę z powrotem do bagażu. W następnej walizce znalazłam zestaw pierwszej pomocy. Podniosłam pakunek, ważąc go w dłoniach. Wielokrotnie widziałam już ten zestaw wcześniej, ale mama zawsze trzymała go pod kluczem i wyciągała tylko w razie potrzeby. Nigdy nie miałam go w rękach, a już na pewno nigdy go nie otwierałam. Gdy odsunęłam suwak pierwszej przegrody i zajrzałam do środka w poszukiwaniu leku przeciwbólowego, nie znalazłam w niej typowych rzeczy, takich jak plastry, bandaże czy ibuprofen. Zamiast tego natrafiłam na nieoznakowany pojemniczek pigułek i sześć szklanych fiolek ze zdrapanymi etykietami. Pod nimi znalazłam strzykawkę.

Stałam jak wryta.

Strzykawki?

Zamknęłam przegrodę i zajrzałam do drugiej. Znalazłam to, czego szukałam. Wzięłam podwójną dawkę, ostatnie cztery tabletki przeciwbólowe z blistra, po czym zamknęłam apteczkę i odłożyłam ją na miejsce. Chciałam

wyrzucić opakowanie do kosza w łazience, ale nie było worka na śmieci. Wszystkie zapakowane odpady były ustawione w przedpokoju.

Trzy czarne worki. Szturchnęłam jeden nogą. Poczułam papier i luźne, suche rzeczy: nie były to odpady kuchenne.

Klęknęłam i rozwiązałam węzeł. Przejrzałam dwa pierwsze worki najszybciej, jak tylko potrafiłam. Wyciągałam każdy śmieć, przyglądałam się mu, a następnie odkładałam go na bok. Powoli traciłam nadzieję: po tylu kartkach i paragonach każdy straciłby pierwotny zapach. Jednak zmusiłam się do otwarcia trzeciego worka: *jak coś robisz, rób to porządnie...* W środku znalazłam zaskakująco duży paragon za nowe zamki, w który zwinięty był list zaadresowany na przybrane nazwisko mamy, Christine Scott.

Korespondencję zaadresowano nie do nas, tylko na skrytkę pocztową. Nadano ją półtora tygodnia temu z przedsiębiorstwa magazynowego Logic Storage z siedzibą niedaleko stacji metra Hanger Lane. Początek brzmiał: „Cenimy Cię jako użytkownika przestrzeni magazynowej Logic Storage, w związku z czym chcielibyśmy poinformować o paru zmianach”.

Rozprostowałam kartkę i wczytałam się w treść. Wiadomość masowa, ale nie spam. Mama była ich klientką. Na górze listu widniało jej imię i nazwisko, adres skrytki pocztowej, numer klienta i numer schowka: 003/27.

Złożyłam dokument zgodnie z oryginalnymi załamaniami papieru, schowałam go do kieszeni i zabrałam się do przeszukiwania reszty zawartości worka.

Zatrzymałam się i znieruchomiałam. Ktoś był za drzwiami.

Przez wąskie okienko przy drzwiach rozpoznałam po kolorze stojący radiowóz.

Walenie do drzwi. Jakiś mężczyzna.

– Panno Power? Eleanor?

To nie był Mae, a pojazd stojący za oknem był wozem patrolowym, nie samochodem wydziału kryminalnego. To znaczyło, że...

– Eleanor? Christine? Policja. Proszę otworzyć drzwi.

Musieli coś znaleźć. Może doszli do tego, że to mama przestawiła samochód, albo i gorzej. Mogło chodzić o coś o wiele gorszego. Szybko połapałam się, o co chodzi, jakby ktoś nagle nacisnął mi włącznik w głowie. Gdybym otworzyła drzwi, byłby to koniec. Gdyby mnie aresztowali, nie

miałabym szansę stwierdzić, czy coś z historii Bernadette było prawdą ani czego chciał się doszukać Matt. Postanowiłam działać. Chwyciłam za list, przywarłam plecami do ściany i powoli przesunęłam się wzdłuż niej, aż dłonią wyczułam klamkę drzwi do mojej sypialni.

Miałam już na sobie buty, chwyciłam jeszcze dodatkową bluzkę i zawiązałam ją wokół pasa. Nie traciłam ani chwili. Z prawego skraju okna miałam widok na radiowóz i dostrzegłam, że nikt w nim nie siedział.

Po ostatnim razie okno wciąż było otwarte. Nie mogłam mieć pewności, czy dam radę niepostrzeżenie zejść na ulicę, ale na lepszy moment, by się o tym przekonać, nie było co czekać.

ROZDZIAŁ 55

Mae

Mae i Kit czekali na McCulloch na piętrze wydziału kryminalnego. Mae wezwał ją – przerywając wieczorną przebieżkę – w chwili, gdy tylko Kit zakończyła odtwarzanie mu nagrania, które ekipa techniczna odnalazła w furgonetce Coxa, po czym odsłuchiwał je trzy kolejne razy. W dalszym ciągu brzmiało ono równie niesamowicie.

Kiedy szefowa zjawiała się na miejscu, była zarumieniona i zdyszana. Oparła się o framugę, dopiła wodę z plastikowej butelki, wrzuciła ją do kosza i skinęła na Mae.

– Dawaj. Macie Coxa?

– Jeszcze nie. Próbujemy różnych...

– Wyciągnęliście coś od pań Power?

Kit powstrzymała instynktowną chęć spojrzenia na Mae i odpowiedziała:

– Liczyliśmy na rozmowy z obydwoma, ale, em, nie...

Chwila pauzy wystarczyła, by McCulloch poczuła instynkt łowcy.

– Tylko nie mówcie mi, że się ulotniły.

Kit skrzywiła się i zapatrzyła we własne dłonie.

McCulloch zwróciła się w stronę Mae.

– Tylko mi, kurwa, nie mówcie, że się ulotniły. Ben.

Podniósł do góry palec wskazujący i kciuk, pozostawiając między nimi z centymetr odstepu.

– Istnieje tycie prawdopodobieństwo. Pewnie nic im nie jest.

– Mae posłał tam wóz – dorzuciła Kit.

– Dlaczego was tam nie ma? – chciała wiedzieć McCulloch. Ale wnet coś zaskoczyło i zmrużyła oczy. – Chodzi o coś jeszcze, prawda? Nie ściągnęliście mnie tutaj z mojej przebieżki tylko po to, by się pochwalić, że zgubiliście naszych dwoje najważniejszych świadków czy kim tam one są?

Mae i Kit wymienili spojrzenia, po czym Mae odpowiedział:

– Taak... jest coś jeszcze, pani komisarz.

Powrócili do pomieszczenia audiowizualnego, a Mae po drodze tłumaczył, na czym to „coś jeszcze” polegało.

– Zgrubnie licząc, miał tam sprzętu za piętnaście koła – poinformował ją – a mój kontakt w monitoringu miejskim ustalił, że Cox przez ostatni miesiąc spędzał w tym miejscu od sześciu do ośmiu godzin dziennie.

– Codziennie?

– Na to wygląda.

– I cały czas je nagrywał?

– Bardzo możliwe. Porównaliśmy to z rejestrami z jego kliniki – jego asystentka okazała się całkiem pomocna – i trzyma się to kupy.

Popchnął podwójne drzwi, aby przepuścić obydwie kobiety przodem. W drodze do pomieszczenia McCulloch zatrzymała się i odwróciła.

– Twierdzisz, że wydał piętnaście tysią, aby móc słuchać sobie tych dwóch przez ściany. O to chodzi? Tak po prostu sobie słuchać? Nie ma obrazu? Nie bierzemy pod uwagę jakichś ukrytych kamerek, czegoś takiego?

Mae pomyślał zawczasu o tym samym.

– Posprawdzamy.

– Ale czego jeszcze on tam mógł szukać?

Kit otworzyła drzwi do zaciemnionej sali.

– Chyba na to pytanie najlepiej odpowiedzą nagrania. – Usiadła przy biurku i podała szefowej słuchawki. Po swej prawej stronie miały pracownika cywilnego, który zapisywał fragmenty cyfrowo wyróżnione przez Coxa w folderach z nazwami typu „Do Kopii Zapasowej” czy też „Nie Kasować”. Czekало ich sporo pracy, ale z tego, co dotychczas usłyszeli, warto było się jej podjąć.

Kit nałożyła własne słuchawki i wyciągnęła notes z podkładką. Mae usiadł pomiędzy nimi i ustawił nagranie, którego McCulloch koniecznie musiała

wysłuchać.

ROZDZIAŁ 56

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>30 września 2006</i>

CC: No więc na początek tej sesji chciałbym zauważyć, jaka jesteś niesamowicie dzielna. Miewaliśmy niekiedy bardzo trudne sesje, a fakt, że ciągle tu przychodzisz, to coś, z czego powinnaś być naprawdę dumna.

EP: No tak. Ja tam nie czuję się taka dzielna.

CC: Nie czujesz się dzielna? Opowiedz mi o tym.

EP: Nie, ja... to jest tak. Chciałam to powiedzieć osobiście, bo to naprawdę miłe z pana strony, że robi mi pan te sesje za darmo i w ogóle, ale nie wydaje mi się, bym mogła tu więcej przychodzić.

CC: Okej, okej. Słucham. Porozmawiajmy o tym.

EP: Nie, właśnie nie mogę.

CC: Czy coś się stało? Coś w domu?

EP: Nie.

[pauza: 33 sek.]

CC: Trudno jest ci tu przychodzić. Mówienie o tym naprawdę nie jest łatwe.

EP: Mhm.

CC: Omawianie tego cię stresuje. Takie grzebanie, rozdrapywanie. Zadajesz sobie pytanie, jaka z tego korzyść.

EP: Tak.

[pauza: 19 sek.]

EP: Z tego wszystkiego. No tak. To jest tak, że im więcej muszę o niej myśleć, tym bardziej ona tam jest, rozumie pan? A chciałam, żeby było właśnie na odwrót.

CC: Czy mogę cię spytać, jak w tym tygodniu wyglądała sytuacja z fugami?

EP: Miałam jeszcze dwie.

CC: Dwie? Aha, okej. To... to częściej niż do tej pory...

EP: Właśnie. I o tym mówię. I mama mnie ciśnie, bo chce wiedzieć, co ja takiego robię przez ten czas, kiedy ona jest w pracy, a ja naprawdę, ale to naprawdę nienawidzę jej okłamywać.

[pauza: 40 sek.]

CC: I czego się tu boisz, Ellie?

EP: W jakim sensie?

CC: No, mówisz o tym, że matka dowiedziałaby się, że chodzisz na terapię, i już wcześniej wspominałaś o uczuciu, że dopuszczasz się wobec niej zdrady, kiedy rozmawiasz ze mną, a także z Jodie, o swojej dysocjacji. Więc chyba chciałbym wiedzieć, czego się boisz, że co się takiego stanie?

EP: Wpadnie w szal.

CC: Aha.

EP: No bo my spędziłyśmy tyle czasu, włożyłyśmy tyle wysiłku, żeby znaleźć na to sposób, i to po prostu zdominowało jej życie. Więc obiecałyśmy, przyrzekłyśmy jedna drugiej, że przestaniemy, że spróbujemy po prostu przyzwycząć się do Siggy, po prostu jakoś z nią żyć. Jakby się okazało, że się temu potajemnie sprzeniewierzam, to by było... no, po prostu... to znaczy, nie wiem, co by zrobiła.

CC: A boisz się, że co by zrobiła?

EP: Nie wiem.

CC: Wydaje mi się, że być może wiesz. Co byłoby taką najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się stać, jak myślisz, gdyby mama dowiedziała się, że złamałaś tę obietnicę?

[pauza: 54 sek.]

EP: [niezrozumiałe]

CC: Że... przepraszam, Ellie, możesz powtórzyć?

EP: Że... że się podda. Że mnie wywali.

CC: Okej. Czyli boisz się porzucenia.

EP: Tak.

CC: Rozumiem. Co o tym sądzi Siggy?

EP: Ma to gdzieś. Nienawidzi nas obydwu. Ma gdzieś, co się z nami stanie.

CC: Nienawidzi ciebie i nienawidzi twojej mamy.

EP: Tak.

CC: Musimy się temu przyjrzeć. Jak myślisz, dlaczego nienawidzi twojej mamy?

EP: Nie chcę się temu przyglądać! Od przyglądania się temu jest tylko gorzej! Teraz już codziennie mam napady paniki!

CC: Okej. Już dobrze.

[pauza: 22 sek.]

CC: No to mamy problem, prawda? Bo z jednej strony ty, twoja dominująca tożsamość, martwisz się, że jeśli będziesz szukać pomocy, to zostaniesz opuszczona. Ale im bardziej się boisz, tym bardziej będziesz się czuła zestresowana i rozdrażniona, a – i to jest moja interpretacja tego, co ostatnio się z tobą dzieje – im bardziej jesteś zestresowana, tym bardziej stajesz się świadoma Siggy i jej złego nastawienia wobec ciebie. A to z kolei zdaje się pociągać za sobą zaostrenie konfliktu między twoimi tożsamościami i częstsze występowanie fug.

EP: Kiedy ja właśnie o tym mówię! Właśnie dlatego nie chcę już przychodzić, bo tylko mi od tego gorzej. To tak, jakby panu zależało, żebym się czuła gorzej! I tak sobie pomyślałam o tej książce, co to pan mówił, że ją napisze, wtedy po sesji w zeszłym tygodniu, pamięta pan?

CC: Tak, rzeczywiście. Zostałem poproszony o napisanie rozdziału, ale...

EP: Ale to tak, jakby pan chciał, bym była takim naprawdę koszmarnym przypadkiem, co postawi pana w dobrym świetle. Robi mi się... to się pogarsza, tak jak mama mówiła, że się pogarszało, kiedy byłam mała i próbowałyśmy czegoś podobnego. To tak, jakby przywołując to wszystko, próbował pan dać Siggy więcej władzy. Ale ja się jej naprawdę, ale to naprawdę boję, czy pan to rozumie?

[pauza: 49 sek.]

CC: Słuchaj, Ellie, jeśli chodzi o tę książkę, to ja to mogę napisać, ale nie muszę, dobrze? Wszystko to, co tu robimy, robimy dla ciebie. Zależy mi tylko na tobie. Spójrz na mnie. W porządku? Nie chodzi mi o to, by ci się pogorszyło.

EP: Ale mi się pogarsza. Ona teraz... Siggy teraz jest przy mnie cały czas. Ja tylko chcę, by sobie poszła, a ona robi się taka... robi się taka coraz to bardziej...

[płacz]

[pauza: 34 sek.]

EP: Nie... nie wiem, co robi.

ROZDZIAŁ 57

Mae

Cała trójka siedziała ze słuchawkami na uszach i słuchała, wpatrując się w wykres fal dźwiękowych na ekranie przed nimi, jak gdyby oczekiwali wizualnego uzupełnienia materiału audio.

Rozległ się głos Ellie. Słysząc było trzaski, lecz głos był bez wątpienia jej, tej intonacji nie dało się pomylić z czyjąś inną. „Mamo, jeśli coś znalazłaś...” Następnie Christine, również nie do pomylenia: „Nie znalazłam. To nic takiego”.

Potem Ellie: „Ale naprawdę? A co, jeśli Siggy... co, jeśli znowu się to stało?”.

McCulloch słuchała z zamkniętymi oczyma, przyciskając palcami skronie i głęboko wydychając powietrze.

Później Ellie: „Mamo, powiedz, co się dzieje”.

„Po prostu chcę być gotowa” – odpowiedziała Christine. „Przyjdą tu, co nie? Ci z policji. I będę zadawać pytania”.

Dźwięk zrobił się mniej wyraźny i McCulloch odwróciła wzrok od biurka, starając się dosłyszeć. Mae wcisnął pauzę, po czym przeskoczył do pozycji czasowej, którą zapisał sobie na leżącej przed nim podkładce.

Ellie mówiła: „Wzywam policję”, na co Christine: „Nie. Nie. To nie jest właściwe zagranie. Absolutnie nie”.

McCulloch dopytała:

– I to jest z tego dnia, kiedy on zaginął, tak?

– Z poranka – potwierdziła Kit.

Mae, z palcem nad przyciskiem odtwarzania, dodał:

– A to z wczoraj.

Nagranie zdecydowanie nie było idealne, lecz głos Christine był wystarczająco wyraźny. McCulloch i Kit nachyliły głowy, by posłuchać.

„To było tak. Wydawało nam się, że Siggy się wyciszyła, ale było inaczej. Gdy byłaś mała, chciałam wierzyć, że jeśli będziemy łagodne, wyrozumiałe i pozwolimy ci wyrażać wszystko, co chcesz, to Siggy zniknie”.

Christine mówiła o próbach zapanowania nad Siggy, o poświęceniach, na jakie się zdobywały, aż doszła do części, przy której McCulloch zrobiła oczy jak spodki.

„Wybacz mi, Ellie. Znalazłyśmy się w tym miejscu. Siggy stała się silniejsza i groźniejsza, niż mogłyśmy się tego spodziewać. Przez nią umarła Jodie. A teraz Matt...” – oznajmiła Christine, po czym jej głos na parę sekund zanikł.

McCulloch zdjęła słuchawki i odłożyła je, jako tako porządkując. Odepchnęła się z krzesłem, a następnie oparła czoło o blat biurka.

– Jezu. – Wyprostowała się i spojrzała na Mae. – To ona zabiła Jodie Arden. Czyli to Ellie Power?

– Z tego, jak o tym mówią, wynika, że to się stało, kiedy Ellie... nie była Ellie.

– Fuga dysocjacyjna – powiedziała Kit.

McCulloch westchnęła ciężko.

– Dobra. Boże. W porządku. Ten wasz patrol nic jeszcze nie zgłosił?

– Christine i Ellie nie ma w mieszkaniu, ale pracujemy nad tym. Christine była tam parę godzin temu. Do tej pory współpracowały.

McCulloch wstała.

– Okej. Zgłaszać się co pół godziny.

– Tak jest, pani komisarz.

Gdy drzwi za szefową Mae się zamknęły, zadzwonił jego telefon. Przeprowadził rozmowę, sam praktycznie się w niej nie udzielając, a w miarę jak słuchał, spoglądając na Kit, na napiętej twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech. Chwycił z oparcia krzesła marynarkę i rzucił bezgłośnie „idziemy”. Pchnął drzwi na oścież i gestem dał Kit znać, by ruszyła za nim.

– Co mamy? – spytała go w korytarzu, gdy tylko się rozłączył. Truchtając teraz przed nim, wypadła przez podwójne drzwi i dalej, na podwórze.

– Coxa. Automatyczny system rozpoznawania tablic wyłapał jego corse.

– Ale powinniśmy chyba szukać Ellie i Christine? To nagranie to praktycznie przyznanie się do winy.

Ale sprawa nie wyglądała tak prosto.

– To teraz żonglerka. Ellie musiała wiedzieć o tych zdjęciach Coxa. Możliwe, że również Christine. Z jakiegoś powodu strzegą jego tajemnic. Im szybciej go zgarniemy, tym lepiej.

Focus, z którego poprzednio korzystali, wciąż stał na swoim miejscu i ciągle czuć w nim było rozrzuconymi churros Kit, gdy Mae usiadł obok niej w fotelu pasażera, by móc po drodze pracować.

– Skąd mamy sygnał? – spytała Kit, odpalając stacyjkę.

– Z parkingu w okolicy Teddington. – Zamknął na moment oczy, przywołując mapę myśli i usiłując określić, jak to się ma do tego, co już wiedzieli o Coxie.

Kit obróciła się po spis ulic leżący na tylnym siedzeniu i zaczęła go kartkować.

– Teddington... Dobra, tu – powiedziała, znajdując właściwą stronę. – To co on tam robi?

Mae spojrzał i natychmiast zaskoczył.

– Jogę.

– Taa, jasne – odparła z uśmiechem Kit.

– Serio. Według mojego gościa od monitoringu parkuje furgonetkę w East Molesey, czyli tam, gdzie go wyśledziła Lucy Arden. Matka Coxa tam mieszka i prowadzi jakieś studio jogi.

– No dobra. To jedziemy.

Podczas gdy Kit kierowała się na wiadukt, Mae zadzwonił do Roda, by uzyskać dokładny adres, pod którym namierzył Coxa. Rod odebrał natychmiast i w pół minuty podał kod pocztowy.

– Tyle że to nie jest jedna posesja – zastrzegł, a w tle słychać było, jak sprawnie stuka w klawiaturę, wyszukując to, na czym zależało Mae. – Dokąd chodzi, mogę zgadywać tylko, gdy parkuje na ulicy, ale będę w stanie zawęzić ten obszar do paru przecznic.

Mae zanotował podany kod, podziękował Rodowi, rozłączył się i wklepał numer w nawigację, decydując się na trasę przez A4, a potem na południe, zamiast ryzykować utknięcie w korkach na węższych drogach.

– Kto się zajmuje East Molesey? – zastanawiała się Kit. – Ekipa z Surrey. Myślisz, że to będzie komenda w Elmbridge?

Po szybkim sprawdzeniu okazało się, że miała rację. Wstawiła telefon w uchwyt i przez zestaw głośnomówiący ustaliła właściwy numer. Czekając na połączenie, rzuciła:

– Powiem im, by podesłali jakiegoś mundurowego, co? Żeby miał oko na lokal?

Przez następnych kilka minut Kit prosiła dowództwo w Surrey o znalezienie człowieka, który przypilnowałby miejsca do ich przyjazdu, a sama w tym czasie przebiegała się na północny zachód we wczesnowieczornym ruchu drogowym. Jednocześnie Mae szperał w internecie, starając się znaleźć jednoznaczne powiązanie pomiędzy którymś z ośrodków jogi w East Molesey a panią bądź panną Cox.

Nie trwało to długo. Na stronie głównej Instytutu Gayatri widniała fotografia tryskającej zdrowiem, opalonej kobiety po siedemdziesiątce, która stała przed okazałym budynkiem z kamienia, otoczona garstką odzianych w lycrę wielbicieli. Tuż obok widać było rozpromienionego brodatego Coxa. Zdjęcie mogło mieć już kilka lat.

Mae podał Kit adres, a na drodze znienacka zrobiło się cudownie luźno. Ostro przyspieszyła, wjeżdżając na Great West Road, po czym wyprostowała ręce na kierownicy i na niego zerknęła.

– Tylko nie mów, że przez całą drogę będziesz jończył jak babuleńka, że za szybko prowadzę.

On się jednak nie skarżył.

– Pędź, jak tylko możesz.

Kit tak dodała gazu, że mieli szansę dotrzeć pierwsi na miejsce.

ROZDZIAŁ 58

Ellie

Szyny linii metra District stukotały mi pod nogami. W pociągu było ciemno, a jeśli składy miały być ogrzewane, to o tym wyraźnie zapomniano.

Przesiadłam się na stacji Hammersmith na linię Piccadilly w kierunku północno-zachodnim. Gdy pociąg wynurzył się z podziemi, za oknem po prawej pojawił się duży budynek obłożony żółtymi panelami z tworzywa sztucznego. Magazyn, do którego zmierzałam. Wsiadłam na Hanger Lane i zawróciłam w jego kierunku, rozmyślając, ile szczęścia będzie mi trzeba, by choćby dostać się do środka. Ludzie korzystający z takich obiektów cenili sobie bezpieczeństwo. Jeśli choć trochę znałam swoją matkę, nie stanowiła odstępstwa od tej normy.

Z zewnątrz budynek był wielki i przytłaczający, ale recepcja okazała się szarym biurem jak każde inne. Od chłopaka, który spojrzał na mnie zza monitora na kontuarze, czuć było papierosy. Bez zatrzymywania się przeszłam obok niego, niby od niechcienia podnosząc dłoń w geście przywitania.

– Chwileczkę – odezwał się.

Cholera.

Z trzepoczącym sercem odwróciłam się w jego stronę.

– Pomieszczenie? – zapytał.

Zrobiłam minę pod tytułem „Jaka ze mnie gapa”, po czym wyciągnęłam z kieszeni kartkę.

– Zero, zero, trzy, dwa, siedem – odpowiedziałam, rozprostowując list na blacie.

Chłopak wpisał numer na klawiaturze, nawet na mnie nie patrząc.

– Nazwisko?

– Christine Scott – odpowiedziałam od razu.

Wyciągnął dłoń w moim kierunku. Spojrzałam na nią, później na niego.

– Jakiś dokument – zażądał.

Windy znajdowały się tuż przede mną. Tak niedaleko. Może udałoby mi się dobiec? Zyskałabym pewnie parę minut. Ale co potem?

Nachyliłam się nad blatem. Powtórzyłam sobie w głowie, że to się uda. To musiało mi się udać.

– Słuchaj, właśnie zgubiłam torebkę z dowodem, ze wszystkim.

– Przykro mi, ale...

– Proszę. Wiem, że zwykle się tego nie robi, ale bardzo cię proszę. Ten jeden raz – zakończyłam, dorzucając błagalny uśmiech.

Zmrużył oczy i stuknął końcówką długopisu w swoje usta.

– Proszę zrozumieć, nie mogę... – zaczął, ale przerwał mu dzwonek telefonu stacjonarnego stojącego na biurku. – Chwilkę proszę.

Gdy podnosił słuchawkę, bezgłośnie powtórzyłam: „Proszę?” i złożyłam dłonie jak do modlitwy. Chłopak przewrócił oczami, uśmiechnął się lekko i gestem pozwolił mi przejść.

Wbiegłam po sześciu kondygnacjach metalowych stopni, a każdy mój krok odbijał się echem po całej klatce schodowej. Gdy dostałam się na trzecie piętro, czujniki włączyły światło na całej długości korytarza. Skierowałam się na sam jego koniec.

Na drzwiach do naszej skrytki był zamontowany ekran z klawiaturą do wpisania czterocyfrowego kodu. Powyżej widniał napis: „POTRZEBUJESZ POMOCY? POPROŚ O NIĄ W RECEPCJI. Trzy niepoprawne próby spowodują godzinną blokadę zamka”.

Wypuściłam powietrze z płuc. Trzy strzały. No dobra.

Data moich urodzin wydawała się oczywistym wyborem. Wpisałam cztery cyfry określające dzień i miesiąc. Gdy nacisnęłam zielony przycisk, siedząca w mojej głowie Siggy spięła się z przejęciem.

Linia zakodowanych gwiazdkami cyfr zniknęła z ekranu, po czym wyświetlił się komunikat NIEPRAWIDŁOWY PIN.

Zakłęłam i odsunęłam się od drzwi. W połowie korytarza odwróciłam się i spojrzałam na nie, przygryzając skórkę z boku kciuka. To o czyje urodziny

może chodzić mamie, skoro nie o moje? Na pewno nie jej samej. To byłoby zdecydowanie zbyt proste, za głupie. Jednak musiało chodzić o jakąś datę. Mama uwielbiała wszelkie rocznice wydarzeń czy narodzin. Jako że była dziennikarką nie tylko z wykształcenia, miała nawyk robienia notatek, pamiętała, co kiedy się wydarzyło i wiedziała dlaczego.

Oparłam się o przeciwległą ścianę, wbijając wzrok w skrzyneczkę na drzwiach, która tylko czekała, aż znowu popełnię błąd. Musiało chodzić o coś dużego, o coś ważnego.

Właśnie. Odbiłam się pewnie od ściany i popędziłam w dół korytarza. Dzień, w którym zmieniło się wszystko. Wydarzenie definiujące nasze życie. Dzień śmierci Jodie. Wbiłam w klawiaturę sekwencję cyfr: 0211. Drugi listopada.

NIEPRAWIDŁOWY PIN.

Uderzyłam głową w metalowe drzwi, po czym oparłam się, dociskając do nich czoło. *Dajesz. Próbuje.* Nadal wyczuwałam Siggy, która okrywała od środka moją skórę niczym płaszcz czy błona. Pozostawała jednak bierna. Obserwowała mnie, pozwalając działać.

Otworzyłam oczy, myśląc „Siggy”.

Wprowadziłam cyfry bez zastanowienia. Cały czas źle do tego podchodziłam: katalizatorem nie był dzień, gdy zostałyśmy zbiegami. Chodziło o dzień przypisany do sytuacji, która spowodowała wszystko inne.

Dzień Wisienki.

Ze skrzynki na drzwiach dobiegł delikatny sygnał poprawnej odpowiedzi. Następnie rozległ się klik otwieranego zamka.

Dostałam się.

ROZDZIAŁ 59

Mae

Zdążyli ujechać ledwie sześć kilometrów, gdy odezwał się alarm rezerwy paliwa. Klnąc, Kit przecięła wszystkie trzy pasy jezdni i w ostatnim momencie zmieściła się w zjazd na stację w Heston.

Mae wysiadł na podwórze, aby czynić honory. Kiedy tak stał, z koszulą targaną podmuchem powietrza z autostrady, Kit opuściła szybę.

– Załatwisz nam puszkę jakichś bąbelków?

– Jasne.

Szyba zaczęła się z powrotem zamykać, ale zatrzymała się i cofnęła.

– Jak chcesz, to jak już skończymy, kupię ci drinka, jak należy.

Wzruszył niewyraźnie ramionami, by nie wyszło, że jest aż nazbyt chętny.

– Ale, ale – ciągnęła – czy ty w ogóle kiedykolwiek kończysz? Czy tylko podłączasz się gdzieś tam pod swoim biurkiem na parę godzin?

Wykapał ostatnich parę kropli paliwa z pistoletu.

– Zachowuję bardzo zdrową równowagę między życiem zawodowym i prywatnym – oznajmił. Popatrzyła na niego przez chwilę z przygryzionym półśmiechem i uniesionymi brwiami, po czym delikatnie parsknęła śmiechem i ponownie domknęła szybę.

Mae pobiegł zapłacić. Kiedy wrócił do wozu, Kit właśnie kończyła rozmowę przez zestaw głośnomówiący.

– O co chodziło? – spytał, a potem, przypomniawszy sobie coś, dodał: – W sprawie portretu?

– Co? – Przekręciła kluczyk.

– Tego u Lucy Arden. W sprawie obrazu Jodie?

– A, to. Nie. Na podpisie to bez wątpienia Shevah, tyle że jedyne Sheva, jakie znalazłam, to rabin w tamtejszej synagodze. Nagrałam mu się. To – powiedziała, wskazując telefon – dzwonili ze szpitala. Nie uwierzyłbyś, jak pojebane mają tam kadry.

Mae zmrużył oczy.

– Masz na myśli Helen Williams?

– Nie. Ona odeszła. To zresztą też sprawdzam. Wydaje mi się, że ją wywalili, muszę tylko ustalić dlaczego. Ale nie, dzwonił przełożony Christine.

– Z powrotem włączyła się do ruchu. – Okazuje się, że mieliśmy rację: jest zatrudniona przez agencję i rzeczywiście w pracy posługuje się innym nazwiskiem. Nie Power, tylko Scott.

– Dziwne. Dlaczego?

– Kto wie? – Wyprzedziła kawalkadę ciężarówek. – Kazałam mu posprawdzać jej zmiany. Pracowała tej nocy, kiedy zniknął Matt.

Otworzył puszkę lemoniady, za którą wybulił dwa funty, i podał Kit. Wzięła, marszcząc brwi.

– Nad czym się zastanawiasz?

Upiła łyk i odparła:

– Nad czymś, co mi powiedziała Ellie. Że poszła do szpitala zobaczyć się z mamą, ale to było w środku jej zmiany, więc nie wiedziała, gdzie ją znaleźć.

Mae cicho gwizdnął.

– A więc mogła być gdziekolwiek.

– Szkoda, że w ramach usprawniania systemu bezpieczeństwa nie ogarnęli sobie jakoś sytuacji z personelem. Dałoby się tego wszystkiego uniknąć. – Na moment, trafiona pewną myślą, oderwała wzrok od drogi. – Corsham był nowy w okolicy, tak?

– Powiedzmy. Powinniśmy zwrócić się do szkockiej policji, bo a nuż mają coś na jego temat, na co myśmy nie trafili.

Lecz Kit tylko cmoknęła z powątpiewaniem.

– Ale przejrzelismy jego kartotekę. Zresztą jakby tam było coś poważnego, na pewno musiałyby to wyjawić, żeby w ogóle móc pracować w szpitalu. W ramach weryfikacji, sprawdzania rejestru kryminalnego czy jak to tam teraz nazywają.

Podnoszący akurat butelkę wody do ust Mae zamarł i na nią spojrzał.

– Krajowy rejestr karny.

– No. – A po chwili: – Co, dlaczego?

– Chciałem się zabrać na wycieczkę szkolną Miś. Mój wyciąg z krajowego rejestru karnego się przedawnił, więc powiedzieli, że nie mogę. Aby móc pracować z dziećmi, musisz mieć zaświadczenie o niekaralności.

– To właśnie mówię...

– Nie, słuchaj. – Obrócił się w fotelu. – Odkąd Ellie poznała Matta, zaczęła się udzielać jako wolontariuszka przy dzieciach, w szpitalu. W tym celu musiałaby zdobyć świadectwo o niekaralności. Ale jak?

– Po prostu składa się wniosek, nie? Sama nie wiem, nigdy nie...

– Nie. To nie wystarczy. Referencje, pracodawcy, wywiad środowiskowy, możliwe do sprawdzenia poprzednie adresy, wszystko to. Sprawa może ciągnąć się miesiącami, zwłaszcza jeżeli są jakiekolwiek luki w informacjach. Więc jeśli weźmiemy pod uwagę, że panie Power bardzo, ale to bardzo długo ukrywały się, odkąd Jodie...

– Skąd to wiesz?

Mae przerwał, zdając sobie sprawę z tego, co powiedział. Ale nie było sposobu, by wytłumaczyć sytuację, nie wyznając przy tym prawdy.

– Staralem się je odszukać. Niejednokrotnie.

– Czemu?

– Chciałem się tylko upewnić, że z Ellie wszystko w porządku. – Na szczęście Kit prowadziła i oczy wbiła w drogę przed nimi. – Cała ta sprawa wyprowadziła mnie z równowagi. I to poważnie, więc...

– Wiem – odparła Kit, zerkając na Mae na tyle długo, by się do niego uśmiechnąć. – Nie musisz wdawać się w szczegóły.

Odwrócił wzrok i wyjrzał przez okno.

– Teraz mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiły. Skoro rzeczywiście mówią, że to Ellie zabiła Jodie, to pewnie od tego czasu nieustannie oglądają się za siebie. Tyle że w rezultacie nigdy nie miały oficjalnego adresu. Ellie nie ma numeru NHS, ubezpieczenia emerytalnego, niczego takiego. Zdobycie zezwolenia na pracę z narażonymi na krzywdę dziećmi byłoby dla niej praktycznie niemożliwe.

– Chyba że ktoś jej pomagał. – Kit wcisnęła puszkę w stojak za wajchą hamulca ręcznego i przyspieszyła. – A czemu ktoś miałby chcieć ułatwić jej dostęp do dzieci?

Mae powoli obracał nakrętkę swojej butelki. Myślał o Coxie. Jak zaledwie parę godzin temu o mały włos nie było mu go żal.

– Z tego samego powodu, dla którego ktoś o udowodnionym zamięłowaniu do dziecięcej pornografii chciał środków uspokajających ze szpitalnej apteki.

ROZDZIAŁ 60

Mae

Instytut Gayatri mieścił się w zadbanym budynku ze szklaną fasadą na rogu dwóch eleganckich ulic niedaleko wystawnej głównej arterii East Molesey. Zwiewne białe kotary zasłaniały sięgające od sufitu do podłogi okna pomieszczenia na parterze, gdzie, jak sądził Mae, musiało się znajdować główne studio. Nie paliło się żadne światło, nie widać też było w środku żadnych mebli czy czegoś takiego. Jeśli Cox był wewnątrz, to się z tym nie afiszował. Obchodząc róg budynku, można było dojrzyć puste, uporządkowane i ciemne pomieszczenie recepcyjne. Kawałek dalej, pod pomarańczową latarnią, stał jaskrawy radiowóz, z którego widać było jedyne wejście.

– Zdaje mi się, że prosiliśmy o dyskrecję – zauważył Mae, gdy Kit zrównała się z tamtym maska w maskę.

– Bo prosiliśmy. – Uśmiechnęła się uroczo. – Chcieli wiedzieć, czy nasz budżet udźwignie gazetę z wyciętymi dziurami na oczy, ale ja już miałam oko na kolację z frytkami, więc powiedziałam, że nie.

Mrugnęła reflektorami, a mundurowy z wygoloną głową, który siedział za kierownicą radiowozu, a którego twarz ogarniała charakterystyczna niebieska poświata ze smartfona, znienacka się wyprostował. Wysiadł z pojazdu i podszedł, by nachylić się do otwartego okna Kit.

Mae sięgnął, by uścisnąć mu dłoń, uważając przy tym, by nie otrzeć się dłonią o pierś Kit.

– Domyślam się, że ani śladu naszego człowieka?

– Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził, proszę pana. – Przeskakiwał spojrzeniem między nimi. – Zaproponowałem, że mogę podejść i się upewnić, ale...

– I bardzo dobrze, że nie poszedłeś – stwierdziła Kit. – Powiedziałam waszemu komisarzowi, że nie chcemy spłoszyć gościa, nim się tu zjawimy. – Miała rację: ostatnie, czego im było trzeba, to by Cox okopał się za murem z adwokatów, nim zdążyliby się do niego choćby odezwać. – Ale dzięki.

– Nie ma sprawy.

– A co z wozem? – dopytał Mae. – Nie wracał do niego?

Dwa przeczące ruchy głową.

– Nie. Jedyne wyjście z budynku prowadzi tędy. – Wskazał na drzwi. – A ta brama obok wiedzie na tyły. – Chwycił za krawędź opuszczonej szyby. – Na pewno nie chcecie, bym tam wszedł? Mam u siebie z tyłu taki duży czerwony klucz – dodał, naśladując chwyt na rączkach tarana, którego ewidentnie bardzo chciałby użyć.

Kit zaśmiała się i wcisnęła przycisk zasuwający okno.

– Dzięki, jesteście spoko.

Udzieliwszy posterunkowemu ścisłych instrukcji, by pozostał na miejscu, Mae i Kit wysiedli i cofnęli się w dół pagórka. Wciąż zero świateł, zero ruchu. Natknęli się na wąskie przejście za budynkiem i stary kamienny mur, który odgradzał ich od czegoś, co było zapewne niewielkim podwórzem albo też ogródkiem na tyłach.

– Podsadzisz mnie? – spytała Kit. Mae zrobił, o co go poprosiła, składając dłonie i przyklękając na kolano. Kit weszła na zaimprovizowany stopień i wybiła się do góry, łapiąc się dłońmi szczytu muru.

– Widać coś? – spytał Mae, zerkając do góry.

– Nie. – Zeskoczyła z powrotem i otrzepała z ud płatki złuszczonej farby. – Są drzwi, ale z tyłu budynku też nie widać żadnych świateł.

Przez domofon od frontu Mae nie uzyskał odpowiedzi. Zadzwoił po raz trzeci i cofnął się, by raz jeszcze spróbować dojrzeć jakiś ruch w oknach na górze, lecz jeśli był tam Cox, to widocznie nie miał ochoty na przyjmowanie gości. Mae machnął, by Kit poszła za nim.

– Czas, by nasz usłużny kolega wyciągnął swój ulubiony sprzęt – oznajmił. – Zobaczmy, czy namówi Coxa, by podjął nas herbatką.

Mae po paru krokach przystanął. Ze środka dało się słyszeć szereg piknięć elektronicznego oprzyrządowania, jakby wyłączano alarm. Kiedy drzwi się uchyliły, Mae obrócił się, a perspektywa pościgu podziałała na niego niczym

zastrzyk adrenaliny. Wtem zobaczył twarz Coxa. Rysowały się na niej pustka, wycieńczenie, przenikający do szpiku kości stres. Cox otworzył drzwi tak szeroko, jak tylko mógł, i zmęczonym ruchem ręki zaprosił ich oboje do środka.

– Nie wiem, czego szukacie, i nie wiem, co się teraz wydarzy – oznajmił, gdy podszedł do niego Mae – ale chciałbym myśleć, że zostanie uwzględniony fakt, że zwróciłem na to waszą uwagę bez jakiegokolwiek oporu.

– Na co? – spytała Kit zza pleców Mae.

Cox nie odpowiedział, tylko zrezygnowanym gestem pokazał im, by podążyli za nim do studia. Było zupełnie puste, jeżeli nie liczyć ułożonych wzdłuż jednej ściany kilku zwiniętych mat oraz bloczków z pianki. Drzwi frontowe cicho się zamknęły, a do pokoju wpadł za nimi podmuch powietrza, który odsunął na bok jedną ze zwiewnych zasłon. Blask księżyca na moment zalał podłogę, po czym zniknął. Wszyscy troje wytěżali spojrzenie w ciemności.

– Na to – powiedział Cox, przyklękając przy leżącej na podłodze dużej torbie, którą Mae dopiero teraz dostrzegł. Doktor otworzył jej zamek błyskawiczny, wstał, po czym zrobił krok w tył i włożył ręce do kieszeni.

Była to niebieska torba podróżna, luźno zapakowana przedmiotami, które na oko sierżanta ktoś, kto interesował się fotografią, zabrałby ze sobą na wycieczkę. Trochę ubrań, aparat, statyw teleskopowy. Mae przechylił głowę, a gdy zdał sobie sprawę, na co spogląda, instynktownie rozsunął ramiona na boki, tworząc zaporę przed Kit i Coxem, by nie mogli podejść ani niczego dotknąć. Albowiem na wierzchu spakowanych rzeczy znajdował się plastikowy woreczek strunowy.

A w nim dwa grube, eleganckie, ułożone obok siebie stosy banknotów. Różowych dwudziestek.

I bez przeliczania, nawet nie podchodząc bliżej, Mae był gotów się założyć, że było tam blisko dziesięć tysięcy.

ROZDZIAŁ 61

Ellie

Gdy weszłam do pomieszczenia, światło zapaliło się automatycznie. Wnętrze było o wiele większe, niż się spodziewałam. Wymiarami przypominało małą szopę, liczyło może z pięć metrów kwadratowych. Pod jedną ze ścian piętrzyły się różnej wielkości kartony. Magazynek nie miał dostępu do światła słonecznego, jedynie świetlówki bzyczały mi nad głową.

Spojrzałam na ścianę zastawioną nieoznakowanymi pudełkami, starając się nie zapomnieć o celu wizyty: nie próbowałam odkrywać tajemnic mojej matki, tylko szukałam Matta. Jednak nie miałam już innych tropów. Żadnych wątków do rozwinięcia. Musiałam połączyć istniejące kropki. Wszyscy skrywali sekrety i dokładali wielu starań, by nie wyszły na jaw: Matt, Cox, mama. Wspólnym mianownikiem wszystkich tych spraw byłam ja.

Zdjęłam pierwsze pudełko i postawiłam na podłodze. W środku były scenariusze, dokumenty z relacji dla ITV i BBC, plastikowe koszulki wypełnione dokumentacją oraz odręcznymi notatkami mamy: 1983, 1987, 1990. Foldery z okresu jej dziennikarskiej chwały. Guerrilla w Kolumbii, masakra w Kenii. Klęska głodowa w Etiopii. Znalazłam masę zdjęć, wszystkie wykadrowane na nią. Osobę, którą była przed moimi narodzinami. W ogóle nie poznawałam tej kobiety na fotografiach. Mama w okularach przeciwsłonecznych uśmiechająca się przed, jak zdradzał podpis, pałacem Ceaușescu, mama z poważną miną trzymająca na kolanach straszliwie niedożywione dziecko, zbliżenie na twarz mamy, która w skupieniu przy okrągłym mikrofonie obserwuje swojego rozmówcę pozostającego poza kadrem.

Wzięłam losowo inne pudełko. Było lepiej zabezpieczone od pozostałych. Musiałam sobie pomóc zębami przy rozdzieraniu taśmy. Jednak zawartość pudełka od razu wynagrodziła mi ten trud.

Pierwszą rzeczą, na którą trafiłam, była koperta bąbelkowa ze starymi paszportami. Popatrzyłam na zdjęcia mamy, gdy miała niecałe szesnaście lat, dziesięć lat później oraz gdy była jeszcze starsza. Na wszystkich fotografiach miała ten sam poważny wyraz twarzy, z którego biła inteligencja.

Pieczętki odpowiadały kolejnym podróżom do stref wojennych z lat osiemdziesiątych: na Falklandy tranzytem przez Argentynę, a potem Urugwaj; do Iranu, do Turcji. Do Wielkiej Brytanii wróciła dopiero, gdy wojna się skończyła. Drugi paszport został wydany w 1992 roku, kiedy się urodziłam. Otworzyłam go, spodziewając się pustych kartek, bo przecież nigdy nie wyjechałam za granicę. Zobaczyłam jednak pieczętkę z 1995 roku.

Bosne i Hercegovine – Bośnia. Ale jak to? Gdzie byłam, kiedy mama tam wyjechała?

Gdy zamykałam dokument, moją uwagę przykuło coś jeszcze.

Moje imię zapisane pod jej danymi. Dokument został wydany w czasach, gdy dzieci nie potrzebowały jeszcze własnych paszportów. Ale i tak nigdy nie wyjeżdżałam z kraju.

Wróciło do mnie dawne wspomnienie.

Miałam wtedy dziesięć lat. Wypożyczona z biblioteki książka o Hiszpanii uderzyła z impetem o ścianę, a ja zalewałam się łzami. Z trudem oddychałam po ataku hysterii, na którą byłam już za duża. Mama tłumaczyła mi, czemu nigdy nie będziemy mogły wyjechać za granicę. Położyła mi ręce na kolanach i mówiła, że poleciałyby tam też z nami Siggy, a ja nie poradziłabym sobie z hałasem, ścisaniem i tłokiem. W samolocie podobno było tyle bodźców, że nigdzie byśmy nie doleciały. Byłam zbyt delikatna na latanie. Od zawsze. To po prostu nie mogło się wydarzyć.

Jednak ten paszport temu zaprzeczał. Znowu przejrzałam kartki i na jednej stronie, tuż pod angielską pieczętką, znalazłam dowód. „Wjazd ×2”. Byłam z nią przy wylocie i przylocie. Musiałam mieć około trzech lat. Dokument spadł mi na uda, a ja zawiesiłam wzrok na ścianie, próbując cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć. Czy to właśnie ta podróż, w którą mnie zabrała, gdy zerwała kontakt z Bernadette? Czemu Bośnia? Czy tam nie trwała wojna? Jeszcze raz dokładnie obejrzałam pieczętkę, po czym odłożyłam paszport, czując w głowie niesamowity mętlik.

W kolejnym pudełku były jakieś moje stare rzeczy. Mimo starań nie udało mi się nie wsiąknąć w te wszystkie drobiazgi, rysunki mojego autorstwa,

bilety do kina i do muzeów. Od razu przed oczami stawały mi wspomnienia ze wszystkimi szczegółami. Pod bibelotami leżały segregatory. Położyłam sobie wierzchni skoroszyt na udach i otworzyłam. Był wypełniony ręcznie adresowanymi kopertami.

Z moim charakterem pisma. Nie dorosłym, ale z lat nastoletnich. Poczułam, jak włoski na przedramieniu mi się jeża, a cisza panująca w tym zatęchłym pomieszczeniu robiła się ciężka niczym całun.

Podniosłam pierwszą z brzegu kopertę. Była starannie zaadresowana do Centrum ds. Zaburzeń Lękowych i Stresu Pourazowego w Londynie. Pod nią następna, tym razem skierowana do fundacji na rzecz zdrowia psychicznego „Ja w liczbie mnogiej”. Sięgałam po kolejne listy, rozpoznając każdy adres. Szpital Great Ormond Street. „Nadzieja na życie z dysocjacją”. „Młode umysły”. Znalazłam też spięty gumką recepturką plik listów zaadresowanych do różnych oddziałów Programu na rzecz zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży organizowanego przez służbę zdrowia: CAMHS we wschodnim Londynie, CAMHS w zachodnim Londynie, CAMHS East Sussex i dziesiątki innych.

Nad wszystkimi listami siedziałyśmy razem z mamą. Prosiłyśmy o pomoc, zgłaszałyśmy się ochotniczo do badań klinicznych, by spróbować polepszyć mój stan, by zrozumieć Siggy. By w końcu mnie zostawiła.

Żaden list nie został nadany.

Zaczęłam odkładać wszystko na miejsce, czując odrętwienie i dezorientację. Bałam się nawet pomyśleć, co to znaczy. Za dużo było tu teczek, pudełek i segregatorów, a ja byłam zbyt nieuważna. Jedno z pudeł musiałam rozpakować i spakować od początku. Ze zdenerwowania przyspieszał mi oddech. Na koniec zajęłam się pakunkiem z paszportami. Jednak gdy spróbowałam włożyć do środka dokumenty, poczułam opór na dnie koperty. Wyjęłam z niej pognieciony kawałek papieru.

Zobaczyłam odręcznie zapisaną kartkę bez koperty.

Zaczynało się od słowa „Chris”, zapisanego koślawym charakterem pisma. Literki rosły z każdym zdaniem tak, że ostatnie wyrazy listu były dwa razy większe od początku:

„Gdziekolwiek kurwa jesteś. Chcę że byś wiedziała że ci to nie ujdzie na sucho. Znajdem was obie dwie chodźby nie wiem ile mi to zajęło. Dziecko potrzebuje taty i mieliśmy być rodzinom i właśnie niom będziemy. Pasujemy

do siebie. Tylko ci się wydaje że morzesz żyć bez mnie, a tak na prawdę nie morzesz. Zamierzam”.

Przewróciłam kartkę, wstrzymując oddech. Druga strona była niezapisana. To wszystko. Powoli złożyłam list z powrotem.

„Dziecko potrzebuje taty”.

Upuściłam kartkę, nie przejmując się, że zniknie wśród innych dokumentów. Nagle wypełniło mnie poczucie wściekłości.

Nie obchodziło mnie, że ewidentnie gość był dupkiem. Nie miało nawet dla mnie znaczenia, że groził mamie czy nam.

Ona mnie okłamała. Wierzyłam w każde jej słowo. A ona kłamała. Na temat swojej rodziny, listów, mojego ojca – wszystkiego.

Kopnęłam w stertę leżących kartek. Wzbiły się w powietrze i niczym liście opadły pod przeciwległą ścianą. Wszystkie te papiery, dokumenty, bezsensowne drobnostki i inne duperele odnosiły się do dzieciństwa, o którym już nic nie wiedziałam.

Złapałam za bluzę Matta, przyciągnęłam do twarzy i krzyknęłam. Następnie, wstrząsana szlochem, podniosłam się do pionu. Zaczęłam wpychać wszystko do pudeł bez zastanowienia. Jeśli przyjdzie, domyśli się, że tu byłam. Chwytałam jej cenne archiwa całymi garściami, naręczami i ciskałam nimi w kąt. Gdy skończyłam, nie zważając na zadyszkę, zaśmiałam się w głos. Mama będzie wściekła. Na podłodze nadal leżał paszport, otwarty na stronie z bośniackim stemplem. Podniosłam go.

Nagle wszystko jakby umilkło. Koło liter widniała mała tarcza z gwiazdkami, której wcześniej nie zauważyłam. Identyczna jak ta, którą znalazłam na dokumencie w szufladzie u Coxa. Momentalnie poczułam chłód, ale też coś jeszcze. W moim umyśle, na końcu długiego ciemnego korytarza, zapaliło się światło.

Siggy otworzyła szeroko oczy. Przyszpiliła mnie, próbując wbić mi coś do głowy. Czułam, że odpowiedź była na wyciągnięcie ręki. Niemal słyszałam kółka zębate obracające mi się w mózgu. Bernadette i mama, mama i Cox, Cox i Matt, Matt i ja, ja i Jodie. Wszystko się klinowało, zębatki trybów ślizgały się i nie pasowały do siebie.

Z dłońmi w kieszeniach oparłam się plecami o ścianę i zamknęłam oczy. Policzyłam do dwudziestu, tak jak mi radził kiedyś doktor Cox. Gdy otworzyłam z powrotem oczy, znałam już odpowiedź.

Pociągnęłam nosem i otarłam twarz. Następnie zrobiłam miejsce na podłodze i wyłożyłam pożąłką kopertę, którą zabrałam od Coxa. Mimo że nie rozumiałam wyrazów, wczytałam się uważnie we wszystko aż do ostatnich słów, zapisanych odręcznie na wykropkowanych liniach. Może to personalia? Na górze widniało „Mubina”, a pod tym „Idrizović”.

Z wewnętrznej kieszeni wyciągnęłam moje zdjęcie z dzieciństwa, które Matt trzymał na barce. Położyłam je w lewym górnym rogu dokumentu. Wstrzymałam oddech, a przed oczami zamigotały mi światła.

I zdjęcie, i dokument miały przebarwienia od rdzy. I te przebarwienia do siebie pasowały.

Kiedyś, lata temu, mogły być ze sobą zszyte.

ROZDZIAŁ 62

Mae

Mae prowadził, a Kit, która go namówiła, by podwiózł ją do domu, spała cicho z otwartymi ustami. Kiedy zorganizowano przewiezienie Coxa do Brentford, na miejscu zostali technicy od zabezpieczania miejsc zbrodni. Teraz, pod gładkim niebem barwy onyksu, mając przed sobą szerokie drogi, a w żyłach mnóstwo kofeiny, zyskał trochę czasu do namysłu.

Po pierwsze, Cox. Choć ani on, ani Kit woleli tego nie przyznawać, to kiedy Cox został już zapakowany na tył radiowozu, oboje się zgodzili, że jego występ, gdy wpuścił ich do budynku, zasługiwał na Oscara. Czyżby więc był po prostu jeszcze lepszym wciskaczem kitu, niż Mae to podejrzewał? Czy jednak mówił prawdę?

Po drugie i trzecie, Christine i Ellie. Żadna z nich od popołudnia nie odbierała telefonu. Pod ich mieszkaniem czekał funkcjonariusz, który miał ściśle zalecenie, by powiadomić Mae, gdyby tylko się zjawiły, ale dotychczas się tam nie pokazały.

I było po czwarte – a tym czwartym był odręczny liścik, który znaleźli na dnie torby pełnej dwudziestek.

Na wewnętrznym pierścieniu obwodnicy ruch nieco zwolnił, a Kit poruszyła się, otworzyła jedno oko i na powrót je zamknęła. Podniosła dłoń i otarła kostkami kącik ust.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała zaspanym głosem.

– Robimy drobny objazd. Śpij sobie.

Kiedy zatrzymał się i wyłączył silnik, było już po pierwszej. Pomyślał, czy nie zbudzić Kit, ale postanowił tym razem pójść w pojedynkę. Tak cicho, jak tylko potrafił, stopniowo otworzył swoje drzwi, a następnie je domknął. Przez

szybę zobaczył, jak Kit marszczy czoło we śnie, po czym poprawia się i uspokaja.

Na ulicy było pusto. Oddech parował mu białą mgiełką, gdy popchnął furtkę prowadzącą do ogrodu. Wokół zasłoniętego okna pokoju od frontu domu promieniała poświata. Zadzwoił do drzwi raz, drugi, trzeci. Wewnątrz odgłosy telewizora przycichły, dało się słyszeć kroki, po czym drzwi się otworzyły.

I oto stanęła przed nim Helen Williams. Rozczochrane włosy sterczały niczym aureola wokół jej głowy, a pod oczami widać było smugi rozmazanego makijażu.

– O – odezwała się, wzdychając ciężko, jak gdyby spodziewała się Mae już od wielu godzin. Odsunęła się, aby wpuścić go do środka. – To ty.

Z kamiennym, wymizerowanym obliczem przyjrzała się zdjęciu na ekranie jego telefonu, oddała mu aparat i opadła na sztruksową kanapę.

– Powiedzmy, że dam ci kredyt zaufania – oznajmił Mae. – Założę, że miałaś jakiś istotny powód, by nie powiedzieć mi o tym wcześniej.

– Nie wiem – odparła w końcu, spoglądając na niego.

– Nie?

– Nie.

Mae zamknął zdjęcie przedstawiające liścik, który znaleźli złożony na pół pod stosem gotówki w torbie Matthew Corshama. Ot, odręczna notka czarnym długopisem na bileciku firmowym NHS. Prosty komunikat:

...I nigdy więcej nie chcę o tobie, gnoju, słyszeć.

– Czy to standardowa formułka, gdy się kogoś zwalnia?

Opuściła głowę w tył i zacisnęła mocno oczy, ale nie odpowiedziała.

– Wiesz, dajmy na to – kontynuował Mae – czy to ci właśnie powiedzieli, jak cię wywalali?

Nagle otworzyła szeroko oczy, ale nim zdążyła odpowiedzieć, Mae podniósł do góry palec.

– Żaden tam „nowy rozdział w sektorze prywatnym”. Wywalili cię, Helen, nie musimy się o to spierać.

Spojrzała na niego żałośnie.

– Co powiedzieli?

Wzruszył ramionami.

– Z twoim przełożonym porozmawiam sobie rano. Ale teraz jestem tu i pytam ciebie. – Włożył telefon do kieszeni w marynarce i czekał.

Schowwała otulone kapciami stopy pod siebie, przeczesła włosy palcami i się roześmiała. Mae zerknął na stojącą na stoliku butelkę wina. Do dna zostało kilka centymetrów, może jeden kieliszek. Nie żeby czynił jej z tego zarzut. Wnosząc po etykietce pitego sauvignon, była to kobieta przyzwyczajona do luksusów: dobrego wina, świetnych ciuchów, prawdopodobnie trenera osobistego. Od tego popołudnia zapewne miała przed sobą perspektywę problemów ze spłatą najbliższej raty kredytu. Jakkolwiek by na to patrzeć, był to zły dzień dla Helen Williams.

– No dobra – powiedziała w końcu. – Mam wytłumaczenie, dlaczego wcześniej o tym nie mówiłam. Tyle tylko, że nie jest ono jakieś sensowne. – Wlała do kieliszka resztkę wina i wszystko mu opowiedziała.

Przed sześcioma miesiącami na oddziale pediatrycznym odbyła się inspekcja. Jak tłumaczyła Williams, pod względem świadczonej opieki nie doszukano się żadnych istotnych zaniedbań, a zresztą i tak ona nie odpowiadała za kwestie medyczne.

– Raz za razem czepiali się, że dzieciaki się nudzą. Ich zdaniem przewlekłe chorzy pacjenci nawiązywali zbyt mało relacji społecznych. Nie było co robić, co odbijało się na ich zdrowiu psychicznym. – Upiła spory łyk białego wina, stłumiła wierzchem dłoni wytworne beknięcie i odstawiła kieliszek na blat, nieco zbyt blisko krawędzi. Sierżanta świerzbiło, by przesunąć go w głąb stolika.

– I wtem nagle wszystkich zaczęło to obchodzić. Wszyscy zaczęli się o to troszczyć, powtarzać, że musimy rozszerzyć ofertę zajęciową, że mamy zapewniać wsparcie psychologiczne i wszelkie tego typu bzdury, na które nikt nie chce wydawać kasy.

– Ale co to w ogóle miało wspólnego z twoją działką?

– Zajebiste pytanie – zauważyła, sięgając ponownie po kieliszek i ryzykownie wychylając go w jego stronę. – Też je sobie zadawałam. To moja działka, bo to ja dysponowałam darmowymi zasobami. Ludzkimi.

– Wolontariuszami.

– Ale ludzie tak naprawdę wcale nie chcą tego robić, wiesz? Podobają im się pomysły pomagania małym dzieciom, podobają im się, że będą mogli opowiadać

znajomym, jak to czytają dzieciaczkom w szpitalu, ale jak już przyjdzie co do czego, to maluchy w bardzo kiepskim stanie napędzają im stracha. Na początku wolontariusze mają dobre chęci, ale z czasem je tracą i potem przestają się pojawiać, bo okazuje się, że nie są w stanie poświęcić temu tyle czasu, ile sądzili. Mnóstwo wymówek, a rezultat jest taki, że problem jak był, tak nadal jest. Dzieciom jest źle. A mnie to obchodzi – oznajmiła, oskarżycielsko kiwając w jego stronę palcem – niezależnie od tego, co sobie o mnie myślisz. Mam dobre serce. Naprawdę.

Czekała, aż się z nią zgodzi.

– Kontynuuj – powiedział.

Głęboko westchnęła.

– No więc byłam zdesperowana i namawiałam każdego, kogo znałam. Wychodzi na to, że wieść się rozeszła, bo potem parę osób się zgłosiło.

– No brawo.

Spojrzała na niego spode łba.

– Tia. Potem trzeba było tradycyjnie poczekać na weryfikację, a właśnie wtedy otrzymaliśmy termin kolejnej inspekcji, no więc jeszcze większa presja... – ucichła, westchnęła i pokręciła głową. – I wtedy w moim gabinecie pojawił się Matthew Corsham. To było jakieś trzy czy cztery miesiące temu. Mogę sprawdzić konkretną datę. Kogoś dla mnie miał. Ellie Power. Chciała przychodzić jako wolontariuszka praktycznie codziennie. Miała już papiery o niekaralności, więc mogła zacząć z marszu.

– A to problem?

– To nie byłby żaden problem, gdyby nie fakt, że papiery były lipne.

Mae podniósł wzrok. Odwzajemniła spojrzenie.

– Nie sprawdzałaś?

– Nie. Wtedy absolutnie niczego nie podejrzewałam. Minęło parę miesięcy i zadzwonił do mnie ten psychoterapeuta, ale nie od nas.

– Pamiętasz może nazwisko?

Zacisnęła oczy, w końcu pokręciła głową.

– Doktor Cox? – spróbował Mae.

– Tak, zgadza się, Cox. Pytał o Ellie, o to, jak jej idą kontakty z dziećmi. Ani myślałam mu o tym opowiadać, to byłoby totalnie sprzeczne z naszymi

standardami, więc odmówiłam, rzecz jasna...

– Rzecz jasna.

– No dobra. Powiedziałam, że jeśli chce, to mogę jej przekazać jego namiary, ale wtedy podał jakąś wymówkę i się rozłączył. No więc to był dla mnie potężny dzwonek alarmowy. Wyciągnęłam jej dokumenty i poskładałam wszystko do kupy. Zdałam sobie sprawę, co najlepszego zrobiłam. Poszłam prosto do pracowni i wygarnęłam Matthew, bo on to przecież zaaranżował, a on na to, że będzie cicho, jeśli i ja będę cicho.

– Czyli że co?

– Czyli że sama miałam więcej do stracenia. Owszem, podrobił jej papiery, ale powinnam była to sprawdzić. To ja mogłam za to polecić.

– A więc wyciszyłaś temat.

– Nie wyciszyłam. Okroiłam jej godziny. Do jednej zmiany w tygodniu i tak to zaplanowałam, że w tym tygodniu byłaby po raz ostatni. Naprawdę sądziłam, że na tym wszystko się skończy. Ale wtedy dostaliśmy cynk o... przerwała i odwróciła wzrok – o lekach. No to wszystko wykopali i było po zawodach.

– Ale nie chodziło tylko o leki, prawda?

Sięgnęła, by nachylić butelkę nad kieliszkiem, zobaczyła, że jest pusta, potrząsnęła nią i z hukiem odstawiła z powrotem na stolik.

– Helen.

– Prawda. W porządku? Zadowolony? Nie, nie chodziło tylko o leki. Dostaliśmy anonimowego e-maila, ktoś pisał, że wiedzą, że Matthew Corsham ma w komputerze zdjęcia pornograficzne, więc spytali go o to i powiedział, że je skasuje. Ten ktoś powiedział, że chcieli się upewnić, więc włamali mu się do szafki i wtedy znaleźli leki. I to było moje przeoczenie, bo to ja uwierzyłam mu na słowo. Zrobiłam, co mogłam, żeby to ukryć, udawałam, że ta historia z komputerem w ogóle się nie zdarzyła, ale to nie wystarczyło. A teraz tak po prostu zniknął, a ja mam dokumentnie przejebane, i to wszystko po to, by dzieci miały z kim, kurwa, pograć czasem w karty.

Próbował wykrzesać z siebie odrobinę współczucia, ale nie był w stanie.

– Wiedziałaś, że podrobił te papiery? – spytał, jednocześnie w myślach wyliczając możliwe tego powody.

Wzruszyła lekko ramionami i odwróciła spojrzenie.

– Helen, czy dzięki niej on sam dostawał się też na oddział? Czy zyskał dostęp do dzieci?

Niemalże bezgłośnie odpowiedziała:

– Nie wiem.

Czyli że mając pod ręką wszelkie możliwe środki, monitoring, logowania kart magnetycznych, ludzi, których mogłaby podpytać, wolała odwrócić się od sprawy w nadziei, że nikt jej nie przyłapie.

– Co tak stoisz i się patrzysz? – odezwała się, po czym jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

W tym momencie mógłby spróbować ją jakoś pocieszyć, dać do zrozumienia, że w takiej sytuacji każdy mógłby tak postąpić, że chodziło o błąd popełniony pod presją okoliczności. Ale wtedy pomyślał i o Coxie, i o Jodie Arden, i o wszystkich zdjęciach innych dzieci. I o tych zdjęciach Ellie. Toteż nie ruszył się z miejsca.

ROZDZIAŁ 63

Ellie

Obudziłam się otoczona całkowitą ciemnością. Kolejne fale paniki wybuchały w mojej głowie niczym wirujące fajerwerki. Cienka czerwona wykładzina w ogóle nie chroniła mnie przed zimnym betonem, na którym leżałam. Przynajmniej dzięki temu przypominałam sobie, gdzie jestem. Magazyn. Bez okien, bez światła dziennego czy nocnego. Pewnie zasnęłam.

Wstałam, nadal otumaniona sennością, i machnęłam ręką, by uruchomić czujniki włączające światło. Nagle zalała mnie jasność, aż musiałam zmrużyć oczy. Najpierw sprawdziłam drzwi – były zamknięte na klucz – a następnie obejrzałam sobie dłonie i ramiona. Buty nadal stały równo przy drzwiach. Nic nie wskazywało na to, żebym stąd wychodziła. Ani że chodziłam po pomieszczeniu.

Siggy milczała w bezruchu, skulona w moim żołądku. Chciałam ją przytulić. Poczułam dojmujący smutek na myśl, jak bardzo musi być samotna.

Przez ostatnie dni prawie się nie ruszała. Niczym stary kot, który jeszcze żył, ale ledwo ledwo. Jeszcze rok czy nawet tydzień temu poczułabym ulgę, ale obecnie nie uważałam tego za swoje zwycięstwo. Siggy towarzyszyła mi od zawsze, a teraz byłam... sama.

Tęskniłam za nią.

Otworzyłam na chwilę drzwi, by sprawdzić, czy jest rano: światło dnia zalewało korytarz. Włączyłam komórkę. Bateria była bliska wyczerpania, ale zdążyłam zobaczyć, że na poczcie głosowej czekało sześć wiadomości.

Nie od Matta. Od mamy.

Chyba już wiedzą. Nie wracaj do mieszkania.

Musimy zniknąć. Czekam w naszym specjalnym miejscu. Proszę, musisz przyjść.

Gdzie jesteś? Nie zniosę myśli, że jesteś sama.

Łamiesz mi serce. Błagam, zadzwoń. Czekam na ciebie.

Sama sobie nie poradzisz.

Skasowałam wszystkie. Jednak gdy dotarłam do ostatniej wiadomości, odezwał się inny głos. Bernadette prosiła, żebym oddzwoniła.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– Znalazłam coś, co muszę ci pokazać. Zdjęcia. – Potem szybko dodała: – Nie takie, jak... poprzednio. Żadnych mundurów.

Powiedziała, że właśnie idzie do pracy w Ealing. Z magazynu miałam niedaleko. Umówiliśmy się, że spotkamy się za godzinę.

Ukucnęłam i wszystko ułożyłam. Paszporty. Zdjęcie z dzieciństwa. Dokument od Coxa. Billingi rozmów, list od ojca. Wpatrywałam się w to wszystko niczym w elementy układanki sprawdzającej spostrzegawczość. Wreszcie ujrzałam całość. Wsadziłam wszystko do pustej plastikowej koperty, schowałam ją do kieszeni, włożyłam bluzę, buty i wyszłam.

Bernadette dotarła na miejsce przede mną. Było jeszcze wcześniej, przed siódmą trzydzieści. Dostrzegłam tylko paru innych klientów. Bern siedziała przy małym stoliku w loży i powoli mieszała burą herbatę. Gdy usiadłam koło niej, wyprostowała się, jakby nie spodziewała się mnie ujrzyć. Nawet jeśli zauważyła mój zaniedbany wygląd, nie dała tego po sobie poznać. Ale sama też wyglądała na niewyspaną.

– Nie byłam pewna, czy przyjdiesz – odezwała się, uśmiechając się lekko. Odsunęła od siebie filiżankę i wyjęła torbę.

– Zanim zaczniesz... – powiedziałam, powstrzymując ją. Chciałam, by zobaczyła list: „Dziecko potrzebuje taty”. Rozłożyłam kartkę na stole.

Spojrzała na nią, po czym przygryzła wargę i podniosła na mnie wzrok.

– Czy to jego charakter pisma? – zapytałam. – Mojego... – zamilkłam, bo słowo „tata” nie chciało przejść mi przez gardło. – Jima?

– Jima Scotta. – Pokiwała głową i podsunęła mi list z powrotem.

– Scotta?

– Tak. A co?

– Nic. – Wzięłam list i go złożyłam. – Nie powiedziałaś mi, że był dupkiem.

– Był... trudny.

– Taki trudny, że nas bił?

Wzdrygnęła się.

– A tak było?

– Słuchaj, nie wiem...

Wstałam i rozpięłam górne guziki bluzki.

– Ellie, co ty...? Przestań – powiedziała Bernadette. Ale ja nie miałam najmniejszego zamiaru przestać.

Odwróciłam się do niej plecami i odsunęłam kołnierz, odsłaniając blizny na ramieniu.

– Czy on mi to zrobił?

Na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

– Proszę, usiądź. Możemy to...

Puściłam materiał, stanęłam twarzą do Bern i uniosłam dół bluzki, odsłaniając bok oszpecony pasem zdeformowanej skóry schodzącym na podbrzusze. Wokół nas zrobiło się cicho.

– Mam na myśli mężczyznę, którego przedstawiasz niemal jako ofiarę. Czy według ciebie on mi to zrobił?

Bern wstała i położyła mi dłonie na ramionach.

– Ellie, proszę. Lepiej usiądź.

– Naprawdę? Będzie lepiej? Tak powinnam zrobić? – Oddychałam ciężko, a zęby zacisnęły mi się ze wściekłości. – To zabawne. Chyba każdy wie najlepiej, co powinnam robić. Ale naprawdę mam już dość robienia tego, co ktoś mi każe.

Nie odwróciła wzroku, nawet gdy dwóch mężczyzn w garniturach odsunęło głośno krzesła i przesiadło się do innego stolika, mamrocząc coś pod nosem.

– Jesteś rozgniewana. Nie dziwię się. Okłamywano cię, a ludzie, którym ufałaś, okazali się nie do końca godni twojego zaufania. Rozumiem. Naprawdę. Ale nie znam odpowiedzi na twoje pytania. – Delikatnie ścisnęła mnie za ramię, po czym opuściła dłonie. – Mogę ci pokazać, co przyniosłam?

Opadłam z powrotem na krzesło, tracąc ochotę do konfrontacji.

Bern otworzyła torbę i wyciągnęła brązową kopertę.

– Szczerze mówiąc, jak cię teraz znalazłam... no, nie tak to sobie wyobrażałam. Ale trudno. Proszę. – Ostrożnie uchyliła kopertę i wysunęła z niej mały plik fotografii. – Powyjmowałam je z albumów, kiedy nasza mama była w hospicjum, na krótko przed jej śmiercią. Chciała mieć je w ramkach w pokoju, by na nie patrzeć.

Położyła pierwsze zdjęcie na stole. Przedstawiało młodszą Bernadette z małą, może dwuletnią dziewczynką na kolanach. Obie uśmiechały się ze szczytu jakiejś zjeżdżalni. Na następnym było to samo dziecko. Stało w kabrioletcie na fotelu kierowcy, mocno ściskając kierownicę. Bernadette asekuracyjnie trzymała je za biodra. Na kolejnej fotografii dziewczynka była trochę starsza i siedziała jakiemuś starszemu mężczyźnie na barana. Przypatrywałam się dziecku, które ewidentnie było wspólnym mianownikiem zdjęć, próbując je sobie przypomnieć. Czy powinnam je znać? Skąd?

– Tata – odezwała się cicho Bernadette, dotykając twarzy mężczyzny na zdjęciu.

Obok położyła pozostałe dwie fotografie. Jedna przedstawiała dwie niezwykle do siebie podobne kobiety z typowymi w latach osiemdziesiątych przesadnie napuszonymi fryzurami. Bernadette i moja mama. Dwudziestokilkuletnie siostry, które wyszły na miasto.

Drugie zdjęcie było nieostre i już trochę wypłowiałe, ale wciąż wyraźne. Moja matka z trwałą ondulacją na głowie, kołysząca dziecko. Opierała się o mężczyznę, być może tego samego żołnierza, którego widziałam wczoraj. Na tej fotografii miał jednak na sobie jeansową koszulę. Stali w typowej pozie nowo powstałej trzyosobowej rodziny. Dotknęłam opuszką jego twarzy, kilkudniowego zarostu. Miał popielate potargane włosy. I niebieskie oczy.

– Nie widziałas wcześniej tych zdjęć?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Okradziono nas – odpowiedziałam odruchowo, patrząc wciąż na fotografię. – Ze wszystkich zdjęć.

– Kiedy?

– Kiedy miałam dwa latka.

Mężczyzna grzbietem dłoni dotykał twarzy dziecka, a drugą ręką przytulał moją matkę. Z rozanieleniem wpatrywali się w noworodka. Miał różowiutki, nakrapiane, okrągłe jak brzoskwinie policzki i kępkę jasnobiałych włosów.

– Ellie – odezwała się Bern. Podniosłam głowę. – Nie było żadnej kradzieży. Na pewno nie wtedy, kiedy miałaś dwa lata.

– Tak. Była. Straciłyśmy wtedy wszystko... – upierałam się, ale sama zdawałam sobie sprawę z bezsensu tego wytłumaczenia.

Z ogromną delikatnością spytała:

– Czy aby jesteś pewna? Sprawdziłaś to?

Otworzyłam usta, ale szybko je zamknęłam. To, co mówiła, nie mieściło mi się w głowie. Nic z tego nie mieściło mi się w głowie.

Gdy znowu spojrzałam na zdjęcia, Bernadette dotknęła mojej dłoni. Czułam, że na mnie patrzy.

– To jest Christine, na pewno ją poznajesz. Zdjęcie zrobiono w dniu twoich narodzin. Ten mężczyzna... no, też już go znasz. Prawda, mieli swoje problemy i może i tak by się rozeszli, gdyby twoja matka nie zniknęła. Ale spójrz. To on, jak żywy. I z tego, co wiem, nadal żyje.

Odwróciłam fotografię i odczytałam wyblakły zapiszek: 11 czerwca 1992. Dzień moich narodzin.

– Kontakt nam się urwał parę lat temu – stwierdziła. – Wydaje mi się, że wyjechał do Kanady czy tam... – Bernadette zamyśliła się, ale i tak jej nie słuchałam.

Wyciągnęłam z kieszeni polaroidową fotografię: moje jedyne zdjęcie z dzieciństwa. Cały kadr wypełniała główka, którą podtrzymywała w rogu jakaś opalona ręka.

– To jestem ja.

Kobieta spojrzała mi w oczy, po czym ze zmarszczonym czołem przyjrzała się fotografii. Spokojnie wypuściła z płuc powietrze.

– Nie wiem, co się stało, ale zapewniam cię, że nie mam żadnego powodu, by cię okłamywać. – Odłożyła polaroid na stół i wskazała palcem na scenkę rodzinną. – Moja siostra, Christine. Jim. To ich córka, Eleanor. Ellie. Dziewczynka ze wszystkich zdjęć to ona. Moja siostrzenica.

Wpatrywałam się w zdjęcie rodzinne. W twarz mężczyzny, który miał mnie kochać, którego karnacja miała tłumaczyć mój odcień skóry, który miał mieć, tak jak ja, jedno oko zielone, a drugie niebieskie. Przynajmniej tak przez całe życie opisywała mi go mama. Jego geny miały wyraźnie wygrać, byłam do niego taka podobna.

Ale to wszystko kłamstwo.

Nie mogłam być dzieckiem z tego zdjęcia.

ROZDZIAŁ 64

Mae

Kit wjechała na piętro wydziału kryminalnego z kawami, po które skoczyła na ochotnika zaraz po porannej odprawie.

– Gotowy? – zawołała i zaczęła, aż skinął, po czym przeszła się, by rozdać kolegom sześć kubków.

Dokończył zdanie pisanego właśnie raportu z poczynionej ubiegłej nocy wycieczki do Surrey, a następnie wstał i zrównał się z nią krokiem, kierując się ku klatce schodowej na tyłach budynku. W połowie drogi dołączyła do nich McCulloch.

– Nie trzeba było – rzuciła, przyjmując podane jej przez Kit cappuccino. – A już na pewno tak bez ciacha.

Nie zwalniając, Kit przekazała jej torebkę z brązowego papieru z paroma tłustymi plamami od spoczywającego wewnątrz wciąż ciepłego pain au chocolat.

McCulloch odebrała i to, kwitując pełnym wdzięczności chichotem.

– Co do tej pory mamy?

– Dziś o ósmej rano odbyliśmy pierwszą rundę – oświadczył Mae, popychając drzwi i przytrzymując je, aby puścić panie przodem. – Cox twierdzi, że o miejscu pobytu Matthew Corshama wie równie mało co my. I stanowczo zaprzecza, by wpłacił za niego czynsz.

– Czekaj, podejrzewałeś, że Cox zapłacił czynsz za Corshama?

– Ktoś to zrobił, a wygląda na to, że nie sam Matt.

– Ale dlaczego miałby to robić?

Mae wzruszył ramionami.

– Aby zyskać nieco na czasie?

– Aby zminimalizować podejrzenia – wyjaśniła Kit. – Jeśli z Matthew coś się stało, to na wieść o porzuconym samochodzie i nieuiszczonym czynszu rzucilibyśmy do tej sprawy większe zasoby. Uznaliśmy, że Cox prowadził w najlepsze tę swoją akcję podsłuchową, więc nie chciałby, by sprawa już teraz się wydała.

McCulloch wyglądała na nieprzekonaną.

– To jaką macie teorię?

Kit przygryzła wargę.

– Jeszcze nie wiemy. Bardzo możliwe, że Cox kłamie.

McCulloch przez chwilę się zastanawiała, aż w końcu zapytała:

– Czyli nie wie, gdzie jest Matthew Corsham, ale przyznaje, że go zna. Powiedział może skąd?

– Właśnie teraz się tym zajmujemy – odparł Mae. Przełknął końcówkę espresso i upchał pusty papierowy kubek w koszu pomiędzy windami, następnie wcisnął przycisk, aby zjechać do piwnicy. – Na razie powiedział tylko, że Corsham odezwał się do niego w sprawie Ellie, aby się dowiedzieć, ile wie o jej przypadłości.

– I dlatego przepuścił oszczędności, żeby sprawić sobie furgonetkę do podsłuchów?

– Powiedział, że chciał zdobyć twarde dowody, nim by ustaliły, że je śledzi.

– No tak, logika wnioskowania nie do podważenia – zauważyła McCulloch, przewracając oczami. – A co ze zdjęciami? Myślicie, że może za to beknąć?

– Właśnie do tego zmierzamy. Zapytałam go o pornografię dziecięcą i dlaczego skasował ją z laptopa Corshama, na co odparł, że do chwili, gdy zobaczył te zdjęcia na dysku, nic o nich nie wiedział.

McCulloch odwróciła się w stronę Mae, ze zdziwienia unosząc wysoko jedną brew.

– No, to nie był jego laptop.

Tą właśnie kwestią Mae zaprzętał sobie umysł cały ranek.

– Nie. Ale wiemy, że przesłał Mattowi fotografie Ellie, jest więc pewien związek.

– Hmm, sama nie wiem...

– No i jest jeszcze sprawa Jodie Arden...

– Która, że przypominę, osiągnęła już wtedy wiek przyzwolenia – nadmieniła McCulloch, wgryzając się w bułeczkę z czekoladą.

– Która mieściła się w tej szarej strefie między wiekiem przyzwolenia a dorosłością i która zapisała w pamiętniku, że facet kupił jej tyle rzeczy, że było to równoważne z płaceniem jej za seks.

McCulloch przystanęła i odwróciła się ku niemu.

– Mae, tego już nie próbujemy. Prokuratura pięć lat temu odrzuciła właśnie ten argument.

Z tym nie miał jak polemizować.

– Racja. Choć wydaje mi się, że mogłoby to wzbudzić wątpliwości członków ławy przysięgłych. Ale to chyba czas już pokaże, jak tylko technicy od danych zrobią swoje.

Wyglądało, że McCulloch bierze to pod rozwagę.

– Catherine, jakieś uwagi?

– Brzmiał przekonująco – powiedziała po prostu Kit i gdy otworzyły się drzwi, weszła do windy. – A faktem jest, że kiedy powstały te zdjęcia Ellie, sądził, że to szesnastolatka. Nikt tego nie podważa. Nawet Jodie Arden myślała, że ona ma szesnaście lat.

McCulloch zmięła papierową torebkę i oddała ją Mae. Cmoknął z niezadowoleniem, ale schował ją do kieszeni, podczas gdy ona otrzepywała sobie z piersi okruszki.

– Ale mówicie, że zapewnia, że nic nie wiedział ani o torbie, ani o kasie.

– Wypiera się w całej rozciągłości – przytaknął Mae. – Twierdzi, że próbuje się go wrobić.

– A co ma do powiedzenia w sprawie auta, które spłonęło?

Doszli do pokoju przesłuchań.

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

– Jasne. Powodzenia.

Mae skinął głową i popchnął drzwi.

– Kit, zapraszam przodem.

ROZDZIAŁ 65

Ellie

Pożegnałam się z Bernadette przed kawiarnią, po czym ruszyłam przed siebie bez celu. Po mojej lewej stronie wschodziło rozmyte słońce, a jego światło mieniało się w najwyższych oknach budynków po prawej. Nie mogłam przestać myśleć o fotografiach. Tłumaczyłam sobie, że widoczne na nich dziecko musiało być moim rodzeństwem. Jednak jeśli to prawda, to co się z nim stało? I czemu nikt mi nigdy o tym nie powiedział?

W końcu doszłam do ulicy Broadway, gdzie zatrzymałam się i rozejrzałam, aż wypatrzyłam kawiarenkę internetową. Przeszłam na drugą stronę jezdni.

Gdy wkroczyłam do środka, odezwał się dzwonek przymocowany na framudze. Na ścianach wisiały reklamy operatorów telefonicznych z ofertami tanich połączeń do Afryki, Europy, Indii i w wiele innych miejsc. Zapłaciłam za godzinną sesję i wybrałam stanowisko w kącie.

Gdy tylko usiadłam, odsunęłam klawiaturę i myszkę, robiąc miejsce na kopertę zabraną z gabinetu Coxa. Przepisałam słowa widniejące na górze dokumentu i kliknęłam w wyszukiwanie powiązanych obrazów.

Usiadłam i powoli przewinęłam kursorem po wynikach. Klikałam w kolejne rezultaty, by mieć pewność, czy nie wyciągam pochopnych wniosków. Wszystko bowiem wskazywało na to, że przede mną leżał akt urodzenia.

– Hej – krzyknął do mnie chłopak stojący za kontuarem, aż podskoczyłam.
– Chcesz kawy? Albo coś na zimno?

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiedziałam, ale gdy spojrzałam na niego, kątem oka dostrzegłam plakat za jego głową. Taryfa. Ceny za minutę połączenia do Senegalu, Serbii i Szwecji.

Przez chwilę siedziałam w bezruchu, po czym wyciągnęłam z koperty billing rozmów Matta. W połowie ostatniej strony dokumentu widniał ten numer z zagranicy. Próbowałam już wcześniej na niego zadzwonić, ale nie miałam wtedy wystarczających środków, a później wypadło mi to z głowy. Cyfra po cyfrze uważnie wpisałam numer do wyszukiwarki. Wskoczyła masa wyników.

Okazało się, że to numer kierunkowy regionu w Bośni.

Tuzla. Nazwa brzmiała znajomo, choć skąd – nie miałam zielonego pojęcia. Gdzieś z tyłu czaszki nagle znowu poczułam Siggy, która wstrzymywała oddech. Kliknęłam w pierwszy wynik, który zawierał pełen numer z billingu Matta. Przez chwilę ekran był biały, dopóki strona się nie załadowała.

Zasłoniłam dłonią usta i odskoczyłam od biurka. Na górze strony wyświetlił się obraz. Przedstawiał budynek w kolorze terakoty na tle bezchmurnego turkusowego nieba. Przed budowlą stało kilkadziesiąt osób. Unosiły ręce w górę. Pozowały, lecz na ich twarzach widniał uśmiech.

Znałam to miejsce. Nie był to szpital ani koszary. Matt dzwonił właśnie do tego budynku.

Budynku, który Siggy pokazywała mi przez całe życie.

ROZDZIAŁ 66

Charles Cox Psychotherapy Ltd. Transkrypcja klinicznego nagrania dźwiękowego	
Imię i nazwisko pacjenta:	<i>Eleanor Power</i>
Data sesji:	<i>7 października 2006</i>

[nagranie wznowione]

CC: W porządku, Ellie. A więc umysł masz teraz odprężony, spokojny i pusty. Za każdym razem, gdy zaczniesz o czymś myśleć, po prostu dostrzeż tę myśl i ją odsuń. Dobrze? Twój umysł to duża, duża, pusta przestrzeń. Wszelkimi myślami, które ci się napatoczą, nie musisz się przejmować, po prostu pozwól im przepłynąć.

EP: Mmm. Okej.

CC: Świetnie. A wtedy, gdy będziesz już gotowa, chciałbym, byś delikatnie i bardzo powoli pozwoliła wyłonić się jakiemuś drobnemu fragmentowi z tego snu, o którym mówiliśmy wcześniej. Nie wysilaj się, tylko zrelaksuj i powiedz mi, co widzisz.

[pauza: 1 min 5 sek.]

EP: Dużo ludzi. Strach... wszyscy się boją.

CC: Czego ci ludzie się boją? Czy możesz cofnąć się z tego miejsca, z którego patrzysz, i rozejrzeć się dookoła?

[pauza: 25 sek.]

EP: Żołnierza. Widzę żołnierza i on... on ma coś w ręce. I jest... brudny. Jest bardzo brudny i krzyczy.

CC: Czy to... czy to ten duży budynek, o którym rozmawialiśmy już kiedyś? Czy jesteśmy właśnie tam?

EP: Nie.

CC: Dobrze. To powiedz mi więcej o tym żołnierzu.

EP: Ubrany jest jak żołnierz, ale włosy ma dość długie i zaniedbane, jak gdyby dawno się nie mył, no i czuć od niego papierosami i... i zapachem mężczyzny.

[pauza: 27 sek.]

CC: Widziałem, jak się wzdrygnęłaś. Czy możesz powiedzieć mi cokolwiek jeszcze o tym, co widzisz?

EP: Krew.

CC: Krew, dobrze. Gdzie jest ta krew?

EP: Na ziemi.

CC: Dobrze, okej. Opowiedz mi o tym. Zobaczmy, czy uda nam się wyobrazić sobie ten pokój.

EP: To nie pokój. Jestem na zewnątrz. Krew jest na ziemi. I kamienie. Bo... boję się.

CC: Okej. Proszę... dobrze, teraz nie otwieraj oczu, ale po prostu opuść ręce, możesz tak zrobić? Dobrze, o, tak. Zasłoniłaś sobie uszy, co się stało?

EP: Mnóstwo hałasu.

CC: Czy mogłabyś ten hałas opisać?

EP: Krzyki. Ale... próbuje płakać, ale nie może.

CC: Kto próbuje płakać?

EP: Chłopczyk. Krwawi. Gardło – żołnierz zranił go w gardło, więc nie może. Chłopczyk nie może...

[pauza: 20 sek.]

CC: Postaraj się tylko oddychać spokojniej... oddychaj spokojniej, jeśli tylko możesz. A więc jest chłopczyk, któremu żołnierz zrobił krzywdę. W szyję? Możesz opisać, co się stało?

EP: Mówi, że to wina chłopczyka. Że nie powinien był płakać.

CC: A czy wiesz, dlaczego chłopczyk płakał?

EP: Był... był głodny. Był naprawdę głodny i ja też byłam głodna, i mężczyzna powiedział, że teraz już nie będzie głodny.

CC: Mężczyzna? Ten żołnierz?

EP: Tak, ale chłopczyk...

CC: Dobrze, posłuchaj przez chwilę tego, co mówię. Chcę, żebyś wzięła kilka głębokich...

EP: Chłopczyk umrze.

CC: Chłopczyk... dobrze, to pooddychajmy teraz głęboko razem, dobrze?

EP: On umrze, a ja chcę mu pomóc, ale za bardzo się boję. Chcę mu pomóc, ale nie mogę, bo...

CC: Okej, kładę teraz na tobie moje dłonie, czujesz, że tutaj jestem, nic ci nie grozi...

EP: On umrze.

[płacz]

EP: Tyle krwi. Nie mogę mu pomóc. Nie mogę...

CC: Dobrze. Ellie? Chciałbym teraz, żebyś otworzyła oczy. Ellie.
Otwórz teraz oczy.

ROZDZIAŁ 67

Mae

W pozbawionym okien pokoju przesłuchań dyżurna adwokatka skrzyżowała ręce na piersi. Była to, jak zauważył Mae, akurat ta, która zawsze wyglądała, jakby z jakiegoś powodu miała kij w dupie.

– Czy to twoją przełożoną widziałam właśnie na zewnątrz? – dopytała. – Bo chciałabym się od niej dowiedzieć, z jakiego powodu akurat ty się tym zajmujesz. Zważywszy na przeszłość. Oczywiście poza żądzą zemsty.

Mae puścił to mimo uszu i zajął miejsce naprzeciwko Coxa. Usadowił się niespiesznie, skrzyżował nogi w kostkach, odchylił się w tył, parę razy obrócił szyję. Dioda na sprzęcie nagrywającym zasygnalizowała, że są gotowi, więc podczas gdy Mae wrzynał się w Coxa spojrzeniem o mocy szlifierki kątowej, Kit powiedziała parę słów wprowadzenia do przesłuchania i powtórzyła formułkę pouczenia. Rozczochrany Cox poruszył się na krześle i rozejrzał dookoła.

Kit odczekała moment, po czym nachyliła głowę, usiłując zwrócić na siebie uwagę Coxa, który wciąż wpatrywał się w Mae.

– Proszę potwierdzić, że pan zrozumiał.

Cox spojrzał na nią, zamrugał i skinął głową. Kit zdecydowanym tonem powtórzyła prośbę, gestem wskazując na dyktafon.

– Doktorze Cox, musi pan to wypowiedzieć.

– Ee... tak. Tak, zrozumiałem. To wystarczy?

Mae odchrząknął i nachylił się do przodu, opierając przedramiona na stole między nimi.

– Zaczniemy może od tego, dlaczegoś to pojechał pan samochodem Matthew Corshama ze swej czatowni na Abson Street na opuszczony plac w Feltham.

Cox popatrywał to na Mae, to znowu na Kit ze zmarszczonym czołem. Był wyraźnie zdeorientowany.

– Szczerze i uczciwie powiem – zaznaczył, skrupulatnie wymawiając każdą sylabę – że nie mam pojęcia, o czym mówicie.

– Poprosimy o dokładne doprecyzowanie tego zarzutu – odezwała się chłodno obrończyni.

– Miałam raczej nadzieję, że to pan nas w tej kwestii oświeci. – Mae nie odrywał spojrzenia od Coxa.

Lecz prawniczka skrzyżowała ramiona i prychnęła na znak oburzenia.

– Nie jesteśmy tutaj po to, by się bawić w zarzucanie wędki. Przedstawione wczoraj wieczorem zarzuty ani słowem nie wspominają o...

– W porządku – odparł Mae, przerzucając papiery w teczce i wyciągając inny plik. – No to spróbujmy... o, tego. Służbowy laptop Matthew Corshama wydany mu przez NHS. Ten, który pańska asystentka odniosła do szpitala, gdy zdał pan sobie sprawę z tego, że zaczynają się tam niepokoić jego brakiem. – Wyrównał kartki na blacie i czekał.

Cox przygryzł kilkakrotnie wargi, spoglądając na nich oboje. Wreszcie powiedział:

– Ukradłem go.

Adwokatka szarpnęła się do przodu, a wyglądała tak, jak gdyby dopiero co zwymiotowała w zamknięte usta.

– Chwila. Czekaj, co...?

Ale Cox uniósł obie dłonie w powietrze.

– Ukradłem. Będę tutaj szczerzy. Chcę, byście to wiedzieli. Popełniłem parę... kretyńsko durnych błędów – oznajmił takim głosem, jak gdyby każde słowo wydobywał z jakiegoś głębokiego mroku. – Ale jeżeli nie przyznam się do tego, co istotnie zrobiłem, to jesteście gotowi uznać, że jestem odpowiedzialny za o wiele więcej. Za coś o wiele gorszego. Więc zacznijmy od tego. Otwarcie przyznaję, że wszystkie te nagrania z furgonetki to moja robota i że nikt inny o tym nie wiedział. Ale musiałem to zrobić właśnie w ten sposób. Kiedy tylko dowiedziałyby się, że jestem w pobliżu, albo narobiłyby rabanu, albo zniknęły, a ja nigdy nie zdobyłbym potrzebnych mi dowodów. I zapewniam, że nic nie wiem o żadnym aucie. Wiem tylko, że Matt miał auto, ale nic poza tym. A co do komputera... O tym wam mogę opowiedzieć.

– Proszę bardzo.

– Tydzień temu zadzwonił do mnie Matthew. Powiedział, że go zawiesili, że wyleci. Ktoś z pracy doniósł, że ma w komputerze nieprzystojne treści. Rzecz jasna, on sam ich tam nie umieścił. Dobra, powiedziałem „rzecz jasna”, ale jasne to było dla mnie. Tyle że on chciał odnieść komputer, przekazać im go do przebadania dokładnie w takim stanie, w jakim był, niczego nie czyszcząc ani z niego nie usuwając. Powiedział, że nie ma nic do ukrycia i że najlepiej będzie po prostu postąpić w stu procentach uczciwie. Ale zdawał sobie sprawę, że będą zadawać pytania, więc powiedział, że pewnie powinienem jakoś ich uprzedzić. Choćby znaleźć sobie prawnika czy też zgłosić się do was.

Mae skrzyżował ręce na piersi.

– Ale pan nie mógł do tego dopuścić.

– Nie, wtedy jeszcze nie. Wiedziałem, jak kiepsko będzie to wyglądać, a na pewno pamiętacie, co się stało, kiedy ostatnio znalazłem się w pokoju takim jak ten – przypomniawszy, zerkając na kamery w rogu pomieszczenia przesłuchań, a następnie na Mae. – Poprzednim razem próbowałem współpracy i szczerości. Niezbyt mi się to opłacało. Tak więc błagałem go, żeby po prostu to wszystko skasował...

– Bo wiedział pan, że były tam zdjęcia od pana, które ktoś by znalazł – dopowiedziała Kit.

Cox odwrócił wzrok.

Mae czekał.

– A potem co się stało? – spytał w końcu.

– Poszedłem na jego łódź, akurat dzień przed tym, jak zniknął, i zabrałem komputer.

– Ale wie pan, że on o tym wiedział? – zauważył Mae. – Zarządca przystani widział, jak pan to robi. Powiedział Matthew, że pana zobaczył.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Mae złapał oparcie krzesła.

– I widzi pan, coś tutaj nie gra. Bo jeśli ukradłby mi pan laptopa, a ja bym wiedział, że to pan, to stawiałbym się przed pana domem z bejsbolem szybciej niż nawąchany kierowca ubera.

– Prosiłabym o powstrzymanie się przed pogrozkami wobec mojego klienta
– wtrąciła się mecenaska.

– On mi nie groził – sprostował Cox. Wszyscy teraz popatrzeli na niego: nieczęsto się zdarzało, żeby to podejrzany podczas przesłuchania brał stronę policji. – No bo mi pan nie groził – powtórzył. – Ale sęk w tym, że Matthew wiedział, co było w tym komputerze. Wiedział o tych obscenicznych materiałach z dziećmi, z którymi, notabene, ja nie mam nic wspólnego, a jestem pewien, że nie miał też nic wspólnego i Matthew, ale chciał tylko zwrócić komputer, nie robiąc przy tym zamieszania.

Zupełnie nie tak Mae wyobrażał sobie przebieg przesłuchania. Niespiesznie poczynił kilka notatek, po czym się odezwał:

– Cofnijmy się teraz trochę. Proszę mi powiedzieć, w jakich okolicznościach w ogóle poznał pan Matthew Corshama.

Cox poruszył się na krześle do pewnego stopnia uspokojony nowym wątkiem rozmowy.

– To było parę miesięcy temu. Po prostu odebrałem telefon. Naprawdę dosłownie znikąd. Najpierw myślałem, że... sam nie wiem, że to jakiś żart czy coś.

– A skąd taka myśl? – dopytał Mae.

– Bo porzuciłem nadzieję, że ją kiedyś odzyskam. Próbowałem wiele, wiele razy, już po jej próbie samobójczej, kiedy wyszła ze szpitala, ale i ona, i Christine jakby rozplynęły się w powietrzu. No i potem ten telefon od Matthew. Powiedział, że ma pewne pytania natury zawodowej i zastanawia się, czy mogę na nie odpowiedzieć.

– Jakie dokładnie pytania?

– Dotyczące mojej wstępnej diagnozy Ellie.

– Aha. – Mae postukał sobie długopisem w wargę. – Proszę dalej.

– Jego zdaniem przypadłość Ellie kryła w sobie więcej, niż się być może początkowo wydawało.

– I to pana poirytowało, że ktoś kwestionuje pana diagnozę. Że on, żaden specjalista, uznał, że zauważył coś, co pan pominął.

Cox uśmiechnął się, ale nie było w tym prowokacji. Raczej jedynie smutek.

– Kiedy ja też to zauważyłem. Tyle że nie mogłem tego leczyć, ponieważ zniknęła.

– Mówi pan, że pan zdiagnozował... myśli pan, że to coś innego niż zaburzenie dysocjacyjne tożsamości?

– Moim zdaniem, kiedy ją u siebie widywałem, w jej opowieści oraz... życiu domowym pojawiały się elementy zdradzające możliwość... innych problemów.

Mae zmarszczył brwi i położył długopis wzdłuż notatnika.

– Pozwoli pan, że przedstawię to wprost. Ubiegłej nocy znaleziono przy panu torbę należącą do zaginionego, zawierającą kilka tysięcy funtów w gotówce. Wcześniej ukraść pan należącego do niego laptopa, a kiedy zdał pan sobie sprawę, że go szukamy, usiłował zamaskować jego zwrot. W pana obecnym położeniu nie powinien się pan wdawać z nami w gierki słowne.

Cox skinął głową.

– To długa historia – zastrzegł.

– Zamieniam się w słuch.

Z rezygnacją wziął głęboki wdech, jak gdyby szykował się dać nura do wody, czego wolałby uniknąć.

– Trzy tygodnie przed zniknięciem Jodie udałem się na konferencję na Bałkany. Bywałem tam już wcześniej, spotkania odbywały się co parę lat, poznałem tam wielu ludzi. Zostałem tydzień dłużej, by rozmówić się z paroma kolegami o przypadku Ellie. To, co tam odkryłem, rzuciło znaczące, nowe światło na moją wcześniejszą wiedzę o jej przypadku. Ellie przyszła do mnie, jak wiecie, bez zgody swojej matki, w dwa tysiące szóstym roku. Chciała porozmawiać o swojej przypadłości, o swoich przejściach z tym, co nazywamy „alter”. Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości budziło moje zainteresowanie. Zaczęliśmy od tradycyjnej metody gestalt: przede wszystkim starałem się szukać sposobu, by mogła się wypowiedzieć o leżącej u podstaw tego traumie.

– Ma pan na myśli przyczynę – wtrąciła Kit.

– W pewnym sensie, owszem. Problem polegał na tym, że Ellie była bardzo... zamknięta. Przez długi czas żyła ze swoją przypadłością w całkowitej tajemnicy. Poczucie zdrady, które ją ogarniało, gdy opowiadała o sobie bez wiedzy matki, przypominało nieomal ofiary kultów. Spróbowałem regresji, a także paru innych technik. Odkryłem, że w gruncie rzeczy bardzo wiele mówi to, jak wspomina wydarzenia z bardzo wczesnego dzieciństwa.

Było to – przerwał na chwilę i westchnął – coś niewiarygodnego. Okazało się, że w rzeczywistości знаła strzępki szczegółów, które w sobie zatrzasnęła.

– Mówimy teraz o odzyskiwaniu wypartych wspomnień? – upewnił się Mae. – Czy tego przypadkiem nie obalono jako lipy?

Cox sztywno pokręcił głową.

– Istotnie, rzecz wciąż budzi ogromne kontrowersje, ale nie tym się zajmowaliśmy. Nie usiłowałem odblokować wspomnień jako takich, chodziło tylko o wypuszczenie alter ego na plan pierwszy, aby ten aspekt jej osobowości zyskał możliwość bycia wysłuchanym.

– Nie rozumiem, w jaki sposób to w ogóle może mieć dla państwa jakieś znaczenie – wtrąciła się, chrząknawszy, adwokatka.

Cox zbył to zastrzeżenie gestem dłoni.

– Nie, nie, ja chcę współpracować. Chcę, by było widać, że współpracuję.

Mae i Kit wymienili pobieżne spojrzenia.

– Oczywiście – zapewnił Mae.

Cox nalał sobie wody ze stojącego na stole dzbanka do plastikowego kubeczka.

– Chciałem dotrzeć do sedna traumy, ustalić, co takiego się stało, co tak przerażało Ellie, że nie była w stanie tego przetworzyć i odzyskać pełnego panowania nad własną tożsamością. Z tego, co mi powiedziała, zrozumiałem, że wraz z matką szukały już wcześniej pomocy, lecz moje zaniepokojenie wzbudziło panujące między nimi olbrzymie tabu, jeżeli chodzi o wczesny etap życia Ellie. Nie znała nawet imienia swego ojca, a na dodatek miała takie – swobodnie przeciągnął ręką wzdłuż własnych pleców – takie ślady, takie blizny, których nie potrafiła na dobrą sprawę wyjaśnić. Jej dysocjacja wydawała się klasyczną reakcją na... – przerwał i odchylił głowę w tył, wpatrując się w sufit. – Dobry Boże, tyle lat chronięm prywatność swoich pacjentów, a teraz opowiadam wam to wszystko, nawet nie spyawszy jej o zgodę.

Mae poczekał. W końcu Cox uporał się z wyrzutami sumienia i kontynuował.

– Jej przypadłość przypominała klasyczną odpowiedź na wykorzystywanie. Strach to poważny katalizator w przypadkach dysocjacji: dziecko może tak bardzo bać się okazać prawdziwe emocje, że na dobrą sprawę odszczepia

część swojej tożsamości, podświadomie próbując nad tą emocją zapanować czy też ją ukryć. Te, jak to mówiła, fugi...

Mae uniósł dłoń.

– „Jak to mówiła”? A pan określa je inaczej?

Cox spojrzał mu w oczy.

– Ja ich nijak nie określam.

– A co to znaczy?

– Znaczy, że odmiennie postrzegam jej schorzenie.

– A więc dostrzegł pan u niej coś, co wymykało się wszystkim innym terapeutom, u których przez te lata bywała?

Zastanowił się nad tym.

– Ale którym konkretnie terapeutom? Bo nigdy nie trafiłem na jakiegokolwiek dowody na to, by w ogóle widywała się z terapeutami.

– Uważa pan, że to zmyśliła?

– Staram się działać na materiale dowodowym. Dlatego też chciałem potwierdzić to, co słyszałem o jej fugach. Pragnąłem wypytać o nie matkę Ellie, lecz Ellie sprzeciwiała się temu, bym się z nią kontaktował. I to bardzo głośno.

Kit zmrużyła oczy i zdezorientowana przechyliła głowę na bok.

– Dlaczego?

– Dobrze pytanie. Powinienem się wstydzić, że sam go sobie wówczas nie zadałem. Z perspektywy czasu robiła to oczywiście z tego samego powodu, z którego kłamała co do swojego wieku. Nie chciała, by Christine wiedziała, że prowadzę z nią terapię.

– A to z kolei dlatego, że...?

Ostentacyjnie wzruszył ramionami.

– To już ją pytajcie.

Kit przewróciła kolejną stronę w notatniku.

– Wspominał pan o Bałkanach.

Cox pociągnął łyk wody, po czym skinął twierdząco głową.

– Wśród przewlekłych lęków Ellie powracał lęk przed mężczyznami w mundurach. Przy okazji jednej konkretnej sesji skupiliśmy się na tym, a ona

bardzo odważnie zgodziła się stawić czoła temu lękowi i poważnie mu się przyjrzeć. W rozmowie ustaliliśmy, że nie chodzi po prostu o byle mundur, ale o taki zielony czy w kolorze khaki, jaki zwykle się kojarzyło z piechotą, z wojskiem. Stwierdziliśmy także, że podstawą tego lęku był pewien bardzo zaniedbany żołnierz, nadzwyczaj niechlujny. I nie chodziło o jedno tylko zdarzenie, to było ileś rozmaitych scen, które wychodziły na powierzchnię. Tu odezwały się u mnie dzwonki alarmowe: wyglądało na to, że ten ktoś – jeden albo też w grupie – nie działał w ramach regularnej formacji wojskowej.

Kit przestała przygryzać kciuk.

– Czyli że boi się uzbrojonych bojówek?

– Daj mu skończyć – zastrzegł Mae, unosząc dłoń. – Proszę mówić.

Cox spojrzął na własne dłonie.

– Miała taki powracający koszmar o śmierci małego chłopca, ledwie szkraba. Chciałem się przekonać, czy istnieje powiązanie między tym traumatycznym wydarzeniem a obrażeniami Ellie. Po prostu nie kupowałem oficjalnej wersji, według której doszło do wypadku kuchennego z wrzącą wodą. Cały ten czas uważałem, że ktoś bliski Ellie musi mieć informacje o tym, skąd ma te blizny. Zacząłem się tym przejmować, stało się to moją niemalże obsesją. Kiedy byłem za granicą na konferencji, wspomniałem o tej sprawie koledze, który, tak się składa, jest bośniackim Serbem i udziela się w organizacji charytatywnej pomagającej dzieciom z PTSD, bardzo angażuje się w proces pojednania i tego rodzaju kwestie. Ma się rozumieć z początku nie skupiłem się na detalach samej traumy, lecz kiedy przedstawiłem, jak to zgrubnie wyglądało, poprosił, bym wdał się w szczegóły. Powiedział mi, że ta opowieść Ellie – o małym chłopcu mordowanym przez żołnierza – bardzo przypominała coś, co po latach zrelacjonował pewien świadek przed trybunałem haskim. Znajomy wygrzebał transkrypcję zeznań i odkryliśmy, że szczegóły snu Ellie pokrywały się z tym... zdarzeniem. Chodziło o prawdziwą sytuację, która zaistniała. Tyle tylko, że to niemożliwe, by Ellie to widziała. Nie dość, że byłaby zbyt młoda, by to wszystko przetworzyć, to przecież nigdy nie była nigdzie poza Wielką Brytanią. Ale nie byłem w stanie tak po prostu odpuścić, te szczegóły za mocno się zgadzały.

Mae ścisnął palcami skronie, a jego umysł rozpaczliwie starał się ogarnąć to, co właśnie słyszał.

– Przepraszam, czyli mówi pan, że pana zdaniem trauma Ellie wynika z... Co pan właściwie mówi? Że usłyszała to gdzieś w wiadomościach? Że drogą

projekcji astralnej zobaczyła to w dzieciństwie czy co?

– Nie, nie o to chodzi. Ten znajomy pomógł mi namierzyć to zdarzenie. Nie potrafiłem pozbyć się myśli, że istnieje tu jakiś związek. Urobiliśmy się przy tym po łokcie, ustalenie czegokolwiek zajmowało długie dni, bo tak wiele miejsc pozmieniało nazwy od czasu wojny, a ludzie wciąż boją się mówić. Ale udało nam się znaleźć osobę, która złożyła te zeznania: pracowała w ośrodku dla uchodźców w miejscu dawnego technikum w innej miejscowości, którą od miejsca zdarzenia dzieliła wtedy tymczasowa granica. Teraz działa tam ośrodek dobroczynny, a przynajmniej tak było, gdy ostatnio się z nimi kontaktowałem. Udało mi się dodzwonić do niej, do tej osoby, przez telefon satelitarny. Nazywa się Rana Filipović. Doskonale mówi po angielsku. No więc wybraliśmy się na spotkanie z nią, by czegoś się dowiedzieć. Byłem tym podekscytowany, więc zatelefonowałem do Anglii, by powiedzieć Ellie, że... sam nie wiem... że wydaje mi się, że coś znaleźliśmy. Ale kiedy zadzwoniłem, odebrała Christine. – Nastąpiła pauza. – Była wściekła.

Mae zakołysał się na krześle.

– Christine?

– Tak.

– Za co?

– Za mnie. Za fakt, że w ogóle odezwałem się do jej córki. Pierwszy raz w ogóle miałem jakiś kontakt z Christine. Przy okazji tej rozmowy odkryłem, że Ellie wprowadziła mnie w błąd co do swojego wieku. Powiedziała mi, że ma szesnaście lat, a ja jej uwierzyłem. Każdy by uwierzył. Tymczasem była dwa lata młodsza, a to znaczyło, że do spotkań z nią potrzebowałem zgody rodzica.

– Co się stało po tym telefonie?

Cox lekko pokręcił głową i spojrzał Mae w oczy.

– Do momentu rozmowy z matką Ellie nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale dostrzegłem pewne powiązanie. To była reporterka wojenna. Przyszło mi na myśl, że Christine Power mogła tam być.

– Dobra, ale to nadal nie tłumaczy nic w kwestii Ellie, prawda? – zauważyła Kit, kręcąc głową i zaciskając powieki. – Czy ona w ogóle była już wtedy na świecie, kiedy to się stało?

Lecz Mae zaczął już dopatrywać się w tym jakiejś ścieżki interpretacyjnej. Reporterzy robili zdjęcia, nagrywali materiały. Czy możliwe, by Ellie tę

traumatyczną sytuację, która tak bardzo ją dotknęła, zobaczyła z drugiej ręki? Ale czy to w ogóle możliwe, by jej przypadłość wynikała właśnie z tego?

– Rzecz w tym – mówił dalej Cox – że byłem już tak blisko. Odnaleźliśmy kobietę, która złożyła zeznania w Hadze, zamierzałem pojechać i się z nią spotkać. Ale znienacka, po rozmowie z Christine, cała sprawa się sypnęła. Jeszcze tego samego dnia, kiedy dotarłem na miejsce, ta pani Filipović zamknęła się w sobie. Nie dała mi przestąpić progu domu. Powiedziała, że nic nie wie o aktach przemocy, kazała mi odejść i więcej się z nią nie kontaktować. Praktycznie wręcz ją błagałem, ale – uniósł dłonie ku ścianie, którą miał przed sobą – na próżno. Więc wróciłem do domu.

– A co powiedziała Ellie, kiedy pan ją o tym poinformował?

– Nie poinformowałem. Nie miałem jak. Christine zarzucała mi, że Ellie ma się gorzej, że to stres związany z tym, co określiła „wygrzebywaniem wszystkiego”. Lucy zaczęła...

– Lucy Arden? – wcięła się Kit, podnosząc oczy znad notatek.

Przytaknął.

– Zaczęła już wtedy nabierać podejrzeń co do Jodie, a Jodie cały czas do mnie wydzwaniała i chciała, bym jej wszystko powiedział. Wpadła na ten szalony pomysł, że sama tam pojedzie i dokończy to, co ja zacząłem.

– I co się potem stało? – dopytał Mae.

– Nie mogłem skontaktować się z Ellie, Christine nie otwierała mi drzwi, zaraz potem zniknęła Jodie Arden, a Ellie... no, sami wiecie, co potem zrobiła Ellie.

Kit prowadziła notatki. Mae poczekał, aż wszystko zapisze, po czym kontynuował.

– Wziął pan na siebie opiekę nad Ellie po tym, jak wypisano ją ze szpitala po... po próbie samobójczej.

– Tak.

– I wtedy powiedział jej pan o tych nowych informacjach?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nie byłem w stanie kontynuować jej terapii.

Mae zacisnął mocno powieki, starając się to jakoś przetworzyć.

– Chce nam pan powiedzieć, że opiekę nad nią przekazano konkretnie panu...

– Co musiała zatwierdzić najbliższa osoba, jako że chodziło o kogoś małoletniego – podkreśliła Kit, podnosząc wzrok.

– Ale pan nie był w stanie wywiązać się ze swoich zobowiązań wobec niej, ponieważ... Ponieważ co, tak właściwie?

Cox popatrzył mu prosto w oczy.

– Ponieważ Christine odmówiła.

Kit potarła twarz dłońmi. Zaśmiała się pozbawionym radości, rozdrażnionym śmiechem i złożyła palce na blacie w piramidkę.

– Dobra – zaczęła. – Czyli pewnie źle to rozumiem, no ale skoro został pan oficjalnie wyznaczony do zapewnienia opieki psychiatrycznej po wygaśnięciu lub wygaszeniu przymusu hospitalizacji na podstawie Ustawy o zdrowiu psychicznym, to czy nie jest pan prawnie zobligowany bądź to zapewnić takową opiekę, bądź też powiadomić stronę decyzji o wypisie? A jeśli nie, to osobę odpowiedzialną za kwestie zdrowia psychicznego we właściwym oddziale podstawowej opieki medycznej?

Mae z całych sił powstrzymywał się, by nie parsknąć śmiechem.

Lecz Cox w ogóle nie wydawał się rozbawiony.

– Bardzo pani biegła w mojej dziedzinie, pani posterunkowa.

– Pani detektyw posterunkowa – poprawił go Mae.

Kit spojrzała na Coxa z gwałtownym uniesieniem podbródka.

– Czy mam to rozumieć jako „tak”?

– Tak.

– A więc pozwolił pan, by czyjeś żądania wzięły górę nad potrzebami Ellie.

– Tu nie chodziło o byle kogoś. Chodziło o jej matkę.

– Jasne. Ale pozwolił jej pan na ingerencję ze szkodą dla zdrowia dziecka, które powierzono pana opiece, i nawet pan tego nie zgłosił? Czy to nie jest to, no... – przerwała i odwróciła się w stronę Mae. – Jak to się nazywa?

Mae ostentacyjnie udał, że próbuje przypomnieć sobie termin.

– Zaniedbanie?

– O, to! – rzuciła, pstrykając palcami, po czym przewierciła Coxa wzrokiem. – O to mi chodziło. Zaniedbanie medyczne. – Zrobiła pauzę. – Czy

też może zaniedbanie kryminalne. Doktorze Cox?

Sprowokowana prawniczka przerzuciła kartkę na swojej podkładce do notatek.

– To do was należy ustalenie zarzutów, a nie do mojego klienta.

Kit skinieniem głowy przyznała jej rację. Wyglądała tak, jakby robiła to już od wielu lat.

– Ale niech mi pan powie – spytała go wprost – w jaki sposób Christine Power zdołała skłonić pana do sprzeniewierzenia się własnej odpowiedzialności zawodowej względem tego dziecka?

Cox zwiesił ramiona i wymamrotał coś niezrozumiale.

Mae nachylił się do przodu.

– Do mikrofonu, doktorze Cox.

– Powiedziałem, że to z powodu fotografii.

– Charles, poprosimy o bardziej szczegółową odpowiedź.

Cox powoli napił się wody. Wypił ją do końca. Następnie poprawił sobie kołnierzyk. Takie skupianie się na kolejnych drobnych czynnościach, takie ciągi gestów stanowiły oznakę dobrze znaną Mae. Nadchodziły przed punktem kulminacyjnym przesłuchania, zawsze wtedy, gdy przesłuchiwany robił ostatni krok i wykazywał coś, czego dłużej już nie potrafił zatajać. Mae niemalże czuł, jak powietrze dookoła nich gęstnieje.

– Sfotografowałem ślady obrażeń na ciele Ellie. Według mojej teorii, skoro nie potrafiła dokładnie przypomnieć sobie okoliczności wypadku, podczas którego ich doznała, było prawdopodobne, że wiązały się z traumą, która spowodowała dysocjację. Ellie uważa, że blizny to skutek poparzeń z wywróconej patelni z wrzącą cieczą. Ja jednak, nie wdając się teraz w rozważania natury dermatologicznej, nie byłem tego taki pewien. Chociażby na nogach miała takie poparzenia, które bardziej przypominały oparzenia kontaktowe czy też wystawienie na działanie płomieni.

Mae wzruszył ramionami.

– Aha. Czyli obfotografował pan jej nogi. Nie brzmi to jakoś strasznie.

Cox nic nie powiedział.

Mae nalał sobie kubek wody. Znad rantu naczynia przypatrywał się Coxowi.

- Ale nie chodziło tylko o nogi.
- Nie.
- Chodziło o jej całe ciało.
- Tak.
- Łącznie z najbardziej intymnymi częściami.
- Blizny pokrywały miejsce na samej górze jednej z jej nóg. I sięgały strefy łonowej.
- Aha – skwitował Mae.
- Więc potrzebne mi były również fotografie tego obszaru. Zamierzałem skonsultować rzecz z pewnym znanym mi chirurgiem ortopedą. Łącznie zrobiłem Ellie pięćdziesiąt pięć fotografii.
- I były to fotografie...
- Owszem, Ellie była na nich naga, i nie stanowiłoby to problemu, ponieważ wyraziła na to zgodę, a była, jak sądziłem, w odpowiednim wieku, by takiej zgody móc udzielić. Lecz potem, kiedy wróciłem z wyjazdu, Christine dowiedziała się o zdjęciach. Wtedy prędko zdałem sobie sprawę z tego, co się stało, i że to, co uczyniłem w dobrej wierze, może zostać wykorzystane przeciwko mnie.
- Czy chce pan powiedzieć, doktorze Cox, że był pan szantażowany? – dopytała Kit.
- Christine zażądała, bym całkowicie zerwał kontakt, bym już nigdy więcej nie odzywał się do Ellie ani nie omawiał tego, czego dowiedziałem się w Bośni, bo inaczej zawiadomi policję o tym, co określiła – zacisnął powieki i wziął wdech, aż wreszcie dokończył zdanie głosem, który ścichł niemal do szeptu – „wykorzystywaniem seksualnym jej córki”.
- A czy wykorzystywał ją pan? – spytała spokojnie Kit.
- Cox zrobił wielkie oczy.
- Nie! Boże, nie! Nie. Nie wykorzystywałem.
- Albo może czy sprzedał pan te zdjęcia?
- Nie. Nie. Nigdy w życiu bym...
- Udostępniał je pan?
- Cox wyglądał, jakby zaraz miał się popłakać.

– Kiedy zyskałem absolutną pewność, że Matthew jest osobą, za którą się podaje, podzieliłem się z nim moją dokumentacją. W teczce znajdowały się też zdjęcia.

Mae odchrząknął.

– No dobrze, proszę wybaczyć moją ignorancję, ale w jaki sposób Christine Power może pana szantażować, jeżeli nie ma pan nic do ukrycia?

Cox gwałtownie odrzucił włosy, przez co sprawiał wrażenie harrego.

– Wszyscy wiemy, detektywie, jak to działa. Nie ma dymu bez ognia.

– Ale chwileczkę – wtrąciła Kit, odkładając długopis. – Czyli mówi pan, że to Christine chciała, by przemilczał pan to, co ustalił pan w Bośni?

Cox przytaknął.

– A więc ta dyskietka, którą podobno pan zgubił, a na której były wszystkie informacje o tym, czego się pan tam dowiedział...

– To ja ją zniszczyłem.

Tego dla Kit było za wiele. Mruknęła rozdrażniona i walnęła otwartą dłonią w stół.

– Ale co na niej było?! Co to było tak strasznego, że nie mógł się pan tym podzielić z Ellie? Że jej własna matka nie chciała, by o tym wiedziała?

Cox jak gdyby się skurczył, sflaczał jak ktoś, z kogo uchodzi życie.

– To było z mojej strony haniebnie. Okłamałem pacjentkę, okłamałem dziecko, które polegało na mnie, aby dojść do prawdy. Nie potrafiłem o tym zapomnieć. To mnie prześladowało. To... to po prostu...

Ucichł, przetarł oczy i wypuścił ciężko powietrze, starając się uspokoić.

– Słuchajcie, nie oczekuję od was zrozumienia. Ale to poczucie winy było po prostu przytłaczające. Byłem tak blisko odpowiedzi, ale zarazem kazano mi trzymać się z daleka od osoby, która najbardziej ich potrzebowała. Sam nie wiem. Pewnego wieczoru, już po powrocie z wyjazdu, podczas imprezy rodzinnej, na której za dużo wypilem, opowiedziałem o tym Jodie. Jeśli mam być szczery, to zacząłem jej unikać. Relacje między nami już się ochłodziły, a na dodatek sytuacja z jej matką była strasznie skomplikowana.

Mae nie użyłby tutaj określenia „skomplikowana”, ale to przemilczał. Na biurku zabrzęczał jego telefon, a gdy sierżant go odwrócił, zobaczył, że dzwoniła Nadia. Zmarszczył brwi – nigdy nie telefonowała, kiedy był w pracy – mimo to wyciszył połączenie. Gestem polecił Coxowi, by kontynuował.

– Powiedziałem Jodie, że niepokoi mnie coś, co odkryłem – ciągnął Cox – a ona, rzecz jasna, chciała wiedzieć, co to takiego, ja zaś postanowiłem nie zdradzać jej szczegółów sprawy, no to ona się strasznie rozzłościła i powiedziała, że monopolizuję informacje dotyczące życia Ellie. Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Ale parę tygodni później...

– Chwila – wtrącił Mae. Zazwyczaj nie przerywał zeznań, ale dowiedział się czegoś nowego. – Nie pamiętam, by wspominał pan o tej pana kłótni z Jodie Arden.

Cox zmarszczył czoło.

– Nie? To znaczy nie nazwałbym tego właściwie kłótnią, a raczej różnicą zdań...

– Kto wiedział o tej różnicy zdań?

– Wydaje mi się, że nikt. Ale nie to chciałem...

– Czy Ellie wie?

– Nie, oczywiście, że nie...

– A Christine?

– Co? Nie, nie sędzę... Choć w sumie to tak. Wydaje mi się, że tak, że coś wspomniałem. Często wtedy do niej wydzwaniałem, starałem się ją przekonać, by jeszcze raz to przemyślała, by pozwoliła mi pomówić z Ellie. Ale sęk w tym, że parę tygodni później dostałem faks od Rany Filipović, z którą usiłowałem się spotkać podczas pobytu w Bośni.

Mae zanotował coś.

– I co w nim pisała?

Cox rozłożył ręce.

– Chciała wyznać prawdę. Miała pewne informacje i przesłała mi wszystkie posiadane dokumenty. Ale, co najważniejsze... nie musi pan tego odebrać?

Mae spojrzał na swój telefon. Znowu Nadia. Podniósł się, uświadomiwszy sobie, że coś było nie tak.

– Przepraszam, muszę sprawdzić, co się dzieje. Kit, zatrzymaj na moment taśmę.

Już pierwszy dźwięk, który usłyszał, gdy udało mu się dodzwonić do Nadii, dał mu do zrozumienia, że chodziło o złe wieści. I to bardzo złe. Usłyszał

bowiem syrenę karetki pogotowia, którą Nadia starała się przekrzyczeć.

– Natychmiast tu przyjeżdżaj – mówiła. – Żle z nią. Naprawdę źle.

– Moment – wciął się. – Moment – powtórzył i rzucił się do biegu. Za jego plecami otworzyły się drzwi pokoju i usłyszał wołanie Kit, ale się nie zatrzymał. – Jak to źle? Co się stało?

– Po prostu przyjeżdżaj. Do szpitala.

– Sierzancie? Co się stało? – zawołała za nim Kit.

W biegu, nie odwróciwszy nawet głowy, odkrzyknął:

– Miś jest w szpitalu.

Wypadł tak szybko na parking, że aż stado gołębi poderwało się do lotu. W ciemno wybrał samochód i szarpnął za klamkę. Zamknięty. Sięgnął do następnego, wciskając telefon między ramię a ucho.

– Mów, co się stało.

Ale głos, który teraz słyszał, nie należał do Nadii. Dobiegał z większej odległości i powtarzał tylko:

– Mamo? Mamo? – I to musiała być Miś, ale to niemożliwe, bo głos Miś brzmiał tak pięć czy sześć lat temu, to był głos małej dziewczynki, wystraszonej, niepewnej i naprawdę bardzo, bardzo małej.

– Mamo? Die tatu?

Mae stanął. Na samym środku parkingu, z jedną ręką w rękawie marynarki, której reszta zwisała mu za plecami.

– Dlaczego ona tak mówi? – spytał.

– Tata już jedzie, kochanie – powiedziała Nadia, a pod koniec dało się słyszeć szloch. Po czym dopytała go: – Bo jedziesz, prawda? Mogę jej powiedzieć, że już jedziesz?

Podwójne drzwi komisariatu otworzyły się i pojawiła się w nich Kit.

– Kluczyki – rzuciła, w biegu unosząc je do góry. – Wóz na miejscu siedem.

W tej samej chwili trzasnęli drzwiami i w mgnieniu oka wyjechali z parkingu.

– Zaraz tam będziesz – zapewniła Kit, włączając koguty i przyspieszając na Boston Manor Road.

ROZDZIAŁ 68

Ellie

Kobieta pracująca w szkole nazywała się Rana. Ktoś, kto odebrał, poprosił ją do telefonu, bo jako jedyna osoba w budynku mówiła po angielsku. Gdy tylko się odezwała, od razu wyczułam poważny ton. Zaraz potem jednak powiedziałam, w jakiej sprawie dzwonię. Choć sama tego do końca nie wiedziałam: odezwał się do niej mój chłopak i wydawało mi się, że pytał o mnie, ale obecnie uznano go za zaginionego. Nie miałam nawet pojęcia, o co ją proszę: cała moja opowieść pewnie brzmiała jak zbitka chaotycznych słów obłąkanej dziewczyny. Tymczasem osoba po drugiej stronie wysłuchiwała mnie, nie przerywając, po czym zaproponowała rozmowę przez Skype'a.

Gdy tylko nawiązałyśmy połączenie wideo, kobieta się rozplakała.

Podczas pięciominutowej rozmowy, czterokrotnie zrywanej z powodu kłopotów z łączem internetowym, całkowicie zmieniła swoje nastawienie. Stwierdziła, że nie mogła rozmawiać przez telefon, i kazała mi natychmiast do nich przyjechać. Chciała odkryć przede mną coś, co pokazała Matthew. Od razu sprawdziła lot i zobowiązała się zapłacić za bilet. Musiałam jedynie pojechać na Heathrow na 12:25. Chciałam jej odpowiedzieć, że nie dam rady. Ja? Latać? Sama? Wykluczone. Nie ma szans. Zamierzałam stwierdzić: „Gdybyś mnie znała, tobyś zrozumiała. To niemożliwe”.

Ale Siggy była przy mnie i nasłuchiwała. Gdy ze strachu niemal chciałam przerwać połączenie, ona chwyciła mnie pewnie za dłoń. Gdy Rana tłumaczyła, co mam zrobić, Siggy mnie wspierała. To ona odpowiedziała, że owszem, jestem w stanie to zrobić. Że dam radę wyjechać tam jeszcze dziś, jeśli istnieje taka potrzeba. To Siggy spowodowała, że wstałam z krzesła i wyszłam.

Ruszyłyśmy po odpowiedzi. Razem.

Moja matka, której ufałam najbardziej na świecie, mnie okłamywała.

Czekałam na właściwą stację, błędząc oczami, a w myślach raz za razem powracając w jedno miejsce. Nie do Matta, nawet nie do radiowozu przed domem, ale do twarzy mojej matki na zdjęciu Bernadette. Widać na niej było oczywistą, dogłębną miłość do noworodka. Granica między nimi była zatarta, wyglądały jak dwie kropelki rtęci, które przy lekkim dotknięciu zlałyby się z powrotem w jedną idealną całość.

Pociąg metra wjechał do tunelu, a okno, przez które wyglądałam, stało się czarnym lustrem. Odwróciłam wzrok.

Z powodu hałasu i zamętu w hali lotniska Heathrow o mało co nie zrezygnowałam. Setki, tysiące osób pędziły gdzieś albo wystawały w kolejkach. Szybko, jasno, głośno. Skuliłam się i znieruchomiałam. Nie byłam w stanie. Nie byłam w stanie polecieć samolotem. Kogo ja próbowałam oszukać?

Włączyłam telefon. Po dwóch minutach zadzwoniła mama.

Przez pięć sekund nie odbierałam, wyobrażając sobie przyszłość. Wysłuchałaby mnie i wszystko wytłumaczyła. Wróciłabym do niej. Byłabym taka jak dotychczas.

Odebrałam.

– Mamo.

– Dzięki, kurwa, Bogu, Ellie! Gdzieś ty się podziewała? Wracaj. Musimy porozmawiać.

– Nie.

Zaśmiała się, ale po chwili zrozumiała, że nie żartuję.

– Ellie. Ja nie proszę.

– Czemu nie wysyłałaś naszych listów?

Milczała tak długo, że nie byłam pewna, czy się nie rozłączyła.

– Mamo?

– Bo są na tym świecie rzeczy, których nie zrozumiesz, Ellie.

– Przekonajmy się.

– Możemy o tym porozmawiać. Dobrze? Możemy, jeśli bardzo ci na tym zależy. Ale musisz wrócić. Teraz. Mówię serio.

– No, ja też mówię serio. Nie wracam. Muszę gdzieś pojechać.

– Gdzie?

Nie odpowiedziałam.

Mama westchnęła.

– Dobrze. Powiem coś, co ci się nie spodoba. – Zamilkła na chwilę, po czym stwierdziła czule: – Ellie, tylko proszę cię, czy możesz stanąć w jakimś cichym miejscu? Boże. Bardzo nie chcę tego mówić przez telefon.

Nie wiedziałam, gdzie była, ale czułam jej miłość, gęstą i otulającą. Dziwiło mnie to uczucie, betonowe, jakby było ciężarem na gardle. Dopiero w tym momencie zrozumiałam, że piłka była po mojej stronie. To ja byłam dzieckiem, które w końcu dorośnie i ją zostawi. Nie potrafiłam kochać jej takim samym uczuciem, jakim ona mnie darzyła, a ta nierówność będzie ciągnąć się za nami i dotyczyć każdej sprawy. To nigdy by się nie zbilansowało, bo miłość matki do dziecka ma swoją specyfikę, kierunek. Jak bagnet.

Skojarzyłam, że to wcale nie brzmi jak miłość.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – spytałam bez emocji.

– Ellie – zaczęła. – Dziecko moje. Tak bardzo przepraszam, że cię okłamałam. Nie powinnam była, ale nie chciałam, byś cierpiała. Ale skoro doszliśmy do takiej sytuacji, nie widzę innego wyjścia.

Spojrzałam na jakąś kobietę. Ciągnęła za sobą walizkę na kółkach, na której siedziało dziecko grające na komórce, nieświadome tego, dokąd zmierza. Matka zatrzymała się przed tablicą odlotów. Dzieckiem trochę szarpnęło, ale nawet nie podniosło głowy znad ekranu.

– To było wtedy, kiedy zastałyśmy wyłamane drzwi, a ty zraniłaś się w rękę. Rano, gdy wyszłam, znalazłam coś. Nie mówiłam ci, bo miałam nadzieję, że zdołamy to przetrzymać, tak jak poprzednio.

Zamknęłam oczy, oczekując najgorszego.

– Kochanie, ja go znalazłam. Nie mogłam ci tego powiedzieć, bo wszystko było tak jak z Jodie. Zajęłam się... materiałem dowodowym. Zrobiłam to, by cię ochronić, bo cię kocham i moim obowiązkiem jest zapewnić ci bezpieczeństwo.

Nie odezwałam się, czekając, aż usłyszę wszystko, co i tak wiedziałam. Wiedziałam o tym już wtedy, gdy ubłocona i wystraszona wróciła do domu.

– Siggy to zrobiła, najdroższa. Dokładnie tak samo jak przy Jodie. Udusiła go paskiem. To nie twoja wina, ale on nie żyje. Odszedł.

Zapadło milczenie. Nie zamierzałam płakać. Nie przy mamie, mimo że serce mi pękło. Nie chciałam być dłużej dla niej tą osobą.

– Ale ja tu jestem, kotku – odezwała się mama, przerywając ciszę. – Jestem tu. I zawsze będę. Wróć do domu. Potrzebuję cię. Potrzebujemy się nawzajem.

Oddaliłam telefon od ucha i się rozłączyłam. Stałam w kolejce do kontroli bezpieczeństwa, a stamtąd skierowałam się do bramki.

Jeśli wydawało jej się, że jestem od niej zależna i bez niej nie przeżyję, to okazało się, że całkiem dobrze daję sobie radę.

ROZDZIAŁ 69

Mae

Teraz Miś spała. Było późne popołudnie, mniej więcej ta pora, o której – gdyby sprawy ułożyły się inaczej – wracałaby akurat ze szkoły do domu. Gdzieś teraz musiało zachodzić słońce, ale nie widać go było z okna sali szpitalnej, które wychodziło na ceglany mur. Mae, bez słowa ani ruchu, siedział obok córki na składanym krześle, położywszy palce obok wenflonu na wierzchu jej małej rączki. Patrzył, jak oddycha, a za każdym razem, gdy jej klatka piersiowa podnosiła się i opadała, czuł wdzięczność.

To, co początkowo brano za objaw zapadnięcia się płuca, okazało się jedynie bardzo nagłym i bardzo ostrym atakiem astmy, spowodowanym incydem, do którego doszło w szkolnych toaletach. Straciła sporo krwi i potrzebowała pokaźnej transfuzji, wciąż też czekały ją badania w celu wykluczenia obrażeń wewnętrznych, lecz poprawa jej stanu usatysfakcjonowała lekarzy na tyle, że pozwolili jej trochę pospać. Obrażenia twarzy – a właściwie jej rozcięcie, jej uraz – się zagoją. Cała reszta będzie musiała poczekać.

Drzwi za jego plecami otworzyły się z cichym kliknięciem i usłyszał czyjeś kroki, ale nie Nadii, które to kroki zatrzymały się przy łóżku.

Podniósł wzrok. Był to Mike, szczuplejszy, niż go zapamiętał Mae. Właśnie wrócił po odwiezieniu Nadii do domu, aby zajął się drugim dzieckiem. Podał Mae parujący kubek z grubego plastiku. Mae się wyprostował, odebrał go i machinalnie upił łyk, mimo że napój poparzył mu usta, a następnie też i przełyk. Nie przejmował się.

Nie był w stanie powiedzieć „dziękuję”. Nie był w stanie powiedzieć czegokolwiek.

To, co Nadia opowiedziała mu w nienaturalnie brzmiących i przerywanych płaczem słowach, przedstawiało się następująco:

Miś była w damskiej ubikacji. Jakaś młodsza dziewczynka widziała całą sytuację. Dwie dziewczyny i chłopak weszli w ślad za Miś. Kiedy zamknęła się w kabinie, wykrzykiwali do niej różne rzeczy. O tym, że jej tata to Japoniec, imigrant, i do tego pies. O jej wadze. Wpierw tylko im odkrzykiwała, ale w końcu straciła cierpliwość.

Jak mówiła dziewczynka, kiedy Miś w końcu wyszła, krzyczała. Z pochyloną głową popędziła prosto na zgromadzoną grupkę. Potem nastąpiło pandemonium. W powstałym zamieszaniu Miś się poślizgnęła i upadła, czemu towarzyszył potężny hurgot, który sprawił, że zbiegła się cała kadra z pokoju nauczycielskiego, mieszczącego się pół gmachu dalej, a także połowa personelu stołówki. Kiedy dorośli dotarli na miejsce, Miś leżała nieprzytomna na posadzce, dolną wargę i podbródek miała rozcięte i zakrwawione, a dookoła jak na rumowisku leżały porozrzucone odłamki rozbitej do połowy ceramicznej umywalki.

Mae poczuł ruch pod palcami.

– U...siu?

Tatusiu. Upuścił pusty kubek i wstał, nachylając się nad Miś i biorąc jej twarz w dłonie. Strużka krwi z kącika ust zaschła jej na policzku, powyżej opatrzonej żuchwy. Obydwie wargi miała mocno napuchnięte i przebarwione w rozmaitych odcieniach wściekłego fioletu, siności i czerwieni.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale natychmiast wzdrygnęła się z bólu i poniechała starań, skrzywiła się i jęknęła żałośnie.

– Ćśśś, kotku – powiedział, gładząc ją po włosach. – Ćśś, wszystko będzie dobrze.

Ale nie ucichła. Drapiący odgłos z głębi jej gardła nie ustawał, wciąż starała się mówić.

– Dominico, musisz odpoczywać... – zaczął Mike, ale natychmiast przerwał mu Mae.

– Zostaw nas samych. Już.

Mike, jakby wiedziony instynktem, zrobił krok w tył, ale nie wyszedł.

– Jestem jej tatą – powiedział mu Mae, a głos mu się załamał. – Jasne? Ja. Ciebie tu nie potrzebuje.

Mike, który wyraźnie poczuł się urażony, przez moment przygryzał wargę, aż w końcu zrobił to, co mu kazano.

– Dom, gdybyś mnie potrzebowała, będę za drzwiami. Tu, zaraz. Dobrze?

Wydała z siebie słaby odgłos na znak, że zrozumiała, po czym Mike zniknął.

Wyczerpana Miś w końcu zamilkła i zamknęła oczy. Chwilę później dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi, a następnie ostrożne naciskanie klamki.

– Cześć – powiedziała Nadia.

Odwrócił się, spodziewając się bury za to, jak bezceremonialnie odprawił Mike’a, tymczasem jednak położyła mu rękę na ramieniu.

– Śpi?

– Tak. – Spojrzał za nią w kierunku drzwi. – Gdzie mała?

– Zajęła się nią siostra Mike’a. Ale słuchaj, właśnie widziałam się z ordynatorką. Mówi, że na rentgenie wygląda to przyzwoicie. Żadnych złamań, nic ponad... – przerwała, niejasnym gestem wskazując na masakra na twarzy ich córki. – A więc, chyba można powiedzieć, że mogło być gorzej. –

I ten dobrze mu znany, wynikający ze zdenerwowania śmiech, ożywiony wybuch optymizmu, który zawsze była w stanie skądś w sobie wykrzesać.

Wstał i na nią popatrzył. Nadia powoli zamrugła i posłała mu niepewny smutny uśmiech.

A Mae zobaczył w niej przeblysłk tego, jaka była, gdy miała dwadzieścia lat, na wieczorze otwartego mikrofonu w barze Troy. Gdy z zamkniętymi oczyma kołysała się jak wierzba do piosenki Cassandry Wilson, którą to piosenkę postanowiła zaśpiewać jako jedyna trzeźwa dziewczyna w lokalu. Wszyscy w sali zamilkli zauroczeni, a kiedy otworzyła oczy, widziała tylko jego.

Przez moment było idealnie.

Za drzwiami pielęgniarka przejechała z grzechoczącym wózkiem pełnym lekarstw.

Mae zebrał się w sobie i powiedział to, co wiedział już od bardzo dawna – od miesięcy, już od ponad roku – ale czego nie potrafił przyznać.

– Ona nie jest szczęśliwa.

Nadia otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale wnet zasłoniła je dłonią, a jej ramiona drżały. Gdy nad tym zapanowała, podał jej chusteczkę. Osuszyła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

– Tak, można to tak ująć. Od dłuższego czasu nie jest naprawdę szczęśliwa.

Przez chwilę stali razem w ciszy.

– Dostałem wiadomość od Mike’a – powiedział Mae. Pokiwał głową, patrząc w podłogę. Przygryzł wargi. – O waszym planie – dodał. – O przeprowadzce. Wysłuchałem. I to wiele razy.

– To dobrze – wyszeptała. Opuściła z ramienia jeden pasek torebki i czegoś w niej poszukała drugą dłonią.

– Jeśli chcesz, to mam egzemplarz prospektu.

Wyciągnęła błyszczący folder w formie składanej książeczki. „Szkoła Podstawowa Lake View” – głosił napis na okładce. Setka jasnookich dzieci machała do aparatu przed połyskującą szklaną fasadą gmachu, dookoła którego rosły palmy. Obok stał zaparkowany żółty autobus szkolny. Niebo miało kolor tropikalnej laguny.

Spojrzał, ale nie był w stanie zmusić dłoni do poczynienia niezbędnych ruchów, aby wziąć to, co mu wręczała.

– A co, jeśli w ogóle jej się nie spodoba? To znaczy skoro tutaj jej dokuczają, to skąd wiadomo, że tam będzie jakoś lepiej?

– Nie wiadomo. Ale co, jeśli będzie zachwycona? – skontrowała Nadia. – Co, jeśli to najlepsze, co jej się kiedykolwiek przytrafiło?

Opadł z powrotem na krzesło i odgarnął nieposłuszny kosmyk kruczoczarnych włosów Miś znad jej noska.

– A co... no a co, jeśli dojdzie do strzelaniny?

Nadia kucnęła obok niego. W proszącym geście podsunęła mu jeszcze raz książeczkę.

– Ben, proszę. Mają niesamowitą infrastrukturę. Oferta szkoły jest nie z tego świata, jeśli porównamy ją z tym, co możemy jej tu zagwarantować.

– Wiem.

– I chodzą tam jej kuzyni, a ona ich uwielbia. Za każdym razem, kiedy jesteśmy w odwiedzinach, pyta, czy może tam zostać. Słuchaj – przyznała, zerkając na Miś – wiem, że to nie jest idealna opcja...

– To zdecydowanie nie jest idealna opcja.

– ...ale tutaj jest nieszczęśliwa. I sytuacja się tylko pogarsza. A teraz jeszcze to.

Tymczasem leżąc na łóżku Miś znowu zaczęła poruszać ustami, z cichym skrzeczeniem wydobywając z gardła samogłoski. Mae delikatnie gładził ją po policzku wierzchem palców.

– Odpoczywaj sobie, kotku. Nic nie musisz mówić – powiedział. Odwrócił się i zaczął, aż przestaną piec go oczy, po czym posłał jej swój najlepszy uśmiech. – Wszystko będzie dobrze. Tatusz jest przy tobie.

Mae wiedział, że na takie okazje ludzie miewali odpowiednie słowa. Na początku służby w oddziale interwencyjnym widział, jak krewni zjawiają się na miejscu i jednym słowem uładzają sytuację. Albo nawet nie muszą niczego mówić, a wystarczy, że tam są. Lecz Miś wciąż starała się mówić, wydobywając z siebie niejasne dźwięki, co ją frustrowało i od czego oczy napełniały jej się łzami.

– Kochanie, to może poczekać, odpoczywaj tylko. – Rzucił okiem na drzwi, licząc, że ktoś, jakaś pielęgniarka, wejdzie i ją uspokoi, bo nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Na podorędziu miał jedynie „kocham cię”, a na co to by się teraz zdało?

Nadia po drugiej stronie łóżka Miś zaczęła jej śpiewać, jednakże od ich córki aż biła czarna rozpacz.

Z braku lepszych pomysłów zaczął znowu ją uciszać, wodząc kciukiem po jej miękkich policzkach. Wydała z siebie krzyk, a na jej twarzy widać było rozdrażnienie. Wyglądała dokładnie, ale to dokładnie tak jak on.

Więc przestał ją uspokajać.

Nie chciała, by ją uspokajał. Chciała, by jej wysłuchał.

I jak gdyby napięcie w pokoju właśnie się rozładowało, Miś przestała się szarpać. Wzięła głęboki wdech, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– AeJ Oły.

– W porządku, kochanie – odparła Nadia. – Jasne. Już sobie o tym porozmawiamy, dobrze?

Lecz dziewczynka w dalszym ciągu przewiercała wzrokiem tatę.

– AeJ. Oły.

Zwrócił się do Nadii z niemą prośbą o pomoc, a ona bez choćby krztyny satysfakcji z faktu, że była w stanie mu to przetłumaczyć, odwzajemniła spojrzenie.

– Mówi, że żadnej szkoły.

Łzy w kącikach oczu jej córki wezbrały i spłynęły ku poduszce, napływając jej też do uszu.

Westchnął i skinął głową, a w sercu otworzyła mu się drobna szczelina.

– Dobrze – powiedział.

Nadia zamrugła.

– Dobrze? To znaczy...?

– To znaczy, że dobrze.

Bo prawda była taka, że jeśli gdzieś indziej jego córka miałaby większe szanse zaznać szczęścia, to musiałby być ostatnim dupkiem, by się temu sprzeciwić.

– Tylko nie pozwól, by zupełnie o mnie zapomniała, dobra?

I Miś zrozumiała. Ścisnęła go za rękę, zamknęła oczy i po paru minutach jej oddech zwolnił, a sama zapadła w sen.

Kiedy wstawał, zahaczył kieszeni o oparcie krzesła, co nasunęło mu pewną myśl. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zegarek matki. Zważył go w dłoniach, a następnie włożył w półotwartą rączkę Miś.

Nadia obeszła łóżko i go uściskała.

– Zasługiwałeś na coś więcej – powiedziała mu tuż przy szyi. Nie musiała dopowiadać, że chodziło o jego matkę. Tylko raz rozmawiał z Nadią o tym, co się stało, kiedy był młody, o tym, jak matka podjęła decyzję, by się po prostu spakować i odejść. O niekończących się miesiącach poszukiwań, aż wreszcie przesłała tę wiadomość, w której kazała im przestać, w której żałowała, że w ogóle miała dzieci. I pisała, że nie wróci. Z nikim prócz Nadii o tym nie rozmawiał, z nikim prócz Nadii rozmawiać nie zamierzał.

Kiedy odsunęli się od siebie, Mae przypomniał sobie coś, co przy pewnej okazji powiedziała mu Kit. Dotyczyło to radzenia sobie z różnymi sprawami. *Wtopisz, a potem jedziesz, kurde, dalej.*

Nadia ścisnęła go za ramię i wyszła do Mike'a na korytarz. Stanęli tam we dwoje na dłuższą chwilę i rozmawiali szeptem.

Mae został jeszcze na moment przy łóżku Miś, zastanawiając się nad praktycznym wymiarem sytuacji. Nie mówili jednak o emigracji na Marsa. Nie tracił córki na zawsze.

Pomyślał, że w sumie przecież jest jeszcze Skype.

Kiedy godzinę później zostawił Miś z Nadią, mało brakowało, a przeszedłby obok Kit i jej nie zauważył. Odkąd wysadziła go przy szpitalu, minęło kilka godzin, nie przyszło mu więc w ogóle do głowy, że ona nadal może tam być. Ale była. Na jego widok w jednej chwili poderwała się na nogi, a po chwili mocno go objęła.

Następnie klepnęła go jeszcze po plecach.

– Postąpiłeś, jak należało.

Chwilę zajęło, nim zrozumiał, o czym mówi.

– A, czyli widziałas się z moją byłą żoną.

Chwyciła go za łokieć i powiodła korytarzem.

– Masz jakieś wieści? – spytał po drodze, zadowolony ze zmiany tematu. – Skończyłaś odpytywanie Coxa?

– Tak, ale czekaj. Ten gość od danych, który zajął się odzyskiwaniem...

– Gildia Złodziei?

Zaśmiała się.

– O nim mowa. Nazywa się Guy. Tak czy siak, przekopał się przez te wszystkie zdjęcia i je uporządkował. Było więc tych pięćdziesiąt pięć fotografii, które najwyraźniej przyszły od Coxa. Ale poza tym znalazł jeszcze dwie inne rzeczy, obydwie bardzo ciekawe. Po pierwsze, wszystkie pozostałe zdjęcia ściągnięto na laptopa podczas jednego posiedzenia mniej więcej tydzień przed tym, jak Matt stracił pracę.

Mae czekał na ciąg dalszy.

– I?

– No daj spokój. Matthew Corsham miał ten komputer od miesięcy i przez ten czas w ogóle żadnych tego typu zdjęć na dysku. Wtem znienacka zaczynają go rajcować gołe smyki, a jakieś dwa dni potem ktoś z pracy przypadkiem zauważył to u niego na ekranie? – Cofnęła podbródek z niedowierzaniem. – Jakoś mi się to nie klei.

Mae zaczerpnął w płuca możliwie jak najwięcej powietrza, po czym powoli je wydmuchał.

– Sam nie wiem, Kit. Wiesz, brzytwa Ockhama...

– Nie no, jasne, najprostsze wyjaśnienie jest takie, że to jego sprzęt, a zatem jego fotki. Ale z drugiej strony... No i Cox mówił, że Matthew czuł,

że ktoś go wrabia. No więc co, jeśli tak było?

– Jest to jakaś teoria – przyznał. – Ale musielibyśmy mieć zdecydowanie więcej dowodów. A ta druga rzecz?

– A! – odparła, ewidentnie usiłując powstrzymać ekscytację. – Druga sprawa jest taka. – Sięgnęła do torby, którą niosła na plecach, otworzyła ją i podała Mae teczkę. Wewnątrz znajdowały się wydruki, kilka zeskanowanych zdjęć. – Pamiętasz to kółko fotograficzne, do którego dołączył?

– Tę grupkę towarzyską? – dopytał Mae, który zdążył spisać ten wątek na straty.

Kit skinęła głową.

– Nagabywałam faceta, który nią zarządza, aż w końcu do mnie oddzwonił. Nie miał za dużo do powiedzenia o Matcie w wymiarze towarzyskim, przyznał jednak, że zbliżyło ich zainteresowanie tą samą niszą, bo obaj lubią fotografię analogową. Ale najciekawsze jest to, że parę tygodni temu Matt odezwał się do niego w sprawie konkretnej fotografii. Podobno był podekscytowany i chciał się czym prędzej spotkać. No i słuchaj, umawiają się, a Matt ma ze sobą całe mnóstwo podrukowanych danych technicznych, notatek i tak dalej, i to wszystko dotyczy pewnego formatu fotograficznego, w którym zrobiono to zdjęcie Ellie jako małego dziecka.

– Mów dalej.

– No i na tym zdjęciu, o które mu chodzi – masz skan, o, tutaj – to ma być Ellie, tak? Tuż po urodzeniu. Czyli mówimy o roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim.

– Na razie nadążam.

– Ten format to Kodak Instant. Dawne fotki, które wychodzą prosto z aparatu.

– I się je strzepuje jak te z polaroida...

– Otóż to. Ale Kodak zaprzestał produkcji tej technologii pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy przegrał spór sądowy właśnie z Polaroidem. Tyle że te wkłady nie nadają się do przechowywania. Jeśli nie wykorzysta się ich w ciągu roku czy nawet szybciej, to praktycznie są już do niczego.

– Ale co to oznacza?

– Oznacza, że aby to zdjęcie prawidłowo się wywołało, aby w ogóle mogło zaistnieć, musieli je zrobić jakiś rok przed jej urodzeniem. Czy dwa?

– Czyli to nie jest Ellie? – Mae się zmarszczył, próbując dobrze zrozumieć, o co chodziło Kit. – Jakieś rodzeństwo czy coś?

– Nie. To ona. Widać po oczach. Mają różne kolory, jedno zielone, drugie niebieskie. No i zobacz na twarz, to musi być ona.

Mae powoli pokiwał głową i nieświadomie się przygarbił. W każdym śledztwie następuje taka chwila, gdy mgła się staje niemal tak gęsta, że trzeba uderzać na oślep. Kiedyś słyszał, jak ktoś nazwał to „szczytowym zbaranieniem” czy też „zamięcią całkowitą”. Było wiele określeń. Ale rzecz w tym, że po dotarciu do tego punktu, jeśli miało się szczęście, wystarczał już jeden element.

Jeden drobny ruch, jak przekręcenie kluczyka w pozytywnie, by mechanizm zagrał.

ROZDZIAŁ 70

Ellie

Siedziałam z tyłu samochodu, trzymając się krawędzi rozdartej kanapy. Ciało miałam całe napięte od adrenaliny. Byłyśmy już kilka godzin drogi za Sarajewem. Tylko raz zatrzymałyśmy się po paliwo i jedzenie. Z lotniska odebrała mnie córka Rany, Emina, która nalegała, byśmy od razu ruszyły w drogę, bo jej mama już na nas czeka. Dziewczyna znała angielski na tyle, byśmy mogły ustalić podstawowe sprawy, ale nie mogłam z jej strony liczyć na jakiekolwiek wytłumaczenie. Dlaczego miałam wrażenie, że Rana wręcz czekała na mój telefon i że wiedziała, kim jestem?

Emina poczęstowała mnie ciastkiem, które zabrała z nagle przerwane go śniadania biznesowego, ale poza tym skoncentrowała się na jeździe. Widziałam, jak jej nienagannie umalowane oczy zerkają kontrolnie na mnie w lusterku wstecznym, ilekroć samochód wjechał w nierówność lub ostry zakręt. Jechała szybko, od czasu do czasu usztywniając jedynie ramiona przed pokonaniem jakiegoś wyboju w nawierzchni.

Za oknem widziałam drzewa owocowe. Krajobraz miał w sobie coś śródziemnomorskiego, ale nie jak we Włoszech czy w Hiszpanii. Przejechałyśmy przez wioskę, na obrzeżach urzekającą bielonymi domami obłożonymi kafelkami, które to domy bliżej centrum ustępowały pospiesznie wznoszonym budynkom w surowym sowieckim stylu. Pośrodku wsi stał pojedynczy szary blok mieszkalny. Na jego betonowej fasadzie widniały ubytki wielkości samochodu, a z bocznej ściany wystawały stalowe pręty. Nie wiedziałam prawie nic o tutejszej wojnie, ale jej poorane bliznami i niewzruszone oblicze spoglądało na mnie zewsząd, z każdej ruiny budynku i wyrwy w nawierzchni drogi. Przed szkieletem pawilonu stacji benzynowej dostrzegłam parę zachodnich turystów z plecakami i przewodnikiem w rękach, czekających niespokojnie na autobus, który mógłby ich stąd zabrać.

Opuściłam szybę i wystawiłam rękę na wiatr. Roztarłam czerwony pył między palcami i go spróbowałam. Nie bałam się. Byłam setki kilometrów od ludzi, których znałam, długie godziny drogi od znajomych mi miejsc. Ale czułam się, jakbym wracała do domu.

– Uśmiechasz się – odezwała się Emina, na co oderwałam wzrok od krajobrazu za oknem.

– Na to wygląda.

Za wsią dziewczyna skręciła ostro w dróżkę biegnącą między dwoma ugorami. Złapałam się za uchwyt nad szybą, wbiłam nogi w podłogę i podniosłam się z siedzenia, by łatwiej złapać równowagę.

– O, tam. Widzisz? – spytała, wskazując coś za oknem. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam coś za zaroślami niecały kilometr dalej. To tu.

– O Boże.

Był to niski, podłużny piętrowy budynek, na przeciwległym krańcu opadający do jednej kondygnacji. Na wschód od budowli stała stajnia bez dachu. Całe miejsce sprawiało mroczne wrażenie. Zobaczyłam jeszcze trzy drzewa z szerokimi koronami i wiedziałam, że to migdałowce, mimo że już dawno opadły z nich wszystkie liście i owoce.

Budynek ze snu Siggy.

Gdy tylko się zatrzymałyśmy, drzwi do domu otworzyły się na oścież i ktoś wybiegł pomóc mi wysiąść. Była to kobieta o siwych włosach ściętych na boba. Pod jej szyją, na żyłce ozdobionej paciorkami, wisiały okulary w zielonych oprawkach.

Pani Filipović. Rana. Przez moment stała, trzymając mnie za ramię i ledwo zauważalnie kręcąc głową. Jakoś instynktownie czułam, że nie jest osobą skorą do płaczu, ale teraz policzki miała wilgotne od łez, a jej zasznurowane usta układały się w smutny, serdeczny uśmiech.

Przytuliła mnie. Objęła dłonią tył mojej głowy i pogładziła po włosach, jakbym była dzieckiem, któremu stała się krzywda.

– Wróciłaś – stwierdziła.

Herbatę z chudym mlekiem podano w kubkach z dymionego szkła. Usiedliśmy na chwilę w biurze na plastikowych krzesłach ogrodowych. Rana,

jej córka oraz jakiś starszy mężczyzna rozmawiali to ze mną, to ze sobą nawzajem, przestawiając się co chwila z angielskiego na bośniacki. Nie znałam tych ludzi ani oni mnie. Lecz w tym obskurnym pomieszczeniu z łuszczącą się farbą, terkoczącym wiatrakiem i pomrukującym komputerem – tak starym, że jego szklany monitor miał zaokrąglone rogi – panowało autentyczne ciepło, prawdziwa równowaga oraz komfort. Otoczyli mnie miłością, niczym jedną z nich. Siggy cały czas milczała. Czułam ją, ale była spokojna. Jakbyśmy były przyjaciółkami. Pomimo całego zaskoczenia i nowej sytuacji po raz pierwszy czułam taki spokój.

Po jakimś czasie wstaliśmy, nie mogąc usiedzieć w miejscu.

– Chodź – odezwała się Rana, chwytając mnie znów za ramię.

Poprowadziła mnie przez zimny korytarz do dużego pomieszczenia znajdującego się z tyłu budynku. Miało wysokie okna, a na przeciwległej ścianie widniał wielki jasny mural wymalowany przez dzieci. Kobieta zauważyła, że się w niego wpatruję. Stała przy mnie, powoli skinęła głową, po czym przepuściła mnie przez szklane drzwi. Wyszliśmy na podwórko i znalazłyśmy się po zewnętrznej stronie ściany z murem. Zatrzymałyśmy się parę metrów przed nią. Po nadkruszonej gipsowej powierzchni wił się bluszcz, ale w centralnej części muru ktoś go wykarczował. Pośrodku oczyszczonej części ściany ciągnął się szereg otworów. Akurat na wysokości głowy.

Rana zrobiła krok do przodu i opuściła głowę. Wyszepiała coś, co chyba było modlitwą, po czym dotknęła palcem jednego z wyłobień.

– Zanim otworzyliśmy tu ośrodek dla uchodźców, oni mieli tu więzienie. Tutaj przywieziono mężczyzn – powiedziała, odchodząc od ściany z założonymi rękami. Patrzyła na dziury jak na las krzyży. Spojrzałam na zagłębienia i zauważyłam kolejne dwie, trzy dziury znajdujące się poniżej pozostałych. Gdy dotknęłam jednej z nich ręką, smutek ścisnął mi krtani. Ktoś ostrożnym ruchem pędzla wypełnił tę postrzępioną dziurę farbą, wygładzając uszczerbek elewacji. Powoli zabrałam dłoń i zwiesiłam ją przy ciele.

Rana nawet nie drgnęła.

– Chłopcy. Mieli po dwanaście, trzynaście lat – stwierdziła.

Siggy patrzyła na wszystko, nadal się nie odzywając.

W milczeniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Wróciłyśmy do środka, wspięłyśmy się na piętro i przekroczyłyśmy jakieś drzwi. Gdy znalazła się

w środku, zaparło mi dech w piersiach.

Poczułam, że znam to małe wnętrze o pustych ścianach. Ale to niemożliwe. To nie miało sensu. Siggy była tylko moim alter ego. Była częścią mojej tożsamości, którą z jakiegoś powodu zdołałam odłączyć od siebie: jednak nie była ode mnie niezależna. Niemniej oto znalazłam się w jej pokoju. Pomieszczenie było czymś dla niej znanym i nie miało niczego wspólnego ze mną. Do tego miejsca Siggy wracała, tu zasypiała. Od razu podeszłam do kąta i dotknęłam fragmentu ściany, gdzie opierała głowę.

Rana ukucnęła i zaczęła grzebać przy małej plastikowej wieży hi-fi. Nagle pokój wypełnił się dźwiękiem, popową byle jaką melodią z lat dziewięćdziesiątych. Grała zbyt głośno, ale Rana szybko ją ściszyła. Odwróciła się do mnie z przechyloną na bok głową.

– Słuchałyśmy tu muzyki. Pamiętasz?

Przytaknęłam, choć sama do końca nie wiedziałam, co mówię.

– I inne dzieci też. Niektóre miały z domu własne kasety.

– Tak – odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. – Szukaliśmy sposobów, by sprawić wam trochę radości. Czasami, gdy ludzie byli bardzo przygnębieni, urządzaliśmy tu tańce. – Westchnęła. – Ale ty nigdy nie brałaś w nich udziału, biedulko.

– Rana – odezwałam się niemal szeptem. – Przepraszam, nie rozumiem, co się wydarzyło, ale ja nigdy wcześniej tu nie byłam. Nie jestem... Myślę, że się pomyliłaś.

– Co masz na myśli?

Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, nie wiedziałam, jak zacząć. Rana przechyliła głowę na bok i kciukiem starła mi łzę z policzka. Uśmiechnęła się, a wskutek tego łagodnego gestu coś znienacka się zmieniło, i nagle wydała mi się znajoma, delikatniejsza i młodsza.

Przypomniałam sobie tę kobietę. Ja ją znałam.

Kiedyś miała piękne kasztanowe włosy niczym futro lisa i zawsze pachniała hibiskusem i popiołem. Poznałam miękkość jej ciała, gdy mnie kołysała, gdy kołysała Siggy krzyczącą w nocy z tęsknoty za matką i za bratem o imieniu Huso. W tym martwym miejscu była otoczona jedynie obcymi ludźmi. Wtedy zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie mówić. Oparłam się o ścianę i uspokoiłam oddech.

Ale to ja znałam tę kobietę. Nie Siggy. Ja.

Na twarzy Rany pojawił się wyraz dojmującego smutku. Odwróciła się, podeszła do radia i schyliła się, by podnieść pudełko wypełnione kasetami, w większości bez opakowań, i kilkoma płytami CD. Przeszukała zawartość, aż znalazła to, czego szukała. Z uśmiechem wyprostowała się i włączyła utwór Davida Bowiego. Piosenkę o samotnym posłańcu, który obserwuje ludzkość z kosmosu.

Piosenka doszła do refrenu. Słyszałam go wcześniej już wiele razy, ale gdy zdezorientowana rozejrzałam się dookoła, mrugając oczami, coś zaczęłam kojarzyć. Nagle muzyka zaczęła rozbrzmiewać jakby z głębi mnie. Znałam tę piosenkę stąd, z tego pokoju.

– Pamiętasz?

Nie wiedziałam nawet, kiedy usiadłam na podłodze. Po prostu nogi się pode mną ugięły. Wszystko stało się płynne, a pulsujące serce ledwo mieściło mi się w klatce piersiowej. Rana stała tuż obok i przyglądała się moim oczom. Dotknęła mnie tuż pod prawą powieką.

Czasem zastanawiam się nad tą drobną chwilą, która oddzielała moją niewiedzę od wiedzy, i jak wiele zależało od jej pokonania.

– Ziggy Stardust – odezwała się kobieta. – Oczy masz w dwóch różnych kolorach, prawda? Jak u tego piosenkarza. Davida Bowiego.

Ziggy. Nie Siggy. Za sprawą barwy oczu.

Rana przysiadła przy mnie w kucki i objęła moje plecy.

– Też tu byłam, pamiętasz? Widziałam, co się stało z tym chłopczykiem. Z twoim bratem.

– Ja nie mam brata.

– Teraz już nie. Ale miałaś.

– Nie miałam – odpowiedziałam, czując ogarniającą mnie panikę. Spróbowałam wstać, chciałam stąd wyjść, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa. – Muszę już iść. Muszę wracać do domu. To się nie dzieje naprawdę. – Lecz Rana trzymała mnie mocno.

– Posłuchaj mnie – odezwała się. – Kiedy pojawiliśmy się tu po raz pierwszy, nie odzywałeś się. Miałś rany od pożaru. Jedna z dzielnic miasta została zbombardowana, a ty skryłaś się w płonącym budynku. Po okolicy krążyły uzbrojone bojówki. Najwyraźniej chyba uznałaś, że bezpieczniej już

zaryzykować kontakt z ogniem. Później przeszukali miasto i widziałam, co się stało z chłopcem, twoim bratem. Nie znałyśmy się wtedy, ale ja wszystko widziałam, dostrzegłam też ciebie. To... to była najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Jeden z żołnierzy odebrał go waszej matce. Mały nie przestawał płakać i...

Zamilkła i przeciągnęła dłońmi w dół twarzy. Następnie odezwała się zgaszonym głosem.

– To wspomnienie nie opuści mnie do końca życia. Twój brat płakał, a żołnierz po prostu zabił go na oczach wszystkich. Gdy tu dotarliśmy, było już za późno, by ustalić twoją tożsamość. W ten czy inny sposób zostałaś oddzielona od matki. Znam wiele takich przypadków. Musisz wiedzieć, że ludzie potrafili przybyć tu w środku nocy, pieszo, w okropnym stanie, ledwo żywi. Dla wielu, bardzo wielu osób było to pierwsze schronienie po przekroczeniu granicy. Niektórzy zostawali, inni szli dalej. Chaos. – Rana trzymała mnie mocno za ramiona. – Kiedy wreszcie znaleźliśmy twoje dokumenty, ktoś już zdążył nadać ci imię. Nadal milczałaś, ale przynajmniej reagowałaś na Ziggy. I tak się przyjęło.

Chciałam coś powiedzieć, ale najpierw musiałam przełknąć ślinę.

– Chyba doszło do jakiejś pomyłki – powiedziałam, po czym zaczęłam trząść się na całym ciele. Mój rozedrgany umysł nie potrafił połączyć tego, w co wierzyłam przez całe życie, z nowymi obrazami pojawiającymi mi się w głowie. Było to trzęsienie ziemi. Nieuniknione, nieprawdopodobne przededefiniowanie tego, kim jestem.

Zdołałam wstać i podejść do okna. Położyłam dłoń na chłodnej szybie i objęłam wzrokiem podwórko. Emina stała przy samochodzie, napełniając zbiornik wodą z plastikowej butelki. Przeniosłam wzrok dalej, na zarośnięte pola. Dojrzałam tam konia i stojącą przed nim dziewczynkę. Rozmawiała z nim i wspinała się na palce, próbując dosięgnąć pyska.

Poczułam się, jakby przewrócono nową kartkę. Jakby jednym ruchem zerwano ze mnie skórę, którą nosiłam codziennie przez całe życie. Pozostała drżąca istota, która dopiero co trafiła na świat z najciemniejszego zakątka wszechświata. Wszystko, co Siggy mi pokazywała, wszystkie koszmary, cały strach, ból i rozpacz, ta okropna przemoc nie były wizjami. Nie wymyśliłam ich sobie. Nie stanowiły wytworu zaburzonej wyobraźni.

To wspomnienia. Wspomnienia o mnie, o mojej rodzinie.

Wszystko to, cała Siggy, było częścią mnie.

ROZDZIAŁ 71

Christine

Równina Sany, Bośnia 1995

Słuchaj, Ellie.

Na kolanach mam dziecko. Teraz śpi, choć na początku się wzbraniała, zupełnie tak jak ty. Ręką zasłaniam jej ucho, żeby stłumić telepanie się okna terenówki, a zepsute zawieszenie amortyzuję własnymi stopami, łagodząc szarpnięcia i wyboje. Jest starsza niż ty, starsza, niż kiedykolwiek będziesz. Widziała rzeczy, od których na zawsze odwróciłabyś wzrok od świata. Jej włosy są ciepłe i gładkie w dotyku, jakbym miała pod dłonią kota. Porusza się we śnie, zakłócanym wizjami tego, co wydaje jej się rzeczywiste.

Kołami wzbijamy za sobą tumany kurzu, ale powietrze jest przyjemne, a nawet ciepłe, za chwilę będzie świtać. Tak dużo tu drzewek owocowych, Ellie, można jeść figi, gruszki czy też śliwki prosto z gałęzi. Musimy jeszcze przejechać kawałeczek, trochę na północ, a potem na wschód, przez granicę. Kiedyś już tu pracowałam i wyrobiłam sobie wtedy znajomości, a teraz ci ludzie mi pomogli. Płaci się im za to, by przerzucali ludzi i towary, by czynili to w sposób niezauważalny, nie zadając przy tym pytań i nie oczekując odpowiedzi. Czy nie mówiłam, że czekają nas przygody? Snajperów mamy już za sobą, ale pozostała jeszcze granica. Potem będziemy miały przed sobą całe życie. Zaczniemy z tego samego miejsca. Znowu będziemy się przyjaźnić.

Znienacka otwiera oczy. Spogląda na mnie tymi swoimi dziwnymi tęczęwkami w dwóch różnych barwach, niczym u wilka. Odwracam wzrok. To silniejsze ode mnie. Szloch wymyka mi się niczym ziarenko grochu z łupiny. Nigdy nie będziesz wiedzieć, jak bardzo za tobą tęsknię.

Przyjechałam tutaj, by poszukać innej ciebie, a znalazłam ją. Nie pośród licznych rządków niemowląt, poukładanych po dwoje w łódeczku z butelkami

w buziach. Znalazłam ją przy studni, do której rzucała kamyki.

My też rzucałyśmy kamyki, pamiętasz? Chodziłyśmy na przechadzki do lasu, ścieżką prowadzącą nad rzekę. Taka błotnista plaża, która była tylko dla nas, do tego gorąca czekolada z termosu, a potem kamyki, coraz to większe, a ty sobie skakałaś z nogi na nogę, podczas gdy ja zbierałam kamyki do kapelusza, abyśmy potem powrzucały je wszystkie do wody z powrotem. Pamiętam promienie słońca. Pamiętam twój głos.

Znowu zasnęła, teraz zsuwa się z pokrytego winylem fotela, a ja delikatnie podciągam ją z powrotem. Zawieszonymi tuż nad jej buzią palcami śledzę przebieg jej policzków, ale jej nie dotykam, nie budzę. Tak wiele widziałam podobnych do niej, całe pokolenie dzieci, których świat z jasnego, zielonego i pełnego przemienił się w ziarnisty i monochromatyczny, dymiący i podzielony na federacje i republiki, strefy bezpieczeństwa i oblężenia. Nieustraszonych dzieci o twarzach wykutych w skale. Wychodzą nocą w mgłę, aby pozbierać drewno na opał. Kierunek ostrzału z granatników rozpoznają tak trafnie i instynktownie, jak ty rozpoznawałaś melodię furgonetki z lodami.

Lecz nawet jeśli jutro by się to skończyło, to potrwa lata, całe pokolenia, nim to miejsce zdoła się zbliżnić. Wojna nie odchodzi, gdy odejdą żołnierze. Ludność cywilna, dzieci, są dla niej jak komora pogłosowa. Od tego ogromu śmierci obumarło tu powietrze. Powietrze, które podnosi się z ziemi, wydobywa się z budynków i cię wita. Jest więcej nic spokojne – jest rozciągnięte i spowolnione, niczym dopiero co opuszczone łono.

Czubkiem małego palca dotykam zasychającej strużki łzy na jej policzku. Mówili, że widziała śmierć własnego brata, że zdążyła przeżyć ostrzał artyleryjski swojego miasta. Nie mówi, ale wiem, że będzie mówić. Zapomni znane jej strzępki własnego języka i niebawem będzie mówić tak jak ty. Uwolniłam ją ze świata, który nie nadawał się dla dzieci. Zmieniam jej życie, a ona jest dostatecznie młoda. Jeszcze to wyczyszczę, jeszcze to naprawię. Nie musi niczego z tego pamiętać. Oto mała dziewczynka, której imię wymażę, która wślizgnie się w pozostawioną przez ciebie nicość i ją wypełni, zapnę cię na niej jak zimowy płaszcz, gotowy i ogrzany. Wytnę tego raka, jakim jest jej przeszłość, i go zastąpię, a ona będzie mnie kochała, Ellie.

Cicho już, kochanie. Cicho, skarbie.

Teraz jest już moja, a ja ją stąd zabiorę.

Słucham jej oddechu i ledwie zwracam uwagę na inne dźwięki, a przecież są o wiele głośniejsze i bardziej złowróźbne. Posterunek kontrolny. Na zewnątrz czołgi, które obracają lufy, a towarzyszy temu elektryczny odgłos, rozciągnięty w długie sylaby. Staccato dalekiej wymiany ognia.

Dobry Boże, pozwól mi ją zatrzymać, a nigdy jej nie skrzywdzę. Jeśli będę mogła ją zatrzymać, nigdy nie spuszczę jej z oka. Ochronię ją przed wszystkim. Dam wszystko, co mam, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Nakarmię ją własnym ciałem, a nie pozwolę, by ponownie zaznała głodu. Rozbiorę się do naga, oddam jej własną skórę, jeśli to ochroni ją przed zmarznięciem. Nigdy, przenigdy nie podniosę głosu.

Proszę. Boże. Pozwól mi zabrać to dziecko.

Powiedziałaś, że mnie nienawidzisz. Zaczęło się przez byle co – naprawdę byle co, napad wściekłości z powodu grzanki – a ja nie zdołałam zapanować nad sytuacją, nie umiałam tego jakoś załagodzić. Nic, co powiem, tego już nie zmieni, Ellie, a zresztą nie rozpoznaję się nawet w tym, co robiłam. Kiedy przekręcałam klucz w drzwiach twojego pokoju, podczas gdy ty krzyczałaś i krzyczałaś, a łzy i gluty z nosa spływały ci po szkarłatnej buzi, przypominałam sobie, co gdzieś przeczytałam, że należy „pokazać dzieciom konsekwencje ich zachowania”. Nie pamiętam już teraz nawet, co to była za książka. Ani też czy rada odnosiła się do trzylatków. Pamiętam, że gdy cię zamykałam, mówiłam sobie, że robię to dla ciebie.

„Nienawidzę cię, mamo. Nienawidzę cię. Ty mnie nie kochasz”.

Myślałaś, że cię tam zostawiam. Usłyszałaś odgłos zasuwki i uznałaś, że wyszłam z domu i zostawiłam cię tam samą, i to było ostatnie, co sobie pomyślałaś. Krzyczałaś już nie z gniewu, ale po prostu z przerażenia, że nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

A ja byłam tuż obok, opierałam się plecami o drzwi i czekałam, aż ci minie. Serce waliło mi tak mocno, że czułam, jak naciska mi na tchawicę. Siedziałam pod tymi drzwiami godzinami, a ty krzyczałaś, aż... aż przestałaś. Nie wiem dlaczego. Może to serduszko nie wytrzymało.

Od płaczu nikt nigdy nie umarł. To też gdzieś kiedyś wyczytałam.

Kiedy ucichłaś, zostałam za drzwiami. Nigdy się nie dowiem, czy mogłam cię wtedy uratować. Ale zostałam za drzwiami, abyś mogła odpocząć, aby cię nie budzić kliknięciem zamka, skrzypieniem zawiasu, chociaż ty nie mogłabyś już tego usłyszeć. Najdelikatniej, jak potrafiłam, otworzyłam jednak zamek,

byś mogła wyjść, kiedy się obudzisz. Wiedziałam, że obudzisz się raz jeszcze przed północą, tak jak to zawsze, ale to zawsze robiłaś, i że przybiegniesz ciemnym korytarzem, tuląc do koszuli nocnej króliczka. Wiedziałam, że wpłzniesz mi do łóżka, podniesiesz moje ramię i powiesz „mamusiu, znowu przyjaźń”, a ja to powtórzę. Sama nawet powiedziałam to sobie pod nosem, człapiąc nocą korytarzem do mojego łóżka. „Znowu przyjaźń, córuś”.

Nie wiedziałam, Ellie.

Kiedy po paru godzinach się zbudziłam, w pierwszej kolejności pomyślałam o tobie, tak jak każdego z ostatnich tysiąca dni. Była północ, a ciebie tam nie było.

Byłaś u siebie w pokoju. Drzwi wciąż były zamknięte. Nie na zamek, ale dla ciebie nie miało to już znaczenia. Leżałaś zimna i nieruchoma z zaciśniętymi piąstkami, z otwartymi oczami i buzią. Suchy i nieukrwiony język spoczywał ci na ząbkach, gdy wzięłam cię w ramiona, gdy spostrzegłam, co robiłam.

„Nienawidzę cię, mamó”.

Siedziałam z tobą przez cały dzień. Umyłam cię. Trzymałam cię i nie puszczałam. Wyobrażałam sobie, jak przyszłe wydarzenia rozwijają się niczym dywan. Policja, proces, więzienie, bo to była moja wina. A po więzieniu, jeżeli w ogóle byłoby jakieś „po” – życie pod znakiem absolutnej pustki, bez szansy na odkupienie.

Toteż kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, zabrałam cię do naszego lasu nad Tamizą. Zawinęłam cię w kocyk, który dla ciebie robiłam, gdy byłaś jeszcze częścią mnie. Zakopałam cię w ziemi. Zaśpiewałam ci i położyłam cię tam, Ellie. Wokół twojego ciała poukładałam kwiaty, a było tak strasznie zimno. Ale cię tam zostawiłam. Co innego mogłam zrobić? W miejscu, gdzie spoczęłaś, zasadziłam wisienkę, żebyś mogła żyć.

Nocami, gdy już cię nie było, nalewałam ci wody do kąpieli, nie potrafiłam zerwać z rutyną. Kucalam przy wannie, zanurzałam palce w wodzie, a w miejscu serca miałam w piersi bezkształtną mierzwę. Przywoływałam cię w myślach, nagą i gładką, twoje włosy, które w wodzie wydawały się dłuższe, twój wystający pod żebrami brzusek. To, jak bąbelki spływają po twoich idealnych ramionkach. Raz, dwa, trzy, wyskakujesz z wody, ciężka i bezwładna, w ręczniku, z głową na moim ramieniu, a twoje ziewanie rozciąga się teraz w mojej pamięci, skamieniałe przez twoją nieobecność.

Na kolanach mam dziewczynkę. Zupełnie inną niż ty, Ellie, ale się tego nauczy, tak jak nauczy się angielskiego. Jest wystarczająco młoda. Odmienia świat swoim istnieniem, powietrze rozstępuje się, gdy ona przez nie przechodzi, wibruje, gdy ona się odzywa, drży dookoła niej. Ona żyje.

Jest moja i będzie mnie kochać. Tak jak ty mnie kochałaś.

Cicho już, kochanie. Cicho, Ellie, moja malutka.

ROZDZIAŁ 72

Mae

Znowu od razu przerzuciło go na pocztę głosową, ale i tak zostawił wiadomość. Tym razem, w świetle faktów, które właśnie poznał, mówił nieco łagodniejszym tonem.

– Ellie. Sytuacja się nam tu rozwinęła. Naprawdę, ale to naprawdę musisz to zobaczyć. Oddzwon do mnie.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni, po czym odwrócił się z powrotem ku porozkładanym na siedzeniu pasażera fotografiom, listom i dokumentom, podesłanym przez Samirę Anand, która znalazła gdzieś oryginały. Po dachu samochodu bębniły krople deszczu. Jego uwagę zwróciła jakaś sylwetka z przeciwnej strony parkingu, która z czymś jaskraworóżowym ponad głową zmierzała teraz biegiem w jego stronę. Kit. Wychylił się, by otworzyć jej tylne drzwi od strony pasażera, nie chciał bowiem, by usiadła mu na papierach. Wskoczyła do auta i zatrzasnęła za sobą drzwi, zwijając w kłębek coś, w czym teraz rozpoznał pelerynę. Siedziała i dyszała z włosami splecionymi deszczem w grube strąki.

– No to dzisiejszy dzień zapisze się jako najbardziej spektakularnie porąbany dzionek w moim życiu – oznajmiła, ocierając oczy z deszczu. – Gwarantuję, jak bum-cyk-cyk!

– Taa? To tak jak u mnie.

Kit objęła zagłówek przed sobą i spojrzała na przedni fotel pasażera.

– Co to jest, to wszystko? – spytała, wycierając ręce w spodnie i odbierając stertę papierów, którą podał jej Mae.

– Listy z Bośni. Od Rany Filipović, tej kobiety, co spławiła Coxa, kiedy tam pojechał.

Obserwował Kit, gdy przebiegała po nich wzrokiem, i patrzył, jak w miarę przyswajania treści listów zmienia się jej wyraz twarzy.

W pierwszym z nich, napisanym do Coxa na krótko po opublikowaniu jego książki, znać było skruchę i profesjonalizm. „Popełniłam błąd” – napisała Rana.

– „Powiedziano mi, bym milczała na temat tego, co się stało” – czytała Kit – „ale ja nie powinnam była dać się zastraszyć”. Komu zastraszyć?

Mae uniósł brwi.

– Czytaj dalej. – Podał jej jeden szczególny list, który zaznaczył sobie spinaczem do papieru. Napisano go trzy lata temu, czyli w czasie, gdy Cox już od dawna ponoć nie utrzymywał kontaktu z Powerami. – O, ten.

– „Obiecała mi, że kiedy dziecko będzie mogło bezpiecznie powrócić, to ją przywiezie. Musi istnieć sposób na to, by je odnaleźć. Biologiczna matka namierzyła ją i wydzwania do mnie każdego miesiąca. Desperacko pragnie się z nią zobaczyć”. – Kit spojrzała mu w oczy. – Ale to dlaczego ta pani Filipović tyle czasu trzymała to w tajemnicy? To znaczy dlaczego okłamała Coxa, skoro był tak blisko poskładania tego wszystkiego w całość?

– Wygląda na to, że wzięła łapówkę. Na rzecz ośrodka dla uchodźców. Christine pojawiła się – rzecz jasna, pod fałszywym nazwiskiem – i dokonała szczodrej darowizny.

– Christine kupiła Ellie?

– Nie do końca. Wychodzi na to, że Christine oznajmiła, że przechowa ją do końca wojny, i pozostanie w kontakcie na wypadek, gdyby znalazła się jej matka. – Spod sterty papierów wygrzebał brązową kopertę. – Zdjęcia, przesłane kurierem z biura Coxa. Sama spójrz.

Kit wycisnęła deszczówkę z grzywki i przyjrzała się fotografiom.

Zrobiła wielkie oczy, a Mae poprawił się na fotelu, żeby raz jeszcze spojrzeć na zdjęcia. Ellie jako niemowlak. Ellie jako berbeć, a wnosząc po jej ubranku i wyglądzie domu na drugim planie, było oczywiste, że nie działo się to w Wielkiej Brytanii. Może dwuletnia Ellie trzyma na kolanach opatulonego chłopczyka i wpatruje się w niego rozpromieniona.

Potem już nieco większa, może trzyletnia Ellie. Szpitalne łóżko, za nią wybite okno uszczelnione kartonem i taśmą klejącą. Jej ciało obandażowane od ramienia w dół, jej puste spojrzenie wbijające się przez obiektyw w głębi głowy osoby patrzącej na zdjęcie.

– Jezu. Czyli przez ten cały czas...?

– Przez ten cały czas Ellie karmiona była bzdurami. Pamiętała Bośnię, ale Christine najwyraźniej przekonała ją, że to było... coś innego. A nie jej własne wspomnienia. Była tym przerażona, nabrała więc przekonania, że sama sobie nie poradzi. – Jego słowa zawisły na chwilę w powietrzu niczym zjawą.

– Ale co z fugami?

Mae wzruszył ramionami.

– Słowo Christine przeciwko... no, właściwie to tylko słowo Christine. Ellie zawsze powtarza, że w ogóle ich nie pamięta. Cox mówi, że jego zdaniem w ogóle się nie zdarzały.

A jeśli Cox miał rację, to oznaczało tak naprawdę tylko jedno możliwe wytłumaczenie obrażeń odnoszonych przez Ellie podczas tych incydentów. Na moment wstrzymał oddech, doprowadzając tę myśl do ostatecznego wniosku – bo na daną chwilę, dzięki tak wszechstronnym zabiegom, Christine była teraz dla Ellie wszystkim.

Kit odłożyła papiery na kolana.

– To gdzie w tym wszystkim mieści się Matt?

– Nie wiem. Może zanadto się zbliżył do zdemaskowania całej sprawy.

– Czyli, podsumowując, nie powinniśmy się spodziewać, że znajdzie się cały i zdrowy?

– Sprawie już nadano status wysokiego ryzyka. Na później mamy zwołaną konferencję prasową.

Kit opadła na tapicerkę i wydeła policzki.

– A ona już wie? To znaczy Ellie?

Mae ruchem głowy wskazał telefon.

– Nie mogę się do niej dodzwonić.

– To co teraz?

Pozbierał papiery i wsunął je do plastikowej teczki.

– Wszystkie siły kierujemy, aby zgarnąć Christine – oznajmił, wskazując na zdjęcia. – Już teraz w ich mieszkaniu jest ekipa. Może podjedziemy zobaczyć, jak sobie radzą?

Zrobił miejsce na siedzeniu, a Kit precyzyjnie się do przodu i zapięła pasy. Mae opuścił osłonę przeciwsłoneczną i wyjął z kieszonki płytę Rootsa

Manuvy.

Kit klepnęła się po udach.

– No to chcesz usłyszeć moją nowinę?

– Dawaj.

– Rabin Samuel Shevah z synagogi centralnej w Brighton.

Mae zgasił silnik i wyłączył muzykę.

– Czyli wątek portretu Jodie. Znalazłaś autora?

Patrząc mu w oczy, powoli skinęła głową.

– Do tej synagogi, i to od lat, uczęszcza Lucy Arden.

– I?

– Żona rabina jest jej najlepszą przyjaciółką. Ich córka to artystka amatorka. Robi portrety dla znajomych.

Zmarszczył czoło.

– Ale chyba musi być profesjonalistką? Ma jakieś oprogramowanie do komputerowego postarzania i bez wątpienia na tej podstawie namalowała obraz.

– W życiu. Ma jakieś siedemnaście lat, właśnie zdaje egzaminy. No i maluje wyłącznie z natury.

Mae poczuł, jak szczeka mu opada, jak gdyby mięśnie przestały ją podtrzymywać. Tymczasem Kit uśmiechała się szeroko, jakby to już była Gwiazdka.

– Musiałam go trochę nieprzyjemnie przycisnąć, ale w końcu mi powiedział. Ot, silny kompas moralny. – Zaczęła się śmiać, ale oczy miała dziwnie błyszczące i Mae zdał sobie sprawę, że była o krok od płaczu.

– Jego żona i córka pojechały w zeszłym roku z Lucy Arden na kontynent. Była tam Jodie.

– Że co?

– Pozowała do tego portretu, sierżancie. Minionego lata. Jodie żyje.

I na krótką chwilę Mae również wybuchnął śmiechem, lecz tylko do momentu, gdy zadzwonił jego telefon. Potem atmosfera nagle się popsuła.

ROZDZIAŁ 73

Ellie

Przez całą drogę powrotną ze szkoły do Sarajewa próbowałam przypomnieć sobie choć jedną prawdziwą rzecz. Jeden moment, którego Christine nie zniszczyła. Nie potrafiłam. Każde wspomnienie, wszystko, co naopowiadała mi kobieta, którą uważałam za matkę, okazało się kłamstwem.

– Ona chciała cię pokochać – stwierdziła Rana, ściskając mnie za ramiona. Za chwilę miała mnie jeszcze raz przytulić i odprowadzić do bramek odlotów. – Naprawdę w to wierzę. Chciała cię zabrać i pokochać. Pamiętaj o tym, niezależnie, co się potem stało i co teraz zamierzasz zrobić. Ja mam nosa do ludzi.

Może miała rację. Może nie.

Anglia z góry wyglądała pięknie. Przytuliłam policzek do grubego plastikowego okna i spojrzałam w dół, wyglądając charakterystycznych punktów miasta, które tak długo uznawałam za własne. Samolot obniżył gwałtownie pułap, wpychając mnie głębiej w fotel. Nie chciałam wracać. Nie chciałam jej widzieć. Mamy. Christine. Nie wiedziałam nawet, jak się do niej teraz zwracać. Nie chciałam mieć nic wspólnego z jej miłością, w którą przez lata bezwarunkowo wierzyłam. Była bezwartościowa.

Samolot wylądował, gwałtownie przerywając magiczny stan zawieszenia w powietrzu, po czym zaczął kołować w deszczu na miejsce postojowe. Maszyna zatrzymała się kilkaset metrów od terminala, po czym przez głośniki poinformowano pasażerów, że trzeba będzie chwilę odczekać. Parę osób usłyszawszy tę wiadomość, wydało z siebie jęk. Rozcierałam uszy, próbując wyrównać ciśnienie po lądowaniu, ale nagle coś przykuło moją uwagę.

Radiowóz. Zbliżał się do samolotu. Pojazd zwolnił i zatrzymał się pod skrzydłem. Zauważył to inny pasażer i już po chwili wszyscy kłębili się przy

oknach, by cokolwiek dostrzec. Zaraz potem do drzwi po drugiej stronie samolotu dostawiono schody. Załoga pokładowa, wyraźnie niedoinformowana, szeptała coś między sobą na przodzie maszyny, podczas gdy pasażerowie stali z wyciągniętymi szyjami. W końcu któryś z nich wyłamał się z tłumu i podszedł do drzwi. Rozległ się stukot, po czym rozhermetyzowany właz się otworzył.

Na pokład wszedł Ben Mae, omiatając wzrokiem twarze pasażerów, aż zatrzymał się na mojej.

– Oddaj mi, proszę, paszport – powiedział, zerkając na mnie w lusterku wstecznym. Zjechaliśmy radiowozem z pasa startowego i minęliśmy jedną z bram, otwartą przez kogoś z personelu. – Stwierdziłem, że warto ci oszczędzić przechodzenia przez odprawę celną ze wszystkimi, ale musiałem obiecać, że załatwię sprawę dokumentów.

Niepewnie podałam mu paszport.

– Jaką sprawę?

Byliśmy już poza terenem lotniska Heathrow. Mae zwolnił i zjechał na pobocze, na którym stał van przerobiony na barek z kawą. Policjant zatrzymał radiowóz i odwrócił się do mnie.

– Paszport jest fałszywy. Nie mogłaś o tym wiedzieć – dodał szybko, dostrzegając mój nerwowy oddech – więc nikt nie powinien cię z tego powodu kłopotać. Ale i tak wszystkich nas czeka jeszcze wiele supłów do rozplątania. Przed chwilą rozmawiałem z Raną Filipović. Wszystko mi opowiedziała, jestem na bieżąco. Na którymś etapie sprowadzimy ją tutaj.

Skrzyżowałam ramiona i na niego spojrzałam.

– Ellie, mam dla ciebie bardzo złe wieści.

Powiedział, że znaleźli ciało Matta schowane pod pontonem nieopodal mostu Putney. Pierwotnie założyli, że nieszczęśliwie wpadł do rzeki.

Tyle że on sam tam nie wpadł.

– Woda, którą znaleźliśmy w jego płucach, nie pochodziła z rzeki – dodał Mae. – Nie wiem, czy chcesz poznać szczegóły, czy...

– Chcę.

Skinął głową.

– Dotychczasowe testy wykazały ślady pleśni, która czasami pojawia się w zbiornikach ze stojącą wodą. Nazywa się *Aspergillus*. Rzadko występuje w rzekach, więc pobrano próbki ze zbiorników w łodzi i wyniki się zgadzają. Stwierdzono też śladowe ilości detergentów, mydła i środków chemicznych obecnych w produktach czyszczących.

– Nie rozumiem.

Mae popatrzył mi prosto w oczy.

– Dowody wskazują, że utopił się w odpływie brodzika.

– Nie da się utopić w odpływie brodzika.

Policjant wziął głęboki wdech.

– W jego krwiobiegu odkryto ślady silnego leku sedatywnego. Haloperidolu. To jeden z leków znalezionych w jego szpitalnej szafce. Na obecną chwilę zakładamy, że ktoś mu je podrzucił, by go wrobić. W tym samym celu ściągnął mu na laptopa te nieprzyzwoite zdjęcia. Ktoś chciał go zdyskredytować na wypadek, gdyby Matt postanowił mówić. Ten sam ktoś w końcu go odurzył, utopił i... – Zatrzymał się, szukając właściwych słów, jakby istniał sposób na złagodzenie informacji. – I zostawił go w rzece. Pewnie chciał w ten sposób wyciszyć sprawę i uzyskać pewność, że... że się nie obudzi.

Z tonu jego głosu i sposobu, w jaki stuknął o kierownicę, domyśliłam się, że to jeszcze nie koniec. Nie obchodziło mnie to. Nic mnie nie obchodziło.

Czyli Matt nie żył.

A ja już nie miałam nikogo.

Powiedziałam, że chciałabym zostać na chwilę sama. Mae wyszedł i zaproponował, że skoczy do vana po herbatę.

Nie miałam wtedy pojęcia, jak różne formy może przyjąć żałoba. Jak jakieś momenty, o których prawie zapomniałas, potrafią nagle wrócić i pochłonąć cię niczym fala tsunami.

Siedziałam w radiowozie, czułam się całkowicie sama, a w głowie bezwiednie odtworzyło się to:

„Hyde Park, miesiąc temu. Rzucamy resztki bagietki kaczkom pływającym po zbiorniku Serpentine. Deszcz, mżawka drobna niczym pył, formuje na twoim delikatnym zaroście krople wielkości łepków szpilek.

Odwracasz się do mnie, obejmujesz ramieniem i przytulasz. Mówisz:

– Jest dobrze.

Odpowiadam:

– Tak.

Wrzucasz skórkę bagietki, tworząc na powierzchni wody kręgi.

– Matt... – zaczynam. Chcę powiedzieć, że nie powinniśmy tego ciągnąć. Bo gdy się obudziłam rano, zobaczyłam wyważone od środka drzwi sypialni, a mama była poraniona i cała we łzach.

Jednak ty spoglądasz na mnie i wiem, że cię kocham. Więc nic nie mówię. Niemniej gdy patrzę na resztki bagietki, po które nurkują kaczkę, już wiem, że cię skrzywdzę. Wiem, że będę dla ciebie zła.

Ale ty się tylko uśmiechasz i tym mocniej obejmujesz mnie ramieniem. I jakbyś miał bezpośrednie połączenie z moim mózgiem, zapewniasz:

– Będzie dobrze, Ellie.

Nic więcej nie mówię. Zamiast tego godzę się na to wszystko, pozwalam sobie na drobne uczucie radości. Odsuwam się, odwracam i cię całuję”.

Wierzyłam ci, Matt. A teraz już ciebie nie ma.

Coś się poruszyło, drzwi od radiowozu się otworzyły i do samochodu wszedł Mae. Ustawił ostrożnie dwa styropianowe kubki na desce rozdzielczej, położył dłonie na udach, spojrzał przed siebie i dopowiedział resztę historii.

Podobno Matt był zbyt bliski odkrycia prawdy. O mnie, o całej sprawie. A ona wiedziała, że jeśli się o tym dowiem, to mnie straci.

– Wydaje mi się, że próbowała wmówić ci rzeczy, dzięki którym pozostawałabyś od niej zależna – dodał po chwili ciszy. – Czy to wydaje ci się... prawdopodobne?

Patrzyłam na parę wodną unoszącą się nad kubków i osiadającą mgiełką na przedniej szybie. Przez dłuższy moment nie mogłam zdecydować, czy cokolwiek powiedzieć.

– Jego auto – zaczęłam po chwili, ledwo wierząc, że naprawdę to mówiłam. – Jego auto stało przed naszym mieszkaniem. Ona je stamtąd zabrała, bo myślała... bo ja myślałam, że Siggy nim jeździła.

Policjant skinął głową.

– No, nie mamy jeszcze pewności, ale zakładam, że to twoja... – przerwał, by się poprawić: – Że to Christine je tam podstawiała.

Zaczął mi opowiadać o odkrytym nagraniu z monitoringu, ale przestałam go słuchać. Ona zaparkowała tam samochód po to, żebym go zobaczyła. Musiała wiedzieć, że uczyłam się jeździć. Spróbowałam wyobrazić sobie ją, jak to wszystko wykonuje, i z zaskoczeniem stwierdziłam, że nie sprawiało mi to trudności. Kobieta, której całkowicie i bezwarunkowo zawierzyłam, poczekała na moment, kiedy niczego nie zobaczę, i wymknęła się na dwór. Ustawiła odpowiednio fotel kierowcy i lusterka wsteczne, podłożyła mój płaszcz, żebym pomyślała, że...

Żebym pomyślała, że jestem potworem.

Wzięłam do ręki herbatę, ale moje ręce tak się trzęsły, że rozlałam napój. Mae odebrał ode mnie kubek, postawił koło siebie i sięgnął po chusteczki.

– Ale miała alibi – powiedziałam niemal szeptem. – Była w pracy. – Gdzie indziej miałyby być? Nigdy nigdzie nie wychodziła. Nie miała żadnych przyjaciół. Miała jedynie mnie. Taka była umowa. Tylko my.

Mae wziął ode mnie wilgotną chusteczkę, złożył w równy kwadrat i włożył do schowka.

– Jej opowieść nie trzyma się kupy. W pracy kontrolowali jedynie, czy wywiązywała się ze zleconych zadań, a nie gdzie się znajdowała.

Pokręciłam głową. On właśnie mi mówił, że mama – że Christine – wyszła z pracy i zabiła Matta. Zanurzyła jego głowę pod kilkoma centymetrami wody. Patrzyła, jak odchodził.

Wypiłam herbatę, nie zwracając uwagi na jej smak. Gdy ją dokończyłam, przypomniały mi się zdjęcia blond siostrzenicy Bernadette.

– A co się stało z jej córką?

– Co masz na myśli?

– Christine. Nie jest moją matką, ale urodziła córkę, Ellie. Za którą później mnie podawała. Widziałam jej zdjęcie. Wydaje mi się – dodałam, uświadamiając sobie, jak głęboko ta sprawa sięgała – że wszystkie moje rzeczy, mój paszport, akt urodzenia i reszta należały do jej córki. Co się z nią stało?

Mae rozłożył ręce.

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale nie martw się, dojdziemy do tego.

Przez chwilę obydwójce milczeliśmy. W końcu Mae odezwał się cicho:

– Ellie, przepraszam, ale muszę cię jeszcze poprosić o pomoc w pewnej sprawie.

– Jakiej?

Policjant wypuścił powoli powietrze z płuc, sięgnął po herbatę i wziął duży łyk. Odstawił kubek na deskę rozdzielczą.

– Nie możemy jej znaleźć.

Odwrociłam się do niego z szeroko otwartymi oczami.

– Co?

Bezradnie wzruszył ramionami.

– Szuka jej sześć osób. Nie ma jej w domu ani w pracy, nie znaleźliśmy jej w żadnym z miejsc, które z nią łączymy. Potrafi się ukrywać. Wiem, jak się czujesz, Ellie, ale...

– Naprawdę pan wie? Właśnie mi pan powiedział, że ona zamordowała Matta. I że próbowała przekonać mnie, że ja to zrobiłam, żebym się zaczęła bać siebie samej. Jeszcze bardziej, niż i tak się boję. – Pokręciłam głową, czując narastającą falę wściekłości. – I pan wie, jak się wtedy człowiek czuje? Serio?

Podciągnęłam kolana do klatki piersiowej i objęłam je rękami. Przez chwilę siedziałam tak, nic nie mówiąc, słuchając kropel uderzających o metalowy dach.

Mae nabrał powietrza i wstrzymał oddech. Przekręcił się na siedzeniu.

– Dobrze – stwierdził. – Masz rację. Nie mam pojęcia, co to za uczucie. Nie potrafię sobie wyobrazić. Ale musimy ją znaleźć i nie zrobimy tego bez twojej pomocy.

Wyciągnął rękę, złapał mnie za dłoń i ścisnął. Wyrwałam się i krzyknęłam z nagłego przypływu bólu, który zaczął mi miarowo pulsować od ramienia aż po bark. Od doby nie odwijałam opatrunku.

– Coś cię boli? – zapytał, puszcżając dłoń.

– Nie – odpowiedziałam odruchowo, zakrywając ranę zdrową ręką. Jednak się powstrzymałam.

Całe moje życie opierało się na kłamstwach. Takich, które współtworzyłam, i takich, które uważałam za prawdę. Świadomych kłamstwach, które w rozmowie przedstawiałyśmy jednak jako prawdę,

i kłamstwach, do których przyznawałyśmy się przed sobą nawzajem. Taka była nasza pozycja wyjściowa: fałsz do czasu udowodnienia prawdy.

Ale ja nie musiałam ukrywać dalej jej tajemnic.

Wystawiłam dłoń przed siebie, podwinęłam rękaw i zdjęłam rękawiczkę. Gdy zaczęłam odwijać opatrunek, Mae zmarszczył brwi. W tym momencie dotarło do mnie coś jeszcze: jeśli Siggy nie była prawdziwa, to samo dotyczy fug. A jeśli nie doświadczałam fug, tamtej nocy nie wyszłam na dwór.

Nie chodziło tylko o dłoń. Dotknęłam biodra, na którym nadal wyczuwałam niezagojoną ranę, nawet przez materiał jeansów.

– Tamtego ranka obudziłam się cała poraniona.

Na widok dłoni policjant zmarszczył czoło, po czym spojrzał mi prosto w oczy.

– Ellie, czy pamiętasz moment, w którym się zraniłaś?

Zaprzeczyłam głową.

– Rozumiem. To niestety będzie cię trzeba poddać też badaniom na obecność substancji, które znaleźliśmy w ciele Matta.

Dopiero dotarło do mnie, co Mae sugerował. Bandaż opadł mi na udo, a ja zaczęłam skubać poszarzały klej na jednym z rogów plastra. Udało mi się zdrapać opatrunek i odkryć prostokątny płat białej, wilgotnej skóry otaczającej ranę. Zdumiony drastycznym widokiem sierżant aż przygryzł wargę.

– Powiedziała, że to od drutu kolczastego. Ale to chyba nieprawda?

Nigdy wcześniej nie widziałam, by ktoś w tak smutny sposób zaprzeczył czemuś ruchem głowy. Przytaknęłam i opuściłam dłoń na udo.

– To ona mi to zrobiła – powiedziałam, po czym nabrałam dużo powietrza w płuca. Jakbym po całym życiu pod wodą wreszcie wypłynęła na powierzchnię.

ROZDZIAŁ 74

Ellie

Mae nalegał, by najpierw opatrzyć mi dłoń, ale nie chciałam o tym słyszeć. Stwierdziłam, że później przyjdzie na to czas. Teraz musiałam znaleźć Christine. Chciałam, by opowiedziała mi o wszystkim, co zrobiła.

Wiedziałam dokładnie, dokąd pojechać.

Drzewa spowijała mgła tak gęsta, że zdawała się ugiąć pod własnym ciężarem. Mae kilka razy upewniał się, czy na pewno jedziemy w dobrym kierunku. Nie zwrócił uwagi na wydeptaną ścieżkę między krzakami jeżyn ani na ślady po maczecie, którą Christine wykarczowała młode pędy podczas zeszłorocznej wizyty albo nawet wcześniej. Miejsce przy rzece było jedyną stałą rzeczą, niezmienną niezależnie od wszystkich przeprowadzek i zawirowań. Naszą tajemnicą.

Odsunęłam sprzed twarzy jakąś gałązkę.

Mae pozostawał trochę w tyle, a gdy byliśmy już blisko, gestem ręki kazałam mu się zatrzymać. Bo oto ją znaleźliśmy.

Siedziała na naszym złożonym kocu piknikowym z walijskiej wełny, a za nią na wilgotnych liściach leżał termos. Nastąpiłam na kruchą łupinę bukwi, która zachręściła pod moim ciężarem. Christine wyprostowała się i przyglądała włosy, ale się nie odwróciła. Tuż na prawo od niej rosła nasza wisienka. Ramię w ramię podziwiali widoki.

Gdy podeszłam, zauważyłam, że Christine czekała tu już od jakiegoś czasu. Miała przemoczone włosy, a jej ubranie lśniło od deszczu. Bez podnoszenia głowy uśmiechnęła się lekko.

– No i jesteś – odezwała się.

– No i jestem.

Przyklepała koc koło siebie i sięgnęła po termos.

– Naprawdę, naprawdę miałam nadzieję, że się zjawisz.

Stwierdziła, że nigdy nie było jej zamiarem wzbudzenie we mnie strachu. Chciała, bym zapomniała o wydarzeniach z Bośni, ale podobno nie potrafiłam. Doszła do wniosku, że jedynym rozwiązaniem jest udawać, że te wspomnienia nie należą do mnie.

Siedziałam obok niej i słuchałam wszystkiego, co mówiła. Jej niski, łagodny głos rozbrzmiewał na tle delikatnego stukotu kropli spadających z liści ponad nami.

Wspomniała, że bardzo mnie kocha. Że zrobiła wszystko, co tylko mogła, by powstrzymać Matta przed odkryciem prawdy, bo nie mogła mnie stracić. Bo tylko ja jej zostałam.

– A teraz nie masz już nic – stwierdziłam.

Christine na mnie spojrzała.

– Nie, kochanie. Znajdziemy rozwiązanie. Ja wciąż cię kocham i nic w tej kwestii się nie zmieniło.

Zaśmiałam się krótko i gorzko.

– Nigdy nie byłam twoją małą dziewczynką. Nie łączy nas nic, co chciałabym uratować.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale stwierdziłam, że nie ma o czym rozmawiać. Obserwowałam, jak zaczynała zdawać sobie sprawę z ostateczności sytuacji. Że do końca przegrała. Klamka zapadła. Nigdy wcześniej nie widziałam jej przegranej, ale teraz oto siedziała złamana.

– Ellie, proszę. Chciałam ci tylko pomóc. Chciałam cię kochać, ochronić i...

– Nie. Nie chciałaś. Miłość tak nie działa.

– Nie waż się mnie pouczać o tym, czym jest miłość. – W jej oczach stanęły łzy, które ze wściekłością próbowała otrzeć. – Oddałam ci wszystko. Myślisz, że nie liczyłam w życiu na nic więcej? Ale ty mnie potrzebowałaś. Byłaś wrakiem człowieka, nie żartuję. Zanim cię znalazłam, nie miałaś żadnych szans na godziwe życie. – Słyszałam, jak próbuje zapanować nad drżącym głosem. – Byłaś skorupą, byłaś po prostu pusta. Nie odzywałaś się nawet słowem. Za każdym razem, gdy włączałam silnik w samochodzie,

trzęsała się jak jakiś mały ślepy szczurek. A jednak nigdy nie spisałam cię na straty. Przenigdy.

– Ale nie miałaś prawa mnie zabrać! – wykrzyczałam, grożąc jej trzęsącym się palcem. – Nie miałaś prawa!

Wstałam i odeszłam od niej kilka kroków. Mimo szalejącej furii nie mogłam patrzeć na to, co się z nami działo.

Christine odchrząknęła i zwróciła się do mnie po imieniu. Nadal byłam odwrócona do niej plecami.

– Ellie – powtórzyła łagodnie. – Błagam. Muszę ci to wytłumaczyć.

– Co? – zapytałam, opierając się o gładką bukową gałąź. Dłonie splotłam na plecach, by nie zauważyła, jak bardzo się trzęsą.

– Zrobiłam coś strasznego. – Wyciągnęła w moją stronę rękę, wskazując dłonią, bym podeszła. Nigdzie się nie ruszyłam. – Chodź, kochanie.

– Nie.

– Ellie, proszę. – Zaniosła się płaczem. – Nie rób mi tego. Nie chcę jeszcze ciebie stracić.

Patrzyłam, jak nachyla się do przodu i wciska palce w wilgotną, pokrytą liśćmi ziemię. Dostrzegłam grymas dogłębnego, bolesnego smutku, obejmujący jej twarz niczym powolna ciemna chmura burzowa.

Gdy zamknęła oczy, nagle z całą siłą dotarło do mnie, gdzie się znajdowałyśmy. Instynktownie cofnęłam stopy na myśl, co się znajduje pod nami.

Przez całe życie myślałam, że przyjeżdżałyśmy tu przez wzgląd na Siggy, by miała swoje miejsce. Jednak gdy kobieta, której już prawie nie rozpoznawałam, w skupieniu i rozpaczynie dotknęła ziemi, zrozumiałam, że nie przychodziłyśmy tu dla Siggy. Nawet nie dla mnie.

Nasz leśny punkt nie był losowo wybranym miejscem wytchnienia. Ona tu przychodziła, by odwiedzić dziecko, które próbowała zastąpić mną.

– Ona tu leży, prawda? – zapytałam. – Twoja córka. Ellie.

Nie odpowiedziała mi. Ale nie musiała.

Przez te wszystkie lata odwiedzałyśmy grób.

Christine wstała.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło. Zależało mi tylko na tym, żebyś odwzajemniła moją miłość.

– Odwzajemniałam. – Wytrzymałam jej spojrzenie, ale nie zamierzałam dać z siebie niczego więcej. Nawet w miejscu, gdzie pochowała własne dziecko. Płomień czy łzy w moich oczach nie były przeznaczone dla niej. Zachowywałam je dla Matta, dla mojego małego braciszka, którego ledwie pamiętałam, dla matki, mojej prawdziwej matki, którą kiedyś miałam, ale którą straciłam. Dla wszystkich rzeczy, które utraciłam z powodu tej kobiety. Powstrzymałam się przed płaczem. Nie chciałam, by pomyślała, że płaczę z jej powodu.

Z tego miejsca nie było już powrotu. Patrzyłam, jak Christine zaczynała zdawać sobie z tego sprawę. Wcześniej nadal nie potrafiłam do końca uwierzyć, że byłaby zdolna do wszystkiego, o czym usłyszałam. Gdy jednak wtedy spojrzałam na nią, zrozumiałam, że w ogóle jej nie znałam.

– Dobry Boże – odezwała się. – Jak pomyślę, co poświęciłam... I po co? Spójrz tylko na siebie. Jesteś wrakiem. Pozostawiona sama sobie jesteś niczym. – Po raz pierwszy zobaczyłam na jej twarzy wzgardę. – Powinnam była się na tobie poznać i zostawić cię tam, gdzie znalazłam.

Rozległ się odgłos zbliżających się kroków.

– To pewnie prawda, Christine.

Mae. Nie patrząc na nią, szedł z rękami w kieszeniach w kierunku rzeki. Gdy mnie mijał, delikatnie dotknął mojego ramienia, po czym przeszedł nad stertą połamanych gałęzi i zwiedłych liści, przybliżając się do kobiety.

– Ogólnie rzecz biorąc, chyba lepiej by na tym wyszła.

Christine przez chwilę rozglądała się dookoła, jakby szukając drogi ucieczki.

– A teraz zapraszam ze mną – powiedział Mae, po dżentelmeńsku wyciągając dłoń.

Spojrzała na mnie, a z jej wzroku uleciała cała hardość. Potem schyliła się, beznamietnie podniosła koc oraz termos i wzięła je pod pachę. Zanim się odwróciła, uniosła rękę i prześlizgnęła nią po gałęzi wiśniowego drzewka.

Odgarnęła włosy do tyłu i odeszła w kierunku ścieżki.

ROZDZIAŁ 75

Mae

Dopełniwszy formalności z osadzeniem Christine, Mae natychmiast wrócił do swojego biurka. Kit resztę dnia miała spędzić przy Ellie, organizując jej jakieś miejsce, w którym mogłaby się zatrzymać, a także pierwsze spotkanie z psychoterapeutą specjalizującym się w leczeniu traum.

McCulloch kazała mu do siebie zajrzeć, lecz zanim się udał do jej gabinetu, spędził kilka minut przy biurku, sprawdzając coś, co odkładał od pewnego czasu. Zadzwoił do Nadii. W pierwszej chwili odrzuciła połączenie – wiedział, że nadal jest w szpitalu, gdzie na korzystanie z telefonów patrzono raczej niechętnie – ale po minucie oddzwoniła.

– Miś się obudziła. Opuchlizna ustępuje, a antybiotyki działają. – Przez telefon sprawiała wrażenie zmęczonej, ale szczęśliwej. – Wypytuje o ciebie.

– To dobrze. Czy przypomina sobie cokolwiek więcej, jak to się w ogóle stało?

– Powiedzmy. Przyznała, że naprawdę się rozzłościła i że chciała im zrobić krzywdę. Ale o umywalkę uderzyła się przypadkiem. Wygląda na to, że wszyscy się co do tego zgadzają.

– Nie zmusili jej, by tak powiedziała?

– Nie wyobrażam sobie, jakby ktoś miał tego dokonać, bo straciła przytomność, a potem cały czas już była tutaj. – Nastąpiła pauza. – Ale powiedziała coś jeszcze.

– Co takiego?

– Ta twoja koleżanka, Kate, prawda?

– A, Catherine. Kit.

– Tak, ona. No więc Miś spytała, czy jak przyjdiesz, to mogłaby wpaść razem z tobą.

– Jasne – zaśmiał się.

– To kto to jest? – spytała podchwytliwie jego eks. Przez telefon był w stanie wychwycić w jej głosie lekki uśmieszek.

– Nadia, daj spokój.

– No co? Ben, masz prawo się z kimś spotykać. Minęło sporo czasu. – Wcisnął telefon między obojczyk a ucho, na ekranie na biurku przywołując serwis internetowy, którego szukał, to jest jedną z tych witryn, która sama porównuje ceny wyjazdów zagranicznych. Wybrał jakieś daty z rozwijanego menu i wcisnął enter.

– Szczerze powiedziawszy, nie wydaje mi się, abym był w jej typie. Naprawdę tylko się kolegujemy. – Tak właściwie. W większości sytuacji.

– Nie? Ale to może warto się wysilić? No i Miś naprawdę ją polubiła. Mówi, że razem się wybiorą na jakieś łyżworolki?

– Na roller derby. – Nikt mu o tym nie wspomniał, ale też wcale go to nie dziwiło. Poza tym nie miał nic przeciwko. – A skoro już o tym mowa, to jaki Miś ma rozmiar buta? Jakoś trzynastkę?

– Ta-ak – przyznała podejrzliwie Nadia. – A co?

Na ekranie pojawiło mu się małe wirujące kółko, co oznaczało, że algorytm pracuje.

– Posterun... Kit chciała wiedzieć. Sprawi jej wrotki.

Teraz to z kolei Nadia wybuchnęła śmiechem.

– A więc to tylko koleżanka, ale cały wieczór przesiaduje pod szpitalną salką twojej córki i chce jej kupić wrotki? Czy aby na pewno nie jesteś w jej guście?

Witryna przetworzyła jego żądanie i rezultat pojawił się na ekranie. Dwoje dorosłych, wyjazd na długi weekend na Florydę. Kąciki ust nieco mu opadły.

Nietanio. Ale też nie horrendalnie drogo.

– Nie jest to chyba niemożliwe.

Nadia zaśmiała się raz jeszcze, a potem się pożegnała. Mae zamknął laptop i udał się do gabinetu McCulloch.

Zapukał we framugę otwartych drzwi i wszedł.

– O, proszę. Gwiazda wieczoru. Siadaj, Ben.

Zdjęła okulary i gestem zaprosiła go na krzesło naprzeciwko własnego miejsca, po czym, przypomniawszy sobie o czymś, obróciła się na siedzeniu i schyliła, aby otworzyć jakieś pudło czy szufladę. Kiedy z półuśmiechem na twarzy zwróciła się ponownie w jego stronę, ustawiła na biurku szklaną butelkę i dwa plastikowe kubeczki. Był to szampan, i to nie marki, którą Mae kojarzyłby z półek supermarketu.

Odkorkowała butelkę, nalała i podała mu kubek, a następnie uniosła własny w toast.

– Za twoje rozwiązanie sprawy. Jakkolwiek straszne się okazało. – Upiła łyk. – Muszę przyznać – powiedziała, mrugając, gdy bąbelki podeszły jej do nosa – tak naprawdę zamierzałam już odsunąć cię od sprawy.

– I nie miałbym do pani żalu – skłamał, czując, jak przyjemna mgiełka alkoholu ogarnia całe jego ciało.

Zmierzyła go wzrokiem sponad rantu kubeczka.

– No, nie jestem taka pewna, Mae.

Wzruszył ramionami i otworzył teczkę, aby przedstawić najnowsze ustalenia.

– Analitycy ustalili adres IP, więc możemy zobaczyć, gdzie znajdował się laptop, gdy ściągnięto na niego pozostałe zdjęcia.

– Gdzie znajdował się laptop? Ale nie sam Corsham?

– To się stało w szpitalu. W tym samym czasie karty debetowej Corshama użyto w odległej o dziesięć minut drogi kawiarni.

– Ktoś inny posłużył się jego kartą?

Mae przełknął łyk szampana.

– Nie. Kawiarnia ma monitoring. To bez wątpienia on korzystał z karty: kupił cappuccino i muffinkę i przez cały czas ściągania plików pozostawał w kawiarni. Nie ma szans, by to on je przeglądał.

Nadkomisarz McCulloch odchyliła się w tył.

– I teraz mi powiesz, że Christine była wtedy na zmianie, tak?

– Tak, właśnie to teraz powiem. A donos do kadrowej dotarł, nim jeszcze Matthew zdążył wrócić do budynku. Kierownik apteki zdążył już zauważyć brak lekarstw, więc z tym nie dało się nic zrobić. Lecz Helen Williams i tak opłacała Matta. Chciała, by odszedł po cichu, wołała nie ryzykować, że sprawa

tych fotografii wyjdzie na jaw, bo to przez nią udało mu się przepchnąć te lipne zaświadczenia z rejestru karnego dla Ellie.

Nieprzekonana McCulloch pogładziła sobie czoło czubkami palców.

– Ale dlaczego, Mae? Dlaczego zrobił ten numer z Ellie?

Mae wypił resztę szampana i odpowiedział:

– Nie ma dowodów, by kryło się za tym cokolwiek jeszcze. Po prostu chciała tam pracować, a on jej pomógł. Kit dokładnie sprawdziła cały oddział: przejrzała monitoring, porozmawiała z pielęgniarkami i z samymi dziećmi i nikt nie miał na jego temat do powiedzenia nic choćby trochę niepokojącego. Ellie zarzeka się, że nigdy nie wykazywał jakiegoś nadmiernego zainteresowania jej pracą na oddziale, nie był podejrzanie skory do kontaktu z dziećmi ani nic takiego. Była jedna dziewczyna, nastolatka, na którą wpadł kiedyś, jak poszedł zobaczyć się z Ellie po jej zmianie, i chyba się jej spodobał, ale poza tym absolutnie nic.

– No a torba? Czy Cox za to odpowie?

– Nie. Drogówka zgłosiła, że automatyczny system rozpoznawania tablic wyłapał wczoraj auto Christine w Surrey. Konkretnie w East Molesey. Spece od materiałów dowodowych są zdania, że znaleźli częściowy odcisk jej buta w ośrodku jogi matki Coxa, co oznacza...

– Że torbę podrzuciła.

– Właśnie. Wiedziała, że mamy oko na Coxa, i uznała, że podrzuci nam łakomy kąsek, aby zmylić trop.

– I nie mów, że to ona zapłaciła czynsz za Matthew.

– Gotówką z tych dwudziestu tysięcy – potwierdził.

– A to podstępna krowa. – Opuściła kąciki ust i upiła łyk. – To naprawdę ironiczne, jeśli wziąć pod uwagę, że na tych nagraniach Coxa będziemy chcieli oprzeć akt oskarżenia.

– A to w ogóle możliwe? Dopuszczą nam te nagrania z jego furgonetki? – Nie dawało mu to spokoju: zasady dotyczące nagrań z ukrycia bywały skomplikowane.

McCulloch uniosła brew.

– Znajdzie się sposób. Prokuratura powinna pójść nam na rękę. Teraz rozważają też zarzuty dla niego. Ale to loteria, zważywszy na to, jak się wszystko skończyło.

– Utrudnianie śledztwa?

– Właśnie.

Mae nie był przekonany.

– Nie wiem, czy można by liczyć, że przysięgli wydadzą wyrok skazujący. No bo jeśli wziąć pod uwagę motyw...

– Chyba niebawem się przekonamy – odparła, czubkiem palca ścierając kropelkę z wilgotnej butelki. – Omówmy więc kwestię dziewczyny, która wróciła ze świata zmarłych. Czy też może uznanych za zmarłych. – Chodziło jej o Jodie Arden. – Nasz łącznik w prokuraturze twierdzi, że mamy również widoki na postawienie jej zarzutu utrudniania śledztwa, ale... – nie dokończyła, gestem dłoni naśladując szalki wagi.

Mae opuścił kąciaki ust w grymasie udawanej apatii, jak gdyby chodziło o sprawę jak każda inna.

– Wydaje mi się, że będziemy to musieli skonsultować, ale nie mogę się dopatrzeć interesu publicznego w ściganiu którejkolwiek z nich – zauważył. – I tak już swoje przeszły.

Zdażył porozmawiać z Lucy i powiedział jej tyle, ile mógł, ale rozmowa była krótka. Popłakała się z ulgi.

McCulloch wlała w siebie resztkę nalanego szampana.

– To sierżant Heath będzie się w grobie przewracać – zauważyła, po czym zgmiotła kubeczek i ponad głowę Mae wrzuciła go idealnym lobem do kosza w narożniku pokoju.

Mae przyznał jej rację, zamknął teczkę i wstał. Nim doszedł do drzwi, McCulloch dodała jeszcze:

– Gówniana ta sprawa, co?

– No – zgodził się. – Gówniana.

– Ale cieszę się, że byłeś w stanie pomóc tej dziewczynie.

Zastukał parę razy we framugę, skinął głową i ruszył ku windom.

– Bo naprawdę pomogłeś, Ben – zawołała za nim.

Odchodząc, Mae podniósł dłoń na znak, że się z nią zgadza, myśląc sobie: *tak, rzeczywiście.*

Pomogłem.

ROZDZIAŁ 76

Ellie

W dniu, kiedy aresztowano Christine, detektyw Ziegler zarezerwowała mi nocleg w hotelu. Nasze mieszkanie i barka Matta nadal były, jak to ujęła policjantka, „poddawane obróbce”. Zdołała jednak spakować moje ubrania do torby i odprowadzić mnie do pokoju.

– Masz mój numer – przypomniała, gdy położyła torbę na łóżku. Upewniła się, czy mam pieniądze na jedzenie. – Na pewno sobie poradzisz?

– Będzie dobrze.

Zamknęłam za nią drzwi i oparłam o nie ręce. Poza elektronicznym zamkiem, który blokował się automatycznie, miały podwójny zamek zamykany od środka oraz łańcuszek. Przyjrzałam się im i pogładziłam po metalowych elementach.

Zostawiłam je tak, jak były.

Mój sen był niespokojny, ledwie zasnęłam na chwilę, to się budziłam. O piątej nad ranem dałam sobie spokój. Usiadłam w wiklinowym fotelu przy oknie, oglądając na komórce zdjęcia Matta i wyczekując poranku.

Policyjna lekarka opatrzyła mi rany na dłoniach: zmieniła opatrunki i dała antybiotyk, bo wdała się lekka infekcja. Pobrała również krew do analizy. Wyniki miały przyjść za kilka dni, ale już teraz wiedziałam, co stwierdzą. Bóle i nudności, które były efektami ubocznymi leków sedatywnych Christine, od lat towarzyszyły mi po każdym epizodzie fugi.

Tyle że nigdy nie miałam żadnej fugi. Możliwe, że Matt też o tym wiedział.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, dlaczego nie powiedział mi o swoich odkryciach. Na ekranie przybliżyłam zdjęcie jego oczu. Może nie chciał mnie martwić albo postanowił najpierw wszystko ustalić i dopiero wtedy mnie poinformować. Wiedziałam jedynie, że wszystko, co zrobił,

wszystkich tych poszukiwań, wszystkich rozmów telefonicznych podejmował się, by mi pomóc. Bo we mnie wierzył. Wiedział, że mogę być kimś więcej niż tym, kogo zrobiła ze mnie Christine.

Czy też tym, kogo ze mnie próbowała zrobić. Przymknęłam na chwilę oczy. Poczułam własne ciało, od cebulek włosów aż po same pięty. Tylko siebie. Psychoterapeuta, z którym rozmawiałam dzień wcześniej, zastrzegł, że mój stan nie poprawi się od razu. Podobno doświadczyłam stresu pourazowego, atypowej dysocjacji i zaburzeń tożsamości, które wymagają trochę czasu. Christine była tak spójna przy stworzeniu mitu Siggy, że mimo że znałam już całą prawdę, pozbycie się jej nie mogło być czymś łatwym. Jednak wiedziałam już, że jestem czymś więcej niż tylko własnym lękiem. Nie byłam tak słaba, jak wmawiała mi Christine. I tylko ja mogłam to udowodnić.

Równy o ósmej rano dostałam wiadomość od posterunkowej Ziegler. *Zadzwoń do mnie, jak wstaniesz.*

Zatelefonowałam od razu, a ona momentalnie odebrała.

– Jak się czujesz, Ellie?

– W porządku – odpowiedziałam. – Czuję się w porządku.

– Dobrze. To dobrze, to... świetnie. Słuchaj, ktoś chce się z tobą spotkać.

– Jasne. Kiedy?

– No, kiedy tylko będziesz gotowa. Teraz jesteśmy na komendzie, ale przywiozę te osoby, gdy tylko się zgodzisz – wyjaśniła.

Nie musiała tłumaczyć, o kogo chodzi. Poprosiłam, by ruszały jak najszybciej, po czym zaczęłam się ubierać. Przez zasłonki w oknie wpadło światło, a mnie zrobiło się ciepło.

Pół godziny później posterunkowa Ziegler zjawiała się pod drzwiami w towarzystwie Lucy Arden. Kobieta uśmiechała się, choć oczy miała czerwone od łez.

Lucy wyciągnęła do mnie rękę, a ja się w nią wtuliłam. Znów miałam czternaście lat i stapiałam się z nią w jedno. Nie puszczając, pogładziła mnie po włosach i wypowiedziała moje imię. Gdy w końcu się puściłyśmy, złapała mnie za ramiona i stwierdziła, że musi mi coś powiedzieć. Spojrzała na policjantkę, by nabrać otuchy, po czym wzięła głęboki oddech.

– Chcę, żebyś wiedziała, że to w ogóle nie jest twoja wina. Dobrze? W żadnym stopniu.

Popatrzyłam na posterunkową Ziegler, a następnie na Lucy. Do tej chwili nawet nie przyszło mi do głowy, że mogą mnie czekać jeszcze jakieś złe wieści.

– Ona żyje, skarbie. – Głos Lucy się załamał, ale na jej twarzy widać było ogromną radość. – Nie miałam pojęcia. Wtedy jeszcze nie. Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy, przenigdy nie pozwoliłabym na to, byś myślała, że zrobiłaś to, o co siebie posądzałaś.

Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa.

– Wiem, że to wiele do przetrwania – przyznała policjantka, przypominając mi o swojej obecności. – Jednak gdy badaliśmy zaginięcie Matta, odkryliśmy, co naprawdę wydarzyło się w Brighton. Okazało się, że kiedy Charles Cox wrócił z Bałkanów, podzielił się z Jodie paroma informacjami, z powodu których nabrała podejrzeń w stosunku do twojej m... do Christine.

Lucy odchrząknęła.

– A Christine bardzo zależało, byś się o niczym nie dowiedziała. Więc zaczęła śledzić Jodie, by znaleźć coś, co mogłaby wykorzystać przeciwko niej. Pech sprawił, że zanim jeszcze Jodie zdołała ci o tym powiedzieć, Christine odkryła, że Jodie jest w ciąży.

Serce ścisnęło mi się w oczekiwaniu. Wierzyłam, że istniała jakaś granica, której Christine nie odważyłaby się przekroczyć, tyle że nie miałam pojęcia, którądy przebiegała.

– Osaczyła Jodie pod szpitalem, zaraz po wyjściu z pierwszego badania USG. Nawet nie zaczekała, aż Jodie dotrze do domu.

– Co... co jej zrobiła? – zapytałam z niepokojem.

Po policzkach Lucy popłynęły łzy. Kobieta nadal starała się uśmiechać, ale zamilkła, przyciskając dłoń do ust.

– Christine zaoferowała Jodie dziesięć tysięcy funtów za zniknięcie – odezwała się łagodnie posterunkowa Ziegler. – Zagroziła jej, że jeśli nie przyjmie propozycji, powie wszystkim, że sypia z Coxem, i Lucy nigdy więcej się do niej nie odezwie.

Spojrzałam znów na Lucy, która potwierdziła wszystko skinieniem głowy.

– Za... zniknięcie? Jak?

Jodie bez wątpienia była pomysłowa i zdeterminowana, ale miała siedemnaście lat.

– Jodie zapłaciła kierowcy ciężarówki, by przewiózł ją w ukryciu do Hiszpanii. Od tej pory zaczęła pracować w barach i klubach, zbierając grosz do grosza. Jeździłam do niej w odwiedziny, kiedy tylko mogłam. Naprawdę chciałam ci o tym powiedzieć, kochana, bo widziałam, jak bardzo byłaś tym wszystkim zdruzgotana. Ale nie byłam w stanie.

– Oczywiście sprawa z Coxem i tak wyszła na jaw – dodała policjantka. – W trakcie dochodzenia. Co prawda nie wiedzieliśmy o ciąży, ale o jego relacjach z Jodie owszem. Teoretycznie mogła wrócić, ale zrozumiała, że przyjmując pieniądze, a potem nie ujawniając się, gdy szukała jej policja, niejako wzięła udział w zмовie przeciwko Coxowi. Christine bombardowała ją wiadomościami, w których groziła, że w kraju czekałoby ją mnóstwo zarzutów, więc koniec końców, postanowiła zostać tam, gdzie była.

– Staralam się ją namówić, by była dobrej myśli, by po prostu poszła na policję i wszystko wyjawila – przekonywała Lucy. – Ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Bardzo się bała, że ją aresztują. Nie chciała ryzykować, że zabiorą jej dziecko.

Posterunkowa rozłożyła ręce.

– Sierżant Mae i ja jesteśmy stanowczo przeciwni stawianiu jej jakichkolwiek zarzutów. Sądzymy, że do tego nie dojdzie.

Lucy otarła oczy.

– Próbowalam cię znaleźć, wszystko wyjaśnić, ale... Sama nie wiem, za bardzo się bałam myśli, co się stanie, gdy się dowiesz. Jednak gdy odezwał się do mnie Matt, postanowiłam zasięgnąć opinii prawnej, jakie byłyby skutki wyjawienia całej prawdy. Naprawdę zamierzałam...

Z niedowierzaniem uniosłam dłonie i jej przerwałam.

– Więc chcesz mi powiedzieć... Masz na myśli, że... – zaczęłam, ale zagłuszył mnie hałas z korytarza. Śmiech. Wysoki, pełny i wesoły. Śmiech dziecka.

Posterunkowa Ziegler i Lucy popatrzyły po sobie, aż wreszcie Lucy stwierdziła:

– Wiem, że to dużo, Ellie, ale jeśli sądzisz, że jesteś gotowa...

Nie dałam jej dokończyć zdania. Dobiegłam do drzwi, drzwi się otworzyły, a za nimi stała Jodie.

Chwyciła mnie za ramiona, objęła i wypowiedziała moje imię, śmiejąc się przez łzy. Jej córeczka ciągnęła ją za ubrania.

Potrzebowałam trochę czasu. Ale miałam pewność, że Christine Power, która nie była moją matką, myliła się.

Nie byłam wrakiem. Nadawałam się do naprawy.

EPILOG

Musiało minąć kilka tygodni, nim zakończono przygotowania do ekshumacji. Christine, skonfrontowana z materiałem dowodowym – zeznaniami Ellie, jej siostry Bernadette, Coxa, Lucy i Jodie Arden, a także ludzi, z którymi kontaktowała się w Bośni – nie stawiała oporu i odpowiadała na wszelkie pytania. Powtarzała, że zrobi wszystko, o co poproszą, byle tylko spróbowali sprowadzić do niej Ellie. Jak mówiła, musieli dać jej szansę ją przeprosić, musieli pozwolić, by wszystko wyjaśniła.

Na razie Ellie odmawiała, ale nie wykluczała ostatecznie takiej możliwości. Musiałoby to przebiegać na jej warunkach i nawet Christine nie mogła mieć o to do niej żalu.

Ale dochodzenie bynajmniej nie dobiegło końca. W drugą sobotę grudnia Mae i Kit byli na miejscu już o szóstej rano i pomagali w układaniu torów od obozowiska, gdzie zebrał się zespół, aż do miejsca nad rzeką, gdzie aresztowano Christine.

Kiedy tory były już ułożone, przetoczono po nich ciężki sprzęt. A potem zespół uczynił, co w jego mocy, aby ocalić drzewko wiśniowe, by można je było z powrotem zasadzić.

Albowiem pod jego korzeniami napotkali zwłoki dziecka. Musiało upłynąć kilka dni, nim przyszły wyniki testów, ale potwierdziły tylko to, co już było wiadomo. Kości stanowiły wszystko, co pozostało po córeczce Christine, która zmarła przed szesnastoma laty, dwa tygodnie po swoich trzecich urodzinach.

Wysoko ponad wykopem, akurat w momencie, gdy kierownik prac ekshumacyjnych podnosił z ziemi małą czaszkę, trzy kobiety oraz mała dziewczynka wznosiły się na wysokość przelotową dziesięciu tysięcy metrów. Wraz z trzydziestoma paroma innymi pasażerami zmierzały do Sarajewa. Dwie z kobiet, Jodie i Lucy Arden, usiadły po lewej stronie korytarza, między nimi zaś siedziała córeczka Jodie. Dziewczynka, która w skupieniu nad

książeczką z naklejkami, kupioną jej na lotnisku, wystawiała z kącika ust różowy język, po najlepszej przyjaciółce matki otrzymała imię Eleanor.

Trzecia z kobiet siedziała w pewnej odległości od pozostałych. Opierała głowę o grube okienko i w miarę jak kontynent pod nią nabierał kształtów, wypatrywała pierwszych oznak ziemi, na której przyszła na świat.

W dłoniach trzymała nowy paszport, otwarty na najgrubszej stronie, na której znajdowała się jej fotografia. Dobrze, że teraz miała sprzymierzeńców, wpływowych ludzi walczących po jej stronie, bo zdobycie tego dokumentu nie było bynajmniej łatwe. Trzeba było zmienić wszystko: miejsce urodzenia, narodowość. Najbliższych krewnych. A nawet wiek. Jeszcze tydzień temu wydawało jej się, że ma dziewiętnaście lat, ale dzisiaj, gdy przyglądała się tworzącym się na zewnętrznej powierzchni okna lodowym fraktalom, bliżej jej było do dwudziestu jeden.

Przez chwilę już jej się zdawało, że odnalazła ciotkę oraz ojca, lecz dziewczynki, której oni szukali, od bardzo dawna już nie było. Ona natomiast odbywała tę podróż po to, by odnaleźć swoją własną rodzinę i by opłakać śmierć tych, których zabrała wojna, rozpoczęta jeszcze przed jej urodzeniem. Jej ojca Faruka, który zginął w pierwszych miesiącach konfliktu, jej małego braciszka Huso, którego morderstwo po dziś dzień nie zostało ukarane.

Włożyła paszport do torby tuż obok teczki wypełnionej informacjami zgromadzonymi na jej temat przez mężczyznę, którego kochała.

Pozwolili jej wszystko to wydrukować i choć jego już nie było, będzie mu po wsze czasy wdzięczna za każde zapisane tam słowo.

Było koszmarnie niesprawiedliwe, że on sam nigdy już się nie dowie, jak wiele dla niej uczynił. Lecz ona na zawsze pozostanie mu wdzięczna za to, że próbował pokazać jej prawdę: jej przeszłość, a dzięki niej także ścieżkę ku jej przyszłości. Pomógł jej odnaleźć drogę do tego, kim naprawdę była, łącznie z jej rzeczywistym imieniem.

Nie była bowiem Ellie Power. Nigdy nią nie była.

Nazywała się Mubina Idrizović. A dwa tysiące kilometrów stąd, w wiosce wraz z upływem czasu odbudowanej, lecz wciąż leczącej rany po doznanych potwornościach, czekała na nią matka.

PODZIĘKOWANIA

Parę ładnych lat temu, kiedy filmowałam, jak policjanci z Oldham odcinają z drzewa zwłoki powieszonego mężczyzny, przyszło mi na myśl, że moja kariera w telewizji nie układa się dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Zrobiłam więc to, co zrobić może zaledwie garstka szczęśliwców na tym świecie, to jest zadzwoniłam do Charlotte Cox, która powiedziała mi, że powinnam raczej zostać pisarką. Tak też uczyniłam. Dzięki, Cioteczko Charles.

Jako że przepoczwarzanie się w wydawaną autorkę zajęło tyle czasu, po drodze trafiło się naprawdę mnóstwo cierpliwych przyjaciół, którzy wspierali mnie radami oraz dobrym słowem. Wyczerpująca lista ciągnęłaby się wręcz absurdalnie długo, niemniej jednak na szczególne wzmianki zasługują Louise King, Nic Gunning, John Moyes, Tanya Cowan, Jo Fielding, Rob Stevens oraz Helen Williams. Mamo, Tato, Faye – dziękuję za Waszą serdeczność i wsparcie.

Pisanie to bardzo izolujący fach i nie dałabym rady tu dotrzeć, gdyby nie armia pisarzy zastępujących mi kolegów po fachu. Chodzi mi o prawdziwe legiony nerdów i wariatów, lecz na szczególne wyrazy uznania zasłużyli sobie Jess Mitchell, Harriet Tyce, Trevor Wood, Garry Abson oraz Anne Corlett za pomoc przy tej książce, jak również Emma Shevah, Jen Faulkner, Kerry McKeagney i Harriet Kline za ogólne wsparcie pisarskie. Celia Brayfield, Fay Weldon, Maggie Gee, Henry Sutton, Tom Benn i Laura Joyce pokazali mi, jak to się powinno robić. Na toasty późną porą w barze dla absolwentów zasłużyło też towarzystwo ze wspólnych studiów na Uniwersytecie Anglii Wschodniej: Marie Ogee, Stephen Collier, Merle Nygate, Suzanne Mustacich, Jenny Stone, Caroline Jennett, Geoff Smith oraz Shane Horsell.

Ogromne podziękowania składam mojej bezbrzeżnie entuzjastycznej agentce Veronique Baxter, a także Stephanie i Jane w agencji Gregory and Company, które wspierały mnie od pierwszych dni. Współpraca z Kathryn Cheshire i resztą zespołu w wydawnictwie HarperCollins była czymś cudownym.

Wiele uwzględnionych w tej książce zagadnień z procedur pracy policji poznałam przez osmozę podczas pracy przy programie „Crimewatch UK” i innych produkcjach policyjnych, lecz konkretnych rad udzielali mi: nadkomisarz Steve May z policji Merseyside, najbardziej czytany gliniarz, jakiego kiedykolwiek poznałam (to jego nazwisko bezwstydnie pożyczyłam, by mógł je nosić Mae), nadkomisarz Matt Markham z policji West Midlands (którego pokazy szybkiego zawracania na wstecznym wciąż śnią mi się po nocach), a także komisarz Gary Stephens z policji Avon and Somerset. Dziękuję również Albinko Hasicowi z serwisu bosnianhistory.com.

Przed wszystkim jednak dziękuję mojej paczce. Nagradzana autorka Mo Kennedy nie może jeszcze tej książki przeczytać (a to ze względu na Bardzo Brzydkie Wyrazy, których żadna dziesięciolatka znać nie powinna), lecz dopinguje moją karierę od czasu, gdy tylko nauczyła się mówić „moja mama pisze historie o tym, jak ludzie mordują się nawzajem”. Doświadczony krykiecista i budowniczy łodzi Sid Kennedy (dość) cierpliwie czekał na moją uwagę, gdy sama pochłonięta byłam laptopem (aczkolwiek pewnie wolałby, by trup w tej książce słał się nieco gęściej). No i jest jeszcze Tom. Dzięki, Hound, za absolutną i nieugiętą wiarę we mnie, zwłaszcza wtedy, kiedy uznałam, że mam już dość i że wszystko to była strata czasu. Jesteście bandą świrów i kocham Was na zabój.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz